

ANNA BRZEZIŃSKA

Wody głębokie jak niebo

Agencja Wydawnicza RUNA

GTW *Życzenie*

Graziano miał sześć lat, kiedy matka powiedziała mu o życzeniu. Siedzieli na pieńku tuż przy parni obłożonej świeżym mchem, a z głębi chłodnego leśnego mroku dobiegał miarowy stukot siekiery ojca. Trifone był kołodziejem, najlepszym na obu stokach góry, a może i w całym Bosco Nero, który rozciągał się aż do wielkiego morza na południu, skąd czasami przybywały kupieckie wozy. Budy kryte ciężkim płótnem nie przyjeżdżały jednak zbyt często, ponieważ niewiele rzeczy w Bosco Nero mogło zainteresować kupców. Garści biednych osad nie starczało nawet na to, by któremuś z wielkich panów z dolin chciało się przysyłać poborców podatkowych. Ludzie trwali tu obok paru kierdeli owiec i stad świń żyłastych jak ich właściciele oraz gromady wietrzyc, leśnych bab, gnomów, streg i wilkołaków. Akurat tego tałatajstwa było w Bosco Nero pod dostatkiem.

Wprawdzie *Graziano* nigdy nie widział żadnego z dziwnych stworów, ale jesienny zmierzch pogłębiał się i tylko ciepła matczyzna chusta z niegręplowanej wełny oddzielała chłopca od leśnych bab i upiorów. Mrok rozbrzmiewał gwarem niezrozumiałych szelestów, stuków i pohukiwań, a *Graziano* ze wszystkich sił pragnął, aby ojciec skończył wreszcie i poprowadził ich niemal niewidoczną już ścieżką w dół, ku wiosce. Nie ośmielał się prosić głośno, gdyż rozumiał, że narzekania wcale nie ponaglą ojca. Trifone pracował w rytmie odziedziczonym po ojcu, dziadku i całej gromadzie przodków, z których każdy był kołodziejem, dumnym ze swego fachu i najlepszym na obu stokach góry. Żaden nie zaniedbał jesiennego jarmarku, na który schodzili się ludzie ze wszystkich pięciu wiosek, więc Trifone również nie odejdzie od parni, dopóki ruszt nie zapełni się najlepszym drewnem, choćby wszystkie stregi Bosco Nero próbowały odwieść go od tego zajęcia. Aby skrócić oczekiwanie, matka zaczęła opowieść. Była wysoką kobietą o surowej, pobrużdżonej twarzy i orzechowych oczach; czasami spoglądała na syna z niepojętą zachłannością. Tamtego wieczoru jej głos był miękki i łagodny. Słowa zdawały snuć się tuż przy ziemi pokrytej warstwą butwiejących liści niczym dym z dogasającego ogniska, niemal niesłyszalne i dziwnie posępne, choć przecież smok zginął, a księżniczka o włosach złotych jak ogień obdarowała zwycięzcę życzeniem.

- To było dawno, dawno temu - mówiła matka, jej twarz wydawała się poszarzała i zmęczona pod rąbkiem chusty. - Zanim panowie pobudowali w dolinach wieże z białego kamienia i nim wyrąbano pierwszy trakt pomiędzy uroczyskami Bosco Nero. Już wówczas było pięć wiosek na obu stokach góry, a samo jej serce kryło coś jeszcze. Smoka o złotych skrzydłach

i źrenicy, sięgającej w głąb ludzkiej duszy, który szybował po zimowym niebie jak ognista strzała i potrafił spopielić granitową skałę niczym garść słomy. Złotego smoka tak potężnego, że mógł pojedynczym splotem opasać całą górę, a kiedy wspinał się na szczyt, do swego legowiska, jego brzuch żłobił w lodzie parowy szersze od dwóch wołów. Tak właśnie było. Dawno, dawno temu.

Graziano miał sześć lat i wedle niego wszystko, nawet zeszłoroczne strzyżenie owiec, wydarzyło się dawno, dawno temu. Wolał nie ponaglać matki, która była kobietą milkliwą i niezbyt wylewną, więc obawiał się, że jego słowa bezpowrotnie przepłoszą opowieść. Siedział w bezruchu, rozmyślając o złotym smoku, a jego myśli były lekkie i bezszelestne jak nietoperze krążące wokół parni.

- To trwało długo, bardzo długo - podjęła wreszcie Arianna. - Ludzie rodzili się i marli w cieniu góry, a wielu z nich umierało z powodu smoka, który był złoty jak słońce i równie niemiłosierny. Umierali z głodu, bo pożerał stada owiec, a pola jęczmienia i gryki płonęły od jego oddechu. Umierali na progu swych chat, gdy srożył się nad wioską, albo głęboko w trzewiach góry, kiedy usiłowali zabić potwora w jego własnym leżu. I umierali także z rozpaczy, ponieważ góra należała do smoka, a jeśli smok raz spojrzy człowiekowi w twarz, w całym ogromnym świecie nie ma miejsca, dokąd można się schronić przed jego źrenicą. Znał tajemnice ludzkich serc lepiej niż oni sami. I zawsze zwyciężał, czy przychodzili pojedynczo, z mieczem wykutym daleko na skraju morza, czy też gromadą, uzbrojeni w hartowane ogniem kije i pałki nabijane kamieniami. Zawsze potrafił ich pokonać - ognistym oddechem, przeklętym złotem albo obietnicą. A spośród tych wszystkich rzeczy smocze obietnice były najbardziej niebezpieczne.

Arianna znów zamilkła, choć jej wargi poruszały się, jakby wciąż przeżuwała opowieść i słowa, które jeszcze nie wybrzmiały. Jej oczy były orzechowe i dalekie.

- Aż pewnego razu, wysoko na górskiej łące, pasterz usłyszał piosenkę, jasną jak sople zawieszane u dachu w lutowy poranek, kiedy pierwszy promień słońca budzi iskry wgłębi lodu. Nie słyszał jej nigdy wcześniej, więc górską ścieżką pobiegł za piosenką. Coraz wyżej i wyżej, a wreszcie stanął w miejscu, gdzie otwierało się wejście do leża smoka i gdzie nie było nic, prócz gołej skały, ponieważ oddech smoka wypalił najdrobniejsze źdźbło. Właśnie tam zobaczył dziewczynę - matka zapatrzyła się w ciemność, a Grazianowi wydało się, że siekiera ojca odezwała się szybszym przestraszonym rytmem - dziecko prawie. Jej włosy były złote jak płomień,

bose stopy bielsze od śniegu, we włosach miała czerwony kwiat dzikiej róży. Stała u wejścia do smoczej groty, księżniczka piękniejsza od wszystkich kobiet, więc wystarczająco piękna, aby smok zapragnął jej dla siebie i porwał ją z komnaty, której okna wychodziły na morze błękitne jak niebo, daleko od Bosco Nero i podziemnych jaskiń. Pasterz nie wiedział, że była też wystarczająco mądra - ponieważ w jej żyłach płynęła magia potężniejsza od mocy stregi i leśnej baby - aby pieśnią przywołać kogoś, kto zdoła ją uwolnić.

Arianna przyciszyła głos jeszcze bardziej i jej słowa - lekkie i miękkie jak skrzydła ćmy - zdawały się muskać uszy Graziana. Bał się głębiej odetchnąć, aby matka nie ocknęła się z dziwnego oczadzenia i aby już na zawsze nie pozostał w pół opowieści, z oczyma pełnymi złotowłosej czarodziejki, która stoi na ciemnej krawędzi smoczej groty.

- Powietrze na szczycie góry było pełne jadu, a ziemia dygotała od smoczego oddechu, gdy księżniczka włożyła w rękę pasterza miecz wykradziony ze smoczego legowiska. Zrabowany niegdyś ze skarbcza w zamczysku, z którego po napadzie smoka pozostała jedynie wypalona skorupa, miecz miał rękojeść ukształtowaną na wzór smoczej głowy z wprawionym w nią diamentem. Zanim zeszli w ciemną otchłań góry, księżniczka skaleczyła się w palec spinką do włosów i kropla krwi spłynęła na kamień, po kres wieków barwiąc go czerwienią, a ona wyszepiała nad nim trzy pojedyncze słowa. Zaklęcie, które miało ich ocalić przed potęgą smoczej źrenicy. A potem zabili smoka głęboko pod ziemią, gdzie jedyną jasnością był smoczy ogień i światło jej włosów. Zabili go mieczem, który pragnął zemsty równie mocno, jak oni, i wycięli serce bestii, aby na górze nie pozostała nawet cząstka smoczej mocy. Pochowali je w tajemnym miejscu, na skraju lasu, na rozstajnych drogach. Wraz z nim ukryli miecz, ponieważ smocza krew nie ugasiła jego nienawiści i nie jest dobrze, jeśli podobna moc pozostaje w ludzkich rękach. Potem księżniczka nakryła się płaszczem utkanym z ptasich piór i odleciała na południe, do zamku omywanego przez fale morza błękitnego jak niebo. Wcześniej jednak wzięła ręce pasterza w swoje dłonie, jej palce były miękkie jak płatki róży, i wypowiedziała trzy tajemne słowa, i dmuchnęła mu je w usta, aby na zawsze pozostały przy nim i jego dzieciach, póki po obu stronach góry żył będzie ktoś jego krwi. A słowa były obietnicą. Obietnicą, że wypełni jego życzenie - ponieważ posłuchał piosenki i zszedł w głąb góry, i uwolnił ją od smoka. Jedno, jedyne życzenie w całym jego życiu, lecz wypełnione, co do joty. Jedno, jedyne życzenie, które śpiewa w twojej krwi i które pozostanie przy tobie aż do śmierci...

- Tak, kobieto! - tuż nad ich głowami rozległ się szorstki głos Trifone i oboje podskoczyli z przestachu. - Opowiedz mu, jak twój pradziad zabił smoka i jak uwolnił księżniczkę spod jego mocy. A nie zapomnij i o tym powiedzieć, jak mu zapłacono!

Siekiera uderzyła znienacka i Graziano otworzył usta do krzyku. Wydało mu się, że ostrze jest wymierzone prosto w skroń matki. Jednak skręciło, jednym cięciem odłupując konar najbliższego dębczaka. Trifone ociosał go z pomniejszych gałęzek, bardziej ze złości niż z potrzeby, a potem rzucił na stertę bierwion. Matka siedziała z nisko pochyloną głową, jej palce, ciasno splecione na podołku, były jak węzeł korzeni.

- Chodźmy, kobieto - powiedział Trifone. - Mały jest zmęczony, a i tobie przyda się lepsze posłanie niż garść zbutwiałych liści.

Potem posadził sobie Graziana na ramieniu, na drugie zarzucił siekierę. Jego koszula przesiąkała potem, wilgocią lasu i zapachem dębowej kory, więc wszystko było znów jak należy, zwyczajne i oczywiste. Zanim doszli do wioski, Graziano usnął. W dwa dni później zaczęła się pora strzyżenia owiec, a kiedy dobiegła końca, ojciec zabrał Graziana na wspaniały, wielki jarmark. Przez całą niedzielę chłopiec siedział na wozie pełnym piast, szprych i kół, a wieśniacy z pięciu wiosek podchodzili i każdy chwalił sztukę Trifone kołodzieja. Pod wieczór mieli tyle miedzianych groszy, że wystarczyło na piękny pęk rzemieni, pudełko gwoździ i nową chustę dla Arianny. Ale żaden z nich nie wspomniał ni słowem o smoku z góry lub życzeniu.

Graziano jednak nie zapomniał ani tej, ani innych opowieści. Choćby najnowszej o wiośnie pomoru, który nie zatrzymał się na skraju Bosco Nero, jak czynili dotąd najeźdźcy, grasanci i poborcy podatków. Nie, pomór zagłębił się śmiało w mrok puszczy, przemknął na kupieckim wozie pomiędzy ociężałymi gałęziami jodły i przy wesołym dźwięku pasterskiej piszczałki pokonał rwące górskie potoki. Spadł znienacka na pięć wiosek, przyczajonych po obu stronach góry, która przed wiekiem należała do smoka o złotych łuskach. I nic nie można było zrobić. I nic nie miało być już takie jak przedtem.

W każdą niedzielę matka prowadziła Graziana w cień kościelnej apsydy, ku czterem drobnym pagórkom porośniętym trawą i zieleń. Jego siostry - Elisena, Orietta, Clarabella i Berenice - umarły jednego popołudnia podczas owej chłodnej wiosny, kiedy czerwona śmierć grasowała na obu stokach góry. Stali przy nich chwilę, nasłuchując letniego brzęczenia pszczół albo zimowego krakania wron. I odchodzili bez słowa, skłaniając jedynie nieznacznie głowy

przed portykiem świątyni, bo proboszcz umarł rychło po siostrach Graziana i nikt nie pojawił się na jego miejsce, aby rozkołysać kościelny dzwon.

Tylko Graziano zastanawiał się czasem, jakie też one były, te cztery siostry, których nigdy nie poznał, ponieważ urodził się rok prawie po tym, jak pogrzebano je na starym wiejskim cmentarzyku. A kiedy podrósł, pytał sam siebie, czy i one puszczały korowe łódki na strumyku i biegały po trawiastych pagórkach za stadkiem gęsi. Ciekawe, jak by to mogło być, gdyby czerwona śmierć nie uprowadziła ich w tanecznym korowodzie daleko poza krawędź Bosco Nero. Jednak przenikliwa melodia pomoru wywiodła wszystkie dzieci z wioski na zboczu smocznej góry. Co do jednego. Jak szczurołap z baśni. Ale tego samego roku, nim jeszcze spadł pierwszy śnieg, urodził się Graziano.

Dziecko pomoru. Wiedział, że tak wołają go za plecami. Pamiętał, jak zeszłej wiosny ciotka Isotta, która mieszkała tuż za warsztatem Trifone, rzuciła się u studni na Ariannę. Pamiętał kredową twarz matki, strużkę krwi spływającą powoli po jej policzku, gdzie ugodził kamień. I krzyki ciotki Isotty, która, zanim inne kobiety odciągnęły ją precz, nazwała go odmieńcem i bękartem demona. Nie rozmyślał nad tym nadmiernie. Wciąż zakradał się do sadu ciotki Isotty, ale nie przyjmował już od niej drobnych poczęstunków - suszonych jabłek, leszczynowych orzechów i podpłomyków posmarowanych leśnym miodem. Ona też przestała go zapraszać pod okna chaty o ścianach oplecionych powojem, bluszczem i dziką różą. Czasami wychodziła na wioskowy plac w przyszarżałych wdowich sukniach, skurczona i drobna, mamrocząc pod nosem gniewne, niezrozumiałe słowa. Wydawała się coraz bardziej szalona i coraz bardziej podobna do Mirtilli, zaklinaczki, która żyła samotnie na szczycie góry, w grocie niegdyś należącej do smoka.

Kiedy Graziano skończył dziesięć lat, uznał, że jest wystarczająco dorosły, aby obejrzeć miejsce, gdzie jego pradziad spotkał księżniczkę o włosach jasnych jak słońce i walczył ze smokiem, który był cały złoty. Smoka nie znalazł. Za to Mirtilla tkwiła pod zeschniętym pniem sosny ze stopami opartymi na grzbiecie łaciatej świni, która, jak powiadano, była w istocie leśnym demonem, uwięzionym przez zielarkę pod postacią zwierzęcia. Starucha rozgarniała kijem kopiec na wpół zbutwiałych liści, które tliły się, dymiąc obficie, więc przez chwilę wierzył, że zdoła uciec niezauważony. Nie zdążył, Mirtilla podniosła głowę, a jej oczy były ciemne i wypełnione dymem.

- Uciekaj stąd, dziecko pomoru! - zawołała nieoczekiwanie jasnym głosem. - Idź precz, dziecko smoka, tutaj nie znajdziesz swego życzenia! Ani niczego innego!

Zbiegł stromą ścieżką, oniemiały ze strachu i z krwią dudniącą głucho w gardle, słysząc za plecami gromki śmiech Mirtilli i radosne pokwikiwanie świni. Ale może tylko mu się wydawało.

Zapadł zmierzch, gdy wreszcie odnalazł znajomą ścieżkę, i późna noc, zanim wyszedł z lasu na otwarte pole, daleko od wioski. Powietrze było chłodne, przesycone dymną wonią chwastów palonych na rżysku i rzepy pieczonej w popiele. Szedł wąską miedzą okoloną krzewami czarnego bzu i malinowymi pnączami, a zeschnięte badyle czepiały się nogawek jego spodni. Jęzory lasu wciskały się tu głęboko w wykarczowaną przestrzeń i miedza ginęła pomiędzy zagajnikami olchy, brzozy i leszczyny. Wiotkie, młode gałązki smagały jego ramiona, a smugi pajęczyny osiadały na włosach i policzkach. Graziano nie widział ich. Nie widział też lisa, który znieacka wypadł na ścieżkę i uciekł w popłochu, zamiatając kurz rdzawym płomieniem kity, ani sów pohukujących ku niemu trwożliwie znad skraju lasu. W uszach miał jedynie słowa Mirtilli, jej ostry, wysoki krzyk, w którym nie było strachu ni zaproszenia. Ani żadnej innej z rzeczy, które nauczył się rozpoznawać w głosach sąsiadek, kiedy gwarzyły z nim przy studni. Był dzieckiem urodzonym w roku czerwonej śmierci i bardzo dobrze znał głosy kobiet, u których w komorach puste kołyski zasnuwały się warstwą pyłu i gorczy.

W głosie Mirtilli nie było nic prócz szyderstwa.

Dziecko pomoru. Dziecko smoka.

Nie spostrzegł, że w zagajniku uczyniło się bardzo cicho. Dopiero, gdy ścieżka skręciła skrajem piaszczystego żlebu i wywiodła go znów na pustą przestrzeń, przystanął gwałtownie. Nie rozpoznawał tego miejsca. Za plecami miał ciemny obrys puszczy, która zdawała się odsuwać od dróżki i cofać niepewnie. Owionął go przemożny zapach piołunu, dzikiego czosnku i jeszcze czegoś, czego nie umiał nazwać. Nieznana ścieżka sprowadziła go w dół, w głąb kotlinki.

Przedarł się przez zbity gąszcz głogów, czarnego bzu i dzikiej róży. Krzaki zeschniętych malin i jeżyn, tworzące wewnętrzny krąg na dnie niecki, łamały się z chrzęstem pod jego trzewiakami. A potem bardzo wyraźnie zobaczył niewielki, niemal niewidoczny pagórek poza łanem trawy, której źdźbła odchylały się na zewnątrz jak w jednym z owych zbożowych kręgów, gdzie tańczą demony. Nic więcej. Tylko pagórek u zbiegu dwóch ścieżek, które w księżycowym świetle białą odkrytą łąką piasku niczym miękkie podbrzusze smoka.

Piołun i badyle dziewanny pokrytej brunatną łuską przekwitłych kwiatów falowały lekko na szczycie pagórka, lecz powietrze było ciche i nieruchome, jakby nawet wichur nie ośmielił się zapuszczać tak daleko. Graziano zrozumiał, że jest sam, że nikt oprócz niego - człowiek, czyżyk, wiewiórka lub polna mysz - nie przekroczy kręgu róż, malin i trawy. Wiedział, dlaczego. To było jego własne miejsce. Nie jaskinia na szczycie góry ani uroczyska pośrodku Bosco Nero, tylko ten skromny pagórek w potrójnym kręgu głogów, malin i trawy. Gdzie uśpione pod warstwą piasku i liśćmi piołunu spało jego życzenie.

Kiedy przykucnął i dotknął ziemi, usłyszał je wyraźnie w martwej ciszy. Jego życzenie, wrośnięte korzeniami w serce smoka, którego zabito i pogrzebano na rozstajnych drogach. Śpiewało do niego nawet wtedy, gdy jak we śnie, jak w malignie odszedł stamtąd precz i minął sąsiedzkie chaty, płot, furtkę i drzwi domu Trifone, kołodzieja.

Jego własne życzenie utkane z matczynej opowieści i czarów.

Odtąd wymykał się w smoczą dolinkę. Nie nazbyt często, bo orzechowe oczy matki zdawały się śledzić każdy jego krok, czujne i niestrudzone jak oczy smoka. Graziano nie był skryty, lecz coś podpowiadało mu, że tę jedną spośród wszystkich tajemnic powinien zataić. Nie wiedział, dlaczego. Może z powodu życzenia, a może z powodu czerwonej śmierci, która wymiotła wszystkie dzieci z wioski na zboczu smoczey góry. Jednak, kiedy księżyc wisiał nisko nad polami, ciężki i ogromny, Graziano przekradał się na skraj wioski. Zdarzało się, że nie potrafił odnaleźć ścieżki, zupełnie jakby droczyła się z nim i uciekała spod stóp - wówczas kluczył całą noc po obrzeżu lasu, zły i rozgoryczony. Naprawdę nigdy nie umiał zgadnąć, gdzie ją odnajdzie, czy tuż za opłotkami wioski, czy na jednej z polan, głęboko we wnętrzu Bosco Nero. Zazwyczaj szedł na oślep ku ciemnemu zarysowi smoczey góry. To ścieżka odnajdowała go prędzej czy później.

A potem siedział przy krawędzi pagórka, w nieprzeniknionej ciszy nasłuchując podziemnego szeptu. Nie, nie próbował wypowiedzieć życzenia. Nie zastanawiał się nawet, czym jest i czy kiedykolwiek zapragnie ukształtować je w słowa. Dość, że życzenie należało do niego i czekało ukryte tuż obok smoczey serca. Nie było w tym jego zasługi, rozumiał to bardzo dobrze, ale dopiero w kotlinie osłoniętej potrójnym kręgiem bzów, malin i trawy stawał się naprawdę szczęśliwy. Cisza otulała go, przezroczysta jak welon i pełna obietnic. Miesiąc po miesiącu, rok po roku. Nic się nie zmieniało, ani drżenie srebrnych listków piołunu nad smoczym

sercem, ani jesienna czerwień malin w tym dziwnym miejscu na skraju Bosco Nero. I wydawało mu się, że już zawsze będzie tak samo.

Nie było.

Miał niemal czternaście lat, jedynie najwyższe z pędów malin sięgały wyżej jego głowy. Stosowny wiek, aby powędrować ze stadem owiec w dół zboczem góry, a potem jeszcze dalej traktem przez Bosco Nero, ku jarmarkom w nadmorskich miastach. Każdy z wieśniaków wyruszał, choć raz w życiu na podobną wyprawę, zanim się ożenił i osiadł na dobre w jednej z pięciu wiosek. Trifone opowiadał synowi o napadzie zbójców pośrodku nieprzebytej puszczy, o miastach, które unoszą się na nadmorskich skałach jak olbrzymie białe chmury, o kościołach, w których sklepieniu osadzono srebrne gwiazdy i słońce ze szczerego złota. A także o władcy, który rządził całym tym obcym światem z pałacu większego niż targowe miasteczko u podnóża góry i otoczonego kręgiem ogrodów, gdzie za wysokim murem posadzono setki różanych krzewów i gdzie złotowłose księżniczki przeglądały się w sadzawkach z bladoróżowego marmuru.

Władca miał czarną, kręconą brodę i wielki miecz uniesiony nad głową; takim w każdym razie odlano go w posągu stojącym na placu przed najświetniejszą ze świątyń. Powiadano, że kiedyś był po prostu jednym z najemnych żołnierzy, którzy przesiadywali w nadmorskich tawernach. Nie najemnikiem, jak prostował gniewnie Trifone, ale *il condottiere*. I nie ma w tym żadnej hańby, wywodził synowi, choć pół miasta spłonęło, gdy jego żołnierze wdarli się wreszcie przez bramy. Graziano nie sądził jednak, aby naprawdę było to możliwe: w baśniach zdarzało się wprawdzie, że syn wieśniaka zdobywał rękę księżniczki, lecz żaden z nich nie spalił miasta, o którym powiadano, że jest wieczne jak góry.

Nie miał jednak tego wszystkiego zobaczyć - ani miasta, ani morza błękitnego jak niebo, ani spiżowego pomnika władcy. Żaden z pasterzy nie chciał towarzystwa dziecka pomoru w wędrówce na południe. Nie, nie odmawiali wprost, kiedy Graziano zachodził do ich letnich szałasów wysoko na górskich łąkach. Żuli żdźbła trawy, mruzcili niezrozumiałe obietnice, lecz ani jeden nie zawitał o zmierzchu do chaty Trifone kołodzieja, aby zabrać jego syna na wielką, jesienną wyprawę.

Kobiety przy studni były bardziej rozmowne, choć i one szybko milkły, gdy Arianna nadchodziła z dwoma glinianymi dzbanami.

I to od nich dowiedział się, że w żadnej z pięciu wiosek na zboczach smoczej góry nie ma pasterza, który bezpiecznie ułoży się do snu obok Graziana, dziecka czerwonej śmierci. Nie sprowadzą go w dół traktem poprzez Bosco Nero. Nie zaproszą pod własny dach, gdzie jego uroczone spojrzenie może paść na jedną z ich córek, choćby najbardziej kostropatą czy chronią, i nie podziela z nim chleba ni soli. Nigdy. Jak długo słońce będzie obracać się wokół smoczej góry. Ponieważ same narodziny Graziana były bluźnierstwem, a jego dotyk kała powierzchnię ziemi. Dlatego właśnie nie pozwolą mu odejść. Ponieważ Bosco Nero jest wystarczającą zaporą, aby ukryć plugastwo i uwięzić je z dala od ludzkich gościńców i miast z białego kamienia, póki nie szczeźnie i nie zniknie bez śladu.

Miał niemal czternaście lat, a nie jest to wiek, w którym chłopcy wybuchają płaczem i uciekają przed gromadą starych kobiet w czarnych chustach. Jednak właśnie tak zrobił, nie zważając na krzyk gęsi, które rozpierzchły się z łopotem białych skrzydeł. Biegł miedzą, żółte wyschnięte trawy zdawały się chwytać go za kostki i polne kamienie wyślizgiwały się spod stóp. Aż wreszcie poprzez łyzy, które uparcie płynęły po policzkach, spostrzegł, że jest na ścieżce. Na ścieżce prowadzącej do jego własnego miejsca, poza potrójny krąg bzów, malin i trawy, gdzie obok serca martwego smoka spało jego życzenie.

Nigdy wcześniej droga nie wydała mu się równie krótka. Nigdy wcześniej nie zdołał tak prędko odnaleźć ścieżki. Nigdy wcześniej nie widział jej za dnia. Po prostu tam była, pod nawisem leśnej trawy czy w kępie wybujałej paproci. Czekająca.

Nie zdziwił się nawet - ostatecznie to była jego ścieżka.

Ścieżka ku jego własnemu życzeniu.

Lato dobiegało kresu i krzewy malin ugiwały się ciężko od owoców czerwonych jak krew i równie słodkich. Graziano rozgarnął je niecierpliwie i przypadł do pagórka na rozstaju dróg. Jeśli cisza stała się jeszcze głębsza, nie usłyszał tego. W martwym, ciężkim powietrzu wyczuwał jedynie niecierpliwość swego życzenia, które nazbyt długo spoczywało pomiędzy korzeniami piołunu i dziewanny. Przenikliwa, wibrująca obietnica sprawiła, że wyrzucił w górę ramiona i wykrzyczał je. Swoje własne życzenie. Później cisza zacisnęła się, wypełniając uszy Graziana niczym gęsta, ciemna woda i unosząc echo jego słów w głąb ziemi.

Nie pamiętał później, co właściwie wołał, stojąc na skraju pagórka, w którym pogrzebano serce smoka. Wiedział, że była w tych słowach ciekawość białego miasta nad brzegiem morza, a także opowieść o władcy, który siedział na spizowym rumaku z nagim mieczem w dłoni, i zło-

towłosa księżniczka z opowieści matki. Być może jeszcze wiele innych rzeczy. Po prostu nie umiał sobie przypomnieć.

Ocknął się z gardłem obolałym od krzyku i oczyma pełnymi wirującej czerni, jakby zbyt długo spoglądał w słońce. Podmuch wichru zaszumił zeschniętymi liśćmi malin, przygiął krzewy czarnego bzu i dzikiej róży tak nisko, że wydawały się kłonić przed Grazianem niczym łan zboża. Wysoko na niebie krzyknęła pustułka, a zaraz później rozległ się jeszcze jeden krzyk. Przerażliwy krzyk mordowanej kobiety.

Najemników było niewielu. Tuzin, może mniej. Dosyc.

Kiedy Graziano wpadł na podwórze, Trifone rozłupywał głowę jednego z grasantów z tą samą dokładnością, z jaką przycinał dębowe pniaki. Jednak od strony komórki nadbiegało dwóch innych, a koszula ojca była czerwona od krwi. Po sadyzie niosło się zawođenje ciotki Isotty. Graziano dostrzegł ją kątem oka, drobną i przykurczoną w ciężkich wdowich szatach, jak wczepia się w rudobrodego mężczyznę, a jej palce, zakrzywione i podobne do szponów pustułki, sięgają ku jego oczom. Mężczyzna odepchnął ją bez wysiłku i Grazianowi wydało się, że słyszy jego śmiech, a później jeszcze jedno słowo, wypowiedziane bardziej z rozbawieniem niż gniewem:

- Suka! - Długi jak przedramię sztylet zanurzył się we wdowich sukniach ciotki Isotty.

Graziano miał wrażenie, że ogląda ich z ogromnej odległości, jak gdyby jakaś część jego przepadła bezpowrotnie w kopczyku, w którym zakopano serce smoka. Mógł jedynie patrzeć. Dźwięki omywały go, niepojęte i przyćmione, a potem znikwały bez śladu. Niczym kamień wrzucony w przepastną, ciemną wodę.

Siekiera Trifone znów opadła i zagłębiła się w ramię wysokiego najemnika w skórzanym kaftanie. Ojciec potrząsnął głową z potwornym znużeniem i kiedy tak stał na progu swojego domu nad ciałami czterech martwych najemników, wydał się Grazianowi podobny jednemu z owych gigantów, którzy dawnymi czasy wędrowali po górskich szczytach i wygrażali pogańskim bogom. Jednak wrażenie zaraz zniknęło bez śladu. Trifone rozpaczliwie szarpnął siekierą, lecz ostrze trzymało mocno, zaklinowane między kośćmi. A chłopiec jedynie stał i patrzył.

- Graziano - rozległo się tuż za nim.

Tak cicho, że prawie jej nie usłyszał. Że prawie się do niej nie odwrócił. Jednak była tylko jedna osoba, która potrafiła wypowiadać jego imię w ten sposób - jak modlitwę, jak sumę wszystkich pragnień i wszystkich smutków.

Jego matka.

Dziwne, ale dopiero w tej chwili dostrzegł, jak bardzo zmaląła i wyblakła przez ostatnie lata. Tylko oczy w pomarszczonej, zapadłej twarzy wciąż były barwy orzechów. Rozchyliła usta, lecz zanim wypowiedziała to słowo, wyczytał je z ruchu jej warg.

- Życzenie?

Nie zdążył odpowiedzieć. Ostrze miecza napastnika rozbłysło nad głową matki i zatoczyło krótki, oszczędny łuk - elegancja tego ruchu uderzyła Graziana prosto w serce. Kropelki krwi opadły na jego koszulę z niebielonego płótna jak garść malin i bańka ciszy pękła wreszcie w jego uszach, zastąpiona przez coś, czego nie rozumiał.

Później jego ludzie nazwali to tętnem smoka, szaleńczą smoczą furią, która ogarniała go podczas bitwy.

Tym razem jednak było zbyt późno. Zbyt późno, aby ocalić którekolwiek z bliskich, ponieważ Trifone powoli osunął się i przykląkł na jedno kolano, ze zdumieniem spoglądając na syna. I to była ostatnia rzecz, którą Graziano zapamiętał z tamtej walki.

Kiedy skończył, w ręku wciąż miał miecz podniesiony spod płotu. I kiedy szedł przez wioskę, w której ani jeden z najemników nie pozostał żywy, wieśniacy pospiesznie kryli się na swoich podwórzach i zatraskiwali drewniane okiennice. Nie widział ich. Nie widział też ścieżki, choć tego samego ranka doprowadziła go do wzgóрка na rozstajnych drogach z łątwością, która była zdradą. Teraz jednak nie potrzebował już ścieżki, życzenie, bowiem wiodło go na przełaj, poprzez pole pokryte ostrym ścierniskiem i kolczaste zarośla miedz. Aż do trzech kręgów, które strzegły serca smoka.

Pojedynczym zamachem ściął piołun i wysokie słupy dziewanny, potem zagłębił ostrze w ziemi. Wydało mu się, że malinowe chaszczki zaszumiły groźnie, a pagórek zadrżał niczym ranne zwierzę i spróbował wysunąć się spod jego stóp. Ale smok był martwy i nie mógł go powstrzymać. Nawet wtedy, gdy żelazne ostrze złamało się na kamieniu. Graziano opadł na kolana nad smoczą mogiłą, tnąc ziemię wyszczerbionym brzeszczotem i drąc ją pazurami, aż wreszcie zobaczył kości.

Pod pagórkami nie było smoka. Nawet najmniejszej łuski mieniącej się złotem.

Nie mogła być od niego wiele starsza. Drobna dziewczyna, której twarz stała się nagą czaszką. Dłonie miała ciasno splecione na piersi i zaciśnięte wokół rękojeści miecza. Leżała na boku, skulona, z podciągniętymi nogami jak uśpione dziecko. Przez jedną króciutką chwilę

Graziano miał wrażenie, że słońce wydobywa z brunatnej darni złote pasma jej włosów. Ale to jedynie złudzenie. Nie było złotych włosów, tylko węzowy splot kręgów, który otaczał ją niczym poszczerbiony, zębaty owal. I pojedynczy czerwony kamień, który połyskiwał w rękojeści miecza. Rękojeść miała kształt smoczej głowy.

- Nawet teraz nie rozumiesz - rzekła Mirtilla.

Zaklinaczka stała nad dołem z naręczem chrustu na plecach, wsparta na grubym kiju. Graziano poderwał się, a smoczy miecz jakimś sposobem znalazł się w jego dłoni, lekki i idealnie wyważony.

- Możesz mnie zabić - śpiewnie powiedziała zaklinaczka. - Och, wiem, że możesz. Możesz wiele rzeczy, dziecko smoka, jednak słowa zostały wypowiedziane i nie zdołasz powstrzymać swojego życzenia. I nie rozumiesz. Nawet teraz.

- Ale ty mi powiesz - odezwał się chrapliwie i poruszył mieczem tak, aby słońce zapaliło czerwone iskry w głębi klejnotu.

- Powiem czy zmilczę... - Mirtilla wzruszyła ramionami. - Jakież znaczenie ma to teraz? Wypowiedziałeś życzenie, synu Arianny, która uczyniła tak samo piętnaście lat temu, sprowadzając na nas czerwoną śmierć i rozpacz. Zawsze tak robimy. Na koniec ulegamy smokowi. I tracimy. Tracimy wszystko, co kochamy, ponieważ smocze życzenie jest zawsze samolubne i nieskłonne do miłosierdzia.

- Opowiedz mi o smoku! - zażądał niecierpliwie.

Wargi Mirtilli wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu.

- To było dawno, dawno temu. W samym sercu góry mieszkał smok o złotych łuskach. I była także księżniczka o włosach złotych jak słońce. A czasami księżniczka zmieniała się w złocistego smoka i frunęła w dół góry, ku pięciu wioskom, które należały do niej i które ogarniała smoczą żrenicą. - Mirtilla roześmiała się, widząc jego przerażenie. - Właśnie tak! Smok uwięziony pod postacią dziewczyny, ponieważ ona była okrutniejsza od smoka i bardziej jeszcze szalona. Wieśniacy obawiali się jej mocniej niż śmierci, mocniej niż samego Przedwiecznego na nieboskłonie, bo była bliższa i bardziej bezduszna. I piękniejsza. Głos dziewczyny przypominał srebrne dzwoneczki, oczy zaś mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Kiedy więc wreszcie wieśniacy postanowili ją zabić i kiedy zranili ją w podziemnych grotach, zdołała im się wymknąć pod postacią smoka i wypełznąć na jasne słońce. Była jednak zbyt słaba, by ulecieć na

niebo. Zbyt słaba, by wybuchnąć płomieniem i ukarać ich za zdradę. Mogła jedynie odmienić się w dziewczynę, w dziewczynę o włosach złotych jak ogień. Co uczyniła.

- Nie wierzę ci.

- Niepotrzebna mi twoja wiara! - Mirtilla prychnęła. - Niczego od ciebie nie potrzebuję, a poza tym już wypowiedziałeś życzenie i nie możesz mnie odesłać pustą groźbą.

- Ale mogę cię zabić mieczem - zauważył sucho. - Tak samo jak mój pradziad zabił smoka.

- Twój pradziad nie dotknął go nawet! - Zielarka zaśmiała się. - Tak, głos księżniczki odnalazł pasterza pomiędzy stadem owiec, był, bowiem zbyt tchórzliwy, by dołączyć do tych, którzy poszli w głąb góry na poszukiwanie smoka. Jej śpiew oplótł go cienką, srebrną nicią i doprowadził po zbocz góry aż do miejsca, gdzie leżała z pasmami złotych włosów rozrzuconymi na szarej skale. Nawet wtedy pozostała piękna, piękniejsza od wszystkiego, co widział w swym krótkim życiu. Jej suknia była sztywna od krwi i życie uchodziło z niej z każdym oddechem. Wciąż jednak mogła ocaleć. Potrzebowała jedynie świeżej krwi z jego owiec; krwi, wody i mięsa, aby smok w niej mógł nabrać sił i odlecieć. Więc podarowała mu miecz uczyniony ze smoczego metalu i obiecała spełnić jego życzenie. Jedno jedyne życzenie, czymkolwiek się okaże. Tchnęła mu w twarz trzy magiczne słowa, które były obietnicą i smoczą magią, a magia smoka jest potężniejsza od wszystkich innych. On zaś przysiągł, że jej nie opuści i że przeprowadzi owce, cały kierdel, jeśli to może ją uzdrowić.

Graziano zacisnął zęby - teraz potrafił już odgadnąć koniec opowieści. Jednak Mirtilla nie zamierzała przerwać.

- Pobiegł zboczem w dół góry, jakby sama śmierć następowała mu na pięty.

- I pozostawił ją, by umarła - powiedział gniewnie Graziano. - Czy tak, więdźmo?

- Nie! - Mirtilla roześmiała się. - Nie, dziecko pomoru. Powrócił. Powrócił do niej, kiedy słońce kryło się za zboczem góry, czerwone i ciężkie od smoczey krwi. Powrócił z gromadą wieśniaków uzbrojonych w siekiery, noże i kije. Nie mogła się obronić - była tylko drobną dziewczyną o włosach złotych jak słońce i nie zdołała przywołać smoka. Nie potrafiła się odmienić, więc zabili ją na szczycie góry, a potem pogrzebali na rozstajnych drogach, w tajemnym miejscu. A pasterz wraz z nią pochował miecz, gdyż nie chciał, aby którykolwiek z ziomków wiedział o podarunku. Nie umiał jednak zapomnieć o życzeniu.

- Ponieważ życzenie było prawdziwe.

- Smok nie zna kłamstwa. - Mirtilla zmrużyła oczy. - Nie na ludzki sposób. Smok jedynie rozumie tajemnice ludzkich serc, a jego obietnice są niebezpieczniejsze niż ostrze miecza i bardziej śmiertelne. Dlatego pasterz nie zapomniał o życzeniu. O swoim własnym życzeniu, które śpiewało mu w krwi, póki wreszcie nie wypowiedział go nad mogiłą smoka. Tak samo jak uczyniła twoja matka. Jak czyni każde z nas.

- Czego pragnęła moja matka? - zapytał, choć zawczasu znał odpowiedź.

- Syna - Mirtilla odpowiedziała bez chwili zwłoki. - Pragnęła mieć syna, który będzie miał oczy niebieskie jak niebo i ramiona silne jak Trifone. Ponieważ kochała męża całym sercem, a żadna córka nie może wypełnić pustki w sercu mężczyzny. Tak jej się wydawało. Poszła, więc na rozstajne drogi, gdzie pochowano smoka, i wypowiedziała życzenie, przywołując czerwoną śmierć i rozpacz. Smok dotrzymuje słowa, lecz nie jest miłosierny.

- Skąd wiesz, stara wiedźmo? Skąd tyle wiesz o smokach, życzeniach i mojej matce?

Miecz w jego dłoni zdawał się wibrować, kamień osadzony w jelcu błyszczał niczym kropla krwi.

- Ponieważ - zawahała się i pierwszy raz zobaczył w jej twarzy jeszcze coś, oprócz szyderstwa - była kiedyś dziewczyna, która miała orzechowe oczy jak Arianna i krok tak lekki, że żdźbła trawy nie ugięły się pod jej stopami. Tańczyła pomiędzy trzema kręgami bzów, malin i trawy, wokół mogiły, gdzie jej ojciec pogrzebał dziewczynę, która była smokiem uwięzionym w ciele kobiety, a smocze życzenie szeptało do niej spod darni i korzeni piołunu. Tak długo, aż wreszcie wypowiedziała. Bo tylko w tamtym miejscu, ukrytym poza potrójnym kręgiem bzów, malin i trawy, była naprawdę wolna. Nie należała do nikogo. Ani do ojca, który nie-mieszanym winem rozcieńczał pamięć o złotowłosej księżniczce i o tym, jak pęcherzyki krwi rozkwitały jej na wargach, kiedy zaczęły na nią spadać chłopskie pałki i kije. Ani do matki, która myślała jedynie o tym, by córkę wyprawić z domu. Ani do Mattea, bednarza, który był od niej po dwakroć starszy, lecz wystarczająco zasobny, by poślubić najpiękniejszą dziewczynę z wioski. Wypowiedziała, więc życzenie - aby mogła pozostać tu na zawsze! -Mirtilla zaniósła się posępnym chrapliwym śmiechem. - A smok ją wysłuchał. Co do joty.

- Kim ty jesteś? - zapytał ze strachem Graziano. - Czy jesteś moją babką?

- Nie. - Mirtilla uniosła nieznacznie brwi. - Twoja babka była silną kobietą i nigdy nie uległa smokowi, lecz na końcu i ją zdołał osiągnąć. Poprzez Ariannę, która tak bardzo pragnęła syna, że sprowadziła pomór i utraciła wszystko, co kochała. Matkę, cztery córki, a także męża,

bo Trifone znając opowieść o smoczym sercu i o życzeniu, nie potrafił jej później kochać. Utra ciła wszystkich, oprócz swej szalonej ciotki, która również kiedyś wypowiedziała życzenie i która pozostanie tutaj na zawsze.

- Na zawsze? - powtórzył bezmyślnie. - Na zawsze?

- Smok nie pozwala mi umrzeć - wyjaśniła sucho. - Spętałam się własnym życzeniem, i prędzej góry się rozsypią w pył i rzeki wyschną, niżli smok zwróci mi wolność. Zna moją krew, krew człowieka, który zdradził go dotkliwiej niż wszyscy inni, a smok nie wybacza. Toteż będę tu na zawsze, strażniczka smoka i jego niewolnica. Tak długo, póki sama nie odbiorę sobie życia. Ale tego nie uczynię - uśmiechnęła się wąskimi, bladymi wargami -ponieważ wówczas smok wygrałby na dobre.

- Nigdy więcej nie będzie smoka! - wykrzyknął Graziano, a potem uniósł miecz i uderzył prosto w czaszkę dziewczyny, która była smokiem.

Kość pękła z chrzęstem i rozsypała się na drobne, białe drzazgi. A palce Graziana pasowały do rękojeści miecza, jakby przez całe życie układały się właśnie do tego kształtu, więc uderzył jeszcze raz. Siekł i rąbał kości dziewczyny, która była smokiem, potem zaś to, co zdawało się zarysem jej prawdziwej postaci - brunatne, na wpół spróchniałe kręgi i długie, wąskie kości skrzydeł. Mirtilla nie przerywała mu. Dopiero, gdy znieruchomiał, zadyszany, spytała cicho:

- Czy sądzisz, że to wystarczy? Że zdołasz ją powstrzymać? Miecz drgnął w jego palcach i poderwał się gwałtownie. Ostrze wibrowało nagłaco, niecierpliwie. Wydało mu się, że zna powód -brzeszczot rozpoznał smoka, lecz martwe kości nie mogły ugasić jego pragnienia. Graziano nie zamierzał jednak pozwolić, aby miecz zawładnął nim tak samo, jak wcześniej uczynił to smok. Nie zamierzał zabić tej kobiety.

- Tak - powiedział, opuszczając ostrze na ostatnią z białych kości. - Sądzę, że to wystarczy. Nie będzie więcej smoka.

Później odszedł, choć czuł na plecach jej wzrok i wiedział, że wciąż tam stoi, z długimi siwymi włosami, w których tkwiły drobne gałązki i suche malinowe liście, wsparta o dębowy kostur i z wiązką chrustu na plecach.

Smoczy miecz śpiewał w jego dłoni.

* * *

W trzydzieści lat później Guerrino di Bosconero, który kiedyś nosił imię Graziano, ale nie pamiętał o tym nikt, oprócz niego, stał oparty o marmurowe okno i patrzył, jak Filiberto rzuca się w niespokojnym, gorączkowym majaku. Jasne włosy chłopca były zlepione i mokre od potu, suche, rozwarte usta z wysiłkiem chwytają powietrze.

Słońce zachodziło, kładąc złote cienie na spokojnych falach portu, a jego syn umierał.

Byli sami. Odesłał doktorów. Szarpali tylko siwe brody i umykali spojrzeniem, niezdolni nazwać choroby i ukryć strachu przed władcą, który właśnie tracił jedyne syna. Odprawił też służebne, księdza, a nawet Fiorellę, która sama wydawała się dzieckiem, kiedy z dłońmi złożonymi do modlitwy klęczała u posłania ich syna, drobna i złotowłosa. Nie widział jednak jej twarzy i nie sądził, aby istotnie się modliła. W swym niespełna dwudziestojednoletnim życiu Fiorella zdążyła się już nauczyć, że Pan nie zawsze wysłuchuje modlitw.

Fiorella ukloniła się przed mężem aż do ziemi i wyszła z komnaty, a jej twarz była bardzo piękna i nieruchoma jak kamea. Jak wówczas, gdy prowadził ją główną nawą katedry, aby uczynić ją swoją małżonką, a ludzie rzucali im pod stopy białe kwiaty. Tej samej katedry, gdzie na darmo szukała schronienia po tym, jak najemnicy Guerrina zdobywali kolejne bramy miasta jej ojca. W ciemnej sukni i welonie mniszki stała przed ołtarzem świątyni, kiedy Guerrino di Bosconero szedł ku niej pomiędzy kolumnami, i martwi święci spoglądali na nią z troską na kamiennych obliczach. Potem kondotier jednym szarpnięciem zerwał z niej mnisi welon i jej włosy rozsypały się jak złota przędza. Była księżniczką, a córki pokonanych władców nie mogą się ukryć za klasztorną furtą. Nawet przed zabójcą własnego ojca. Nawet, jeśli bardzo tego pragną.

Jej oczy były jak południowe morze, błękitne i nieodgadnione. Czasami Guerrinowi wydawało się, że kiedyś umiałby sięgnąć pod ich powierzchnię. Gdyby spotkał ją wcześniej. Zanim minęło trzydzieści lat od dnia, gdy pewien chłopiec podniósł się znad pagórka, w którym pochowano serce smoka, i zszedł leśnym traktem ku nadmorskim miastom. Zanim zaciągnął się do kompanii Pasquale zwanego l'Orso, który każdej wiosny najmował się na służbę u innego księcia z białych miast Półwyspu i zdradzał go, nim nastały mrozy, aż wreszcie padł od włóczni ciśniętej przez zwyczajnego chłopca. Zanim, Guerrino poprowadził jego ludzi po zmarzniętym błocie Campo di Lupo, otwierając im drogę ku pięciu nadmorskim miastom, po jednym za każdą z wiossek, które zostawił na zboczach smoczej góry.

Powiodł ich aż do wielkiego placu, gdzie stał spiżowy pomnik władcy, który nie był człowiekiem nikczemnym ani małym, więc wyszedł Guerrinowi naprzeciw. Walczyli na brzegu marmurowej sadzawki, ale w przejrzystej wodzie nie odbijała się żadna z tych rzeczy, o których śpiewają pieśniarze. Był tylko siwobrody starzec w srebrnej zbroi i kondotier, który w pierwszym zwarciu rozplątał mu bok smoczym mieczem. Mieszczanie wiwatowali i rzucali kwiaty z okien kamiennych domów, zupełnie jak czterdzieści lat wcześniej. Później zaś Guerrino di Bosconero poszedł pod bramę katedry. Uderzył w nią mieczem, na którym nie obeschła jeszcze krew starego władcy, i wrota rozwarły się bez chwili zwłoki. Wszyscy na Półwyspie znali tę opowieść.

Dzisiaj nie wiedzieli jednak, że jedyny syn Guerrina di Bosconero właśnie umiera.

Filiberto poruszył się słabo i otworzył oczy. Jego wargi były popękane od gorączki, lecz uśmiechnął się do ojca i spróbował unieść głowę. Guerrino usiadł przy nim i niezgrabnie poprawił poduszki. Fiorella robiła to znacznie zręczniejsze, lecz w tej jednej chwili nie chciał patrzeć, jak wąskie, patrycjuszowskie nozdrza jego żony rozchylają się z odrazy, gdy ich dłonie stykają się przypadkowo nad posłaniem dziecka.

- Opowiedz mi historię - zażądał chłopiec, a jego głos niemal nikał we wrzasku mew krążących wokół wieży.

Guerrino odgarnął dziecku włosy z czoła. Usiłował sobie przypomnieć, ale żadna z opowieści bardów nie należała do tej komnaty, najwyższej z pałacowych sal. Rozkazał zanieść tu Filiberta, kiedy stało się już zupełnie jasne, że medycy nie zdołają go ocalić. Wokół nich było tylko niebo i białe smugi mew, które wirowały z ostrym krzykiem. Nie umiał uwierzyć, że to się właśnie tak kończy.

- Działo się to wszystko dawno, dawno temu - powiedział powoli. - Zanim panowie pobudowali w dolinach wieże z białego kamienia i nim wyrąbano pierwszy trakt pomiędzy uroczyskami Bosco Nero. Już wówczas było pięć wiosek na obu stokach góry, a w samym jej sercu było coś jeszcze. Smok o złotych skrzydłach i żrenicy, sięgającej w głąb ludzkiej duszy...

Wydawało mu się, że z każdym słowem oczy Filiberta stają się coraz bardziej niebieskie, a z jego policzków ustępuje gorączkowa czerwień, więc opowiadał mu o złotołuskim smoku, który mieszkał w głębi góry, daleko stąd, i o księżniczce, której włosy były złote jak ogień. Mówił tak długo, że niebo ściemniało i w morzu zaczęły się odbijać pierwsze gwiazdy. Zupełnie jakby mógł zatrzymać Filiberta przy sobie, przynajmniej dopóki nie dokończy opowieści.

Jednak właśnie tak się stało.

- Życzenie? - spytał wreszcie chłopiec. - Moje własne życzenie?

- Tylko twoje - odpowiedział Guerrino di Bosconero, który był księciem pięciu miast z białego kamienia, lecz nie potrafił powstrzymać wiosennej gorączki.

Filiberto roześmiał się pogodnym, dziecięcym śmiechem. A później je wypowiedział. Swoje własne życzenie.

Guerrino di Bosconero usłyszał jeszcze krzyki i szczęk mieczy na wysokich, kręconych schodach, które prowadziły do komnaty w wieży. I wiedział wreszcie, co było ukryte na dnie oczu Fiorelli. A ponieważ również nie był człowiekiem nikczemnym ani małym, wyciągnął miecz o rękojeści zwieńczonej głową smoka i stanął w drzwiach.

Róże dla Sirocco

Powiadają, że nie można uciec przed czarodziejem, ale Sirocco zdołała tego dokonać.

Wyszła z chaty o świcie, kiedy marmurowe kopuły Brionii ledwie jaśniały na ciemnym niebie, a pąki róż nie rozchyliły się jeszcze w ogrodzie. Poczekała, aż srebrne dzwoneczki u framugi znieruchomieją i umilkną. Później starannie zaparła drzwi, wyrównała na oknie donice z mirtem, barwinkiem, hyzopem, lawendą i ciemiernikiem, i z fletem w dłoni ruszyła ku miastu. Niewolnice, czerpiące u Porta d'Argento wodę z akweduktu, na widok Sirocco niżej pochyliły się pod ciężarem dzbanów. Kiedy przeszła pomiędzy dwoma skrzydłatymi lwami, które wyrzeźbiono w żółtym piaskowcu, aby strzegły miasta, wydało się jej, że słyszy, jak ich kamienne powieki rozwierają się z mozołem, a pazury zaczynają rwać granitowe bloki traktu.

Zakłęcie słabło i demony rychło ockną się z niewoli.

Na ulicach nie spotkała nikogo, prócz gromady wróbli trzepoczących się w gałęziach tamaryszków u sadzawki. Za to nad jej głową małe kamienne gargulce odrywały się od gzymsów i unosily, świszcząc i wirując z radości jak frygi. Podtrzymujący portyki świątyn atlanci prostowali ramiona, akroterioni przykucnięci na skrajach dachów leniwie poruszali skrzydłami, roz-

tańczone bachantki ze zdumieniem wychylały się z reliefów fryzów. Pośrodku placu, z twarzą ukrytą w dłoniach, klęczał mosiężny pastuszek, z którego dłoni jeszcze wczoraj biła miejska fontanna. Sirocco przystanąła i przez chwilę chciała płakać razem z nim. Zamiast tego przyłożyła flet do warg i zaczęła grać pawanę, powolny, żałobny lament nad miastem, które wkrótce roztopi się w promieniach słońca jak zamek ze śniegu. I nad ludźmi Brionii, którzy nie próbowali nawet uciekać przed armią, ciągnącą ku nim od strony Valle delle Lacrime, Doliny Łez, gdzie pokonano ich władcę.

A także nad sobą, ponieważ była córką maga, który panował nad tym miastem.

Nikt nie zatrzymał jej na dziedzińcu ani w westybulu i swobodnie weszła do wewnętrznych komnat księcia, do jego pracowni. Tam przestała grać i przytknęła czoło do chłodnej kamiennej framugi. Wspomnienie melodii kołysało ją jeszcze chwilę, zagłuszając głosy demonów, które krążyły ponad kopułami miasta.

Bez Alharda w pracowni było niezmiernie cicho i pusto, choć w klatkach, wolierach i na drążkach, zawieszonych wysoko pod sufitem, spały ptaki jej ojca. Wielobarwne i hałaśliwe pomiędzy zwojami map nieba, spisami zaklęć, kodeksami, retortami, alembikami i astrolabiami, przywodziły Sirocco na myśl niezliczone demony, które mag również pozamykał w klatkach z powietrza, wody, ziemi i ognia.

Giermek, który przywiózł wieść o bitwie, nie umiał powiedzieć, co naprawdę stało się z księciem. Lecz demony, przez dziewięćdziesiąt cztery lata jego rządów wplatane w kamienne wieże miasta, w kopuły świątyń, mury, akwedukty i triumfalne łuki Tratto Principesco, wyczuły śmierć Alharda di Brionia, zanim padło pierwsze słowo o rzezi w Valle delle Lacrime. Nawet Sirocco, która nie umiała odczytać żadnej z ksiąg, piętrzących się pod ścianami pracowni maga i zaścielających wielki pulpit przy wschodnim oknie, wiedziała, że najsilniejsze z demonów, sześćskrzydli serafowie, kerubowie o lwich ciałach i trony uwolnią się i odlecą wysoko poza księżyc, zanim spęta je moc nowego władcy. Inne będą unosić się tuż ponad miastem, po latach niewoli zbyt otępiełe i senne, by odnaleźć dawne ścieżki pomiędzy gwiazdami. Najstabsze zaś pozostaną, uwięzione w marmurze, metalu czy drewnie, i będą służyć nowemu panu z tą samą przyćmioną nienawiścią, z jaką wcześniej spełniały rozkazy jej ojca.

Jeśli tylko Duilio odnajdzie zaklęcia.

Właściwie niewiele wiedziała o magu, który zeszłej wiosny zszedł z gór na Pianura Leodiana z zastępem demonów potężniejszych od wszystkiego, co oglądano na Półwyspie, by pod-

bić sześć miast płaskowyżu i wywiesić ciała zwyciężonych magów na krenelażach ich własnych wież. Podobno wychował się w głębi Monti Serpillini, w klasztorze brodatych, barbarzyńskich mnichów, co na jagnięcych skórkach spisali wszystkie słowa świata i porównują je w poszukiwaniu tego, które zostało wypowiedziane na samym początku i stworzyło świat. Stamtąd właśnie miał przynieść mapy nieba, niepodobne do żadnych innych, starożytne torusy, lunety i astrolabia, a przede wszystkim - umiejętność tropienia demonów, które na Półwyspie dawno już zostały zapomniane lub zepchnięte w legendę.

Jednak wieśniacy, uprawiający pola u podnóża sześciu pokonanych miast Pianura Leodiana, wiedzieli swoje. Jego matka, powtarzali szeptem, była nierządnicą w jednym z portowych szynków. Własną krwią przywołała inkuba, aby objawił jej skarby w ziemi ukryte, lecz ten oszukał ją i, odurzony winem, zapłodnił swym nasieniem. Było to równie pewne, jak wiosenny wylew wód i letnie susze. Przecież zwyczajny śmiertelnik nie zdołałby pokonać sześciu magów Pianura Leodiana i strzaskać ich zaklęć jak garści suchych patyków.

Sirocco nie kształcono w sprawach czarodziejów i nie umiała rozstrzygnąć, co nosi większe pozory prawdy. W istocie ojca też nie znała zbyt dobrze. Alhardo di Brionia był człowiekiem srogim i oschłym, i nie wybaczył jej matce, że powiła dziewczynkę. Ponieważ niewiasty magów rzadko rodziły synów, nie zabił nałożnicy, tylko wygnał ją z pałacu. Sirocco dorastała w maleńkiej pustelni za murem miejskim, wśród róż, co pięły się po wapiennych skałkach, białych gołębi oraz koźląt o szorstkiej sierści i niepokojących pionowych źrenicach. Szczepiła winorośl, zbierała zioła pod księżycem w pełni, kiedy mają największą moc, pływała w ciepłych wodach zatoki. Wieczorami zaś grała na lutni, wioli, pasterskiej syrindze i poprzecznym flecie, który lubiła najbardziej - o zmierzchu jego głos przypominał granie świerszczy i wywabiał z głębin wielkie, połyskliwe ryby, które wyskakiwały ponad powierzchnię jak wrzeczona z żywego srebra.

Tylko do Brionii matka nigdy nie zabierała jej ze sobą, nawet w targowy dzień, kiedy z całej okolicy ściągali wieśniaczki z koszami fig, oliwek, sera i cebuli, a w przystani było gęsto od rybackich łodzi. Dlatego Sirocco długo nie poznała żadnej z nałożnic, które zastąpiły jej matkę w komnatach maga, ani nie widziała pałacu, strzeżonego przez kamiennych wartowników o twarzach jej ojca. Dopiero po śmierci matki mnich z Monastero delle Zodiaco poprowadził dziewczynkę Tratto Principesco do siedziby władcy. Kiedy szła u jego boku, boso i w sukni z szorstkiej wełny, po raz pierwszy wydało się jej, że poprzez warstwy marmuru, drewna i metalu

słyszysz przyciszoną, wibrującą skargę uwieczonych demonów. Wyjąwszy ze skórzanego woreczka flet, zaczęła wygrywać pojedyncze dźwięki i strzępy melodii, póki mnich nie wyrwał jej instrumentu i nie przykazał milczeć.

W sali posłuchań mag uniósł jej brodę.

- Jest moja - powiedział Alhardo. Miał oczy błękitne jak zatoka w letnie popołudnie. Takie same, jak Sirocco. Znamię magów. - I urodzi synów.

- Gwiazdy są tego pewne - oznajmił uroczyście staruszek w fioletowej szacie i birecie obszytym futerkiem kreta. Pałacowy astrolog, jak miała się później dowiedzieć.

- Lepiej, żeby tak było - rzekł cierpko książę i na tym zakończono posłuchanie.

Później nie wzywał jej często z pustelni przy miejskim murze. Sirocco również nie tęskniła za ojcem, choć, jak jej skrupulatnie wytłumaczono, Alhardo był jednym z najpotężniejszych magów Półwyspu i od dziewięćdziesięciu czterech lat władał z Brionii północnym wybrzeżem, aż po Passo dei Lupi na krańcu świata. Przełęcz stanowiła krawędź ludzkiego poznania. Za nią rozciągała się jedynie dzika połać Monti Serpillini, gdzie nie mieszkał nikt prócz streg i demonów, zbiegłych z pracowni magów, lecz wciąż niezdolnych wyzwolić się spod czterech elementów, z którymi je mieszano. Tam też leżało się ich potomstwo, dzikie, potworne rasy bezgłowych Ambarytów, Sciapodów o stopie tak olbrzymiej, że nakrywają się nią do snu i Cynocefalitów o głowach psów, którzy nocami zamieniają się w wilkołaki i zbiegają przez Passo dei Lupi ku ludzkim wioskom.

I stamtąd zszedł Duilio di Monti Serpillini, by ubiegłej nocy zabić ojca Sirocco.

* * *

Maleńki, rdzawy timbrador zaśpiewał krótką złamaną turę fletów i Sirocco ocknęła się z zamyślenia. Otworzyła na roścież oba okna i zaczęła odryglowywać woliery, uwalniać po kolei niepozorne lizardy, kosy, krogulce, kobuzy, zielone aleksandretty, czyżyki, gile, sójki, dzwońce, zięby, czeczotki, rajskie ptaki o złoto-zielonych lotkach, a także wiele, wiele innych, których nie umiała nawet nazwać. Na końcu sięgnęła do klatki pary białozorów, ulubieńców jej ojca. Nie miała karwaszów, więc pazury sokołów wbiły się jej głęboko w przedramiona, gdy, wciąż senne i otępiałe, wyrzucała ptaki w powietrze. Chwilę wirowały ponad wieżą, odpędzając od okien ak-

roterionów, marmurowe gargulce i harpie, a także wszelki magiczny drobiazg - mosiężne kołatki o głowach smoków, ogniste salamandry, zbiegłe z zamkowych lampionów, i eole, które jeszcze wczoraj śpiewały w sercach dzwonów. Wreszcie białożory zniknęły i tylko mały timbrador mocno wczepiał się pazurkami w palec Sirocco i nie chciał odlecieć.

Na kopułach świątyń i klasztorów kładł się różowawy blask słońca, nie pozostało jej, więc wiele czasu. W stercie ksiąg, zwojów i luźnych kart odszukała mapy nieba, wykreślone przez Alharda i słynne na całym Półwyspie. Wiedza o ekliptykach zodiaku, elipsach i pełniach księżyca, kręgach i epicyklach, a także wzory zapisane na marginesach eleganckim nerwowym pismem jej ojca, nie miały dla Sirocco żadnego znaczenia. Kobiety, szczególnie te z rodu magów, nazbyt łatwo ulegały podszeptom demonów, dlatego skrupulatnie strzeżono ich przed korupcją, płynącą z zakazanej wiedzy. Sirocco nie umiała odczytać żadnego z zaklęć. Bardzo dobrze jednak rozumiała, że spośród wszystkich skarbów Brionii, Duilio będzie pragnął jedynie atlasu nieba, tworzonego przez Alharda poprzez ostatnie stulecie i skrywającego całą jego wiedzę o sferach i orbitach niebieskich, o trajektoriach, po których wędrują demony, a także o sposobach ich przywoływania i pętania materią.

Okręciła mapy nawoskowanym płótnem i wrzuciła je do sakwy, pomiędzy kilka zeschniętych zeszłorocznych jabłek, owsiane placki, bukłak z winem matki i ulubiony flet z jaworowego drewna. Później owinęła się siwym wełnianym płaszczem i wybiegła z pałacu. Kiedy wędrowała pustymi ulicami miasta, kerubowie tańczyli nad jej głową.

Płaskorzeźby Monastero delle Zodiaco rozmyły się i spłynęły na ziemię po ucieczce demonów, pozostawiając surową fasadę z szarego granitu. Kołatki też nie było, Sirocco musiała, więc gołą dłonią zastukać w furtę. Nie otwarto jej. Pomiędzy ciężkimi żelaznymi sztabami przeziernika zobaczyła jedynie obrys szpiczastego kaptura.

- Nie dostaniesz azylu - dobiegł ją starczy głos Pietra delia Luna, przeora eremu i doradcy jej ojca. - Nic nieczystego nie ma wstępu w te mury.

- Chcę konia. Chcę najszybszego z waszych wierzchowców.

- Zamierzasz uciec przed Duiliem? - Pietro zaniósł się skrzekliwym śmiechem. - Nikt nigdy nie zdołał uciec przed czarodziejem, głupia.

- Ale mogę spróbować.

Wyjechała z Brionii na białym dzianecie i z timbradorem na ramieniu. Miasto wciąż trwało w bezruchu. Milczały dzwony świątyń i klasztorów. Chłodnego powietrza nie mąciła woń

świeżego chleba, rozgrzanej oliwy czy fasoli. Nad dachami nie unosiło się ani pasemko dymu. Za zaryglowanymi wrotami mieszczanie trwożliwie oczekiwali nadejścia Duilia i jedynie drobinki kurzu wirowały w świetle poranka nad gościńcem.

Sirocco nigdy nie wyjeżdżała dalej niż na letnie pastwiska i nie wiedziała, dokąd skierować konia. Demony nadciągały jednak od strony Valle delle Lacrime, popędziła, więc nadmorskim traktem na wschód, ku pozostałym pięciu miastom Costa dei Gabbiani.

Za jej plecami przypory świątyni Alharda zadygotały, a cegły jęły zsuwać się z żebrowania, kiedy najwspanialszy z serafów Brionii rozprostował skrzydła, dotychczas stulone w strzelisty kształt katedry. Demon wydał przenikliwy okrzyk triumfu i uleciał w górę. Sklepienie rozpekło się przed nim jak skorupka jajka.

* * *

Żadne z pięciu miast Costa dei Gabbiani nie otworzyło przed Sirocco bram i zrozumiała, że na całym Półwyspie nie znajdzie maga, chętnego udzielić schronienia córce Alharda i stoczyć walkę z Duiliem di Monti Serpillini. Powędrowała, więc dalej pasterskimi ścieżkami, które niczym nagrzone słońcem białe węże wiły się pomiędzy wapiennymi skałkami, by wreszcie zginąć bezpowrotnie w kępach piołunu, turzycy i niecierpka. Była piękną dziewczyną, smukłą i wiotką jakby leszczyna, o oczach pełnych błękitnego nieba, toteż czasami pasterze obdarowywali ją jęczmiennym plackiem lub gomółką sera. Obozowała jednak samotnie, z dala od szałasów i górskich przysiółków, aby nie wikłać tych spokojnych, gościnnych ludzi w waśnie czarodziejów. Rozumiała, że Duilio musiał już odkryć, że uciekła i prędzej czy później podąży jej śladem. A demony nie bywały litościwe, jeśli raz spuszczone je z łańcucha.

Aż pewnej letniej nocy płowe górskie wilki rozszarpały jej wierzchowca. Padał deszcz. Ukryta w gałęziach akacji, Sirocco długo słuchała krzyków konia. Rankiem powędrowała dalej. Zanim zeszła w dół, ku wybrzeżu, kolczaste zarośla poszarpały jej płaszcz, a ciernie pokaleczyły stopy. O zmierzchu na brzegu zatoki znalazła rybacką łódź, wciągniętą wysoko i zarytą pomiędzy drobne białe kamienie. Kiedy mozolnie spychała ją na wodę, usłyszała za plecami lekki szmer.

Rybak miał wytartą skórzaną opończę i ogorzałą twarz, która pod nasuniętym na twarz kapturem wydawała się niemal czarna.

- Zostawiłabym zapłatę. - Na otwartej dłoni wyciągnęła ku niemu cztery błyszczące monety.

Miesiąc wcześniej Alhardo podarował jej na urodziny sakiewkę aureusów, wartą więcej niż dwa kupieckie statki z ładunkiem wanilii, cynamonu i mirry. Sirocco wsunęła trzos pod siennek, usilnie starając się nie myśleć, co oznaczał ten dar. Alhardo nie miał zwyczaju mówić o rzeczach oczywistych - o tym, że skończyła piętnaście lat i przed jesienią znajdzie jej męża, aby urodziła dziecko o oczach błękitnych jak letnie niebo.

- To prawdziwe złoto? - W głosie rybaka nie było nic prócz ciekawości.

- Bardzo potrzebuję tej łodzi - powiedziała bezradnie, bo wszystkie bogactwa Brionii nie miały w tym miejscu żadnego znaczenia.

- Ale nie tej nocy, panienko. - Wyciągnął rękę ku grafitowej mgiełce, która wisiała tuż nad wodą w gardle zatoki. - Idzie sztorm. Zaprowadzę cię do chaty.

Sirocco usiadła na burcie łodzi i wtuliła głowę w ramiona.

- Nie mogę - wyznała wreszcie. - Jestem Sirocco di Brionia i ściągnę tu wszystkie demony Duilia.

- To jest Golfo delle Spinarello - odparł cicho rybak. - Tu nie ma demonów, księżąt ani magów. Nic tu nie ma prócz ciernika, tak nędznego, że nie posyłamy go naszemu księciu w darze. Nikt cię nie znajdzie. A jeśli wypłyniesz tej nocy, princessino, nie dobiejesz do żadnego brzegu.

- Może tak właśnie byłoby najlepiej.

- A może nie.

Czuła głód i zmęczenie, pozwoliła, więc, aby zaprowadził ją do chaty - wykrzywionej ze starości i tak niskiej, że mieściła się pod nawisem kolczastych zarośli. Rybak posadził Sirocco na jedynym zydłu. Jego żona, okutana czarną chustką i pomarszczona jak korzeń wierzby, bez słowa podsunęła dziewczynie miskę gorącej rybnej polewki.

- Pozwólcie, że dla was zagram - poprosiła Sirocco, kiedy głównie na palenisku zaczęły wygasać. - Nie mam nic więcej prócz złota.

Nie trzymała fletu w dłoniach, odkąd wyruszyła z miasta, ale teraz wyciągnęła go z sakwy i, przymknąwszy oczy, zaczęła grać. Nieświadomie, z łatwością nabytą przez wszystkie

lata, kiedy grywała w pustelni za murem Brionii, później zaś przy świątynnych bramach, miejskich studniach i podcieniach kupieckich kamienic, jeła wplatać w melodie przyciszone głosy cykad w wyschniętych trawach u progu, szuranie myszy pomiędzy skrzyniami, szum fal uderzających o białe kamienie plaży, krzyki mew i narastający łopot wichru ponad zatoką.

Muzyka zazwyczaj przynosiła jej ulgę, ale nie tej nocy. Dźwięki napływały z mrocznych kątów chaty, a potem bez ostrzeżenia stanęły jej przed oczami marmurowe kopuły Brionii, różowe od brzasku w tamten ostatni dzień, zanim miasto rozpadło się niczym dziecięca budowla z piasku. Sirocco przypomniła sobie, jak siadywała w głównej nawie świątyni, z głową opartą o chłodny marmur kolumny, i wydawało się jej, że słyszy szepty demonów. Przypomniało się jej także poranne bicie dzwonów, w których zakłęto głosy ponente, tivano i tramontany. Wielkie organy w katedrze Alharda, gdzie każda piszczałka była serafem schwytanym dla rozrywki księcia. Przyciszone pulsowanie serc skrzydlatych lwów. Szum deszczu w gardzielach gargulców, mruczenie kamiennych figurek w kapitelach i pilastrach. Nawet milczenie potężnych skalnych bloków w trzech pierścieniach murów i bastionach Brionii. Wszystko to układało się w lament nad miastem, które było całym jej światem.

Timbrador słuchał z przekrzywioną główką.

- Kazali nam cię zatrzymać, księżniczko - odezwał się rybak, kiedy odłożyła flet. Sirocco wydało się, że widzi na jego twarzy ślady łez. - Wczoraj do strażnicy na cyplu przyleciał ptak z posłaniem od księcia. Rozkazano nam zatrzymać dziewczynę, która zejdzie z gór i spróbuje przepłynąć zatokę.

- Mielicie mnie zabić?

- Nie. - Starzec potrząsnął głową. - Księżę zamierzał cię podarować. Komuś, kto przybędzie rankiem.

- Więc muszę się śpieszyć. - Sirocco ze znużeniem podniosła się z zydlu i wyszła z chaty.

* * *

Kiedy spychała łódź na wodę, na niebie świeciły Cavallo Marino, Vecchio i Unicornio. Sirocco nigdy wcześniej nie trzymała w dłoniach wiosła, choć czasami Alhardo przysyłał po nią niewolników i gondola w czarno-złoty barwach wiozła ją na jedną z wysp, do letniego pałacu

maga. Dziewczyna usiadła na dnie łodzi i niezgrabnie rozgarniała fale. Woda w zatoce była spokojna i Sirocco miała wrażenie, że płynie przez jezioro srebra. Dopiero z braskiem podniósł się wicher i zaczął żywiej popychać łódź ku otwartemu morzu. Z początku Sirocco ucieszyła się, bo dłonie miała otarte do krwi. A zaraz później timbrador rozkrzyczał się w niespokojnych dzwonekach i turkotach.

Spojrzała za siebie. Nad zatoką niebo rozjaśniło się już i poblądło, lecz w oddali, nad wysoką krawędzią skał kłębiły się granatowe, niemal czarne chmury. Bezwiednie sięgnęła ku sakwie przytroczonej do pleców. Alhardo jeden raz wypuścił przy niej demony wicherów. Poseł Ferruccio di Colle dei Colchici, siwowłosa brodaty starzec w mnisim habicie, który nigdy wcześniej nie widział morza i nie przeczuwał mocy wibrującej w kamieniach Brionii, wypowiedział kilka głupich przechwałek o potędze swego pana. Alhardo bez słowa skinął na sługę, po czym podniósł się z tronu i wyszedł na taras. Cały dwór - posłowie, doradcy, nałożnice, karty i muzykanci - podążył za nim. Kiedy sługa wrócił, Sirocco rozpoznała w jego dłoniach Sacco di Eolo, legendarny wór z kozłej skóry, w którym zamknięto najpotężniejsze demony wicherów. Alhardo pociągnął za ramię i wiatry wydostały się z więzienia w wyjąłym, splątanym kłębie mroku.

Tamtego dnia morze było spokojne i na zatoce unosiły się dziesiątki łodzi. Ociężałe kupieckie galery kołysały się w porcie, jasne żagle powracających z łowisk barkasów połyskiwały w słońcu, wzdłuż nabrzeżnych wapiennych skałek sunęły gondole zasobnych mieszczan. Alhardo po prostu wyciągnął rękę, splatając wichry w jeden potężny bicz, i smagnął nim tafle wody. Sirocco dojrzała tylko huczący ciemny słup i roztańczony wir demonów tuż ponad masztami barkasów. Nie zdążyła nawet krzyknąć. Kropelki wody padły jej na twarz, piasek sypnął w oczy.

Gdy w chwilę później mag zawiązał worek, fale były znów spokojne. I puste. Podobnie jak oczy posła Ferruccio, kiedy wreszcie zrozumiał, że można wypuścić równie potężne moce na swobodę dla zabawy. Dla gestu, olśniewającego w swej okrutnej, bezsensownej rozrzutności.

Każdego demona można wysledzić, przywołać, spętać zaklęciem i zmusić do posłuszeństwa. Po trzykroć, nigdy zaś więcej, gdyż przy czwartej próbie zwróci się przeciwko panu lub uleci ponad księżyc. Dlatego magowie zazdrośnie strzegli swych map, zaklęć oraz wylczeń - i nigdy nie uwalniali demonów dla błahostki. Wszyscy, poza Alhardem di Brionia, który tamtego letniego popołudnia pokazał, że ograniczenia są mu zupełnie obojętne.

Uwolnił je jeszcze raz. Wyprysły spomiędzy jego palców strugą srebra, fioletu, umbry i indygo, granatu, purpury, ugru i palonej sjeny. Zawirowały ponad zatoką, powaliły latarnię strzegącą wejścia do portu i kamienny most u stóp pałacowego wzgórza. A potem Alhardo przywołał je na nowo, skrępował zaklęciem i zamknął w sakwie z kozłej skóry.

Pod krawędzią kaptura oblicze posła Ferruccia było szare jak popiół.

I wtedy Alhardo zrobił jeszcze coś w ów niesamowity, niedbały sposób, który nieodmiennie przejmował Sirocco grozą. Rozwiązał worek po raz trzeci, ostatecznie uwalniając demony spod swej mocy, i zamarł, z ramionami szeroko rozrzuconymi ponad balustradą tarasu.

Triumfalna pieśń wichrów uderzyła w Sirocco głosami fłażoletów, ligawek, czuryng, rogów, szofarów, świstawek i bazun. Uwolnione wiatry uniosły się jak mroczna smuga dymu, coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie stały się jedynie ciemną plamą na słońcu i niemal przestała je słyszeć. Tyle że demony nie zwykły spokojnie odchodzić i rychło sponad kopuł Brionii rozszedł się nowy dźwięk - posępne brzmienie pomortów, których na Półwyspie dobywano jedynie w najdłuższą noc w roku, by opłakiwać odejście Najwyższego. Lecz zanim Sirocco uniosła głowę, demony runęły ku magowi.

Podmuch wichrów rzucił ją na kolumnę. Alhardo di Brionia trwał nieporuszenie w swym płaszczu koloru ultramaryny aż do ostatniej chwili, kiedy w tumanach pyłu, drobinek wody i mgły Sirocco zaczynała odróżniać kontury demonich twarzy i usta, rozwarłe, gotowe pochłonać wszystko na swej drodze. Dopiero wówczas wypowiedział kilka przyciszonych słów i tuman wichrów rozdarł się przed nim jak zetłałe płótno. Mag wyjmował z niego demony, nitkę po nitce, wiązał je na nowo i pętał zaklęciem, którego nie słyszano nigdy wcześniej. Nikt ze zgromadzonych na tarasie nie zdołałby go powtórzyć, choć przez moment nawet marmurowe trzony kolumn wibrowały tembrem głosu Alharda.

Sirocco miała nadzieję, że po śmieci maga przynajmniej niektóre z wichrów zdołały wyrwać się z Sacco di Eolo i odlecieć nad księżyc. Ale teraz rozpoznawała ponad wodami Golfo delle Spinarello piszczalki ich głosów i rysy, nakreślone sepią i sadzą na powierzchni zawiei. I pamiętała jeszcze coś. Ultramarynowy błękit płaszcza. Barwę, która na całym Półwyspie przynależała jedynie książętom-magom i której drobny strzęp jaśniał teraz ponad poszarpanym brzegiem zatoki.

Duilio di Monti Serpillini.

Jakimś sposobem wiedziała, że to właśnie on. Nikt inny. Żaden z magów-wygnańców, przyczajonych w kamiennych wieżach i na wpół zmurszałych pirackich warowniach, ani nawet miejscowy książę z zastępem pomniejszych mocy.

Tymczasem demony bryzy leniwie zataczały wokół łodzi pierwsze kręgi. Mag nie spuścił jeszcze wichrów z uwięzi, ale ich palce zostawiały na powierzchni wody drobne, spienione ślady. Rychło nadleciały następne. Etezje łąpczywie oblizał twarz dziewczyny, murrilan potargał jej włosy i zalał twarz słoną morską wodą. Na samym końcu nadciągnął sirocco, jej imiennik, niosąc woń piołunu i pył znad wszystkich pustyń świata.

Fale zawrzały jak wywar stregi, gdy demony tańczyły ponad zatoką z hukiem, wyciem i poświstywaniami. Niecierpliwiły się. Na darmo. Czarnoksiężnik wciąż nie dawał znaku. W rozbryzgach piany, krzyżujących się nad rufą łodzi, Sirocco widziała, że stoi nad krawędzią skały, a jego ultramarynowy płaszcz łopocze w oddechu demonów.

Mały, rdzawy ptaszek poruszył się pod jej opończą i nim Sirocco zdołała stulić poły, wyprysnął w górę. Przez wycie demonów przebił się nagle wysoki, czysty głos kanarka. Pierwszy trel był jak dźwięk srebrnych dzwoneczków u drzwi jej domu, a potem śpiew wyostrzył się, wzniosł jeszcze wyżej w szoklach i turkotach, aż łzy napłynęły jej do oczu.

Przez jedną krótką chwilę timbrador rzucał wyzwanie Duiliowi i wszystkim demonom z jego zastępu. Potem rozjątrzone wichry stłumiły go i uniosły z poświstem.

- Nie! - zawołała Sirocco. - Nie dostaniesz go! Nie powinieneś go dostać!

Podmuch rzucił ją na kolana. Upadła, kalecząc dłonie o resztki wiosła. Woda zalała jej usta i oczy, a kiedy opadła, nad zatoką znów było cicho; tylko przerażone rybitwy z krzykiem krążyły ponad skałkami. Demony zniknęły, na przeciwnym brzegu Sirocco nie dostrzegła już ultramarynowego płaszcza maga.

Nie wiedziała, dlaczego odszedł. Dlaczego jej nie pochwycił.

Timbrador opadł na dno łodzi. Wzięła go w dłonie, krwawiące i śliskie od morskiej wody, lecz nie zdołała rozgrzać własnym ciepłem. Jego serce kołatało coraz słabiej, a kiedy dziób łodzi wbił się w szary morski żwir, uderzyło mocniej raz jeszcze i zamarło.

Sirocco wygrzebała płytki dół obok uschniętej oliwki, owinęła ptaka w kawałek własnego płaszcza i przykryła kamieniami. Potem przytroczyła do pleców sakwę z atlasem nieba i, nie spoglądając za siebie, wspięła się spadzistą ścieżką na szczyt góry, byle dalej od miejsca, gdzie demony Duilia zdołały ją wytropić i gdzie oglądała go po raz pierwszy.

Podążyła w górę strumienia. Kiedy rozgałęził się po drugiej stronie góry, pozwoliła, by południowy dopływ poprowadził ją w las karłowatych sosen i pinii. Odtąd wędrowała nocami. Powietrze było chłodne i przejrzyste, mrok chronił ją przed wzrokiem demonów. A w każdym razie tak jej się zdawało.

Wreszcie las skończył się na zboczu bezimiennej góry, choć jeszcze kilka dni później Sirocco natykała się na kępy kasztanów i samotne sosny o poskręcanych, rdzawych pniach. Strumyk zmienił się w strużkę, na koniec zaś zniknął pod potężnym głazem i nie pojawił się więcej. Kilka następnych dni przebijała się przez gęstwą mirtów i wawrzynów, splątanych, bezlistnych i spieczonych żarem. A kiedy woda w bukłaku zaczęła się kończyć, ze szczytu góry zobaczyła morze i most nad Abisso delle Ondine.

I wtedy pierwszy raz pomyślała, że niedługo nie będzie już miała, dokąd uciekać.

* * *

O zmierzchu zeszła na brzeg. Owinęła się opończą i nasunęła na twarz kaptur, ale na moście nie dostrzegła Duilia di Monti Serpillini i jego demonów. Wszystko wyglądało zupełnie zwyczajnie. Poganiacze pokrzykiwali sennie na gromadkę osłów o brunatnych grzbietach. Staruszka w płaszczu z morskiej trawy odpoczywała obok kosza chrustu, ciężko wsparta na koscie. Celnik siedział na płaskim kamieniu przy wejściu na most i obojętnie zszywał dratwą cholewę buta. Jak gdyby był to zwyczajny wiejski most, przerzucony nad strugą w drodze na pastwisko.

Zawsze pragnęła zobaczyć ów most nad Abisso delle Ondine, głębią, która sięga aż do samego środka ziemi. Dawno, dawno temu pewien mag uwięził w skalnej kotysce na dnie głębi demony ognia, po czym zatopił je morskimi falami. Mówiono, że w zimowe noce duchy wciąż usiłują się uwolnić, a głębia mętnieje wówczas i burzy się niby mleczna polewka. Rybacy nawet w bezwietrzną pogodę niechętnie zapuszczali się na wody cieśniny, zresztą ryb nigdy nie bywało w niej w nadmiarze, wołały się trzymać poszarpanych skałek u brzegu.

Wreszcie po drugiej stronie głębi otwarto kopalnię srebra. Kilka miesięcy muły wynosiły urobek górskimi ścieżkami w górę przesmyku, gdzie rybacy nie bali się już zaklętych demonów.

Potem zniecierpliwieni panowie sprowadzili na pomoc maga, Ugo di Monteverde, płacąc mu w srebrze trzykrotność tego, co ważył konno i w paradnej zbroi.

Ugo dwa dni i dwie noce snuł zaklęcia. Bez chwili wytchnienia splatał demony ze skałą, żelazem i drewnem dębów, które wycięto daleko w lasach Monti Serpillini i spławiono morzem aż do brzegu Abisso delle Ondine. Kiedy o świcie trzeciego dnia most był gotów, Ugo naciął swe ramię srebrnym sztyletem maga. Krew ściekła na dębowe bale, a potem wniknęła głębiej, by poprzez drewno, kamień i żelazo sięgnąć aż do samej esencji demonów, połączyć się z nimi bez reszty i nieodwracalnie.

Kiedy Sirocco patrzyła na głębię poprzez fioletowy zmierzch, most przypominał wyschniętą, kruchą gałązkę tamaryszku, przerzuconą ponad otchłanią. W istocie nie był niczym więcej niż wąską kładką, bez rzeźb i masywnych przypór, jedynie z dwoma pasmami konopnych lin, rozpiętych po bokach dla łatwiejszej przeprawy.

O Abisso delle Ondine powiadano, że nigdy nie wypuszcza zdobyczy i nawet wodnice nie potrafią sięgnąć jej dna i wynurzyć się na nowo. Ugo też musiał zapłacić, bo żaden mag, nawet najbardziej potężny, nie może bezkarnie dzielić krwi z demonem. Cena za podobną magię była tak wysoka, że Alhardo wolał, aby kopuły Brionii rozpadły się i runęły w chwili jego śmierci.

Na skalnym występie ponad przepaścią rósł różany krzak. Wątle gałązki z mozołem wczepiały się w głąz, nieliczne liście skręciły się i zbrunatniały od bryzgów słonej piany. Sirocco znalazła jednak pojedynczy kwiat, nierozwinięty jeszcze, o ciasno stulonych płatkach. Zerwała go ostrożnie i zatknęła pomiędzy krawędź kaptura i włosy.

Staruszka w płaszczu z morskiej trawy podniosła głowę i spojrzała na dziewczynę oczami o zielono-złoty tęczówkach kota.

- Pozwólcie, że ulżę waszemu brzemieniu, matko. - Sirocco pochyliła się, umocowała na czole i ramionach rzemienie pod trzymujące kosz chrustu.

Sakwa z mapami nieba zsunęła się z jej pleców. Stara bez słowa podniosła wór z kozłej skóry, a potem razem weszły na most.

W nadmorskich krzewach ptaki układały się do snu, pokrzykując jeszcze z rzadka. Po przeciwnej stronie cieśniny migotały słabo latarnie, rozwieszane na palach u bramy wioski. Nad mostem wisiała nieznaczną mgiełka, a pomiędzy drewnianych bali bił chłód, dotkliwszy z każdym krokiem. Pośrodku Sirocco przystanąła i spojrzała w czarne wody cieśniny.

- Ja też mogę ulżyć twojemu brzemienu, dziecko - staruszka przemówiła chropowatym głosem. - Żadne demony nie sięgną dna tej otchłani.

Trzymała sakwę z kozłej skóry oburącz, tuż przy piersi.

- A co ze mną? - spytała Sirocco. - Wiesz, że nie można uciec przed czarodziejem.

- Ale można się zatrzymać! - wykrzyknęła kobieta w płaszczu z morskiej trawy. - Bo już niewiele znajdziesz za przesmykiem, dziecko. Tuzin kamienistych spłachci i morze. Nic więcej!

- Wiem, kim jesteś - rzekła cicho Sirocco, która nigdy wcześniej nie oglądała stregi.

Na ulicach Brionii kamienowano je z rozkazu księcia.

- Mam krytą sitowiem chatę daleko od wioski. Gaj oliwny, kilka winnych krzewów na stoku góry i trzy łaciate kozy, które dają mleko na sery. I tak - zaśmiała się skrzekliwie - mam też kamienną misę na baranie jelita, w których widzę przyszłość. I kocioł do warzenia naparu z czarnej iwy oraz żabiego śluzu, co spędza płód i zatruwa rzeki. Ale potrafię znacznie więcej! - Potrząsnęła głową i długie siwe włosy rozsypały się jej na ramionach. - Duchy powietrza, mgły i mroku siadają na moim progu, a czasami, kiedy noc jest wystarczająco głęboka, zabierają mnie ze sobą w miejsca, których nie oglądał żaden z magów. Pozwalają mi czerpać ze swojej mocy, dotykać się i poznawać na dziesięć tysięcy sposobów. Nie masz pojęcia, czym jestem, Sirocco di Brionia. Nie masz nawet pojęcia.

Dziewczyna cofnęła się o krok, aż na sam skraj mostu. Konopna lina zatrzęszczała za jej plecami.

- Jak mnie rozpoznałaś?

- Świecisz w mroku - odparła po prostu strega. - Jak pochodnia. Zostań ze mną, Sirocco. Pokażę ci dworce, utkane z dymu i ognia, i kamienne lasy pod kopalniami srebra. Zostań.

- Chcesz map mojego ojca?

- Nie umiałabym ich odczytać, głupia! - parsknęła strega. - Co mi po mapach, skoro wystarczy pięć kropel krwi w kamiennym misie, aby demony zbiegły się jak bezpańskie koty do mleka? Nie muszę ich pętać. Ciebie też nie zamierzam. Nie ja. I nie Abisso delle Ondine. - Odwróciła się i powoli poszła dalej. - Zostaw jej coś w darze - rzuciła przez ramię. - Jest łapczywa i zmienna.

Ponieważ nie miała nic, oprócz fletu i atlasu nieba, Sirocco wyjęła z włosów różę. Drobne, białe płatki przesypały się przez palce i, wirując, opadły w dół.

- Naprawdę możesz zostać - odezwała się na drugim brzegu strega. - Oddaj głębi mapy nieba, a zasłonię cię przed wzrokiem Duilia.

Sirocco bez słowa położyła na ziemi kosz chrustu. Stara kobieta karcąco pokręciła głową i podała jej sakwę z kozłej skóry.

- Podaruję ci jeden dzień - rzekła. - To moja ziemia i nie chcę, aby demony Duilia spustoszyły ją do cna. Lecz nie zwlekaj. O zmierzchu lamie i leukroty puszcza się twoim śladem i pościg nie potrwa długo.

Uderzyła kosturem w ścieżkę. Chmura gorzkiego pyłu otoczyła dziewczynę. Kiedy opadła, strega zniknęła. Tylko od strony wioski niesło się psie ujadanie.

* * *

Sirocco biegła całą noc. O poranku na ścieżkę wyszli pastuszkowie ze stadami krzyworogich owiec i kóz o szarej, szorstkiej sierści, niewiasty z glinianymi dzbanami i misami prosa, górnicy w skórzanych kapeluszach i z kilofami na ramieniu, a także przekupnie prowadzący na targ krępe, objuczone tobołami osiołki. Z początku Sirocco nie odpowiadała na ich pozdrowienia, naciągając tylko głębiej na twarz kaptur opończy. Jednak wieśniacy przyglądali się jej podejrzliwie i wrogo, gdyż przesmyk był wąski i niewielu obcych mogło przejść go niezauważenie. Wreszcie w południe dziewczyna wczołgała się w jamę pod korzeniami starego dębu i podłożyła pod głowę worek z kozłej skóry. Kiedy upał zelżał nieco, obudziły ją pokwikiwania świń, ryjących w darni, i głosy kosiarzy na pobliskiej łące. Otrzeptała płaszcz z ziemi i próchna, splotła włosy i pobiegła dalej.

O zachodzie słońca wsiadła na prom w gromadzie poganiaczy mułów. Na powierzchni morza unosiła się purpurowa piana, znak, że niedługo dotrze do końca świata, gdzie biją źródła wszystkich oceanów i gdzie przed wiekami zatopiono ciała martwych gigantów. Z chruściny na brzegu wychylały się lamie o węzowych, pokrytych łuską grzbietach, a w ich sykach dało się usłyszeć jedno imię - „Sirocco”.

Nie zatrzymując się, przebyła Arcipelago delia Rugiada Rossa. Jego nieliczni mieszkańcy mieli później układać pieśni o jasnowłosej dziewczynie, która, z sakwą z kozłej skóry na plecach, w dziewięć dni przebiegła dziewięć wysp archipelagu. Opowiadano, jak w zatoce Estrene

otoczyło ją stado cetusów - przedziwnych morskich bestii o ciałach delfinów, rozwidlonych ogonach i pyskach ogarów - i o tym, jak córka maga ułagodziła je muzyką fletu. O spotkaniu z mantikorą, która położyła się u jej stóp i w nocy ogrzewała ją własnym oddechem. O tym, jak morscy rozbójnicy uwięzili Sirocco w grocie, ale w nocy obcięła włosy, powięzała nimi deski z roztrzaskanych okrętów i na tratwie odpłynęła podziemnym strumieniem. O jej przewodnikach - starcach, wypasających owce na podwodnych łąkach pomiędzy wyspami, i hipocentaurach, które znają każdą z tajemnych górskich ścieżek. Mówiono jeszcze o wielu innych cudach. Niektóre wydarzyły się naprawdę, ponieważ archipelag był wówczas młody i niejedno dziwo trwało przyczajone na wysokich łąkach, gdzie latem słońce wypala trawę aż do skały, czy w zatoczkach porośniętych gęstwą kolczastych krzewów.

Wreszcie Sirocco dotarła na Isola delia Fine del Mondo. Wówczas zwolniła.

To była ostatnia z wysp, bezludna i martwa; podobno ten spłachetek skały uczyniono z kości gigantów, którzy kiedyś zbuntowali się przeciwko potędze magów z Półwyspu. Plaża była czerwona od zaschniętej piany. Pojedyncza dróżka wiła się w górę pomiędzy rumowiskiem głazów, obrosłych kępami zeschłej trawy i jęzorami brunatnych porostów. Sirocco nie dojrzała tu stad kóz w nieustannej wędrówce po stromych zboczach ani nagranych słońcem szarych jaszczurek, które zwykle pryskały jej spod trzewików. Nie słyszała nawet głosu morskich ptaków od strony morza. Tylko zeszlone, rozgrzane powietrze wyciskało jej łzy z oczu.

Wyspa nie była rozległa i minęło niewiele czasu, a Sirocco wspięła się na najwyższą skałę. Tuż za krawędzią urwiska zobaczyła Mare Ultimo, wzburzone, pokryte szumowiną rdzawej piany, i pojęła, że wędrówka dobiegła kresu. Jednak, kiedy przymknęła oczy, pod jej powiekami przesuwało się pięć marmurowych miast na Costa dei Gabbiani, Golfo delle Spinarello, Abisso delle Ondine i wszystkie wyspy Arcipelago delia Rugiada Rossa. A gdy odkorkowała bukłak i skosztowała wina sporządzonego ze szczepu z winnicy jej matki, przypomniła sobie również jasne kopuły pałacu i dźwięk dzwonów, w których sercach zamknięto głosy eoli. Nie sądziła, aby cokolwiek pozostało z Brionii, bo jej ojciec zanadto cenił długie życie, by rozlać własną krew i spętać demony zaklęciem zdolnym przetrwać jego śmierć. Nie sądziła też, aby pomimo całej tej włóczęgi udało się jej ocalić cokolwiek z marmurowej i przejrzystej wspaniałości miasta Alharda. Gdzieś, bowiem na skalistych ścieżkach Costa dei Gabbiani i nad Abisso delle Ondine jej naiwna wiara, że można uciec przed czarodziejem, jęła niknąć i rozwiewać się bez śladu.

Ale mogła zrobić jeszcze jedną rzecz. Skoro słońce opadło aż do krawędzi morza, w którym zatopiono martwych gigantów, rozpostarła na kolanach zbiór map swego ojca. Wyjęła wizerunek Cavallo Marino i długo wodziła palcem po zakłęciach nakreślonych obok gwiazdozbioru szybkim, eleganckim pismem Alharda. Później skrzesła ogień, podpaliła kartę i sponad urwiska patrzyła, jak poczerniały płat pergaminu, wirując, opada ku falom Mare Ultimo. Pociągnęła kolejny łyk wina i podpaliła Unicorno, na którego rogu połyskuje Stella Luminosa, przewodniczka żeglarzy. A potem l'Uccello di Fuoco, Ventaglio di Euridice i Treccia dei Venti, gdzie drobną srebrną kreską nakreślono tor demona, którego nie zdołał spętać nikt przed jej ojcem. Sirocco, którego Alhardo uczynił najokrutniejszym z wichrów, a później nadał jego imię swojej córce.

Zastanawiała się, czy przeszło mu kiedykolwiek przez myśl, że może się zdarzyć i tak, iż pewnego dnia inny mag zwróci sirocco przeciwko jego córce. Najpewniej nie uczyniłoby to Alhardowi wielkiej różnicy, był, bowiem przebiegły i zapobiegliwy, ale jego jedyną miłością pozostało miasto unoszące się nad zatoką jak potężna, biała chmura i stwarzane wciąż od nowa przez dziewięćdziesiąt cztery lata jego panowania. Od córki pragnął wyłącznie syna, błękitnookiego dziecka swej krwi, aby mógł zanurzyć się w jego magii, wysączyć ją do ostatniej kropli i przez kolejne pokolenie spoglądać, jak jasne kopuły Brionii różowieją w świetle jutrzeńki. Tak samo jak zrobił wcześniej. Tak czynili wszyscy magowie Półwyspu, jeśli ich magia była wystarczająco silna i nie chcieli umrzeć.

Sirocco nie wiedziała, jaki z woli Alharda czekał ją los, gdy już urodzi syna, ale nigdy dotąd nie przeszło jej przez myśl, że mogłaby się przeciwko niemu zbuntować. Starła się po prostu nie rozmyślać o jesieni, kiedy ojciec poprowadzi ją nawą katedry pomiędzy rzędem kolumn, które w istocie były żebrami serafa, i podaruje jednemu z panów Półwyspu. Należała do Alharda - jak marmurowe pałace Brionii, demony wichrów, gończe psy i para białożorów, które dla jego zabawy wykluwały oczy niewolnikom. W przyszłości wedle kaprysu mógł ją odebrać mężowi i przywołać do siebie, otoczyć oddechem keruba i zamknąć w jednej z podziemnych komnat, gdzie nie sięga czas. Bezwolna, śniłaby w ramionach demona, póki Alhardo nie zestarzeje się na nowo i nie zapragnie kolejnego chłopca swej krwi. Mógł uczynić, co zechce. I tak czynił.

Aż na koniec pozwolił, aby zabito go w Valle delle Lacrime, i zostawił ją samą.

Dopiero na brzegu Isola delia Fine del Mondo zdołała nad nim zapłakać, choć jeszcze nie łzami. Wyjęła flet z jaworowego drewna i pozwoliła, aby melodia rozkołysała się w tej samej pawanie, którą zagrała na pożegnanie Brionii, zanim jej mury rozsypały się i zmieniły w garść morskiego piasku. Nic więcej nie umiała dodać. Nic więcej nie wiedziała o magu, który był jej ojcem.

A potem się odwróciła.

* * *

Nie był od niej wiele starszy. Stał na skraju ścieżki. Płaszcz koloru ultramaryny miał zwinięty i przerzucony przez ramię, a oczy - granatowe od magii jak Abisso delle Ondine.

Poderwała się z ziemi, chwytając resztki atlasu nieba, i cofnęła ku krawędzi skały.

- Nie - odezwał się cicho Duilio di Monti Serpillini.

Nie umiała zgadnąć, jak długo stał tam, słuchając jej fletu. Z pewnością dosyć, by przywołać demony wicherów, które pochwyciłyby ją i uniosły ponad urwiskiem. Ale nie zrobił tego.

- Jednak zdołałeś mnie doścignąć - powiedziała.

Proste stwierdzenie faktu. Nic więcej.

- Doścignąłem cię w Golfo delle Spinarello - odparł. - Demony nie gubią śladu.

Dopiero po chwili zrozumiała, co powiedział. I wtedy przeraziła się naprawdę, bo była córką Alharda di Brionia i wiedziała wystarczająco wiele o zabawach magów.

- Dlaczego więc szedłeś za mną przez te wszystkie dni? - zapytała, przyciskając do piersi zwitek pergaminów. - Z powodu map mojego ojca?

- Nie.

- Nie wierzę.

Duilio jedynie się roześmiał przytłumionym, miękkim śmiechem.

Przypomniała sobie, że tak samo śmiał się Alhardo, kiedy strażnicy przyprowadzili mu Giudittę, ciemnowłosą nałożnicę, która mieszkała w południowym skrzydle pałacu, póki nie pochwyciono jej w ogrodach z książęcym dworzaniem. Mag podał Giudittcie rękę i łagodnie powiodł na podium, ku wysokiemu krzesłu z różanego drewna, gdzie zasiadała obok niego

podczas uczt, przyjęć i posłuchań. Nikt nie ośmielił się odezwać. Kiedy usiadła, Alhardo z czułością pogładził ją po policzku i roztarł w palcach pojedynczą łzę.

Sirocco zdołała jeszcze zobaczyć, jak na twarzy nałożnicy pojawia się desperacka nadzieja. Zaraz jednak znikła, wymieciona przez męczarnię, gdyż różane drewno wybuchło wokół Giuditty setkami pędów. Zanim wydała pierwszy krzyk udręki, drobne, kolczaste pnącza oploty jej twarz, przekłuły język, spętały ramiona i kibić. Ciało księżęcej kochanki wyprężyło się i wygięło w łuk. Któraś z dam osunęła się, zemdlona, na posadzkę.

Giuditta wciąż żyła, gdy dwa purpurowe kwiaty rozkwitły w jej pustych oczodołach, a może nawet później, kiedy gałęzie pokryły się kwieciami, księżę zaś dał znak, by bard podjął pieśń i by rozlano do kielichów czerwone wino. Miało minąć jeszcze wiele uczt, podczas których biesiadowano obok oplecionego ukwieconym pnączem trupa nałożnicy, nim Alhardo pozwolił sługom sprzątnąć gnijące ciało kochanki.

Jednak Duilio uczynił coś innego. Skinął głową i pergaminy w dłoniach Sirocco zajęły się płomieniem. Krzyknęła, a podmuch wichru pochwycił jej oddech i podsycił ogień, aż karty zmieniły się w poczerniałe płatki sadzy.

- Nie z powodu map nieba - powtórzył Duilio di Monti Serpillini. - Ruszyłem za tobą z Brionii, ponieważ ukradłaś mi łup. Coś, co zdobyłem w Valle delle Lacrime, w rzezi, która niemal kosztowała mnie życie. I nie mogłem pozwolić, aby ktoś mi to odebrał. Zwłaszcza córka Alharda.

Pomyślała, że powinna była o tym pamiętać, że winna była pamiętać o dumie magów, która jest bezkresna jak morze. I że należało ukraść z pałacu ojca jeszcze coś - jeden ze srebrnych noży, które nie poddawały się żadnej magii i którymi czarnoksiężnicy otwierali sobie żyły, gdy życie znużyło ich już do cna i pragnęli ukojenia.

- Aż do Golfo delle Spinarello - powiedział Duilio. - Aż do tamtej zatoki chciałem cię zabić, Sirocco. Potem usłyszałem, jak grasz, i zrozumiałem, że odnalazłem znacznie więcej, niż chciałem odszukać. I że jeśli tylko na to pozwolę, zakocham się w tobie. Córce Alharda, która nosi imię demona.

Dopiero teraz przyjrzała mu się uważniej i zobaczyła, że strój Duilia był brudny i, jak jej suknia, poszarpany przez ciernie. Mag w niczym nie przypominał Alharda. Był szczupły i ogorzwały jak wieśniacy, którzy pasali kozy za murem jej pustelni, a nierówno przycięte włosy opadały

mu na ramiona. Ale niebieski płaszcz, przerzucony przez ramię, i dwa zatknięte za pas srebrne sztylety, znak władzy nad żywiołami, przypominały, kim jest.

- Tyle, że wtedy było już za późno - dokończył szeptem.

- Nie wierzę. Nigdy nawet nie widziałeś mojej twarzy.

- Co z tego? - Roześmiał się cierpko. - Głębia zachowała dla mnie twe odbicie, a nocą w szumie morza słyszałem bicie twojego serca. Zakochałem się w dziewczynie, która uwolniła ptaki w pracowni maga i umiała zamknąć w pieśni cuda umierającego miasta. I dla której timbrador próbował stawić czoło wszystkim demonom wichrów. Czy to nie dosyć?

Patrzyła na niego, ale wciąż miała przed sobą oblicze nałożnicy Alharda, różane pędy zagłębiające się w jej oczodoły i przerastające policzki na wylot.

- Nie, nie dosyć - odparła wreszcie. - Zbyt dobrze znam magów.

- Nie jestem twoim ojcem.

- Ale jesteś magiem.

Wtedy Duilio zrobił coś jeszcze bardziej szalonego niż spalenie map nieba. Wyjął zza pasa srebrne sztylety, obnażył je i podał Sirocco z ostrzami zwróconymi ku sobie.

- Weź je - powiedział. - Weź je i przechowaj dla mnie, póki nie zapragniesz ich oddać. A wówczas nie będę się bronił, Sirocco.

Na chwilę zabrakło jej tchu.

Tego nie było w żadnej z opowieści, snutyh na książęcym dworze przez wędrownych bardów. Ani w żadnej z pieśni Półwyspu.

Po śmierci Giuditty wiele innych nałożnic mieszkało w marmurowym pałacu Alharda di Brionia. W naszywanych złotem sukniach przechadzały się po miejskich placach, grały na lutni i ze śmiechem odpowiadały na zaczepki dworzan. Ale żadna z nich nie wchodziła nieproszona do pracowni maga i nie dotykała srebrnych sztyletów, które wykuł przed stuleciem, w dniu, gdy spętał swego pierwszego demona.

I żadna nie przybyła na dwór Brionii z własnej woli. Alhardo stał się nazbyt rozumny, by zawierzyć kobiecie choćby w rzeczy tak płonnej, jak miłość. Jeśli więc którejś zapragnął, szlachetnej pani, wieśniaczki czy ladacznicy, po prostu posyłał demona i pozwalał, aby ten miał ją pierwszy. Potem splatał żywą kobietę z demonem, podobnie jak łączył z nimi powietrze czy ogień, bezpowrotnie mącąc jej umysł i przywiązując ją do siebie. Kiedy skończył, była już tylko szczęśliwa, szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej, a dopokąd szła, wraz z nią kroczył demon.

- Jak to możliwe? - wyszeptła Sirocco, dotykając gładkiej srebrnej rękojeści. Była córką maga i wiedziała, że trzyma w dłoniach jego życie. - Dlaczego pozostawiasz mi wybór?

- Ponieważ choć jedna rzecz powinna być prawdę.

Rozpłakała się.

- Jak długo istnieje magia, nic nie jest prawdę.

Lecz zaraz potem Duilio objął ją i jego ramiona były prawdziwe.

- To nie jest twoje miejsce, Sirocco, ta martwa wyspa na morzu z zakrzepłej krwi gigantów. Ale jeśli pragniesz wyspy, zbuduję ją dla ciebie pośrodku morza. Isola di Tutti Venti, gdzie będą się krzyżowały wszystkie wichry ziemi. I wzniosę na niej pałac z kryształu, wokół zaś zawsze będą kwitły róże. Jeśli tylko się zgodzisz. Bo tutaj nie możesz zostać. To miejsce śmierci, a żadne z nas nie jest jeszcze martwe. Czy pozwolisz, żebym cię zabrał?

- Tak. - Skinęła głową, bo czuła się zmęczona, a to była ostatnia wyspa na końcu świata. - Zabierz mnie.

Duilio przywołał serafa o sześciu skrzydłach i posadził ją przed sobą na grzbiecie demona. Lecz kiedy odlatywali z Isola delia Fine del Mondo, Sirocco myślała o młodzieńcu, którym kiedyś był Alhardo di Brionia. O chłopcu, który stanął nad brzegiem zatoki i postanowił zbudować tam miasto, piękniejsze od wszystkich innych, i nadać mu kształt swojej mocy.

* * *

Cała reszta jest legendą, najpotężniejszą spośród legend Półwyspu - o magu, który przywołał z morskiego dna wyspę i zakotwiczył ją własną krwią głęboko w trzewiach ziemi, a także o jego pani, której pieśni uśmierzały gniew demonów.

Armie Duilia po trzykroć przetoczyły się przez Półwysep, zagarniając ziemie od Monti Serpillini po południowy kraniec Arcipelago delia Rugiada Rossa, aż wreszcie nie zostało nic do podbicia, bo wszystkie czterdzieści miast uznało jego władzę. Wprawdzie wojny nie ustały, lecz żadna z nich nie dosięgła Isola di Tutti Venti, której brzegów strzegły wszystkie demony wichrów i gdzie w pałacu utkanym z górskiego kryształu, powietrza i demonów, mieszkała Sirocco.

Isola di Tutti Venti była ślubnym podarunkiem od Duilia: demony miały pozostać zaklęte w jej skałach aż po kres wieków. Cała reszta - pałac z górskiego kryształu, ogród, w którym przez cały rok nie przestawały kwitnąć róże, i przystań, gdzie ani czarownik, ani rybak nie mógł postawić stopy bez zgody Duilia - również była prawdziwa. Tak bardzo prawdziwa, jak mogą być rzeczy stworzone magią.

Sirocco była już dojrzałą kobietą, kiedy powiła pierwsze dziecko. Duilio długo zwlekał, lękając się o jej życie - krew magów jest tak potężna, że nierzadko rozrywa naczynie, w którym ją zamknięto. Tuż przed położeniem Sirocco poprosiła męża, aby pozwolił jej odpłynąć, bo chciała urodzić na stałym lądzie, z dala od morza, demonów wicherów i zwodniczej magii. Duilio ugiął się, choć szemrano, że zanadto ulega kobiecie i dla jej kaprysu naraża oboje, matkę i dziecko. Jednak Sirocco postawiła na swoim. Odeszła do klasztoru szarych mniszek, które wyrzekają się wszelkiej magii. Poród był trudny i trwał wiele godzin, lecz o świcie Sirocco urodziła syna o oczach błękitnych jak morze. Legenda mówi, że nad sklepieniem konwentu krążyły rozjuszone wichry Duilia, a ona śpiewała do nich nawet wówczas, gdy skurcze rozrywały jej ciało.

Legenda mówi też, że tylko ona przeczuła kres wyspy.

Pewnej wiosny, tam, gdzie niegdyś rozciągało się księstwo Brionii, wybuchło powstanie. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż w dziedzinie Alharda nigdy nie pogodzono się z panowaniem jego mordercy. Nawet w czterdzieści lat po śmierci księcia.

Bunt przygasał, nim trawy zazieleniły się na dobre, stłumiony przez demony, które przebiegły wybrzeże w siwych biczach kurzawy, wodnej piany i pyłu. Spiskowcy rozproszyli się po Costa dei Gabbiani. Część wyłapano w nadbrzeżnych miastach, część zaś ukryła się głęboko w podziemnych grotach. Żaden ze schwytanych nie umiał zdradzić imienia przywódcy buntu, po prostu umierali, gdy tortura stawała się zbyt dotkliwa. Duilio upatrywał w tym zaklęcia jednego z magów-wygnańców, którzy dla zysku pętali pomniejszych demony i sprzedawali ich usługi.

Pozornie wszystko było po staremu. O świcie żony rybaków chrapliwymi głosami zachwalały połów na targowisku u bramy, jaskółki wiły gniazda u kapiteli pałacowych kolumn i osły pod wieczór ryczały przeraźliwie od strony pastwiska. Jesienią zaś winorośl obrodziła jak nigdy wcześniej, aż gałęzie przyginały się do ziemi pod ciężarem owoców. Jednak były znaki, zaszyfrowane w locie rybitw, szumie morza i szarej siatce blizn na rajskich jabłkach w pałacowym ogrodzie. Coś się zmieniło głęboko we wnętrzu Półwyspu. Niewidoczne ze skał Isola di Tutti Venti, coś dojrzewało z wolna jak nagrzane słońcem, słodkie od soku winne grona.

A kiedy nadszedł czas zbioru winorośli, Sirocco wysłała z wyspy łódź, ukształtowaną z magii i drewna w postać łabędzia, i wyszeptła nad nią pojedyncze imię.

Ercole przybył w siedem dni później. Nikt nie wie, dlaczego to uczynił.

Duilia nie było na wyspie i Sirocco sama wyszła do przystani. Stała na nabrzeżu w spłowiełej lazuruwej sukni i z odkrytą głową, kiedy łódź sunęła pewnie pomiędzy rzędami skałek ostrych jak dziób drapieżnego ptaka.

- Demon przyniósł mi zaproszenie. - Ercole przyklęknął na mokrych kamieniach nabrzeża i podniósł do ust jej dłoń. - Wiesz, kim jestem.

- Wiem. - Dała znak, aby powstał. - Chodźmy.

W tamtych czasach włosy Sirocco były już jak srebrna przędza, a twarz porysowała pajęczyna zmarszczek. Duilio miał dość mocy, aby spleść ją z demonem i zachować nietkniętą, dokładnie taką, jaką zobaczył pierwszy raz w Golfo delle Spinarello, czterdzieści lat temu. I niewiele rozumiało, dlaczego pozwolił Sirocco postarzyć się, jak gdyby była żoną pastucha kóz. Niewiele też wiedziało, że to ona nie zgodziła się, aby wlać magię w jej ciało. Choćby najmniejszą kropelkę.

Wciąż była wysoka i smukła jak gałąź leszczyny i nic nie zaćmiło błękitu w jej oczach. Nawet śmierć najstarszego z synów, rozszarpanego przez Cynacefalitów podczas buntu jednego z nadmorskich miast. I mówiono później, że kiedy szła pomiędzy krzewami róż o białych kwiatach, a ptaki odpowiadały jej śpiewem spomiędzy gałęzi migdałowców, wydała się Ercole najpiękniejszą kobietą świata.

Co oczywiście nie było prawdą. Nigdy nie jest.

Aż po zmrok siedzieli pod migdałowcami, które dawno przekwitły, a poddmuchy jesiennych wichrów odarty je z resztek liści. Nie mówili wiele. Służebne przyniosły wino, chleb, oliwki i ostry kozi ser. Wreszcie Sirocco zaczęła grać - najpierw na giternie, potem na wioli, pasterskiej syrindzie, na końcu zaś na flecie. Jego głos owijał się wokół drzew jak cienka srebrna nitka. Grała długo. Kiedy odjęła ustnik od warg, księżyc w pełni wisiał wysoko na niebie, a jego światło zmieniało oczy Sirocco w dwie tafle żywego srebra.

- Posłałam po ciebie, ponieważ mam życzenie - powiedziała.

Ercole był wtedy niewiele starszy od chłopców, którzy pasali kozy na wyschłych zboczach gór i próbowali ujeżdżać białe dzikie konie na pustkowiu, którym po upadku Brionii stała

się północna część Costa dei Gabbiani. Niewiele starszy niż jej syn, kiedy wichry uniosły go bezpowrotnie z przystani. I miał w oczach tę samą błękitną magię, która trawiła Duilia.

- Jeśli tylko będę mógł je spełnić.

- Chciałabym, żebyś oszczędził moje róże.

Erocco zacisnął palce na różanej gałęzi. Kolce przecięły skórę i kilka kropel krwi spłynęło na ziemię.

- Róże są prawdziwe. - Sirocco potrząsnęła głową. - Nie potrzebują krwi, tylko obietnicy.

- To nie z powodu róż - odparł cicho. - Ale masz moją obietnicę. Ja też mam życzenie.

Czy zagrasz dla mnie raz jeszcze, zanim odprowadzisz mnie do przystani?

- Co mam zagrać?

- Jest taka pieśń, którą grano tylko jeden raz. - Erocco podniósł głowę i błękit w jego oczach pociemniał, stał się niemal czarny. - Pieśń o mieście, które roztopiło się jak śnieg w promieniach słońca.

Sirocco zastygła z na wpeł uniesionym fletem. Jej twarz była nieruchoma i blada od księżycowego światła, tylko wargi zdrząły nieznacznie. Niezdarnie, jak ślepiec, ułożyła palce. Pierwszy dźwięk był cichy, niemal niesłyszalny, jakby zabrakło jej tchu. I zaraz stłumiła go nocna bryza, najczulszy ze strażników wyspy. Wicher poderwał się znad rozgrzanych skał, rozgarnął łany szorstkiej trawy, potargał różane pędy. Białe płatki zawirowały w powietrzu. Nim opadły na ziemię, flet przebił się przez szum bryzy w pierwszych taktach melodii, która także była legendą i której nie słyszano na Półwyspie od czterdziestu lat. Od upadku Brionii, miasta marmurowych kopuł, katedr strzelistych jak modlitwa i skrzydlatych lwów, z których każdy był serafem, zakłętym w kształt posągu z złotego kamienia.

Czterdzieści lat wcześniej, gdy Sirocco ostatni raz weszła przez Porta d'Argento do miasta swego ojca, w Brionii było więcej niż tuzin minstrelów, przybyłych do pałacu dla rozrywki jej ojca i uciechy dworu. I wielu z nich zdołało wymknąć się szczęśliwie z umierającego miasta. Jednak żaden minstrel, kuglarz czy grajek nie potrafił później powtórzyć pieśni Sirocco. Pamiętali jedynie głos fletu i łopot skrzydeł demonów, gdy ulatywały spomiędzy dachów ku porannemu niebu. Ale nie umieli przypomnieć sobie melodii. Zupełnie jakby Duilio wymiół ją z ich pamięci tym samym gorącym, ostrym wichrem, który smagał resztki kamiennych murów Brionii, póki nie rozpadły się i nie zamieniły w szary piach.

Jednak tego wieczoru na Isola di Tutti Venti Sirocco grała z taką łatwością, jakby znów wędrowała pomiędzy skrzydlatymi lwami ku Porta d'Argento u stóp akweduktu. Demon brevy przebudził się w sadzawce na dziedzińcu pałacu i, zatrwożony obcą pieśnią, runął ku nim poprzez gęste korony pinii, kasztanów, cyprysów i jaśminów. Dołączyła do niego tramontana, zimna i rozgniewana, potem ponente i lavantera o zwodniczo łagodnych głosach, które przynoszą deszcz i podżegają wodne potwory do zniszczenia, a także ich brat, marin, przybywający znad samego środka oceanu. Od strony północnych skał podniósł się euraquilo o lodowatym oddechu i zaraz przyłączyły się do niego bliźniacze etezje i meltemi, postrach żeglarzy. Zbiegały się do ogrodu ze wszystkich zakątków wyspy, hucząc, szumiąc i poświstując gniewnie, bo na wyspie był mag i nie znały jego imienia.

Gdy wzlatywały tuż nad ogrodem, a pnie cyprysów, pinii i kasztanów zaczynały giąć się w ich palcach, melodia chwyciła je za włosy i ściągała w dół w kaskadach jesiennych liści. Przypominały sobie. Pieśń fletu zwabiała je i wąską ścieżką wiodła w miasto, którego nie było. Od Porta d'Argento i dwóch skrzydlatych lwów prowadziła je przez kamienne ulice i place, na których cały rok kwitły krzewy tamaryszku. Znowu był świt. Na kopułach świątyń i klasztorów kładł się różowawy odblask słońca i dzwony śpiewały głosami eoli.

Kiedy Sirocco skończyła i odsunęła flet od ust, jej imiennik poderwał się spomiędzy korzeni pinii w płaszczu z kurzawy, unosząc płaty darni, kamienie, mech, korę, zeschnięte gałązki i różane kwiaty. Dopiero wysoko ponad wyspą i pałacem maga sirocco wydał pojedynczy krzyk udręki, krzyk demona, który służył tylko dwóm panom i wciąż pamiętał wędrowkę pomiędzy gwiazdami.

- Myliłem się - powiedział Ercole w przystani. - Nie wierzyłem, gdy mówiono mi, że to zaklęta wyspa. Magia Duilia nie zdołałaby mnie zranić, ale są rzeczy, które sięgają głębiej niż magia. Nie powinienem był tu przyływać, pani.

- Myliłeś się także w innej rzeczy - odparła cicho Sirocco. - Tę pieśń grano jeszcze dwukrotnie, z daleka od Brionii. Raz, kiedy Duilio doścignął mnie w Golfo delle Spinarello i pozwolił mi odejść wolno. I na brzegu Isola delia Fine del Mondo, gdy opłakiwałam śmierć ojca.

- Nikt mnie nie ostrzegł, że jesteś okrutna,

Sirocco roześmiała się.

- Są też rzeczy okrutniejsze niż magia i bardziej niszczące niż wojna. Przekonasz się.

Ercole chciał coś powiedzieć, ale już pochyliła się nad łodzią i położyła rękę na głowie demona zaklętego w kształt łabędzia.

- Płyn! - rozkazała i łódź odbiła od brzegu.

Ercole miał jeszcze powrócić na Isola di Tutti Venti. Jeden, jedyny raz.

* * *

W kilka miesięcy później armia Ercole wyszła z górskich pieczar i ruszyła ku martwemu płaskowyżowi, który pozostał na miejscu, gdzie kiedyś skrzydlate lwy strzegły murów Brionii. Magowie zwykli walczyć zimą, by nie pustoszyć na darmo kraju, który stanie się zdobyczą zwycięzcy. Także tym razem plony były już zebrane do ostatniego kłosa i kiści. Na wieść o nadciągającym wojsku wieśniacy zagnali do chat kozy, kury i nawet niskie, płowe osiołki, a potem trwali w bezruchu za zapartymi okiennicami, nasłuchując głuchego dudnienia maszerujących demonów. Stworzone w głębi ziemi, z daleka od słońca, golem Ercole nie były kształtne czy urodziwe. Nie dorównywały marmurowemu pięknu demonów Brionii ani złudnej delikatności wichrów z Isola di Tutti Venti. Ale też piękno nie było ich celem.

Magowie z rzadka zwracali się ku żywiołowi ziemi, który uważano za pośledniejszy od innych i przynależny stregom. Jednak w wysokich, zimnych grotach Costa dei Gabbiani, gdzie chronili się banici, elegancja nie była cenniejsza od siły. W mroku, którego nie rozjaśniał nigdy promień słońca, Ercole chwycił demony i poprzez kolejne transmutacje związał je z ziemią. Tworzył ich kości z jasnych wapiennych skał i odziewał je w ciężką, kleistą glinę z dolin, dawał im oczy z kwarcu i pazury z szarego granitu. Musiało to trwać miesiącami, bo kiedy wyszły na równinę, demonów było tak wiele, że ziemia pękała im pod stopami. Dopiero wtedy dostrzegł je Duilio. I zaczął zbierać wichry, aby wyjść golemom naprzeciw.

Ostatniej nocy leżeli z Sirocco w ciemności. Za otwartymi oknami róże w ogrodzie kwitły, jak zawsze, a zapach spowijał ich ciasno ze wszystkich stron.

- Pamiętasz, jak na krańcu świata powiedziałem, że choć jedna rzecz powinna być naprawdę? Wszystko pomiędzy nami było prawdziwe. Każdy dzień. A teraz to tylko kolejna bitwa, choć groźniejsza od innych. Ale wrócę do ciebie.

- Albo ja cię odnajdę.

* * *

Bitwa na Pianura Grigia trwała cztery dni; armie wszystkich księstw Costa dei Gabbiani zbuntowały się przeciwko Duiliowi i dołączyły do Ercole. Czwartego dnia o zmroku golemy Ercole powstrzymały wichry i zepchnęły je ku morzu, wystarczająco daleko, by ludzkie armie mogły zejść z okolicznych wzgórz i dołączyć do walki. I to był koniec bitwy. Zanim księżyc wzeszedł na dobre, strzała wystrzelona przez łucznika jednego z nadmorskich miast przebiła serce Duilia. Uwolnione spod zaklęcia wichry dopełniły dzieła, rozrywając na strzępy resztę jego wojska. Tylko najemnicy z Arcipelago delia Rugiada Rossa przez całą noc bronili się na brzegu, u burt swoich okrętów. O brzasku jednak musieli ustąpić - pożeglowali na zachód, ku Isola di Tutti Venti, by zanieść Sirocco wieść o klęsce.

Tej samej nocy czterdziestu gońców, po jednym na każde z miast, podbitych niegdyś przez Duilia, pognało przez równinę z jasnymi pochodniami, by obwieścić rodakom śmierć tyrana. Wybijano garnizony jego żołnierzy, obnoszono po placach głowy namiestników. Nawet w odległych górskich osadach wieśniacy przepędzali kijami rządców i poborców podatków. Ale wciąż trwała Isola di Tutti Venti, naga pośrodku morza i odarta z ochronnego płaszcza demonów. Tam schroniły się resztki najemników, półtora tysiąca żołnierzy, dwa klasztory mnichów, którzy bezustannie tropili demony na kopule nieba, dostojnicy, doradcy i cały wspaniały dwór maga. Tam też pozostało trzech synów Duilia, z których każdy miał w oczach magię błękitną jak niebo.

Miasta Costa dei Gabbiani przysłały okręty i cztery setki naw ruszyły ku wyspie największą armadą w historii Półwyspu. Morze było spokojne. Trzeciego dnia sprzymierzeńcy zobaczyli na horyzoncie jasne szczyty Isola di Tutti Venti. Większość z nich nigdy wcześniej nie widziała wyspy, bo demony wichrów odpychały obce statki i ani ptak nie przelatywał nad nią bez zgody Duilia.

Mówiono potem, że nawet najzacieklejsi wrogowie zastygli na chwilę z podziwu, bo magowie czasami tworzyli dzieła trwałe, ale żaden z nich nie zdołał zespolić demonów w kształt całej wyspy. Gdyby Duilio żył, część flotylli rozpierchłaby się zapewne na sam widok górskiego łańcucha, który majaczył w szarej morskiej mgiełce. Ale Duilio był martwy i wspomnienie jego mocy, zamkniętej w strzelistej formie Isola di Tutti Venti, wydawało się urągówiskiem. Buntownicy pożeglowali, więc dalej.

Nastał zmierzch, wyspa mrugała ku nim setkami pochodni i latarni. Kiedy podплыnęli bliżej, zobaczyli, że wokół brzegu unosi się wielka mnogość łodzi, statków i tratw zbitych pospiesznie z bali. Flotyła ustawiła się w szyku, z okrętem Ercole na samym przedzie, gotując się do bitwy. Ci, którzy stali obok maga, opowiadali później, że gdy pierwsza z wyspiarskich łodzi podплыnęła bliżej, Ercole zmienił się na twarzy. Potem zrobił coś jeszcze. Zakłęciem przywołał demony podmorskich prądów, które schwyciły w palce okręty jego sojuszników.

Stały nieruchome na otwartym morzu, jakby woda zmieniła się nagle w kamień. Żołnierze z czterdziestu miast, podbitych niegdyś przez Duilia, bezradnie patrzyli, jak łodzie z Isola di Tutti Venti przepływają tuż obok ich burt. Jedna za drugą znikają, pchane łagodnym morskim wiatrem coraz dalej od brzegu.

Każdy mężczyzna, każde dziecko, kobieta i starzec, wszyscy trzymali w ręku białe róże. Woń kwiatów unosiła się ponad falami, przemożna i odurzająca. I było to tak, jakby wszystkie róże z ogrodów Isola di Tutti Venti wyszły na spotkanie buntowników.

Kiedy odpłynęły, mag odwrócił się ku swoim ludziom - jego twarz była szara i stężała, a oczy tak czarne od magii, że cofnęli się ze strachu.

- Precz! - powiedział cicho.

Demony morza podchwyciły jego głos i odbiły go w zwielokrotnionych echach, coraz mocniej i głośniejsz, aż powrócił potężną falą i uderzył w burty okrętów, odpychając je od brzegów Isoia di Tutti Venti. Ercole zaś zeskoczył prosto w morze i począł iść ku wyspie. Demony podkładały dłonie pod jego stopy.

* * *

Sirocco czekała na południowym krańcu ogrodu, wśród różanych krzewów, potrzaskanych, odartych z listowia i kwiatów.

- Dziwna rzecz - powiedziała na powitanie - ale na końcu zawsze jestem sama z czarodziejem na krańcu morza.

- Ścięłaś róże.

- Żebyś dotrzymał słowa.

- Jak mogłem go nie dotrzymać, skoro zniszczyłaś tyle piękna?

- Róże znów zakwitną z wiosną. - Uśmiechnęła się. - Choć już nie dla mnie.

- Dlatego że posłałaś go na zatracenie? - spytał ostrym, młodzieńczym głosem. -

Dlatego?

- Och! - tyle zdołała powiedzieć.

Wiatr szarpał jej suknię.

- Zrozumiałem za późno. Dopiero na Pianura Grigia, w samym środku bitwy, kiedy demony wichrów odstępowały w jednej chwili, odsłaniając go na magię i strzały łuczników. Widziałem, jak grot zmierza prosto w jego serce. Jakby prowadzony czyjąś ręką. Nie moją. Odebrałaś mi moją zemstę, Sirocco. Stałem po przeciwnej stronie płaskowyżu i patrzyłem, jak jego oczy rozszerzają się w niedowierzaniu, ale strzała była zbyt szybka, a my walczyliśmy czwarty dzień i demony wichrów odeszły od niego. I wtedy właśnie zrozumiałem. Oszukałaś nas obu.

- Niczego nie rozumiałaś! - Wyciągnęła ku niemu ramiona i zobaczyła w jej dłoni dwa srebrne sztylety. Ostrza, wykute na znak spętania pierwszego demona, nieczułe na wszelkie zaklęcia. - Nie masz pojęcia o tym, co było pomiędzy nami. Czterdzieści lat temu, nad brzegiem czerwonym od krwi gigantów, Duilio włożył mi w ręce swoją śmierć. A ja... - Jej głos załamał się. - Na Pianura Grigia oddałam mu ją z powrotem.

- Sirocco...

- Nie! - Potrząsnęła głową, a wiatr unioś jej włosy. - Teraz mnie wysłuchasz, Ercole di Brionia. Jeden raz. Duilio obiecał mi, że to, co było między nami, będzie prawdziwe. I było. Prawdziwe jak nóż, który tnie aż do kości. Tyle, że wówczas, na brzegu Mare Ultimo, byliśmy dziećmi, które rzeźbią zamki z morskiej piany, ślepi i niebaczni, choć przecież urodziłam się córką maga i powinnam była przeczuć, że demony przyjdą kiedyś upomnieć się o zapłatę. Ale zamknęłam oczy i pozwoliłam, żeby Duilio zabrał mnie na wyspę pośrodku morza, gdzie nie sięga rozpacz ani szaleństwo. I byłam szczęśliwa, przez czterdzieści lat byłam tak szczęśliwa, że każda chwila zdawała się rozrywać serce. Tego również nie zrozumiesz.

- Sirocco... - Pochylił się ku niej, a Sirocco zrobiła krok do tyłu i spostrzegł, że stoją na skraju ogrodu, tuż nad klifem.

- Nie zrozumiesz, ponieważ szczęście było naprawdą i było głębokie jak morze. - Odchyliła głowę i zobaczył łzy spływające po jej policzkach. - Jak Abisso delle Ondine. Głębia, która pochłania bez reszty i nie pozwala wynurzyć się na powierzchnię.

Zobaczył, jak obraca sztylety w dłoniach i wąska strużka krwi spływa jej wokół przegubu. Nie zauważyła tego.

- Ale były też inne rzeczy, które odbijały się w tafli wody i z każdym rokiem nabierały kształtów - mówiła cichym, rozedrganym głosem. - Widziałam, jak rosną, i nie mogłam ich powstrzymać, bo słusznie powiadają, że nie można uciec przed czarodziejem, a magia jest zachłanna i nienasycona. I żąda coraz więcej, aż reszta nie ma już znaczenia. Cały świat kurczy się do bierwion mocy, które należy zagarnąć i spopielić. Widziałam, jak Duilio patrzy na naszych synów. Przygląda się magii w ich oczach, smakuje ją z każdym rokiem chciwiej, ponieważ ich magia rosła, dojrzewała jak winne grona, a on poświęcił tak wiele, tak wiele siebie, aby stworzyć tę wyspę. Aż na koniec nie mógł zrobić nic innego, tylko posłać nasze dziecko na wojnę, aby zabito je z dala od domu i obcym ostrzem. Aby demon nie pochwycił go rękami ojca. I gdybym nie powstrzymała Duilia, pewnego dnia, niedługo, sięgnąłby po innego z naszych synów, aby zanurzyć się w jego krwi i zaczerpnąć świeżej mocy. Pamiętaj o tym, Ercole di Brionia, kiedy będziesz święcić zwycięstwo. Pamiętaj, że demony idą krok za tobą i wystarczy, że któregoś dnia spojrzysz im prosto w oczy, a pożrą cię bez reszty.

- Albo uniosą. Jeśli spętasz je zaklęciem. Lub pieśnią.

- Nigdy nie próbowałam ich okiełznać. Nie mam - zawahała się - nie mam podobnej władzy.

- Ale masz moc! - roześmiał się gorzko. - Przez tyle lat próbowaliśmy zabić Duilia, który panował nad demonami, lecz nikomu nie przeszło przez myśl, aby wsłuchać się głębiej w pieśń jego pani, która mieszka na wyspie pośrodku morza, wśród białych róż. Która miała tyle mocy, że w rozpadającym się mieście obłaskawiła demony Brionii, by odeszły w pokój. Która zdołała urodzić czterech synów i przetrwać, ponieważ demon był jej akuszerką i demon był ich mamką. Duilio nigdy się nie domyślił, prawda? Nie podejrzewał nawet, że w Golfo delle Spinarello dojrzał w tobie magię i zapragnął jej, jak tylko czarodziej potrafi pragnąć? To właśnie było między wami. Magia i pragnienie.

Uderzyła go w twarz.

- Nie wiedział, że demony - przytrzymał jej przegub, przyciągnął do siebie i przez chwilę stali tak blisko, że czuł na twarzy jej oddech, gorący i suchy jak wiatr, którego imię nosiła - służyły ci gorliwiej niż któremukolwiek z nas. I pozwoliły się zamknąć w kształt wyspy dla dźwięku fletu i zapachu róż.

Wydało mu się, że słyszy wysoko na niebie krzyki demonów wichru. Nie wszystkie udało mu się spętać na Pianura Grigia. Odeszły zbyt szybko.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz - wyszeptała. - Przez czterdzieści lat słuchałam, jak wyją w udręce, spętane pod warstwą skały, drewna czy metalu. Nawet we śnie dobiegał mnie ich skowyt. Ta wyspa stała się pułapką nie tylko dla demonów. Jak możesz sądzić, że pomogłabym ją stworzyć?

Była taka krucha. Jak porcelanowa laleczka, którą wiele lat wcześniej jego matka wyniosła z upadającej Brionii i która roztrzaskała się, gdy uciekali w głąb ziemi przed kolejnym rajdem sług Duilia. Piękne rzeczy są kruche, nauczył się tego dawno temu.

Dziwne, lecz na Isola di Tutti Venti nie czuł już gniewu. Tylko zmęczenie.

- A pieśni?

- Nie rozkazuję demonom. Ale każdy z nich ma swoją melodię, oddzielną i jedynie sobie właściwą. I niekiedy, gdy wszystko inne zawodzi, niekiedy muszę je prosić o pomoc. Potrafię je przywołać. Na czas jednej pieśni, nie dłużej.

- Dość, aby zabić Duilia. A także, aby odesłać z wyspy jego synów. Wezwałeś demony wichru, by uniosły ich i ukryły przed moim wzrokiem.

- Im nie pozwoliłbyś odejść.

- Nie wiem. Nie umiem nawet zgadnąć. Mnie też omotałaś pieśnią, Sirocco.

Roześmiała się głośno.

- Drwisz ze mnie. Jestem starą kobietą.

- Mogę cię odmienić. Wystarczy jedno słowo i znów będziesz dziewczyną, która śpiewała na marmurowych placach Brionii. Ją także możemy przywołać na nowo. Wszystko, co pamiętasz.

Przycisnął jej dłoń do piersi i poczuła miarowe bicie serca, prawdziwego, wciąż prawdziwego. Był zbyt młody, by zwrócić się ku demonowi i połączyć krew z jego mocą, ale wiedziała, że to także przyjdzie wcześniej czy później, bo magowie w końcu ulegają demonom. Również najlepsi z nich.

- To się nie zdarzy, dziecko - odparła szeptem. - Nie ufałam magii nawet wówczas, kiedy byłam młoda i wystarczająco szalona, by wierzyć, że miłość może nas ocalić. Dlaczego teraz miałabym jej zaufać?

- Ponieważ poszłaś za Duiliem i byłaś szczęśliwa.

- Ale wówczas miałam jeszcze nadzieję, że można uciec przed czarodziejem. Teraz wiem, że nie da się tego dokonać.

- Mogę cię zatrzymać.

- Żeby mieć obok jeszcze jednego demona? - Uśmiechnęła się niemal czule. - Nie sądzę, żebyś właśnie tego chciał, Ercole. Czekałam, żeby ci podziękować za różę.

- Dlatego że on nie żyje?

- Dlatego że obiecałam go odnaleźć, a pomimo wszelkiej magii, rozpacz i śmierci należy wierzyć, iż niektóre rzeczy są naprawdę. Pamiętaj o mnie. - Delikatnie cofnęła rękę i zrobiła krok do tyłu.

Mówiono później, że demony wichru pochwytyły ją i uniosły, zanim sięgnęła morza.

Ercole, który odnalazł ją na poszarpanych skałkach i zakopał głęboko w korzeniach róż zasadzonych jej własną ręką, nigdy nie opowiedział, co naprawdę zdarzyło się tamtej nocy na Isola di Tutti Venti. Coś jednak musiało się wydarzyć, bo o poranku demony wicherów zbiegły się na nowo i otoczyły wyspę ciasnym pierścieniem, kryjąc ją przed wzrokiem żeglarzy. Być może naciął własny przegub nożami, które niegdyś należały do Duilia, i wlał magię w różane krzewy, gdyż każdego roku różę w ogrodach Sirocco rozkwitają białymi kwiatami. Nikt jednak nie cieszy się ich widokiem i nikt nie potrafi odnaleźć zaklętej wyspy. A w pierwszą wiosenną pełnię dziewczęta ze wszystkich księstw Półwyspu rzucają w morze białe różę na pamiątkę kobiety, która panowała nad demonami i która na koniec zdołała uciec przed czarodziejem.

Choć wcale nie wiadomo, czy tak właśnie było.

ZaĆmienie serca

Każdego dnia o zmierzchu cień cytadeli ogarniał Brionię. Smuga mroku pełzła po kamiennych ulicach, od Porta dei Leoni w dół po zboczu góry. Najpierw pochłaniała ogrody wokół Palazzo Ducale, smukłe przeszła akweduktu i cyklopowe mury, co otaczały miasto jak potężny wąż o skórze ze złocistego kamienia. Później opadała na pałace możnych i świątynie, na place, gdzie o brzasku kobiety spotykały się u studni, i domki biedoty, stłoczone ciasno wokół murów,

rzemieślnicze warsztaty, szpitale, oberże. Kiedy dzwon zawieszony na wielkiej, czterościennej wieży Monastero delle Zodiaco uderzał po raz siódmy, pasmo ciemności wspinało się na próg domu Arachne i jej matka odkładała nici.

- Godzina demonów - mawiała, zamykając okiennice, gdzie za dnia piętrzyły się wielobarwne sterty jej kobierców, gobelinów i haftów. - Czas kłaść się do snu, Arachne.

Ale dziewczynka już biegła w górę Kamiennymi Schodkami, przeskakując po kilka stopni, aby cień cytadeli nie zdołał jej doścignąć. Mrok napełniał ją grozą - wiedziała, że jest utkany z oddechu demonów, które przed wiekiem zaklęto w kształt góry. Kamień był tylko osnową i wpleciono w nią niezliczone ciemne nici duchów, ściągniętych przez maga z wysoka, sponad księżycy. Tym właśnie zajmowali się magowie. Tworzyli gobeliny z demonów, powietrza, ognia, wody i ziemi. Czasami zaś, jeśli byli wystarczająco potężni, mogli utkać z magii całe miasto i tak też powstała Brionia.

Cień cytadeli ścigał Arachne, gdy wspinała się krętą uliczką aż do podnóża Beluardo dei Gufi, gdzie było przejście na mury miejskie. Strażnik bardzo dobrze znał drobną, rozczochraną córkę Despiny, hafciarki. Uchyłał, więc lśniąca korsekę i pozwalał Arachne przemknąć się jeszcze dalej, wąskim przejściem aż na machikułę. Tam, w najwyższym miejscu miasta, mogła wreszcie przystanąć i spojrzeć w dół. Kiedy obracała głowę w stronę portu, widziała na falach złote odbicie zachodzącego słońca. Przez chwilę czuła jedynie niezmierną ulgę, że świat wciąż istnieje i nie został bez reszty pożarty przez cień cytadeli i demony góry.

Każdego wieczoru Arachne miała nadzieję, że coś się wydarzy, złamie zaklęcie i ciemność nie zdoła jej dosięgnąć.

Stała przy blankach, wyciętych w kształt jaskółczego ogona, i wpatrywała się w gasnące słońce. Mrok tymczasem wzbierał u jej stóp jak przypalona oliwa, podnosił się do kolan, gęstniał wokół ramion, chłodnymi pasmami sięgał aż do gardła. Gdy wreszcie zamykał się nad jej głową, cała Brionia, po najdalsze modylony murów, wtapiała się w taflę nocy i aż do świtu miała należeć do demonów.

Arachne przywierała do chłodnych cegieł krenelaża, ślepa w ciemności. Bała się zrobić choćby krok. Stała jak skamieniała, póki na schodach Beluardo dei Gufi nie rozległy się szybkie znajome stąpnięcia. Yanni, jej brat. Rzucała się ku niemu na oślep, z wyciągniętymi rękami, jak gdyby skakała ze skały w morską głębię. Ale Yanni chwycił ją pewnie i sadzał sobie na ramieniu.

- Matka da ci w skórę - przestrzegał. - A jutro zamknie cię w domu i każe czesać wełnę, aż palce będą ci krwawić.

Jednak o zmierzchu Arachne znów udawało się wymknąć. Była cichym, posłusznym dzieckiem, lecz każdego dnia uciekała z domu, by stanąć na blankach i patrzeć, jak cień cytadeli maga pożera powoli miasto. Nie umiała się powstrzymać.

Matka Arachne przyплыnęła do Brionii wiele lat temu. Duż ostry, wschodni wiatr, a łodzie były zapełnione po brzegi. Kobiety w ciemnych chustach przyciskały do piersi dzieci, zbyt zmęczone, by płakać. Mężczyźni - żyłaści, spaleni słońcem rybacy z wysp po drugiej stronie morza - wiosłowali, w milczeniu zmagając się z wichrem. Nie zapuszczali się na połów równie głęboko, nie znali tej części wybrzeża i nie wiedzieli, gdzie cisną ich fale. Ale płynęli już bardzo długo pod rozpalonym słońcem i nie mieli, dokąd wracać. Parli, więc naprzód nawet wówczas, gdy kolejne łodzie wpadały na ostre skały i znikały w rozbryzgach piany.

Minęło dużo czasu, nim matka opowiedziała Arachne o odległych górzystych wyspach, gdzie nie sięga władza magów z Półwyspu ani moc ich demonów. Despina mówiła spokojnie, jakby cały żal wypalił się w niej na morzu. Wyspy broniły się - tak długo, jak garść rybaków może zmagać się z imperium. Jednak w ślad za żołnierzami nadeszli bosonodzy, szaleni mnisi w skórkach wielbłądów. Kiedy zaczęli krzyżować ludzi z wioskami na wielkich drewnianych kołach, rybacy wsiedli na łodzie i odbili od brzegu. Kierowali się na wschód. Wiedzieli, że tam właśnie rozciąga się Półwysep, skąd ich przodkowie zbiegli niegdyś spod władzy książąt-magów.

Tylko nieliczni ocalali wplynęli na spokojne wody zatoki. Despina pierwsza rozpoznała przystań. Podniosła się w łodzi i wyciągnęła rękę ku miastu, które z wolna zanurzało się w mrok.

- Brionia - powiedziała cicho. - Miasto demonów.

Nie powędrowała jednak dalej, choć wielu z rybaków tak uczyniło, bo bali się osiedlić pod bokiern najpotężniejszego z magów Półwyspu. Owinęła Arachne płatem sukna, zawiesiła ją sobie na piersi i z Yannim, uczepionym spódnicy, weszła o zmierzchu do Lido di Capra, wąskiego przesmyku, który pomiędzy dwoma pasmami murów prowadził w górę, do miasta. Kobiety u studni powiedziały jej, jak znaleźć dom Tulli, hafciarki.

- Czego tu szukacie?

Tulla zamykała właśnie okiennice warsztatu. Była surową, wyschniętą ze starości kobietą. Mierzyła obcych nieprzychylnym spojrzeniem.

- Będę potrzebowała domu dla siebie i moich dzieci - rzekła spokojnie Despina.

Hafciarka zaniósła się ochrypłym śmiechem.

- A czym mi zapłacisz za gościnę? Złotem, diamentami czy kadzidłem?

- Pracą - odparła wyspiarka.

Tulla niecierpliwie zacisnęła wargi.

- Nie potrzebuję służącej. Idź swoją drogą, kobieto. Despina bez słowa położyła na progu niemowlę i odrzuciła z ramion wełnianą opończę. Suknię miała prostą, z bladoniebieskiej materii, porwanej teraz i poplamionej słoną wodą. Ale rąbek spódnicy, rękawy i gorset suto ozdobiono purpurą - nici były barwione w krwi ślimaków, które żyją po drugiej stronie morza i są cenniejsze od złota.

Tulla przez chwilę patrzyła na czerwone pnącza haftu.

- Wejdz do środka - powiedziała w końcu. - Musisz być głodna i zmęczona, twoje dzieci także.

Wieczorem, kiedy Yanni i Arachne spali w jedynym łóżku hafciarki, nakarmieni zupą z ciecierzycy i otuleni suchą kołdrą, obie kobiety siedziały w kuchni. Na stole, obok misy winogron, migotała słabo oliwna lampka.

- Dobrze znasz rzemiosło - odezwała się Tulla - a to zasobne miasto. Możesz u mnie poczekać, póki twój mąż nie wróci.

- Mój mąż nigdy nie wróci. - Despina ciasno splótła dłonie na dębowym blacie, a hafciarka nie pytała więcej.

* * *

Arachne długo nie rozumiała, dlaczego spośród wszystkich białych miast Półwyspu jej matka postanowiła osiąść właśnie w tym, które budzi najgłębszą grozę. Zapewne po części stało się tak za sprawą Tulli. Staruszka umarła w cztery lata po ich przybyciu, zostawiając uciekinierce z wysp cały swój majątek, dom, warsztat i zapasy nici. Żyło im się dobrze. Kunszt Despiny szybko stał się sławny i każda panna z siedmiu wysokich rodów chciała mieć w posagowej skrzyni, choć jedną suknię ozdobioną haftem przez milczącą kobietę zza morza.

Yanni i Arachne wkrótce poznali dialekt Półwyspu i z ich mowy nie dało się zgadnąć, że urodzili się na odległych wyspach. Jednak nigdy nie stali się częścią Brionii. Kiedy szli wąskimi

kamiennymi uliczkami na targ albo do akweduktu, ich rude włosy przyciągały spojrzenia i zdawały się płońć pod wykuszami kupieckich kamienic. Czasami inne dzieci biegly za nimi, wykrzykując obelgi i rzucając kamieniami. Yanni wyrósł na dużego chłopca i potrafił je odpedzić. Arachne miała mniej szczęścia.

- Dlaczego nie możemy mieszkać gdzie indziej? - zapytała pewnego popołudnia, kiedy wróciła do domu w podartej sukience i z policzkiem rozciętym okrucnem skały.

Ręka, która przemywała jej ranę, znieruchomiła na moment. Matka nie odezwała się jednak.

- I tak nas tutaj nie chcą - nalegała dziewczynka. - Na ulicy wołają za mną „przybłęda” i „strega”. Czy nie możemy po prostu wrócić do siebie?

Despina chwyciła córkę za brodę i gwałtownie szarpnęła jej twarz ku górze.

- Nigdy więcej tak nie mów - rzuciła ostro. - Tutaj też jesteś u siebie.

Matka nieczęsto unosiła się gniewem, toteż Arachne przestraszyła się Despiny bardziej niż gromady urwisów z sąsiedztwa. Krew spływała jej po policzku cienką, gorącą strużką. Bała się jednak rozplakać. Despina rzadko pozwalała córce na łzy.

Po chwili twarz hafciarki złagodniała nieco. Być może sprawił to rozradowany głos Yanniego, dobiegający przez drzwi z wewnętrznego ogródka, gdzie chłopak pił wino i ucierał farby ze starym Gennarem. Despina częściej się uśmiechała, odkąd siwowłosa mistrz postanowił przyjąć chłopca do swojej bottegi. Owszem, kochała Arachne i cierpliwie uczyła ją tajników hafciarskiego kunsztu, choć dziewczynka nudziła się szybko, a jej palce plątały cieniutkie nici. Ale po śmierci męża serce Despiny zamieszkało w jej rudowłosym synu.

Matka zebrała kilimy i hafty z lady, którą za dnia stawiała się dolna okiennica, i zamknęła okno na mosiężny haczyk. W wielu domach rygli i zamków strzegły demony, splecione z metalem przez pomniejszych magów i sprzedawane pospolicie na targowisku u Porta dei Ferraii. Jednak w domu Despiny nie było magii. Nawet kołatka o głowie wyrzeźbionej w kształt ognistego smoka była jedynie zwyczajnym kawałkiem metalu, a w trójnogu z żarem nie zaklęto żadnej ognistej salamandry, aby w zimowe noce ogrzewała domowników swym oddechem.

- Posłuchaj mnie bardzo uważnie - powiedziała z naciskiem hafciarka. - To twoje miasto, bardziej niż jakiegokolwiek inne z miejsc. Brionia należy do ciebie i będzie należała, dopóki pozostanie, choć jedna ze skał, na których wspierają się fundamenty świątyń.

Arachne przypatrywała się matce ze zdumieniem.

- Kiedyś dawno temu - Despina odchyliła głowę i przymknęła powieki - w Brionii nie było cytadeli. Nie było też żadnego maga, aby panował stąd nad Costa dei Gabbiani. Cały Półwysep należał do księcia o imieniu Duilio i do jego pani, Sirocco, która mieszkała daleko na morzu, na wyspie strzeżonej przez tysiąc wichrów. A Sirocco znała imię każdego z wichrów i każdy z nich pragnął jej służyć.

Dziewczynka zmarszczyła brwi. Znała to imię. W całej Brionii matki straszyły nim nieposłuszne dzieci i raz po raz w Vicolo delle Tessitrici, Zaułku Tkaczek, rozlegał się czyjś rozsierzony krzyk: - Jeśli nie będziesz grzeczny, nocą przybędą demony Sirocco i cisną cię w sam środek oceanu!".

- To były dobre czasy - ciągnęła matka. - Najlepsze. Magowie zbyt lękali się Duilia, aby toczyć swe bezsensowne wojny, a demony mieszkaly pośrodku morza, z dala od ludzkich siedzib. Księżę pragnął tworzyć rzeczy trwałe i piękne, więc spajał demony własną krwią, aby nigdy nie zdołały się uwolnić i uciec ponad księżyc. Ale kiedy zestarzał się i osłabł, magowie zbuntowali się przeciwko niemu i w grotach pod skałami Brionii poczęli tworzyć golemy...

Arachne skinęła głową. Znała tę część historii. Znał ją każdy na Półwyspie.

- Duilio zginął tuż przy brzegu morza. Sirocco zdołała uciec z pola bitwy, unosząc w ramionach jego atlas nieba, gdzie zapisano wszystkie sekretne zaklęcia, loty komet i powłoki nieba, a także imiona demonów, co mieszkają wysoko pomiędzy gwiazdami. Popłynęła w głąb oceanu, aż do wyspy, którą jej mąż wydzwignął z morskiego dna. Tam się ukryła, w pałacu strzeżonym przez demony wichrów. Ale buntownicy ruszyli za nią w pościg. Było ich tak wielu, że maszty okrętów wyglądały jak potężny las na gładkiej tafli oceanu.

Dziewczynka wiedziała, co usłyszy dalej. Dzieci z Vicolo delle Tessitrici rzadko dopuszczały ją do swoich zabaw, lecz ukryta pod ciężkim nawisem winorośli patrzyła z oddali, jak odgrywają wielką wojnę magów. W pelerynach ze starych tunik i z workami wichrów ze świńskich pęcherzy przybierały role książąt z Costa dei Gabbiani, którzy trzy pokolenia temu zbuntowali się przeciwko tyranii Duilia. Każde chciało, choć na chwilę stać się Ercole, ojcem Severa, księcia-maga, który teraz panował nad Brionią. Ercole był najpotężniejszym z magów i czwartego dnia bitwy zabił Duilia pojedynczą strzałą na skraju Pianura Grigia. Później wznosił na nadmorskiej skale cytadelę i w jej cieniu zbudował Brionię, najpiękniejsze ze wszystkich miast Półwyspu. Jego rola nieodmiennie należała do Assunty, czarnowłosej córki szewca, która

twierdziła, że jej pradziad pożeglował wraz z innymi na Isola di Tutti Venti, gdzie schroniła się małżonka Duilia - strega o imieniu Sirocco.

Żadna z dziewczynek nie chciała odgrywać roli Sirocco. Ostatecznie musiał nią być zeszłoroczny chochoł, skradziony z szopy za domem Crescenza, strzecharza. Po skończonej zabawie wszyscy rzucali się na kukłę z kijami i tłukli, aż odpadały wielkie wiechcie słomy. Nigdy jednak nie niszczonej jej całkowicie i niezadługo Arachne znów widziała, jak dzieci wyciągają z ukrycia kukłę Sirocco, coraz cieńszą i coraz bardziej steraną. I marzyła, że pewnego dnia Assunta pozwoli jej przyłączyć się do zabawy i wraz z innymi będzie mogła uderzać w słomianą twarz stregi, póki jej ręce nie omdleją.

- Nic nie mogło ich powstrzymać - mówiła dalej matka - ponieważ Duilio nie żył i jego magia topniała z każdą chwilą. I wtedy Sirocco wyszła na nadmorskie skały i zaczęła śpiewać, zwołując do siebie demony wichrów, które krążyły nad wyspą, otępiałe i przerażone. Splótszy je w pojedynczy bicz, pchnęła je przeciwko flotylli w największym z huraganów, jaki kiedykolwiek oglądano. Tylko jeden ze statków ocalał, ponieważ zabójca jej męża był magiem i wichry nie zdołały go zatopić. Ercole przeżył, a z każdym pokonanym demonem jego moc rosła. Kolejno chwycił wichry, pętał je zaklęciami i obracał we własnych niewolników. Aż Sirocco zrozumiała, że nie może go pokonać. Wezwała ostatnie z demonów, aby uniosły jej dzieci, trzech synów Duilia, i ukryły je daleko od Półwyspu i książąt-magów, gdzie Ercole nigdy nie uda się ich odnaleźć.

Arachne zmarszczyła brwi. Tego nie było w zabawach dzieci ani w opowieściach Genara, który, jeśli wypił wystarczająco wiele wina, sadzał ją sobie na kolanach i snuł stare baśnie.

- Z północy nadbiegł etezje i porwał najstarszego syna Sirocco wysoko w góry, gdzie nie żyje nikt, prócz dzikich kozic. Znad wschodniego krańca morza podniosła się laventera, która wypełnia żagle rybaków, i zabrała średniego z synów na morze, na jedną z owych zaklętych wysp pośrodku oceanu, dokąd nigdy nie docierają żeglarze. Na końcu znad pustyni przyfrunął sirocco, jej imiennik, i uniosł najmłodszego z synów Duilia daleko na północ, na obcy brzeg. - Despina podniosła powieki i spojrzała na córkę. - I on właśnie był twoim pradziadem.

Dziewczynka podskoczyła, jakby Yanni zacisnął w ciemności mokre palce wokół jej kostki. Kiedy była całkiem mała, brat zaczął się pod łóżkiem i godzinami czekał, aż we śnie wystawi stopę spod wełnianej kołdry. Arachne uwielbiała, gdy ją straszył.

Ale Despina nigdy nie przyłączała się do podobnych zabaw. Arachne nie rozumiała, po co teraz wymyśliła tę przerażającą historię.

- To nieprawda? - odważyła się zapytać. - To tylko taka opowieść, mamó?

Hafciarka potrząsnęła głową. W milczeniu mierzyła córkę spojrzeniem fiołkowych oczu, niepodobnych do żadnych innych w całej Brionii. Z początku sporo mężczyzn przychodziło do warsztatu z powodu tych oczu. Jednak Despina, nieodmiennie okryta ciężkim, wdowim welonem, z jednaką uprzejmością odpowiadała, że jej mąż Merigo został na morzu. W końcu przestali przychodzić. Nawet w Brionii niewiele dało się poradzić na nierozważny upór kobiet.

- Cała reszta jest kłamstwem - odpowiedziała wreszcie hafciarka. - Tylko ta opowieść jest prawdziwa.

W wirydarzu rozległ się głośniejszy wybuch śmiechu. Zapewne Gennaro osuszył już dzban i niedługo Yanni będzie musiał go odprowadzić do domu. Arachne wydawało się, że ostatnimi czasy mistrz pije coraz więcej. Kilka razy widziała go, jak w samym środku dnia śpi na ulicy, w podcieniach kamienicy albo oparty o brzeg miejskiej sadzawki. Jednak ani matka, ani Yanni nie wspominali o tym ani słowem.

- Sirocco nie była stregą. Nie była także demonem splecionym ze śmiertelnym człowiekiem ani żadnym innym złem, ściągniętym przez magów z wysokiego nieba. I rzuciła się w morze z najwyższej skały Isola di Tutti Venti, aby Ercole jej nie pochwycił.

Arachne milczała, mnąc w palcach zakrwawioną szmatkę. Była pewna, że opowieść jest prawdziwa - Despina nie miała zwyczaju kłamać. Dziewczynka nie wiedziała jednak, co zrobić z tą straszliwą, nieprawdopodobną prawdą.

- Zdołała jednak ocalić swoich synów. Ich oczy były błękitne od magii, a cały Półwysep stanowił ich dziedzictwo. Wtedy i teraz. Dopóki któryś z nich nie wróci, aby przepędzić samozwańczych magów i odebrać swoją własność.

Z głębi ogródka dał się słyszeć nagły łoskot, trzask rozbijanego dzbana i stłumione przekleństwa. Mistrz Gennaro najwyraźniej nie zamierzał przespać u nich wieczornego żaru, bo podniósł się i człapał ku kuchni, podpierany przez rudowłosego syna hafciarki.

- Czy Yanni...? - zapytała dziewczynka.

Despina drgnęła, jakby ocknęła się ze snu.

- Cicho! - Pochwyciła Arachne za ramiona i potrząsnęła mocno. - Obiecaj, że nigdy nie będziesz o tym mówić. Z nikim. Nawet z Yannim. Obiecaj mi na śmierć Meriga!

Arachne przeraziła się jeszcze bardziej. Matka nigdy nie wspominała o ojcu.

- Obiecuję - zdołała wykrztusić, zanim Yanni wtoczył się do izby, niemal niosąc siwowłosego malarza.

- Odprowadzę mistrza - rzucił chłopiec przez ramię, a Gennaro zawtórował mu niezrozumiałym bełkotem.

- Dobrze. - Despina podniosła się i wygładziła suknię. - Ale nie spóźnij się na wieczerzę.

- A co się stało z atlasem nieba? - zapytała Arachne, kiedy w Vicolo delle Tessitrici uci-chły już ciężkie kroki mistrza.

- Tego nikt nie wie - rzekła sucho matka i zaczęła trzaskać przy kuchni garnkami na znak, że rozmowa skończona.

Wieczorem Arachne znów patrzyła z blanków Beluardo dei Gufi na morze. Jednak, kiedy cień sięgnął jej stóp, odwróciła się ku cytadeli maga, która na szczycie góry wznosiła się ponad miastem jak olbrzymie, mroczne gniazdo drapieżnego ptaka. I pierwszy raz ciemność wydała się jej mniej przerażająca.

- Nie bój się - powiedział Yanni, kiedy wreszcie zdołał ją odnaleźć. - Nigdy cię nie zostawię samej.

- Nie boję się - odparła i była to prawda, choć brat roześmiał się tylko i nie uwierzył.

Jednak tamtego wieczoru Arachne naprawdę nie czuła lęku i postanowiła zawrzeć z Brionią krótki rozejm. Ostatecznie było to jej miasto i miało kiedyś należeć do Yanniego - oraz do niej.

* * *

Przez następne trzy lata mistrz Gennaro rozpił się do reszty. Nigdy nie był szczególnie biegły w swej sztuce. Książę od lat nie zapraszał go do cytadeli, ale teraz stary malarz nie dostawał już zleceń w domach wielkich rodów ani nawet w mieszczańskich kamienicach. Z rzadka udało mu się wykonać krotochwilne malowidło na ścianie gospody, bo oberżyści wiedzieli, że będzie ich kosztował kilka dzbanów rozcieńczonego wina, zeschłe podpłomyki i odrobinę oliwy do maczania chleba. Zazwyczaj jednak siedział w lupanarze i kreślił węglem na sosnowej desce wizerunki ladacznic, a one śmiały się i rzucały mu resztki ze stołu, jak oswojonej małpce.

Bottega rozsypała się. Najzdolniejsi z uczniów przystali do innych mistrzów, reszta rozbiegła się po Półwyspie w poszukiwaniu zajęcia. Tylko Yanni został przy Gennarze - wprawdzie powszechnie uważano, że hafciarka Despina jest zacną, uczciwą kobietą, ale żaden inny malarz nie chciał wziąć do terminu jej rudowłosego syna. W Brionii nigdy nie ufano obcym. Teraz zaś po mieście krążyły słuchy, że jeden z południowych magów szykuje bunt przeciwko ich księciu, więc ludzie podejrzliwie patrzyli na przybyszów. Owszem, w porcie znalazłby się zapewne zdesperowany cieśla czy bednarz, który nająłby do terminu chłopaka wdowy, bo Yanni był silny i odziedziczył po matce zręczne palce. Ale nie takiej przyszłości chciała dla niego Despina. I nie takiego mistrza potrzebował Yanni.

Coraz częściej chłopak znikał na całe dni. Nie mówił, dokąd idzie. Zakradał się do domu po zmroku, w poplamionej tunice, cuchnąc winem. Arachne słyszała, jak obija się w kuchni o sprzęty, trzaska misami, wygrzebuje z garnków resztki wieczery. W końcu walił się na posłanie w swojej izdebce nad warsztatem i spał aż do południa. A następnego dnia znów wymykał się z domu, zanim Despina zdołała go zapytać, dokąd chodzi.

Jednak tamtego dnia wrócił wcześniej.

Arachne siedziała przy oknie, wyszywając na paśmie Inianego sukna czarne konie, które zdobiły herb Arnolfinich. Matka powierzała jej czasami pomniejsze roboty, a tym razem zamówienie było naprawdę znaczące: najmłodsza z córek Arnolfinich miała za dwa tygodnie wstąpić do klasztoru szarych mniszek, zatem jej ojciec postanowił obstalować wyprawę odpowiednią dla godności rodziny.

Warsztat był zamknięty, jak co roku w rocznicę dnia, kiedy przyłynęli do Brionii. Despina siedziała w mrocznym kącie izby, bo kaganek zgąsł wiele godzin temu, przy stole zasłanym kawałkami barwnych materii, zwojami nici, drewnianymi ramami, kłębami wełny. Od rana nie odezwała się ani słowem. Być może rozmyślała o domu, pozostawionym po drugiej stronie morza, albo o mężu, który nigdy nie przybył do Brionii. Arachne nie śmiała jej zagadnąć. Matka nie była rozmowna, a tego dnia wydawała się jeszcze odleglejsza niż zwykle.

Dziewczyna pracowała w milczeniu. Czasami tylko zerknęła znad ściegu ku matce, ale myślami była zupełnie gdzie indziej - przy synu Crescenza. Chłopak zaczepił ją wczoraj u studni i zaprosił na zabawę przed oberżą. Jeszcze zeszłej jesieni żaden chłopiec z Vicolo delle Tessitrici nie oglądał się za rudowłosą córką hafciarki. Jednak przez zimę Arachne wystrzeżliła w górę jak młody pęd i nabrała kształtów. Miała prawie czternaście lat. Stosowny wiek, aby włożyć długą

suknię i tańczyć aż do późnej nocy na placu oświetlonym setką lampionów, a może nawet pozwolić się ukradkiem pocałować synowi strzecharza.

Zastanawiała się, czy zdoła namówić Yanniego, aby wybrał się z nią na zabawę. Bo była pewna, że matka nie puści jej samej ani tym bardziej w towarzystwie jednego z tych czarnowłosych urwisów, jak Despina zwykła nazywać potomstwo sąsiadów. Ale Yanni na pewno ulegnie prośbom. Ostatecznie Arachne była jego małą siostrzyczką.

Podskoczyła na dźwięk otwieranych drzwi. Yanni stał na progu. Policzki miał zaczerwienione od wina i pokryte kilkudniowym zarostem, tunikę brudną i poszarpaną na boku. Przemierzył warsztat kilkoma szybkimi krokami i wyrwał coś matce z dłoni.

- Znowu to robisz? - zapytał ze złością, unosząc płaski, oprawny w skórę przedmiot. - Czy chcesz, żeby nas wszystkich ukamienowano przez twoją głupotę?

- Oddaj. - Despina wyciągnęła w górę ręce, ale Yanni odtrącił je bez trudu. - Oddaj - powtórzyła z błaganem w głosie. - To tylko brewiarz. Nic więcej nie zostało mi po waszym ojcu.

Arachne ze zdumienia upuściła robótkę. Yanni trzymał w dłoni księgę, kodeks magów, pełen zaklęć i tajemnych znaków.

- Nie obchodzi mnie, co to jest - syknął przez zaciśnięte zęby. - I strażnicy też nie będą o nic pytać, kiedy powloką nas wszystkich do lochów pod Torre dei Falconi. Wystarczy, że cię przyłapią na zakazanych sztukach.

- Nie jestem...

- Wszystko jedno, kim jesteś - przerwał brutalnie chłopak. - Łamiesz rozkaz księcia.

- Nie dbam o barbarzyńskie zakazy Severa. - Despina podniosła się, a na jej twarzy wystąpiły czerwone plamy. - Kiedy się urodziłeś, wpisałam do tej księgi twoje imię, a twój ojciec odczytał modlitwę do Jedynego, aby twoje życie było długie i szczęśliwe. Podobnie jak wcześniej zrobił jego ojciec i jak kiedyś ty uczynisz dla swojego pierworodnego. W tej księdze nie ma ani odrobiny magii, tylko pamięć i modlitwa. I nie pozwolę jej odebrać wyłącznie, dlatego, że Severo lęka się, aby kiedyś nie urodziła się druga Sirocco.

- Nie rozumiesz, matko - Yanni potrząsnął głową, ale gniew zniknął z jego głosu - że nie będą cię słuchać? Być może książe zechce okazać litość, bo urodziłaś się z dala od Brionii i nie ma w tym twojej winy, że nauczono cię zakazanych znaków. Wyklują ci oczy, jak córce kapitana z Centocchio. Zeszłej jesieni pochwycono ją nad księgą i ukarano, choć jej kraj leży nad ujściem

Fiume Bianco, gdzie nie sięga władza Severa. Wszyscy mówili, że sama jest sobie winna. Nawet ludzie jej ojca. Bo w Brionii panuje prawo Severa i każdy, kto postawi stopę na jego ziemi, musi go przestrzegać. I nikt nie będzie litował się nad stregą.

- Nie jestem wiedźmą! - Despina wyrwała mu książkę i przycisnęła ją mocno do piersi.

Arachne wodziła pomiędzy nimi przestraszonym spojrzeniem. Zdarzało się, że Gianni drwił z matki, z jej ciężkich sukni o obcym kroju i dziwacznych zwyczajów. Nigdy jednak nie spierali się równie gwałtownie.

- Przejrzyj na oczy, matko - powiedział ze znużeniem Gianni. - Ludzie już teraz gadają, że jesteś stregą. Tak samo jak stara Gallinetta, która mieszka pod cmentarnym murem. Straszą dzieci twoim urocznym okiem. Nocami zakradają się pod nasze okna, aby zobaczyć, jak przywabiasz demony. Jesteś obca i nigdy nie dopuściłaś ich do siebie, więc tylko czekają na powód. Jeśli musisz zatrzymać tę książkę, schowaj ją głęboko w kufrze i strzeż jej jak źrenicy oka, bo inaczej sprowadzisz na nas wszystkich zgubę. A przede wszystkim na nią. - Pokazał na Arachne, która wciąż kuliła się na niskim stołeczku. - Jak myślisz, co się z nią wówczas stanie?

- A gdzie ty wtedy będziesz? - spytała zniecierpliwiona Despina, - Tego dnia, gdy żołnierze Severa przyjdą mnie zabrać do Torre dei Falconi?

Gianni zmienił się na twarzy. Despina miała tę dziwną zdolność, że poprzez wszystkie wypowiedzane słowa sięgała prosto do sedna.

- Zaciągnąłem się do armii. - Zadarł brodę i starał się panować nad drżeniem w głosie. - W przyszłym tygodniu odpływamy.

- Nie! - krzyknęła bezwiednie Arachne. Despina bez słowa patrzyła na syna.

- Na co mam tutaj czekać? - zapytał ze złością Gianni.

Dwa dni temu poszedł pod Beluardo dei Gufi, gdzie siedzieli księżęcy łapacze. Bał się wrócić do warsztatu i powiedzieć matce o powziętej decyzji. Zaszły się, więc w gospodzie i sumiennie roztrwonili całe srebro wypłacone przy zaciągu. Teraz wino dodawało mu odwagi.

- Aż mistrz Gennaro zapije się do reszty albo utopi w cysternie? - ciągnął coraz bardziej zapalczywie. - Albo aż mnie ktoś nocą pchnie nożem w gospodzie? Ja nie mogę się ukryć za wdowią szatą ani wytyczyć haftem granicy, poza którą nikt nie wejdzie. Nic tu nie mam. Ani rzemiosła, ani przyjaciół, ani szacunku ludzi. Jaka więc tu jest dla mnie przyszłość, matko, oprócz nędzy i marnej śmierci?

Hafciarka wciąż się nie odzywała. Yanni pochylił się nad stołem i zaczął mówić szybciej, biorąc jej milczenie za zachętę.

- To tylko jedna wyprawa na południe, nie więcej - tłumaczył gorączkowo. - Widziałem w porcie okręty Severa. Na całym Półwyspie nie ma potęgi, która mogłaby stawić im czoło. Wrócę jeszcze tego lata, mamó. Nic mi się nie stanie. Obiecuję.

Wargi Despiny drgnęły nieznacznie, jakby mozolnie próbowała wypowiedzieć jakieś słowa. Arachne dała bratu znak, aby zamilkł. Jednak Yanni tego nie spostrzegł, zajęty własną przemową.

- Muszę im pokazać, ile jestem wart - mówił łamiącym się, chłopięcym głosem. - Że jestem jednym z nich, a nie przybłędą zza morza. Wtedy zaczną nam ufać i wy też będziecie bezpieczne. Nikt nie odważy się was skrzywdzić, jeśli będę walczyć dla Severa. A ja wrócę, zobaczysz, mamó, że wrócę z sakwami pełnymi łąpów, złota i drogich kamieni. Będziemy bogaci. Kupię dla was winnicę na południowym zboczu góry, gdzie nie sięga cień cytadeli, i nigdy już nie będziesz musiała wyszywać dla obcych, mamó... - Urwał, wyczerpany.

Arachne słuchała w zdumieniu, nie rozumiejąc, jak Yanni może być tak głupi. Zdarzało się jej z daleka patrzeć na starych żołnierzy. Siedzieli w podcieniach karczem dla najemników czy lupanarów, usuwając w cień kikuty rąk albo pogruchotane nogi. Jeśli ktoś rzucił im kilka miedziaków do glinianej miseczki lub postawił dzban wina, potrafili snuć cudowne opowieści. Mówili o wyprawach w dzikie rubieże Monti Serpillini, gdzie poza Passo dei Lupi polowali na bezgłowych Ambarytów, stregi i inne potwory. Palcem umaczanym w winie kreślili na drewnianych blatach wizerunki mantikor, salamander i wodnych starców z trójzębem w dłoni. Opowiadali o stepach daleko za ujściem Centocchio, gdzie trawy są błękitne, a w rzekach mieszkają przedziwne potwory z baśni, latające ryby i skrzydlate wróżki, które śpią w kielichach kwiatów.

Ale żaden z nich nie dorobił się winnicy na południowym zboczu góry. Nie mieli nic, prócz łachmanów na grzbiecie i cudownych opowieści, które wymieniali na czerwone wino.

- Nie możesz tego zrobić - odezwała się martwym głosem Despina. - Walczyć dla Severa.

- Wiedziałem, że nie zrozumiesz! - wykrzyknął Yanni i odwrócił głowę, ale Arachne zobaczyła, że w oczach ma łzy.

Zaczerpnęła głęboko powietrza. Teraz mu matka powie, pomyślała ze strachem. Powie mu o Sirocco i całej reszcie.

Lecz Despina tylko mocniej zacisnęła palce na magicznej księdze.

- On nie jest nawet twoim księciem - wyszeptwała.

Yanni opanował się z wysiłkiem.

- Ale będzie nim, kiedy wsiądę na jego okręt. Wiedziałem, że nie zrozumiesz - dodał gorzko, po czym krętymi schodkami ruszył do swojej izdebki.

Arachne podeszła do matki i nieśmiało dotknęła jej ramienia.

- Ani słowa! - rzuciła ostro Despina.

Zasłoniła dłońmi księgę, nie dość jednak szybko, i dziewczynka dojrzała dziwny srebrny wzór na grzbiecie.

- Idź stąd, Arachne - powiedziała bardziej miękko matka. - Zostaw mnie teraz samą.

W izdebce Yanniego panował półmrok. Niewiele światła wpadało przez wąskie okienko w dachu, a w powietrzu unosiła się woń kurzu, siana i skwaśniałego wina.

Yanni zdjął tunikę i mył się nad miską. Arachne wzięła dzbanek, a kiedy podeszła bliżej, zobaczyła na żebrach brata trzy szramy od sztyletu. Najdłuższa była świeża, pokryta ledwie zaschniętym strupem.

Nagle uderzyła ją myśl, że to nie były tylko dziecięce pogróżki. Jej brat odpłynął na białym okręcie Severa i nigdy nie wróci. Matka nie zdoła go zatrzymać. Był dorosłym mężczyzną i mógł uczynić, co zechce.

- Naprawdę nie powinieneś tego robić - przemówiła cicho, polewając mu plecy nagrzaną wodą. - Zostawiać nas.

Yanni odwrócił się do niej i wziął świeży lniany ręcznik. Przez chwilę miała wrażenie, że ją przepędzi, ale jego twarz szybko złagodniała. Usiadł na skraju łóżka i oparł dłonie na jej ramionach.

- Nie mogę tu zostać, Arachne - powiedział poważnie. - To miasto jest pułapką, zastawioną na nas wszystkich. Kiedyś cień stanie się tak głęboki, że zasłoni nam oczy i stłumi oddech. Muszę uciekać, kiedy jeszcze potrafię żyć pod słońcem.

- Nigdzie nie uciekniesz. Będziesz tylko walczył dla Severa.

Nie zezłościł się. Chyba nie spostrzegł nawet, że mu się sprzeciwiła.

- Trzy dni temu widziałem go na placu. Wyjechał przed Palazzo Ducale do żołnierzy. Był w zwyczajnym czarnym kaftanie, z odkrytą głową i krótkim mieczem u pasa. Za nim stali kondotierzy - Ubaldo Żelazna Ręka, Nevio di Mare Ultimo i Gianetto l'Orso - wszyscy w srebrzystych puklerzach i morionach. Ale Severo i tak wydawał się dwa razy większy. Nie umiem

tego wytłumaczyć - zawahał się. - Arachne, nigdy nie widziałem kogoś podobnego. Kazał wytoczyć do ogrodu beczki wina, a potem zsiadł z konia i chodził pomiędzy nami. Rozmawiał i przepijał do każdego, kto miał dość śmiałości, aby go pozdrowić. Bez zbroi, bez magicznego płaszcza czy innych cudownych broni. Jakby nie przeszło mu przez myśl, że ktoś go może pchnąć sztyletem w plecy. Jak gdyby nic nie mogło go osiągnąć.

Arachne kiwnęła głową, choć nigdy nie widziała maga, który mieszkał w cytadeli ponad miastem. Owszem, podczas Festa dei Fiori w ogrodach Palazzo Ducale odbywała się huczna zabawa i heroldowie zapraszali na nią wszystkich godnych mieszczan. Ale życie Arachne upływało w mrocznym warsztacie, urozmaicane jedynie wyprawami na targ, do studni albo portu. Despina stroniła od uciech i nie wypuszczała się dalej niż na skraj własnej dzielnicy. Właściwie, zrozumiała nagle dziewczyna, nigdy nie chodzimy na wysokie place, na Tratto Principesco lub do teatrów przy górnym zakolu murów. Matka trzyma się z daleka od miejsc, gdzie mogłoby spocząć na nas oko Severa.

Na chwilę opanowała ją przemożna chęć, aby opowiedzieć Yanniemu, że pochodzą od Sirocco i Brionia jest w istocie ich dziedzictwem. Powstrzymała się jednak. Dała słowo, a ta historia należała do ich matki. Despina wiedziała lepiej. Z pewnością miała powód, aby trzymać ją w tajemnicy przed synem.

- Jaki on jest? - spytała, aby pokryć zmieszanie. - Severo.

- Wysoki, wyższy ode mnie - odparł Yanni. - Ma ciemne włosy, jak ludzie z Brionii, i oczy błękitne jak niebo. Zdają się przewiercać człowieka na wylot, przenikać wszystkie myśli. Ale poza tym wygląda jak każdy inny człowiek. Nie ma twarzy ognistego demona ani lwich szponów zamiast dłoni. Jest tylko... - urwał.

Najpotężniejszym magiem Półwyspu, dokończyła w myślach Arachne. I właśnie nam cię odbiera.

- Gdybyś go wtedy widziała... - podjął Yanni. - Gdybyś, choć raz widziała magię w jego oczach, wiedziałabyś, że wrócę. Nikt nie zdoła pokonać Severa i południowe księstwa też się przed nim ugną. Wtedy cię stąd zabiorę i nigdy więcej nie zobaczymy tego miasta.

- Dlaczego idziesz walczyć dla księcia, skoro tak bardzo nienawidzisz Brionii?

- Nie nienawidzę jej! - Yanni roześmiał się. - To piękne miasto i najpotężniejsze ze wszystkich. Ale jeśli zostaniemy tu dłużej, cień pochłonie nas na zawsze.

Wzdrygnęła się.

- Cień cytadeli?

Yanni zmierzwił jej włosy.

- Zawsze się go bałaś. - Przyciągnął siostrę i posadził na krawędzi łóżka, tuż obok siebie.

- A matka podsycala w tobie strachy, choć nie wiem doprawdy, dlaczego. Ale teraz stałaś się prawie dorosła i powinnaś wiedzieć, jak rzeczywiście jest. Ciemność to nie przekleństwo ani pułapka. Severo utkał zasłonę z mroku i demonów, aby chroniła Brionię skuteczniej niż cyklopowe mury i zastępy żołnierzy. Dlatego jesteśmy tutaj bezpieczni. Bo bez zgody księcia nikt nie może przekroczyć bram miasta - ani człowiek, ani demon.

- Nawet za dnia? - zapytała, wstrzymując oddech.

Przestraszyła się nagle, że powietrze spali jej płuca trującym wyziewem demonów.

- Nawet, kiedy słońce świeci tak jasno, aż łzawią oczy. Severo jest zbyt subtelny, aby jego magia była po prostu ciemnością nocy. Mrok cytadeli nieustannie spowija miasto i to dzień jest porą demonów, nie noc. Każdego dnia o świcie książę zwycięża mrok, pozwala, by słoneczne światło przesączało się przez zasłonę demonów. Jednak bariera pozostaje, jak przezroczysta szklana misa kryje nas przed mocą nieprzyjaciół. Czy teraz rozumiesz?

Zakręciło się jej w głowie, przed oczami zawirowały ogniste i czarne kręgi.

- Co ci jest, Arachne? - Yanni złapał ją za ramiona.

Otworzyła usta i ze świstem wciągnęła powietrze, a potem rozkaszała się spazmatycznie.

- Nic - wykrztusiła wreszcie. - Zachłysnęłam się.

Brat przyglądał się jej podejrzliwie.

- Dziwna z ciebie dziewczyna. - Potrząsnął głową. - Czasami zdaje mi się, że was w ogóle nie znam. Ani matki, ani ciebie. Ale mrok jest tutaj, w tym zakurzonym warsztacie i w sercu naszej matki. Despina siedzi tu jak pająk w ciemnych kątach, nie dbając o nic, prócz swoich nici. Jednak ty nie powinnaś żyć w ten sposób. I kiedy jesienią powrócę z sakiewką pełną złota, zabiorę cię stąd daleko, siostrzyczko. Mrok naszego domu jest niebezpieczniejszy niż wszystkie demony Severa. Nie pozwól, aby cię pochłoniął.

* * *

Yanni odpłynął z żołnierzami Severa na południe, ale nie powrócił jesienią. Zbuntowani książęta bronili się zaciekle przez wiele miesięcy. Każdego dnia o zmierzchu Arachne wkładała długi płaszcz z szarej wełny i szła w dół wąskimi uliczkami Brionii po zboczu góry, a potem przez Lido di Capra. Stała na gładkich kamieniach nabrzeża, obserwując statki przybijające do brzegu w ostatnich promieniach słońca i łudząc się, że nad burtą jednego z nich zobaczy twarz brata. Jednak nigdy się tak nie stało.

Mieszkały daleko od portu i było późno, kiedy wracała do domu. Ale Despina wciąż tkwiła w oknie, z rozpaczliwą nadzieją wpatrując się w ciemność. Arachne musiała powoli rozprostowywać palce matki, zaciśnięte na krawędzi okiennicy. Jak ślepcą prowadziła ją do stołu, wtykała jej w dłoń płótno. Dopiero dotyk igły i nici budził hafciarkę z odrętwienia. Machinalnie wygładzała materiał, wodziła palcami po wzorze. Zanim Arachne rozdmuchała żar na wygasłym palenisku, Despina haftowała z tą samą biegłością, która przed laty zachwycała Tullę. Jednak jej umysł błądził gdzieś daleko i nie rozpoznawała córki, kiedy ta podsuwała jej miskę bobu doprawionego czosnkiem i oliwą.

Za dnia siadały obok siebie, przy krośnie, wielkiej drewnianej ramie do haftowania albo przy stole zasłanym wielobarwnymi motkami nici, pracując zaciekle i bez słowa. Arachne ani się spostrzegła, jak zaczęła upinać włosy w ciasną koronę na szczycie głowy i zakrywać je ciemną chustką. Jej suknie mimochodem przybrały barwę popiołu, potem świeżo skopanej ziemi, a nim nastąpiła wiosna, stały się zupełnie czarne. Kiedy szła o poranku po wodę do studni, dzieci uciekały przed nią i kryły się w zaułkach, jak niegdyś przed jej matką.

Co dziwne, szaleństwo Despiny nie budziło strachu. Tego lata nikt nie nazywał jej stregą, choć coraz więcej czasu spędzała nieruchomo w oknie, spoglądając wypełzłymi oczami prosto w słońce. W Brionii rybacy często nie powracali z morza, a Severo prowadził wojny od wielu lat i mieszkańcy miasta przywykli do rozpaczy matek.

Sąsiedzi zaczęli wieczorami znów zachodzić pod warsztat hafciarki. Kobiety zapraszały Arachne na darcie pierza i wicie kwiatnych girland, którymi co niedzielę przystrajano posąg Najwyższego w wielkiej świątyni. Mężczyźni rąbali drewno na opał, pobielili ściany i pomagali dziewczynie w cięższych pracach, a syn Crescenza bywał u niej częściej niż inni. Arachne nie umiała się jednak cieszyć ich życzliwością, skoro zaskarbiła ją dopiero śmierć Yanniego.

W rok później, gdy zaczęły wiać jesienne wichry, wojna skończyła się na dobre. Arachne zrozumiała, że jej brat nie wróci. W jakiś sposób wiedziała o tym, zanim człowiek Severa

przyszedł do ich warsztatu z sakiewką srebra, zapłatą za roczną służbę. Wzięła w zimne palce ciężki mieszek z baraniego pęcherza i wysłuchała opowieści o śmierci brata. Nie wiedziała nawet, czy jest prawdziwa, choć ludzie mówili, że mag potrafi zajrzeć w płomień serca każdego ze swoich ludzi. Arachne nie rozumiała jednak, dlaczego Severo miałby przypatrywać się śmierci Yanniego, syna hafciarki. Dopiero w środku nocy, kiedy bezsennie przewracała się na twardym sienniku, pojęła jedną prostą rzecz, którą, na co dzień starała się spychać głęboko w toń pamięci.

Severo musiał przecież znać opowieść o trzech synach Sirocco, uniesionych przez demony wichrów i ukrytych przed wzrokiem Ercole. I być może książę-mag Brionii zdołał dostrzec w rudowłosym synu hafciarki coś więcej niż desperację wyrostka z ubogiej dzielnicy. Tak wiele, że postanowił go zabić. W odległym obcym miejscu, daleko od cyklopich murów Brionii.

Po omacku dźwignęła się z pośłania. Podniosła wieko matczyne kufra i wśród gładkich materii odszukała ten jeden przedmiot, który mógł jej pomóc. Magiczną księgę. Metalowe okucia były tak zimne, że niemal parzyły ją w palce. Ostrożnie zapaliła knot w lampce i przewróciła pierwszą kartę. Nic się nie stało. Żaden demon nie wyskoczył z pergaminu, pokrytego rzędami ornamentów, i nie sięgnął ku Arachne pazurami z żywego ognia. Ale też nie zdołała niczego zrozumieć. Daremnie wodziła palcem po stronicach, starając się wśród obcych kształtów rozpoznać własne imię, zakłete w ciąg magicznych znaków.

- Co robisz?

Arachne poderwała się.

Despina stała tuż za nią i z głową przekrzywioną na ramię przyglądała się córce. Włosy miała rozpuszczone i nieczesane od wielu dni, suknię wymiętą i poszarzałą. Ostatnio nie pozwalała się dotykać nawet Arachne.

- Chciałam odnaleźć moje imię.

Despina roześmiała się ciepłym, niemal dziewczęcym śmiechem i ku zaskoczeniu córki przytuliła ją nieznacznie.

- Nie tutaj, kochanie - powiedziała, po czym usiadła obok na ławie, odsunęła dłoń Arachne i zaczęła przewracać karty. - To modlitwa do Najwyższego. Litania jego imion, z których pierwsze i najpotężniejsze jest Jednością. - Ujęła palec Arachne i delikatnie po-

prowadziła go po rzędzie ciemnych znaków. - Bóg jest przyczyną, zasadą, substancją i życiem, i wezwaniem, i zmartwychwstaniem, odnową i przemianą. Tak właśnie napisano.

- Nie widzę, mam - Arachne poskarżyła się jak dziecko.

Despina szeptała jednak dalej do siebie:

- Jest życiem dla żyjących i trwaniem bytów. Zasadą i życiem każdego życia i substancji. Dzięki jego dobroci wszystkie byty istnieją, są powołane do życia i utrzymywane w istnieniu. On przywróci nam Meriga z głębi morza i wyzwoli nas spod mocy czarnoksiężników, którzy wielbią demony i skradli nasze dziedzictwo. Na końcu zaś sprowadzi na powrót Yanniego z obcych krain. - Uśmiechnęła się do siebie. - Tutaj zapisałam jego narodziny. Urodził się w czwartej kwadrze księżycy i miał oczy koloru letniego nieba. A to jego imię. - Przycisnęła palec dziewczyny do czterech znaków, nakreślonych ciemnym atramentem na marginesie książki. - Spójrz.

- Nie rozumiem tego.

- Nauczę cię, skarbie. - Matka objęła ją mocniej ramieniem. -Tutaj jest twoje imię. - Przesunęła opuszkę Arachne nieco niżej. -Wybrał je Merigo. Potem wziął cię nocą na brzeg morza i uniósł wysoko ku gwiazdom, aby wszystkie rozpoznały twoje imię. Poniżej zapiszesz kiedyś imiona swoich dzieci, tak samo, jak kiedyś uczyniła moja matka i matka mojej matki. Nauczę cię, kochanie. Powinnaś była dawno to uczynić. A teraz mogę nie zdążyć -dodała z zadumą.

- Masz jeszcze wiele czasu, mam - odpowiedziała przez łzy Arachne.

Despina tylko potrząsnęła głową.

- Nie sądzę, abym była dobrą matką - rzekła cicho. - Ale próbowałam was uchronić. Z całego serca próbowałam was uchronić. A Yanni był taki młody, taki jasny, i nie chciałam, żeby uczynił coś szalonego. I nie udało mi się. Ale dość o tym. - Płynnie nakreśliła jakiś znak na zakurzonej blacie stołu, tuż obok motka żółtej jedwabnej przędzy. - To alfa. Pierwsza litera twojego imienia. Początek i stworzenie świata.

* * *

Despina żyła jeszcze dziewięć miesięcy. Umarła pewnego jesiennego dnia, przy oknie, skąd nieustannie wyglądała Yanniego, i tak cicho, że Arachne spostrzegła to dopiero wieczorem, kiedy miały usiąść do wieczerzy. Kobiety z Vicolo delle Tessitrici zeszyły się o zmierzchu, aby umyć Despinę i przygotować do pochówku. Położyły ciało na stole uprzątniętym z nici, płótna, przędzy i barwnych skrawków materii. Arachne trudno było uwierzyć, że ta wysuszona starowinka, której posiwiałe włosy dały się zebrać w jeden chudy warkoczyk, jest naprawdę jej matką. Ale kiedy sąsiadki przygotowały lniany, pogrzebowy całun, powstrzymała je i wyjęła ze skrzynki przy łóżku wielką chustę. Wyszywała ją ukradkiem przez długie, gorące lato i chciała podarować Despinie w wigilię Festa dei Fiori, kiedy kobiety z całego Półwyspu tańczą przed białymi świątyniami Najwyższego i przystrajają jego posągi w girlandy z kwiatów i winne grona.

Gdy Arachne rozwinęła chustę, kobiety odsunęły się od niej z trwogą. Najstarsze wdowy, które przycupnęły na niskich stołeczkach u paleniska i odmawiały modlitwy za duszę zmarłej, przycichły nagle, zmyliły rytm słów. Tylko ogień trzaskał pod kominem.

Chusta była błękitna, w kolorze ultramaryny; na Półwyspie przynależał on jedynie magom i stanowił znak ich mocy. Ale kiedy kobiety spojrzały z bliska, zobaczyły, że płótno, utkane z najcieńszego lnu, pozostawiono białe. To nici były błękitne i pokrywały całe tło gęstym ścięciem, który mienił się i połyskiwał jak letnie morze. Smukłe rybackie łodzie z białego lnu o żaglach wypełnionych wichrem płynęły po nim na zachód. Na odległych wschodnich wyspach kobiety zbierały plon z winorośli i oliwnych drzewek. Chłopcy paśli na skałkach białe, krzyworoogie kozy. Brodaci kupcy pędzili drogą osły objuczone ciężkimi kosztami. Biły rozkołysane dzwony kościołów. Białe ryby wyskakiwały nad powierzchnię wody. Gdy Arachne nakryła matkę chustą, kobiety z Vicolo delle Tessitrici ujrzały cały wielki świat, który zamykał prostokątny wzór, spleciony z białych kwiatów róż i owoców granatu.

W Brionii nie znano podobnego haftu. Despina pokazała go córce, kiedy Arachne była jeszcze bardzo mała. Nigdy nie zdobiły nim wyprawnych sukni córek patrycjuszki ani obrusów i zasłon sprzedawanych w warsztacie. Dziewczyna wiedziała tylko tyle, że pochodził ze wschodu, z wysp, skąd przed wielu laty jej rodacy uciekli przed kapłanami w wielbłądzych skórach i ich ofiarnymi kołami.

- Stamtąd przy płynęliśmy - wyjaśniła z prostotą.

Jednak sąsiadki milczały, przerażone, jakby nawet patrzenie na zakazany błękit magów mogło sprowadzić nagłą śmierć. Dopiero Cettina, najstarsza w Vicolo delle Tessitrici, podniosła się ze stołeczka przy ogniu. Z trudem przykuśtykała do stołu i ujęła głowę Despiny w kručze, powęźlone palce.

- Przybyły z daleka - rzekła starczym głosem. - I nie nam sądzić ich obyczaje. Ale jesteśmy tutaj, aby usłużyć tej, która odeszła, tak jak ona służyła nam za życia.

Kilka sąsiadek usłuchało i pokornie przysunęło się do stołu.

- To grzech! - wykrzyknęła nagle jedna z kobiet. - Nie przystoi kłaść tyle dobytku w trumnę! Zwłaszcza, że powinien należeć do księcia!

Arachne wydało się, że to żona Crescenza strzecharza, lecz nie była pewna, bo tamta zaraz ukryła się za plecami innych.

- Ale nie należy do niego! - odparła porywczym głosem dziewczyna.

Stara Cettina trąciła ją w ramię jesionowym kosturkiem, na którym się zwykle wspierała. Tak mocno, że Arachne jęknęła z bólu.

- Cyt, dziecko - skarciła ją staruszka. - Cyt. Uszanujemy twój ból, ale nie mów nic więcej. A wy nie kręćcie głowami jak kury, tylko uwijajcie się żywiej. Czas najwyższy odnieść ją do świątyni.

Było już zupełnie ciemno, kiedy odmówiono ostatnie modlitwy i złożono Despinę do wąskiej sosnowej trumny, podarunku od cieśli Fantina. Mężczyźni w milczeniu zabrali martwą i ponieśli ją ciemnymi ulicami do białej świątyni, gdzie nigdy nie wstępowała za życia. Sąsiadki również rozchodziły się po cichu. Kolejno kładły dłonie na czole Arachne i kreśliły na nim znak odpędzający złe moce. Kilka z nich, także stara Cettina, ofiarowały jej swoją gościnę, bo nie jest dobrze, kiedy młoda dziewczyna spędza samotnie pierwszą noc w domu, skąd właśnie wyniesiono trupa. Arachne podziękowała serdecznie, gdyż nie spodziewała się podobnej dobroci, ale odmówiła.

Małżonka strzecharza zwlekała dłużej niż inne. Kiedy wreszcie zostały same, zatrzymała się przed Arachne, która na progu warsztatu żegnała żałobniczki.

- Masz pojęcie, głupia, ile było warte to sukno? - wyszczała. - Więcej niż cały ten nędzny kram. Twoja matka wiedziała, co czyni, gdy wyhaftowała je w tajemnicy i ukryła. Książę każeby jej uciąć głowę za podobną zbrodnię, choć była tylko obłąkaną starą kobietą. - Spojrzała ze złością na Arachne.

Dziewczyna nie odezwała się jednak ani słowem. Nie zamierzała zdradzić żonie strzecharza, kto wyhaftował chustę.

Kobieta zacisnęła usta. Milczenie gniewało ją jeszcze bardziej.

- Widać jednak nie dość obłąkaną - podjęła - aby nie rozumieć, że heretycy z południa za nic mają książęce zakazy i zapłacą szczerym złotem za podobną szmatę choćby po to, aby zdradzić z Severa i jego mocy. Ale omyliła się. Książę dojrzałby zdradę i kazałby twoją matkę ukamienować, jak się czyni ze stregą i jak się jej z dawna należało.

- Zdecyduj się - odezwała się cicho Arachne - co cię bardziej boli. Czy to, że tyle dobra zgnije wraz z moją matką w ziemi, czy też, że Severo nie ukamieniuje jej, gdyż użyła nici w kol-
orze moich oczu.

Tamta wzdrygnęła się jak po uderzeniu, jej policzki nabiegły krwią. Zdołała się jednak opanować.

- Milcz, bezwstydna dziewczko! - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Nie myśl, że pozwolę, aby mój syn poślubił stregę. Jesteś szalona jak twoja matka i bezużyteczna jak chwast. A bezużyteczny chwast należy rzucić w ogień. Skończysz w płomieniach. I będziesz w nich płonąć przez całą wieczność! - Po czym splunęła jej pod nogi i wyszła pospiesznie, zbierając spódnice.

Arachne zamknęła za nią i na chwilę przycisnęła czoło do chłodnego, gładko ociosanego drewna drzwi.

- Ma rację - odezwał się ktoś tuż za nią.

Podskoczyła, odwracając się gwałtownie.

Stara Gallinetta wpatrywała się w nią badawczo, kołysząc głową i mrużąc dziwne, kocie ślepia. Jak zwykle, strega nosiła burą, połataną opończę, a pasma skołtunionych siwych włosów opadały jej na ramiona.

- Ma rację - powtórzyła starucha. - Oszalałaś, dziewczyno. Złamałaś zakaz księcia. I zamierzasz jeszcze więcej uczynić.

Wzrok Arachne mimowolnie pomknął ku skrzyni: na jej dnie spoczywał modlitewnik.

- Jesteś głupia! - Strega prychnęła jak kot. - Nie zdołasz zabić Severa. Nie tym sposobem.

Naciągnęła głębiej kaptur i minęła oniemiałą Arachne. Jeszcze przez moment drewniane chodaki stregi stukotały głucho na bruku Vicolo delle Tessitrici. Kocury wtórowały im wrzaskami z bram i ciemnych załomów murów.

* * *

Nikt więcej nie nagabywał Arachne o chustę, w której pochowano jej matkę, ani o haft koloru ultramaryny. Jednak żona strzecharza musiała rozmówić się z synem, gdyż ten nie pojawił się już pod warsztatem hafciarki. Dziewczyna właściwie nie odczuła jego braku. Nie nęciły jej gwarne ulice Brionii. Owszem, grzecznie mówiła z matronami, kiedy zamawiały stołowe płótna albo wyprawy dla córek. Wyszywała złotą nicią paradne kaftany rajców z magistratu. Spotkał ją nawet ten zaszczyt, że dwóch zakapturzonych bosonogich mnichów z Monastero delle Zodiaco stanęło przed jej warsztatem, aby obstalować nową szatę dla cudownego obrazu, który był największym skarbem klasztoru. Ale najszcześniejsza czuła się dopiero o zmierzchu, kiedy mogła zamknąć drzwi, zatrasnąć okiennice i otworzyć modlitewnik matki.

Ani spostrzegła, jak minęła zima. Zamówień było tak wiele, że niemal nie wychodziła z domu. Najęła dziewczynę, aby codziennie rano przynosiła wodę i sprawunki z rynku. Za dnia Arachne stała przy krośnie albo wyszywała, nocą zaś czytała modlitwy z brewiarza matki. Wreszcie znała na pamięć każdą literę. Otworzyła metalową skrzynkę, gdzie Despina trzymała monety z wizerunkiem Severa, przeliczyła je starannie. Odsunęła na bok cztery denary i położyła je w glinianej miseczce, gdzie spoczywała garść miedziaków, które wydzielała służącej na chleb, ser, oliwę do kaganka i suszone figi. Pozostałe monety zsypała do skórzanej sakiewki. Okręciła się w grubym wełnianym płaszczu i wyszła na ulicę.

Słońce było wciąż blade, powietrze chłodne, ale pachniało wiosną, a po mroku warsztatu mrużyła oczy od bladego światła poranka. Przeszła Vicolo delle Tessitrici. Pozdrowiła sąsiadki, które rozwieszały pranie na sznurach przeciągniętych nad ulicą. Zamieniła kilka słów ze starą Cettiną, która przycupnęła na niskim stołeczku na progu warsztatu syna, cieśli Fantina. Potem ruszyła dalej poprzez dzielnicę rzemieślników, rozciągającą się pomiędzy Porta dei Ferraii i Monastero dello Zodiaco.

Zmierzała ku Lido di Capra, gdzie gnieździła się miejska biedota. Uliczki stawały się coraz węższe i bardziej zaniedbane. Kamienne warsztaty rzemieślników zniknęły, ustąpiwszy miejsca chatynkom, skleconym naprędce z drewna i chrustu. Lido di Capra należała do księcia. Wąski przesmyk pomiędzy dwoma murami łączył miasto z portem i Severo nie pozwalał w nim wznosić kamiennych budowli ani niczego, co utrudniłoby obronę Lido w razie ataku nieprzyja-

ciela. Czasy były jednak spokojne i niepostrzeżenie na owym małym kawałku ziemi wyrosło osiedle nędzarzy.

Właśnie tutaj gnieździli się przybysze z innych miast Półwyspu, jeśli nie stać ich było na wynajęcie pokoiku w jednej z czynszowych kamienic w wysokim mieście. W niepozornych szopkach handlowano towarami wykradzionymi ze statków w porcie i wybijano fałszywe monety z wizerunkami obcych książąt - bo nikt nie ośmiał się podrabiać denarów Severa. Z chatek, ruder i ziemianek wpełzały gromadki obdartych dzieci i ziewając, ciągnęły ku lepszym dzielnicom w poszukiwaniu jałmużny albo okazji do kradzieży. Kiedy mijały Arachne, oglądały się na nią ciekawie, ale nie próbowały jej okraść ani ubliżyć.

Wbrew pozorom, Lido di Capra była najbezpieczniejszą dzielnicą Brionii. Przed kilkoma laty pewien nieroztropny rzezimieszek poderznął tu gardło mnichowi z książęcej capelli. Krew jeszcze dobrze nie skrzepła, kiedy mag pchnął ku Lido demony ognia. Płomienisty podmuch w jednej chwili ogarnął drewniane chatki, bosonogie dzieciaki, handlarzy starzyzną, przemytników, fałszerzy, sparszywiałe szare kundelki i kozy wypasane pomiędzy ruderami. Spłonęło wszystko, co znajdowało się pomiędzy dwoma pasmami murów. Aż do gołej ziemi. Ale ogień nie osmalił nawet kit na morionach strażników, co z wysokości murów przyglądali się pożodze.

Odtąd obcy był bezpieczny w Lido di Capra, choćby spacerował w środku nocy z sakiewką pełną złota u pasa. Owszem, złodzieje obserwowali go z dala i gdy tylko zszedł do portu, podrzynali mu gardło, zanim zdążył przełknąć ślinę. Ale nie u siebie. Nie w Lido.

Arachne chwyciła za ramię jednego z bosonogich urwisów, którzy bawili się w błocie obok przeciekającej cysterny na deszczówkę.

- Którędy do Kulawego Tuillia?

Chłopiec popatrzył na nią spode łba. Arachne wcisnęła mu brudne palce miedziany pieniążek.

- Tamtędy - pokazał prześwit pomiędzy dwiema niskimi szopami; ich koślawe, przegniłe dachy niemal się stykały. - Aż do samego muru. Oddzielny budynek. Mech na dachu - dodał, a potem szarpnął się mocniej i już go nie było.

Kulawy Tuillio nie otworzył, choć głośno stukała w drzwi kawałkiem suchej gałęzi, zawieszanej na sznurku jako kołatka. Wreszcie weszła do środka, zdecydowana poczekać na gospodarza. W szopie było ciemno, a drzwi zamknęły się same za jej plecami. Z początku nic nie widziała. Zrobiła kilka kroków naprzód i otoczyła ją woń ziół, spalonej oliwy, mysich odchodów

i zepsutego sera. Wyciągnęła przed siebie ręce i na oślepnęła natrafiła na jakiś pierzasty, wilgotny przedmiot. Cofnęła się gwałtownie, uderzając plecami w wysoką skrzynię. Tuż nad jej głową coś zaszurało i z piskiem umknęło. Podskoczyła mimowolnie. Z dachu posypało się na nią próchno i drobne gałązki.

- Dosyć - odezwał się głos w głębi pomieszczenia.

Ktoś skrzeszał ognia i zapalił knot oliwnej lampki. W niebieskawym świetle Arachne zobaczyła mężczyznę. Miał dziobatą twarz, niechlujną, rzadką brodę, a jego nos wyglądał jak wielkie ziarno fasoli. Siedział za blatem, na którym piętrzyły się worki, długie noże, sakwy, mosiężne garnki, kościane rurki, kawałki kolczug, osełki i wiele innych przedmiotów. Skraj stołu pozostawiono dla wagi z rzędem małych odważników i wielkiego drewnianego liczydła.

- Odsłoń twarz - zażądał, unosząc kaganek.

Postulaznie zdjęła kaptur. Gospodarz przyglądał się jej przymrużonymi oczami.

- Czego panienka z wysokiego miasta szuka w Lido? - spytał w końcu z drwiną. - Zbłądziła może?

Po jednej z belek pod dachem przebiegł olbrzymi brązowy szczur. Arachne przełknęła ślinę.

- Szukam Tuillia. Lichwiarza.

Pokręcił głową z udanym zdumieniem.

- A po cóż on panience potrzebny? I w mieście znajdują się kramy, gdzie chętnie przyjmą w zastaw klejnoty. I pewnie więcej złota dadzą.

- Mam złoto - wyrwało się Arachne.

Chwyciła za sakiewkę przywiązaną do pasa. Monety zadźwięczały. Na twarzy gospodarza pokazało się zdziwienie.

- Ma złoto. - Znów pokręcił głową. - No, no.

Arachne natychmiast pożałowała nieostroznego gestu, lecz było już za późno.

- Tuillo skupuje nie tylko klejnoty zubożałych rodów, ale i księgi.

Tym razem, zdumienie lichwiarza było prawdziwe. Spoważniał.

- Po co ci księgi, dziewczyno? Przygryzła wargę.

- Moja rzecz.

- Nie masz dość złota, aby mnie wykupić z Torre dei Falconi, jeśli Severo dowie się, że złamałem zakaz i rozkaże mnie uwięzić.

- Nie zabronił kobietom posiadać ksiąg, tylko je czytać.

- Masz mnie za głupca? - prychnął. - Po cóż komuś księga, skoro nie może jej przeczytać?

Uniosła hardo głowę.

- Mam kochanka. Ciekawią go sprawy magów, więc chcę mu podarować prezent. Księgę. Lichwiarz chwilę patrzył na nią badawczo.

- A inaczej go nie zatrzymasz?

- Nie - odparła oschle. - Jest wielkiego rodu i znudzi się mną szybko.

- Znajdź sobie innego - poradził, wykrzywiwszy z drwiną mięsiste wargi. - Kogoś, kto cię pokocha bez podarunków. Przez kogo nie skończysz pod stosem kamieni.

- Chcę tego. I chcę księgę. Przyniosłam złoto.

- A nie przyszło ci czasem do głowy, że dostanę więcej złota, jeśli pójdę do Torre dei Falconi i powiem książęcy inkwizytorom, że pewna młoda panienka postanowiła bawić się zakazaną wiedzą?

- Przyszło. Ale uznałam, że człowiek taki jak ty, nie może wydawać swoich klientów.

- Człowiek taki jak ja? - Lichwiarz zaśmiał się przyciszonym, suchym śmiechem. - Dobrze, więc, panienko. Znajdziemy księgę dla twojego kochanka. Chodź!

Wyszedł zza stołu i zobaczyła, że jest niewysoki. Utykając mocno na prawą nogę, powiódł ją pomiędzy skrzyniami, beczkami i szafami, które szczelnie wypełniały pomieszczenie. Odchylił narzutę w otworze drewnianego przepierzenia i wprowadził Arachne do niewielkiej izdebki. Za łóżkiem, nakrytym spłowiałą żółtawą kołdrą, stała masywna dębowa szafa bez żadnych zdobień. Tuillio zdjął haczyk i powoli rozchylił skrzydła. Arachne wstrzymała oddech. Na zwyczajnych deskach stało kilkanaście ksiąg w skórzanych oprawach. Niektóre były duże, formatu folio, z ciężkimi, metalowymi okuciami i napisami tłoczonymi na grzbietach. Większość jednak miała skromne rozmiary, takie jak brewiarz Despiny. Arachne bez namysłu wyciągnęła dłoń ku manuskryptowi w błękitnym safianie, ozdobionemu symbolem feniksa z wielką gwiazdą na czole.

- To atlas? - spytała ze zdumieniem. - Prawdziwy atlas nieba?

Lichwiarz odtrącił jej rękę.

- Złoto - rzekł oschle. - Teraz chcę zobaczyć złoto.

Spoconymi palcami rozsypała rzemień sakiewki, wysypała monety na łóżko i spojrzała pytająco na gospodarza. Tuillio uniósł brwi.

- Nie sprzedaję na stronice - zakpił. - Wróć, dziewczyno, za rok. I przynieś po dieściokroć tyle złota. Wówczas pogadamy.

- Ale ja nie mam tak wiele czasu! - zaprotestowała.

- Więc zmień kochanka - uciął i zamknął szafę. - A teraz idź już. I zabierz to. - Lekceważąco pokazał złote monety. - Moje usługi są kosztowne. Kosztowniejsze, niż sądzisz.

Niemal płacząc z upokorzenia, zebrała złoto do sakiewki i wybiegła na zewnątrz.

* * *

Trzy dni Arachne leżała jak martwa w warsztacie. Nie jadła, nie podnosiła się nawet z posłania. Puciołowata służąca stała długo o świcie pod drzwiami. Skoro nikt nie otworzył, wruszywszy ramionami, poszła do swoich zajęć i nie wróciła więcej. Sąsiedzi stukali kołatką i usiłovali zajrzeć przez szczeliny w okiennicach, chyba zaniepokojeni zniknięciem hafciarki. Warsztat był jednak zamknięty na głucho i w końcu dali sobie spokój. Tylko żona strzecharza wygłosiła na środku ulicy kilka cierpkich uwag o płochych dziewczętach, które przepadają bez śladu.

Trzeciego dnia Arachne zwlokła się z łóżka. Na zewnątrz krzyczały ptaki. Otworzyła wąskie drzwiczki prowadzące do wirydarza. W warsztacie pojaśniało. Znad miski z zaschniętą strawą podniosły się muchy. Wzrok Arachne padł na zwój ciężkiego lnianego płótna o podwójnym splocie. Kupiła je tuż po śmierci matki, choć nie było jej do niczego potrzebne - za kosztowne, aby uszyła z niego coś dla siebie, i zbyt grube dla patrycjuszek, bo te wołały suknie i prześcieradła z najdelikatniejszych materii. Chwilę obracała w palcach krawędź lnu, szacując jego wytrzymałość i ciężar. Potem jednym szybkim ruchem zrzuciła ze stołu motki, igły i barwne szmatki. Rozpostarła na blacie płótno i zwęglonym drewnikiem zaczęła rysować wzór.

Wiosna i lato minęły jej jak we śnie. Kiedy nastały pierwsze przymrozki, zapakowała swoje dzieło w worek i znów ruszyła do Lido di Capra.

Lichwiarz nie okazał na jej widok zdziwienia. Odsunął się tylko, kiedy ruszyła pomiędzy kuframi i skrzyniami prosto do izdebki na tyłach szopy.

- Przynieś lampę - rzuciła przez ramię.

Słyszała za sobą jego niecierpliwe posapywania. Ale kiedy rozwiązała worek i rozłożyła na łożku płaszcz, ucichł gwałtownie.

W mdłym blasku oliwnej lampki płótno mieniło się srebrem, błękitem i ultramaryną.

- Co to jest? - zapytał słabo Tuillio.

Pochylił się, oświetlił z bliska demona o twarzy młodzieńca. Każde pióro jego rozpostartych skrzydeł wyhaftowano z taką dokładnością, że zdawały się drzeć na wietrze. Płomyk zatańczył i coś zalsniło w srebrnej tęczęwce demona - Lichwiarz cofnął się gwałtownie.

- Chcę księgę - powiedziała Arachne. - Przyniosłam zapłatę.

- Coś ty zrobiła, dziewczyno? - W głosie Tuillia był lęk.

- Uszyłam płaszcz wart twojej księgi. Ale jeśli go nie chcesz, sprzedam na rynku.

- Zostaw! - Lichwiarz stanął między nią a posłaniem. Otworzył szafę, spozierając zachłannie na szatę. - Weź - podał jej manuskrypt. - I jeśli potrafisz, nie wracaj tu więcej.

Pochwyciła księgę, schowała ją pod opończę i niemal pobiegła w górę uliczkami Lido. Przepęniało ją dziwne uniesienie. Miała ochotę na przemian śmiać się i płakać, jakby upiła się mocnym, niemieszanym winem. Wirowało jej w głowie. Fasady domów zdawały się pochyłać ku niej, a marmurowe demony spoglądały z portalu Monastero dello Zodiaco, jak gdyby dobrze wiedziały, że ściska w dłoniach zakazaną księgę.

Dopiero późno w nocy odważyła się ją otworzyć. Najpierw bez tchu patrzyła na mapy nieba, wizerunki demonów wpisane między gwiazdy i zakłęcia, które pozwalają obliczyć trajektorię ich lotów, a potem ściągnąć w dół, do podksiężycowego świata, i nieodwracalnie spętać materią. Wczytywała się w nie powoli, z mozołem. Jednak z każdą przewróconą kartą zakłęcia traciły sens, choć wpatrywała się w nie tak długo, aż oczy zaczęły jej łzawić i piec z wysiłku.

Rozpłakała się wreszcie ze złości i rozczarowania. Nic tu nie było. Tylko garść głupich formuł wykradzonych pomniejszym magom, aby stworzyć magiczną kołatkę albo kajdany, których nie rozerwie nawet najsilniejszy niewolnik.

Ale nie był to atlas nieba, przed wiekiem ocalony przez Sirocco z Isola di Tutti Venti. Nawet nie jego marna kopia.

Nie umiała teraz zgadnąć, dlaczego sądziła, że pierwsza księga, znaleziona u drobnego lichwiarza, będzie tą właściwą. Może, dlatego, że księżniczki w baśniach zawsze bez trudu łąmały wszelkie zakłęcia i spomiędzy setki marmurowych posągów wybierały ten jeden, jedyny, w

którym biło serce ich ukochanego. A może wydawało się jej, że magia rozpozna krew Sirocco, płynącą w jej żyłach, i sama znajdzie do niej drogę. Nie pojmowała, jak mogła być tak głupia.

* * *

Tuillio skrzywił się na jej widok.

- Nie tego szukam - odezwała się od progu.

- Ale to kupiłaś, a ja przyjąłem zapłatę. - Położył na szalce kilka grudek srebra i waga zakołysała się gwałtownie. - Jestem zajęty. Idź stąd.

- Znajdź mi inną księgę.

Lichwiarz uniósł brwi.

- Masz kosztownego kochanka, dziewczyno. I nie wygląda, aby czynił cię szczęśliwą.

- Nie twoja rzecz. Po prostu powiedz, czego chcesz.

Zastanawiał się chwilę.

- Przynieś mi następny płaszcz. Błękitny jak niebo i purpurowy jak płomień.

- To zajmie mi, co najmniej pół roku! - wybuchnęła z rozpaczą. - Nie mogę tak długo czekać.

- Wszystkim młodym się tak wydaje - zadrwił Tuillio. - Ale ja jestem stary i wyćwiczony w cierpliwości. Mogę poczekać. I znajdę ci magiczną księgę, która pozwoli odnaleźć demona na nieboskłonie i uczynić go swoim niewolnikiem. Czy tego właśnie szukasz?

Na moment przeraziła się, że równie łatwo przejrzał jej zamysły. Mógł donieść na nią książęcej straży i jeszcze tej nocy warta zaprowadziłaby ją do katowni pod Torre dei Falconi. Opanowała się jednak.

- Szukam daru dla mojego kochanka - rzekła z godnością - a on nie przywykł zadowoląć się byle, czym. Śmiał się, że przyniosłam mu garść jarmarcznych zakłéc i kazał mnie przepędzić. Potrzebuję czegoś lepszego. Czegoś, co go zadziwi i przerazi jednocześnie.

Lichwiarz pokiwał głową.

- Skoro tak wolisz, dziewczyno... Wróc tu z płaszczem.

* * *

Zajął jej to jednak więcej niż sześć miesięcy. Przeszła jesień i minęła zima. Przekwitły kwiaty w wirydarzu, ale Arachne nie miała czasu ich zrywać i wplatać we włosy. Kiedy noce stały się gorące i krótkie, młodzieńcy i dziewczęta z Vicolo delle Tessitrici zaczęli się zbierać na placach i tańczyć przy dźwiękach piszczałek i bębenków. Jednak Arachne ani razu nie przyłączyła się do ich zabawy. Do późnej nocy siedziała w warsztacie. Gdy słońce zachodziło, rozpałała lampkę i pracowała dalej, aż dłonie drętwiały jej ze znużenia i krew z pokłutych palców drobnymi kropelkami ściekała na płótno.

Czasami w glinianej miseczce z miedziakami ukazywało się dno i musiała przyjmować drobne zlecenia. Wszywała chorągwie do świątyń i ozdabiała białym haftem delikatne koszule patrycjuszki, a mieszkańcy Brionii podziwiali jej pracę, jak niegdyś kunszt Despiny. Jednak pochwały tylko niecierpliwiły Arachne. Wysłuchiwała ich ze zdawkowym uśmiechem, jej myśli zaś krążyły nieustannie wokół purpurowo-błękitnego płaszcza. Nie mogła się doczekać, aż zamknie drzwi warsztatu, zasunie rygle i pochyli się nad wizerunkiem powietrznego demona z ognistym mieczem w ręku. Nawet, kiedy zapadała w płytki, niespokojny sen, czuła na policzkach żar jego oddechu, a spod powąły dobiegał ją przyciszony szelest skrzydeł.

Minął prawie rok, zanim skończyła pracę.

- Usiądź - powiedział Tuillio, kiedy zobaczył, że opończę ma doszczętnie przemoczoną jesienną ulewą. - I napij się. Mam grzane wino.

Popchnął ku niej gliniany, brązowy kubek.

- Nie przyszedłam tu z wizytą, tylko po księgę - odparła, lecz była tak zziębnięta, że głos jej drżał i nie mogła rozwiązać troczków. - Pomóż mi! - Cisnęła mu ponad stołem sakwę.

Lichwiarz pochwycił ją w locie, ale nie spuszczał wzroku z dziewczyny. Zrobiło się jej nieswojo. Odgarnęła za ucho kosmyk rudych włosów, który wysunął się jej spod kaptura, i aby pokryć zmieszanie, pociągnęła łyk wina. Było mocne, zaprawione korzeniami oraz miodem.

- Miałem nadzieję, że nie wrócisz.

- Ale zdobyłeś dla mnie księgę? - Wychyliła się ku niemu nad stołem, zaniepokojona, że jej wysiłek poszedł na darmo.

Wydało się jej, że po obliczu Tuillia przeniknął cień.

- Tak, mam księgę. - Podniósł się powoli. - Chodź za mną.

Serce zaczęło jej szybciej bić. Pospiesznie dopiła resztkę wina, jakby trunek mógł jej dodać odwagi.

Wciąż ściskając pod pachą sakwę z płaszczem, lichwiarz otworzył szafę i wyjął ostrożnie wielki manuskrypt, kryty brunatną skórą. Części okuć brakowało, inne były wygięte i poczerniałe od starości.

- Człowiek, od którego dostałem tę księgę, zaklinał się, że to legendarny kodeks Ugone di Monteverde, twórcy mostu nad Abisso delle Ondine. Kolejni właściciele dodawali na marginesach własne zaklęcia, a także te wykradzione z cudzych pracowni lub kupione ukradkiem od kopistów. Podobno są tutaj nawet fragmenty z atlasu nieba, który niegdyś należał do Duilia. Czy twój kochanek będzie wreszcie zadowolony?

- Tak - wyciągnęła dłonie po księgę. - Bardzo zadowolony.

Kiedy wychodziła, wydało się jej, że pomieszczenie pojaśniało nagle. Odwróciła się. Lichwiarz rozprostował na łożku płaszcz i purpurowy miecz w ręku demona zdawał się płonąć prawdziwym ogniem.

* * *

Lichwiarz nie kłamał. Arachne nie miała wprawdzie pewności, czy Ugo di Monteverde kiedykolwiek oglądał tę księgę, ale zaklęcia były prawdziwe. W każdym razie tak jej się wydawało. Przyglądała się im ze strachem. Przewracała kilka kart i odkładała księgę, bojąc się głośno wypowiedzieć inkantację. Odważyła się dopiero w nocy. Wyszła do wirydarza. Przymrozek zwarzył resztki kwiatów na grządkach, nieplewionych od śmierci Despiny. Stała w kręgu pożółkłej, przegniłej trawy. Wicher pędził po niebie ciężkie chmury, raz po raz przesłaniając księżyc w pełni.

Przełknęła ślinę. Wargi miała suche i spękane.

Otworzyła kodeks.

- Zaklinam cię, demonie, który jesteś zapisany na tej karcie - rozpoczęła inkantację. - Przyzywam, przywołuję i rozkazuję poprzez potęgę bożej mocy, poprzez Trony i Władztwa,

poprzez Księstwa i Moce, a także poprzez potęgę tej księgi i moje pragnienie. Przybądź na wezwanie! - dokończyła, niemal krzycząc.

Chmury zbiegły się, a potem rozdarły z hukiem. Ostatnim, co zobaczyła, była błyskawica pełzająca po nocnym niebie prosto do niej.

* * *

Gorąca kropla ściekła jej z ust, potoczyła się po brodzie. Jęknęła, próbując otworzyć oczy.

- Spokojnie. - Poczwała na czole czyjąś chłodną, szorstką dłoń. - Śpij teraz. Odpoczywaj.

Usłuchała. We śnie demony w ognistych płaszczach nadleciały z wysoka, sponad księżycy, i przysiadły na krawędziach jej łóżka, strasząc pióra jak żar-ptaki.

Obudził ją szcęk garnków i przyciszone sarknięcia. Z wysiłkiem uniosła się na łokciu. Przy kuchni krzątała się stara Gallinetta. Zamieszała drewnianą kopystką w kociołku, zacamokała z aprobatą i odwróciła się ku dziewczynie.

- Obudziłaś się - powiedziała. - To dobrze. Czas po temu najwyższy.

Podeszła do posłania z miską dymiącej zupy.

- Co to?

- Wywar z sadła ropuchy i żmijowego jadu - syknęła przez zęby strega.

Arachne wzdrygnęła się, niemal wytrącając starej z rąk naczynie.

- Leż spokojnie - napomniała ją Gallinetta. - Żartowałam przecież. To rosół z gawronów, na wzmocnienie. Najwyższy świadkiem, że go potrzebujesz.

- Jak...? - wyszeptwała Arachne.

- Jak długo? - Strega wykrzywiła się drwiąco i ostrożnie zaczęła ją karmić. - Cztery dni.

Wystarczy.

Rosół był tłusty, sycący, choć smakował dziwnie. Zapewne strega dodała do niego jakichś ziół, lecz Arachne nie ośmieliła się o nie spytać.

- Jak się tu znalazłaś?

- A o co pytasz, dziewczyno? - odrzekła szorstko. - Czy przyleciałam na skrzydłach demonów czarnych jak smoła? Nie, weszłam przez furtkę od sąsiada. Benetto powinien lepiej pil-

nować swojego ogrodu. Jakim sposobem wiedziałam, że leżysz prawie martwa w wirydarzu? Bo nie, co dzień się zdarza, żeby w spokojną noc piorun uderzył w sam środek miasta i spopielił do gołej ziemi cztery ulice. Właśnie tak - dodała, widząc, że Arachne poszarzała na twarzy. - I wiem, dlaczego.

- Czy inni... też odgadli? - spytała z trudem.

- A skąd? - ofuknęła ją strega. - Ledwie zgłiszczą przestygły trochę i przestały dymić, jęły baby u studni rozprawiać, jak to Severo głuchą nocką drażnił demona księcia Benedetta di Raperonzola, aż ten zniecierpliwiał się wreszcie i smagnął ognistym biczem Brionię.

- Przecież to bzdura - zaprotestowała słabo dziewczyna.

- Czyżby? - Strega odsłoniła w uśmiechu pożółkłe zęby. - Od trzech dni Severo ściąga ludzi i gromadzi w porcie okręty. Ponoć jeszcze przed zimą uderzy na Raperonzolę.

Arachne skuliła się na łóżku.

- Nie wiedziałaś, że nie można przywołać demona, który jest we władaniu innego maga? - spytała po chwili Gallinetta.

- A skąd mogłam wiedzieć?

- Wystarczy posłuchać bardów w gospodzie! - zachnęła się strega. - No, ale ciebie matka nigdy nie posyłała do gospody. Po co miałaś sobie zaprzętać głowę naszymi bajkami? Nie można pochwytać demona, jeśli należy do innego maga. Wszyscy o tym wiedzą.

- Ale nie ja.

- Och, ani twoja matka, ani ty nigdy nie zadałyście sobie trudu, aby poznać nasze zwyczaje. Tyle lat przeżyłyście obok, nic o nas nie wiedząc, a teraz postanowiłaś przywołać i zakląć demona. - Potrząsnęła głową. - Mogłaś zginąć. Mogłaś zabić nas wszystkich. Czy wyciągnęłaś z tego naukę?

Arachne zacisnęła wargi.

- Tak sądziłam - prychnęła strega. - Młodzi nie uczą się szybko. Ale kiedy zechcesz znów spróbować, pamiętaj, że można przyzwać tylko wolnego demona, jednego z tych, co krążą pomiędzy gwiazdami. Jeśli zostanie spętany wcześniej, nie usłucha twojego wezwania, ale jego pan łatwo wyczuje podstęp. Następnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia.

Dziewczyna podniosła głowę, tknięta nagłą myślą.

- Skąd w takim razie magowie wiedzą, które z demonów pozostały swobodne?

- Po prostu wiedzą. To sprawy czarodziejów - dodała ostrzej Galinetta. - Ja ci w nich nie pomogę. Mają wielkie spisy wszystkich duchów, jakie kiedykolwiek widziano na Półwyspie. Tych, które po wypełnieniu trzech życzeń uwolniły się spod władzy czarnoksiężnika i uleciały ponad księżyc, oraz tych, które są w służbie magów, uwięzione i związane z materią. Kiedy jeden z książąt wypowiada trzecie życzenie, po jego spełnieniu demon wyrwa się na swobodę. Wtedy inni magowie gromadzą się wokół jak sępy, aby wypróbować własne zaklęcia, bowiem przez moment wiadomo, gdzie dokładnie się demon znajduje, i można go łatwo okiełznać. Są ogromne biblioteki, pełne ksiąg z inkantacjami i wyliczeniami pozycji demonów na niebie. Mnisi z książęcych klasztorów zgłębiają je przez całe życie, aby odkryć duchy, które można przywołać i zakląć. Każdy nowo odkryty demon oznacza sławę i władzę dla swego pana.

- Jak wiele ich jest?

- Tyle, co gwiazd na niebie. Jeszcze więcej może. Dostyc, abyś całe życie wertowała księgi i zaklęcia. Jeśli nie dopisze ci szczęście, nigdy nie odszukasz swobodnego demona. - Położyła na ziemi pustą miskę i splotła ręce na podołku. - Nie zabijesz Severa. Tylko zmarnujesz sobie życie.

- Dlaczego się o to troszczysz?

- Zastanów się nad tym, dziewczyno. - Gallinetta roześmiała się piskliwie. - Jesteś taka mądra, nauczyłaś się zakazanych znaków czarodziejów i próbowałaś wezwać demona. Z pewnością, więc odgadniesz, dlaczego stara strega postanowiła uratować ci życie. A teraz dość gadania. Rosół cię wzmocni i zioła też. Zaśnij.

Arachne chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdążyła. Gallinetta położyła palec na jej wargach i zanuciła chrapliwym głosem kilka taktów kołysanki. Dziewczyna zasnęła, lecz w tej jednej krótkiej chwili pomiędzy snem i jawą wydało się jej, że dach warsztatu rozwarł się ponad łóżkiem, odsłaniając rąbek wygwieżdzonego nieba. Gwiazdy zaczęły się sypać ku niej jak deszcz, a każda była demonem. Lecz gdy opadły już całkiem blisko, znad morza nadleciał wichur, rozpędził je na wszystkie strony i gasił kolejno niczym knoty oliwnych lampek, aż stało się zupełnie ciemno.

Kiedy się ocknęła, w warsztacie nie został ani ślad po starej stredze. Ale Arachne wiedziała już, jak spomiędzy wszystkich demonów znaleźć tego jednego, jaki pozostał wolny. On może jej zabić Severa, syna Ercole, który doprowadził do zagłady Isola di Tutti Venti.

Sirocco. Demon wichru, co służył tylko jednemu panu i przybył na wezwanie Sirocco, aby ocalić najmłodszego z jej synów.

Pomyślała, że nie będzie musiała go pętać. Zresztą nie wiedziałyby nawet, jak to uczynić. Wystarczy, że odnajdzie zaklęcie i zapis pozycji na niebie. Wówczas go przywoła i wywrze zemstę na Severze, choćby cała Brionia miała zniknąć z powierzchni ziemi.

* * *

Nie mogła jednak pójść do Tuillia z pustymi rękami. Trzecia szata zajęła jej niewiele mniej czasu niż poprzednia, choć niekiedy zdawało się jej, że wzór sam wyłania się spod igły, kieruje ścięciem i każe dobierać nowe nici. Ale może po prostu nabrała wprawy.

- Więc znowu jesteś - powitał ją lichwiarz. - Czy tym razem kochanek porzucił cię na dobre i przysłał zastawić klejnoty, aby wykarmić czwórkę waszych nieszczęsnych dzieci?

Zignorowała kpinę.

- Mam nowy płaszcz.

- I jak poprzednio chcesz księgę, aby zadziwić swego kochanka?

- Po prostu powiedz, czy masz ją dla mnie - poprosiła ze znużeniem. - Nie chcę tracić czasu na rozmowy.

- Mam. - Lichwiarz popatrzył na nią dziwnymi oczami, podobnymi do dwóch czarnych węgli. - Ale wcześniej ty wyjaw mi jedną rzecz. Dlaczego dziewczyna taka jak ty musi kupować miłość? Każdy inny mężczyzna obsypałby cię prezentami. Dlaczego pragniesz właśnie jego?

Zacisnęła mocno dłonie na sakwie. Przez moment zapiekły ją palce i miała wrażenie, że w środku płaszcz poruszył się niespokojnie, jak żywe stworzenie. Niespodzianie pomyślała o Yanim, roześmianym i radosnym tamtego dnia, kiedy oznajmił jej, że zaciągnął się do armii Severa i wyrusza na wojnę. A także o matce w jej ciężkich, żałobnych szatach, gdy siedziała przy oknie, martwym wzrokiem wpatrując się w bruk Vicolo delle Tessitrici.

- Ponieważ nie mam nikogo prócz niego - odparła, czując, jak łzy napływają jej pod powieki.

Tuillio potrząsnął tylko głową. Ostrożnie rozwinął połę płaszcza. Nie spytał jednak, kim jest młodzieniec w purpurowym mundurze i złotym pasie, ani dlaczego jego oczy połyskują jak

lapis-lazuli. Podał dziewczynie księgę i odprawił ją zdawkowym skinieniem głowy. Ale kiedy stała już w drzwiach, odezwał się raz jeszcze z głębi szopy:

- Powiedz mi, jeśli... twój kochanek szuka czegoś szczególnego. Być może będę umiał to znaleźć.

Zawahąta się.

- Atlasu nieba - rzekła cicho.

* * *

- Podobnego temu, który kiedyś należał do Sirocco?

Był domyślny. Może nawet zbyt domyślny, jak na lichwiarza z Lido di Capra. Postanowiła jednak odpowiedzieć.

- Tak.

- Spróbuję go dla ciebie odszukać. Ale to może trwać lata. Postarzejesz się i zbrzydniesz, dziewczyno.

- Nauczyłam się już czekać - odparła jeszcze ciszej i zamknęła za sobą drzwi. - Będę cierpliwa.

Nie była to jednak prawda. Kiedy się okazało, że w nowym kodeksie nie ma ani wzmianki o sirocco, Arachne rozpląkała się jak dziecko. Czekwały ją długie miesiące pracy, a mimo wszelkich zapewnień nie była cierpliwa. Pory roku przepływały wokół, nie dotykając jej, jakby nie mogły przestąpić progu warsztatu hafciarki. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio patrzyła, jak smuga ciemności nadciąga nad Brionię, od Porta dei Leoni w dół po zboczu góry. Co gorsza, nie umiała sobie wyobrazić, co się stanie z miastem, gdy wreszcie przywoła demona wichru i skłoni go, aby zabił maga, który zamknął Brionię w kopule mroku. Ale nie miało to żadnego znaczenia.

Haftowała, myśląc o wszystkich miejscach, których nigdy nie widziała i zapewne nie zdoła zobaczyć. W snach zwidywała się jej wielka pustynia i czerwone skały. Wiedziała, że z tamtej strony nadeszli mnisi w wielbłądzych skórach, aby zabić jej ojca i wypędzić matkę z wysp po drugiej stronie morza. Ale na lnianym płótnie miała na swoje usługi demona o ciele lamparta i mieczu ostrzejszym od ofiarnych noży. I mogła przegnać ich precz.

Skończyła ostatni ścieg w nocy. Przegryzła nitkę i starannie wygładziła płaszcz, ale nie chciała czekać do ranka. Znów była wiosna, czwarta od śmierci Despiny. Fasady gospód i lupanarów jasno oświetlono lampionami w kloszach z pergaminu nasączonego oliwą. Młodzi śmiali się donośnie na placu przy studni. Arachne ominęła ich z daleka, choć jakiś chłopak kiwał do niej, pokrzykując, że ma bukłak pełen słodkiego wina, którym nie pogardziłaby nawet księżniczka.

Nocne powietrze było rozgrzane, przesycone wonią mirtu i lawendy. Arachne nie miała ochoty odpowiadać na zaczepki, skrzyła więc w stronę cmentarnego muru. Mieszkańcy Brionii obawiali się zmarłych i po zmroku woleli nie zbliżać się do ich ziemi, ale jej było wszystko jedno.

Podskoczyła, kiedy ktoś pochwycił ją znieacka za poję opończy. Gallinetta siedziała na kamieniu, pod starym cisem.

- Dlaczego jesteś taka uparta? - zapytała strega ze złością. - Tracisz tylko czas. Mogę ci pomóc, jeśli koniecznie chcesz go zabić. Są skuteczniejsze sposoby.

Arachne nic nie odpowiedziała. Nie miała ochoty urazić starej.

- Brzydzą cię moje napary, tak? - Gallinetta zaniósła się przyciszonym rechotem. - Nie chcesz, aby umierał od trucizny? Aby się zadusił własnym językiem, czarnym i opuchniętym od jadu? Kiedy wszystko się skończy, dziewczyno, każdy rodzaj śmierci jest równie dobry. Z serca radzę, chodź ze mną. Pokażę ci zioła rosnące na cmentarzu. Są tak mocne, że nawet Severo się im nie oprze. Trupie ziele, tojad, lulek, czarny mech. I cis, który otwiera ścieżkę zmarłych.

Dziewczyna tylko pokręciła głową.

- Och, są jeszcze inne metody - powiedziała starucha. - Jeśli wolisz demony, mogę je dla ciebie przywabić. Wystarczy utoczyć kilka kropel krwi i zaprosić je w gościnę. Przecież jesteś piękną dziewczyną, świeżą i niewinną. Na pewno jakiś się skusi. Może nawet zabije dla ciebie Severa. Demony nie kochają magów.

- Możesz przywołać dla mnie demona?

- Zaprosić, nie przywołać! - Strega parsknęła ze złością. - Ale demony nie przyjdą, jak długo będziesz na nie czekała z księgami pełnymi magicznych znaków, które mogą je spętać i pozbawić mocy. Jeśli mam ci pomóc, musisz najpierw wrzucić księgi w ogień i zapomnieć o tych mrzonkach. Jesteś kobietą, nie magiem. Powinnaś się trzymać kobiecych sposobów.

Nieopodal jakaś dziewczyna zaśmiała się chrapliwie. W letnie noce cmentarz stawał się miejscem schadzek, choć mnisi srodze piętnowali z ambon ten bezbożny zwyczaj.

- Nie będziesz drugą Sirocco, dziewczyno - powiedziała cicho Gallinetta. - Co roku rzucaamy na wodę białe róże, przeklinając jej imię, aby nigdy więcej nie urodziła się strega, która będzie rozkazywała demonom. Severo nie dopuści, abyś wyrosła mu pod samym bokiem. W mieście stworzonym przez jego ojca na znak zwycięstwa nad Duiliem i Sirocco. Prędeż cię zabije. I uczyni to na sposób czarodziejów. Okrutniej, niż umiesz sobie wyobrazić.

Arachne wyrwała rąbek opończy z jej zaciśniętych palców i ruszyła dalej wzdłuż cmentarnego muru.

- Głupia z ciebie dziewczyna! - wykrzyknęła za nią strega. - Słyszysz mnie, Arachne? Głupia, po trzykroć głupia!

* * *

- Co robisz z moimi płaszczami?

Lichwiarz wzruszył obojętnie ramionami. Z twarzą bez wyrazu wpatrywał się w płótno i demona o ciele leoparda, który rozrywa pazurami mnichów z pustyni.

- Sprzedaję. Nie sądziłaś chyba, że przechadzam się w nich po Lido di Capra?

- Komuś szczególniemu?

- Czy to ma dla ciebie znaczenie?

Zastanowiła się.

- Nie - odpowiedziała. - Właściwie nie.

- Mam atlas nieba. - Tuillio podszedł do szafy i wyjął niedużą księgę w amarantowej oprawie. - Kosztował mnie wiele wysiłku. Niech dobrze ci służy.

Tym razem nie wspomniał o jej kochanku. Nie zareagowała jednak. Jak długo nie zamierzał wydać jej siepaczom Severa, nie dbała, czy odgadł jej tajemnicę.

- Ale nie wydaje mi się - ciągnął lichwiarz. - Bez względu na to, co znajdziesz w tej księdze, wrócisz do mnie. Po prostu jest już za późno. - Roześmiał się ochryple. - Nie zdołasz się zatrzymać.

Uciekła, lecz echo jego śmiechu biegło za nią poprzez wąskie uliczki Lido di Capra.

W siedem dni później była już pewna, że w księdze nie ma ani śladu po sirocco, demonie wichru, którego oddech niesie woń piołunu i pył znad wszystkich pustyni świata. Ale bardzo dobrze wiedziała, co tym razem wyhaftuje. Zdjęła koszyk z półki i ruszyła na targ po nici, srebrne i śnieżnobiałe. A kiedy przeszła jesień i nastąpiła zima, nocami śnił jej się demon w hełmie zasłaniającym twarz. Każde pióro na jego skrzydłach lśniło i błyszczało jak sople lodu na okapach dachów.

Jednak za ten płaszcz również nie zdołała kupić księgi, w której zapisano tor lotu demona wichru. Była coraz bardziej zmęczona. Dziewczynki, które niegdyś bawiły się w Vicolo delle Tessitrici w śmierć Sirocco, powychodziły za mąż za synów sąsiadów. Miały teraz własne dzieci, które okładały kijami kukłę przeklętej stregi. Piękna Assunta, córka szewca, umarła w połogu, rodząc martwe niemowlę. Syn Crescenza strzecharza pociągnął z wojskiem Severa na wojnę przeciwko Raperonzoli i nigdy nie wrócił, a jego matka powiesiła się z rozpaczy. Umarła stara Cettina. Tylko mrok, każdego wieczoru opadający na miasto znad cytadeli maga, był ten sam. I kiedy dzwon Monastero dello Zodiaco uderzał po raz siódmy, smuga ciemności nieodmiennie zatrzymywała się na progu warsztatu Arachne.

Tym razem wyhaftowała demona w królewskiej szacie, z berłem i królewskim jabłkiem w dłoniach. I dała mu twarz Severa - oczy niebieskie od magii i ciemne włosy, które opadały aż na ramiona. Nigdy wprawdzie nie widziała księcia-maga, ale takim go właśnie zapamiętała z opowieści Yanniego.

- Jeśli księżę się dowie o tej zuchwałości, każe cię ukamienować - rzekł lichwiarz, kiedy pokazała mu płaszcz. - A dowie się prędzej czy później.

- Nie zdołam mu przeszkodzić - odpowiedziała beznamiętnie.

- Ale nie lękasz się go, prawda?

Położyła łokcie na stole i oparła brodę na dłoni. Lichwiarz jak zwykle postawił przed nią kubek wina, lecz nie skosztowała go nawet. Dziwne, ale właściwie nie zastanawiała się, że Severo może odkryć jej zabawy z zakazaną magią. Po prostu nigdy nie przyszło jej to do głowy.

- Nie, nie lękam się - odparła.

Była to prawda. W istocie bardziej bała się lichwiarza, który spoglądał na nią, jakby znał wszystkie jej sekrety. I może nawet znał je naprawdę. Nie umiała zgadnąć.

- Może powinnaś - oznajmił Tuillio. - Severo ma umysł subtelniejszy od węża i jest cierpliwy. Cierpliwy jak kamienie, na których osadzono Brionię.

- Ja też jestem cierpliwa. - Podniosła się, prostując fałdy sukni.

- Ale przyszedłam po księgę.

- I dostaniesz ją. Lecz świat jest pełen ksiąg, dziewczyno. A także innych rzeczy.

Coś zamigotało w jego oczach i przez moment miała ochotę zapytać, przed czym usiłuje ją ostrzec. Potem jednak zobaczyła księgę. Wyciągnęła po nią rękę i zapomniała o wszystkim.

Całą noc siedziała w warsztacie przy lampce oliwnej i czytała zachłannie. Przewracała karty o brzegach barwionych purpurą. Przyglądała się wizerunkom demonów, wpisanych w dziewięć sfer nieba, które nieustannie obracają się wokół ziemi. Ale żaden z tajemnych symboli nie naprowadził jej na trop sirocco, demona wichru.

Mijało właśnie sześć lat, odkąd pierwszy raz stanęła na progu szopy Kulawego Tuillia. Warsztat hafciarski podupadł. Ludzie otwarcie gadali, że córka Despiny jest równie obłąkana, jak jej matka. Były takie chwile, gdy Arachne przyznawała im rację. Żyła jak we śnie, haftując siódmy płaszcz, ozdobiony wizerunkiem demona w koronie. W dłoni trzymał szale, srebrzyste i idealnie zrównoważone, zasiadał na gwiazdnym dysku, a wokół niego rozpościerał się owal z wielobarwnej tęczy. Nigdy wcześniej nie udało się jej stworzyć czegoś równie doskonałego. Gdy patrzyła na płótno, tęcza lśniła jak kryształ, kiedy załamał się w nim światło.

Gallinetta czekała na nią, zaczajona pomiędzy kramami w podcieniach Porta dei Ferraii. Był wieczór i ciemność opadała na miasto jak półprzezroczysty żałobny welon.

- Nie idź tam dzisiaj! - Wczepiła się w ramię Arachne palcami mocnymi jak szpony drapieżnego ptaka. - Patrzyłam w wodę i słuchałam szeptów demonów. One już wiedzą. Słyszą w powietrzu łopot płomieni.

- Czekałam na to od zawsze - powiedziała cicho dziewczyna. - Całe moje życie.

- Więc zawsze zaczniesz jutrzejszej nocy - odrzekła głucho strega. - Nie zatrzymam cię. Ale masz wciąż czas. Do jutrzejszej nocy możesz się cofnąć - dokończyła i odeszła, podpierając się na kij i mamrocząc do siebie pod nosem.

Arachne puściła się biegiem przez Lido di Capra. Teraz była pewna, że lichwiarz odnalazł tę jedną, jedyną właściwą księgę, która skrywa odpowiedź na wszystkie pytania i zna pragnienie jej serca. A ludzie oglądali się za rudowłosą dziewczyną i uśmiechali pobłaźliwie, przekonani, że spieszy się w tę pogodną letnią noc do kochanka.

Być może Tuillio również się jej spodziewał, bo nie okazał zdumienia, kiedy zadyszana wpadła do szopy. Krótkim skinieniem dłoni odprawił dziobatego człeka. Ten zebrał w brązową szmatę jakieś srebrne błyskotki i odszedł pośpiesznie.

- Piękna noc - zagaił z osobliwym uśmiechem lichwiarz. - Wigilia Festa dei Fiori. Kobiety plotą wieńce z kwiatów, aby przystroić posągi Przedwiecznego, a dziewczęta szykują świeże suknie na jutrzejsze tańce. Niektóre, najpiękniejsze, wdziewają pewnie maski i wybiorą się na bal do ogrodów Severa i przez jedną noc w roku będą udawały wielkie panie. Mogłabyś pójść z nimi.

Arachne jedynie uniosła brew. Matka nigdy nie pozwalała jej brać udziału w maszaradzie, która rozpoczynała się po wieczornym nabożeństwie. Zresztą nie chodziły również na modły do Monastero dello Zodiaco. Despina uważała wszystkie te publiczne śpiewy i kwietne korowody za herezję. Ale nawet po śmierci matki Arachne nie przeszło przez myśl, aby wybrać się w Festa dei Fiori do ogrodów maga. Wiedziała, że otwierano je tylko na tę jedną noc. Z fontann płynęło wino, demony w przebraniach służących roznosiły kandyzowane owoce i migdały w cukrze. Każda z dziewcząt marzyła, że kiedyś oko Severa spocznie właśnie na niej i że zatańczy z nim pierwszy taniec na marmurowym placu przed cytadelą. Lecz nie ona. Nie Arachne.

- Przyszłam po księgę - powiedziała cicho.

- Cóż, cieszę się, że przedłożyłaś mnie nad modły i kwietne korowody - zadrwił lichwiarz. - Ale tak, mam dla ciebie kodeks. Ten, którego szukałaś przez te wszystkie lata.

- Naprawdę? - spytała, nieświadomie przybierając ton małej dziewczynki.

- Sama zobacz. - Tuillio wziął ją za rękę i poprowadził na tyły budynku. - Przytrzymaj lampkę - nakazał, otwierając szafę.

Wyjął księgę, niewielką i postrzępioną na brzegach, po czym przysunął ją Arachne na wyciągniętych dłoniach, aby mogła odczytać napis.

Nie powstrzymała się. Pokusa była zbyt silna. Zdążyła tylko dostrzec imię sirocco i skomplikowany ciąg obliczeń, wpisanych wstęgą na boku mapy nieba. Potem handlarz zatrzaskał księgę.

- Dotrzymałem słowa - oznajmił.

Zabrał jej kaganek, postawił go na skrzyni obok łóżka, a potem wyjął z sakwy siódmy płaszcz i jednym ruchem rozpostarł go na pościeli. Owal tęczy wydawał się wyhaftowany z macicy perłowej, a rubiny w koronie demona połyskiwały jak krew. Tuillio wstrzymał oddech.

- Czy teraz dasz mi księgę? - spytała płaskim głosem Arachne.

- Tym razem płaszcz nie wystarczy.

Drgnęła.

- Nie mam złota - odparła. - Nie mogę więcej zapłacić.

- Złota? - Lichwiarz roześmiał się piskliwie. - Czy naprawdę myślałaś, dziewczyno, że kiedykolwiek chodziło o złoto?

Cofnęła się o krok, ale Tuillio mimo kalectwa poruszał się bardzo szybko. W jednej chwili był przy niej. Popchnął ją na szafę, tak, że jej twarz znalazła się tuż przed nim. Nie mogła się cofnąć.

- Uwierzyłaś, że ryzykowałbym katownię w Torre dei Falconi i gniew Severa z powodu kilku złotych monet albo kawałka sukna? Masz mnie za głupca?

- Więc dlaczego?

- Najpierw ty mi powiedz, dlaczego przyszedłaś właśnie do mnie.

- Ktoś wymienił przy mnie twoje imię. Przy studni albo na placu, nie pamiętam. Opowiadał, że handlujesz tym wszystkim, czego nie można kupić w uczciwym kramie.

Jakiś dziwny, nerwowy grymas wykrzywił usta lichwiarza.

- Tylko tyle? Bo ktoś wymienił moje imię?

Coś ją przeraziło w jego głosie.

- Tak - odparła, zwilżając czubkiem języka suche wargi.

- Po prostu przyszedłaś do mnie z wysokiego miasta, ślepa na niebezpieczeństwo i całkowicie pewna, że wiesz, kogo zastaniesz. To właśnie mi powiedziałaś. Dawno temu, za pierwszym razem. Pamiętasz?

Przecząco pokręciła głową.

- Człowiek, taki jak ty, powiedziałaś wtedy. Nie masz pojęcia, jakim jestem człowiekiem, Arachne.

Wymówił jej imię tak, jakby to była broń. I nie pomylił się.

- Skąd wiesz, kim jestem?

- Och, wiem też o twojej matce i bracie, który dziewięć lat temu zaciągnął się do wojska Severa i zginął. Wiem, że złamałaś zakaz księcia i po co to uczyniłaś. Wiem o tobie bardzo dużo, Arachne. Ale ty nie wiesz nic o mnie. Nigdy nie chciałaś wiedzieć. Nigdy o nic nie spytałaś. Nie byłaś ciekawa. Przychodziłaś po księgę, daleka i obojętna, i znikaaś na wiele miesięcy. A potem pojawiałaś się, jak gdybyś widziała mnie wczoraj - mówił coraz szybciej, z rosnącą wściekłością.

- Nawet przez myśl ci nie przeszło, że pewnego dnia możesz mnie tutaj nie znaleźć. Że w moim życiu istnieje coś więcej niż poszukiwanie zakazanych ksiąg o demonach. Nie tylko ty i twoja przeklęta tajemnica.

- A istniało?

Zwinał się jak po uderzeniu w twarz. Ale odpowiedział.

- Nie. Nie istniało. Przez trzy lata szukałem twojego kochanka. Zamierzałem go zabić. I wydawało mi się, że jesteś sprytniejsza ode mnie, że znalazłaś sposób, aby się z nim potajemnie spotykać. A potem zrozumiałem, że nie ma kochanka i nigdy go nie było. Oszukałaś mnie, a ja uwierzyłem jak głupiec. Lecz przez to tylko jeszcze bardziej pragnąłem twojej tajemnicy. Jednak nie mogłem jej przeniknąć. Nawet wówczas, gdy wiedziałem już, że potrafisz odczytać zakazane zaklęcia magów i tropisz demony na nieboskłonie. Nie umiałem pojąć, dlaczego taka dziewczyna jak ty potrzebuje magii. A ty nie chciałaś mi powiedzieć. Mogłem zmusić cię, abyś pracowała ponad siły, i doprowadzić do nędzy, ale nie mogłem osiągnąć. I wtedy postanowiłem, że znajdę dla ciebie tę księgę. Tę, której pożadasz bardziej niż własnego życia. A kiedy będę ją wreszcie miał, wówczas cię dostanę. Całą twoją tajemnicę.

- Czego ode mnie chcesz?

- Rozpuść włosy - zażądał, odsuwając się o krok. - Są czerwone jak ogień i długie aż do samej ziemi, prawda? Zawsze chciałem je zobaczyć, rozrzucone dla mnie na jednym z twoich płaszczy.

- Nie jestem dziwką.

- Och, jesteś od niej gorsza! - roześmiał się lichwiarz. - Sprzedałaś siedem lat życia za sześć bezużytecznych ksiąg, a teraz uczynisz, co zechcę, aby dostać siódmą. Wiesz o tym bardzo dobrze, więc zrób, jak każę.

Kiedy wyjęła długie szpilki i rozpuściła włosy, Tuillio wsunął w nie palce i przytrzymał ją za brodę, kiedy próbowała się odwrócić.

- Tak właśnie myślałem, że będą miękkie i śliskie jak jedwab - powiedział szeptem. - I ty też taka będziesz dla mnie tej nocy, Arachne.

* * *

Dzwon na wieży Monastero dello Zodiaco wybił siedem razy na chwałę Najwyższego. Zapadał zmierzch i z Vicolo delle Tessitrici dochodził coraz donośniejszy odgłos radości, choć daleko stąd było do większych placów, gdzie mieszkańcy Brionii zbierali się właśnie na coroczne święto. Heroldzi głośno zwoływali mieszczan na zabawę w ogrodach wokół Palazzo Ducale. A Arachne siedziała pośrodku pustego warsztatu z księgą na kolanach.

Znała, więc w końcu tor jego lotu. Miała przed oczami ścieżkę, wyrysowaną srebrną kreską na mapie nieba i rozpisaną na czterech kartach w tabelach dat. Mogła go przywołać.

Sirocco, demona wichru o oddechu, który wypala oczy i wysusza szpik w kościach.

Tyle, że teraz była po prostu zmęczona. Zbyt zmęczona na radość. Chciała jedynie położyć się na pościeli i spać tak długo, aż zapomni o tych siedmiu latach, co minęły od śmierci matki. I najchętniej obudziłaby się w jakimś obcym, odległym miejscu, gdzie nikt nie słyszał o Brionii i księżętach, którzy władają magią i mają moc zaklinania demonów.

Jeden z heroldów zapuścił się aż do Vicolo delle Tessitrici i stał pod warsztatem, wykrzykując hałaśliwe zaproszenia na rokroczny bal. Jego wrzask aż świdrował w uszach. Arachne miała ochotę go przepędzić precz, ale nagle tknęła ją pewna myśl.

Tej jednej, jedynej nocy mogła widzieć twarz Severa, kiedy wezwie demona, aby rozszarpał go na strzępy. Każdy miał prawo wejść do ogrodów i patrzeć, jak księżę rozpoczyna bal, tańcząc na wielkim placu przed cytadelą z najpiękniejszą z dziewcząt. Nawet ona.

Od lat nie nosiła strojnych szat i nie zostały jej żadne klejnoty, aby się przyozdobić. Na dnie skrzyni znalazła starą suknię z błękitnego płótna, podarunek od matki, przybraną jedynie u dołu drobnym wzorem z różanych kwiatów. Wyrwawszy z książki kartę z zaklęciem i zapisem pozycji demona, ukryła ją na piersiach pod suknią. Upięta wysoko warkocze i wsunęła w nie kilka białych róż, znalezionych w wirydarzu na jedynym krzaku, który przetrwał po śmierci jej matki. Na kramie przy Porta dei Leoni kupiła maleńką, jedwabną maseczkę. Kiedy ukryła twarz, miała wrażenie, że hafciarka z Vicolo delle Tessitrici zniknęła bez śladu. Ktoś zupełnie inny

wspinał się w rozradowanym tłumie ku księżęcej cytadeli. Arachne nie była pewna, czy zna tę dziewczynę.

Wydało się jej, że strażnicy u bramy przyglądają się jej dziwnie, jakby wiedzieli o ukrytym zaklęciu. Przeszła pomiędzy dwoma lwami z żółtego piaskowca. Każdy z nich był ponoć demonem zamkniętym w kamieniu, aby strzegł maga i chronił go przed wszelkim niebezpieczeństwem. Jej jednak nie zatrzymały.

Ogrody mieniły się od światła. Kwitły kwiaty. Na drzewach wisały owoce z palonego cukru, marcepanu i lukrecji smażonej w miodzie. Na niektórych siedziały pszczoły z czystego złota. Ponad klombami wirował rój połyskliwych demonów, a każdy z nich był ognistą salamandrą, zaklętą w kształt latarenki.

Arachne wędrowała powoli poprzez zaczarowany ogród. Wkrótce została sama na ścieżce, bo goście z miasta rozbiegli się na wszystkie strony w poszukiwaniu nowych cudów. Ona jednak szła prosto na wielki marmurowy plac przed cytadelą. Zbyt długo czekała na spotkanie z Severem. Nie chciała zwlekać ani chwili dłużej.

Ale kiedy podeszła bliżej, tłum znów zgęstniał niezmiernie. Mnóstwo dziewcząt przez cały rok marzyło, że właśnie je wybierze książę, aby zatańczyły z nim pierwszy taniec i rozpoczęły bal. Tłoczyły się teraz niecierpliwie po bokach placu w swych najlepszych sukniach i Arachne nie zdołałaby się przepchnąć pomiędzy nimi bliżej maga. Cofnęła się, zatem głębiej w ogród. Nikt nie patrzył w jej stronę, więc uniosła spódnicę i wspięła się szybko na jeden z figowców. Teraz ponad głowami zgromadzonych widziała wyraźnie cały plac. Był wciąż pusty, tylko przed wejściem do Palazzo Ducale stały dwa rzędy żołnierzy w barwach maga.

Małeńki ptaszek o żółtym brzuszku przyfrunął i usiadł na gałęzi tuż obok jej twarzy. Przechylił główkę i przyglądał się jej uważnie. Ale kiedy wyciągnęła dłoń, by dotknąć delikatnie brązowego grzbietu, poczuła pod palcami chłodny metal. Ptak był demonem, zabawką stworzoną przez maga dla rozrywki gawiedzi.

Zagrały trąby i ogromne wrota cytadeli rozwarły się powoli. Rozpoznała Severa od pierwszego spojrzenia. Był cały w błękicie, a jego płaszcz koloru ultramaryny opadał aż do ziemi. Gdy szedł przez plac, goście chylili się przed nim w pokłonie. Minął pierwszy szereg panien, a patrycjuszki w sukniach z brokatu i jedwabiu rozstały się przed nim, z trudem kryjąc zawód. Dalej stały dziewczęta z wysokiego miasta, córki kupców i rzemieślników, przemieszane z bie-

dotą miejską, rybaczkami z portu, a nawet ladacznicami. Wszystkie nosiły takie same maski z czarnego jedwabiu i z równą niecierpliwością oczekiwały decyzji księcia.

Severo zwlekał. Z uśmiechem odpowiadał na pozdrowienia. Ucałował dłoń siwowłosej matrony, która miała dość śmiałości, by zastąpić mu drogę. Wciąż jednak nie wybrał partnerki do tańca.

Dopiero, kiedy był prawie pod jej drzewem, Arachne zorientowała się, dokąd idzie. Przywarła mocniej do pnia, przeklinając próżność, która podszeptała jej jasną suknię. Na darmo. Mag dostrzegł ją od razu.

Stał pod figowcem, z rozbawieniem w błękitnych oczach przyglądając się Arachne. On jeden nie nosił maski. Miał szczupłą, smagłą twarz. Kiedyś wyhaftowała ją na płaszczu jako oblicze demona.

- Skocz - powiedział Severo. - Złapię cię.

Inni również zauważyli Arachne i zaczęli spoglądać ku nim z zaciekawieniem.

Mag wyciągnął ręce. Ptaszek zaświergotał natarczywie. Nie miała, na co czekać.

Skoczyła.

Severo złapał ją, przyciągnął do piersi i usłyszała mocne uderzenie jego serca. Potem postawił ją na ziemi i wyjął kwiat z jej włosów.

- Kwiaty Sirocco - rzekł, obracając w palcach białą różę. - Niebysza.

Zdumiała się, jak mogła być równie głupia i zdradzić się tak prostą rzeczą. Ale wtedy Severo zrobił coś, co zadziwiło ją jeszcze bardziej. Ujął jej dłoń.

- Czy zechcesz mi uczynić ten zaszczyt, pani - wypowiedział ceremonialne słowa - i zatańczysz ze mną tej nocy?

Zaschło jej w gardle. Mogła tylko skinąć głową.

Ludzie wiwatowali, kiedy Severo prowadził ją po trawie na wielki marmurowy plac przed cytadelą. Muzycy na drewnianym pomoście, przystrojonym wielobarwnym kwieciami i złotymi wstęgami, zaczęli grać. Nie znała kroków. Nie rozpoznała powolnej, rozkołysanej melodii, lecz mag położył jej dłonie na swoich ramionach i objął ją w pól. Potem spojrzała mu prosto w oczy. I nie było nic więcej. Melodia uniosła ją i oszołomiła jak zaklęcie.

Srebrne i złote salamandry otoczyły ich i wirowały nad nimi jak rój ogników, a nieboskłon był pełen gwiazd. Coś rozplotło jej włosy - magia albo jego palce - i otoczyły ich jak jedwabna przędza, jak babie lato, kryjąc przed wzrokiem gapiów. I wydawało się jej, że te

wszystkie straszne, samotne lata w warsztacie Despiny opadają z niej niczym zwiędłe, szerniałe liście. Cała nienawiść, lęk i strach, spowijające ją od śmierci brata, podniosły się na chwilę i niczym dym zniknęły na nocnym niebie. To było jak sen. Jak nagłe zaćmienie serca. Po prostu nie pozostało nic prócz tańca i ramion Severa, które otaczały ją ciasno i unosiły nad ziemią.

Potem melodia znikła gwałtownie. Jak ucięta nożem.

Zakręciło się jej w głowie. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby mag jej nie podtrzymał. Znowu usłyszała spokojne, równe bicie jego serca. Taniec się skończył, ale on wciąż stał naprzeciw niej, jakby na coś czekał. Nagle Arachne rozpaczliwie zapragnęła, żeby nigdy nie było tych siedmiu lat i siedmiu płaszczy, utkanych, by go zabić. Aby nigdy nie odnalazła kodeksu i nie poznała toru lotu demona, który był jego śmiercią. Ale melodia dobiegła końca i znowu pamiętała. Pamiętała o wszystkim.

Cofnęła się o krok i sięgnęła pod suknię, gdzie na piersi miała ukryte zaklęcie, przywołujące sirocco. Wśród ciszy głuchoj jak makiem zasiał wykrzyczała je magowi prosto w twarz.

Pociemniało. Iskry i salamandry zgasły, zdmuchnięte jej głosem. Z wysoka, sponad koron drzew i najwyższych wież cytadeli, dobiegł poszum. Zrazu nieznaczny, spotężniał i runął na nich z przeraźliwym wyciem. Cisnął Arachne o ziemię. Oczy miała pełne piasku i nie widziała, co się dzieje z Severem. A potem coś jeszcze na nią opadło. Ultramarynowy płaszcz maga, który zasłonił ją przed wichurą.

- Dostyc! - usłyszała nad sobą jego głos.

Zadymka uciszyła się bez śladu. Arachne odchyliła poję płaszcz. Wieże cytadeli wciąż trwały, nieporuszone, i żadne z drzew w ogrodzie Palazzo Ducale nie złamało się pod naporem zawiei. Nad nią zaś stał Severo, nadal z tym samym nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Wstań - powiedział, po czym zacisnął dłoń na jej przegubie. - Zdejmij maskę.

Usłuchała. Podniósł ją bez wysiłku i wciąż okrytą płaszczem przeprowadził przez tłum. Ludzie spoglądali na nich ze zgrozą, szepcząc coś pod nosem i potrząsając głowami. Nie próbowała się wyrwać.

Kiedy wartownicy, strzegący bram cytadeli, rozstąpili się przed nimi, Arachne wciąż ścisnęła w dłoni kartę z kodeksu. Zaklęcie nie podziałało. Może nigdy nie było prawdziwe, a może jedynie nie umiała zapanować nad demonem.

- Złamałaś rozkaz - rzekł Severo, kiedy znaleźli się wysoko, na otwartym tarasie ponad wewnętrznym ogrodem, dokąd nigdy nie wpuszczano gości.

- Dlaczego sądzisz, że możesz mi rozkazywać?

- Dobre pytanie - przyznał mag. - Ponieważ jestem księciem tego miasta i twoim władcą. Natychmiast opanowała ją złość. Strząsnęła z ramion jego błękitny płaszcz.

- Nie jesteś moim władcą!

- Nawet, jeśli przyptłynęłaś z morza, Brionia należy do mnie i ja tu stanowią prawo.

- Brionia nigdy nie należała do ciebie! - wykrzyknęła, odgarniając z twarzy włosy.

- Wybudował ją mój ojciec i spoił własną krwią. Odziedziczyłem miasto zgodnie z jego wolą i nie bez walki. - Severo wciąż był spokojny. - Czyżbyś chciała przeczyć moim prawom?

- Nie masz żadnych praw. Twój ojciec zamordował prawowitego władcę i wydarł dziedzictwo synom Sirocco. Popełnił jednak błąd. Nie zdołał ich zabić.

- Skąd wiesz o synach Sirocco?

Roześmiała się z triumfem.

- Ponieważ pochodzę od najmłodszego z nich. Tego, który został uniesiony przez sirocco z Isola di Tutti Venti na wschód, na drugą stronę morza.

Severo długo się nie odzywał.

- To nieprawda - powiedział w końcu.

Jego głos był łagodny i niemal mu uwierzyła. Niemal. Zaraz jednak przypomniała sobie, kim jest.

- Nie widzisz moich oczu? Są błękitne jak niebo i pełne magii. Płynię we mnie krew magów.

Severo potrząsnął głową.

- To się czasami zdarza. Bez powodu. Niektóre dzieci rodzą się z oczami błękitnymi jak niebo. Lecz nie ma w tym żadnej magii, jedynie zwykły traf.

- Moja matka powiedziała mi, kim jestem.

- Skłamała. Zapewne miała powód. Być może zapragnęła dać ci coś, co sprawi, że nie będziesz jedynie dzieckiem wygnańców w obcym mieście. Ale uwierz, że nie płynię w tobie ani kropla krwi Sirocco.

Cofnęła się na sam skraj tarasu, oparła plecami o balustradę.

- Kłamiesz! - Dlaczego miałbym to robić?

- Żeby ukraść mi wszystko. Do cna. Odebrać mi nie tylko Brionię, ale nawet pamięć o moim dziedzictwie.

- Nigdy ci niczego nie zabrałem, Arachne. - Mag podszedł bliżej. Wyjął jej z dłoni zmiętą kartę i cisnął w dół. - Dlaczego mnie tak bardzo nienawidzisz?

Zamknęła powieki. Nie chciała, żeby widział, jak płacze.

- Zabiłeś mojego brata! - krzyknęła. Echo jej słów zawiroowało ponad ciemnym ogrodem. - Zaciągnął się do wojska, a ty posłałeś go na południe, aby znalazł się z daleka od Brionii. Z daleka od nas. Potem go zabiłeś.

Gdzieś daleko, po drugiej stronie cytadeli, znów grała muzyka. Mieszczanie powrócili do zabawy.

- Przykro mi - powiedział cicho Severo. - Żołnierze umierają na wojnie. Nie mogę ochronić każdego z nich.

- Zabiłeś go - powtórzyła tępo. - Zabiłeś.

A potem wybuchła szloch, który tłumiła przez te wszystkie lata. Nie spostrzegła, jak to się stało, że Severo był tuż przy niej. Ukryła twarz na jego piersi i płakała. Mag nie poruszył się. Objął ją i po prostu czekał cierpliwie.

- Co ze mną zrobisz? - spytała, wysuwając się z jego uścisku.

- Złamałaś coś więcej niż mój rozkaz. Aby mnie zabić, sięgnęłaś po zakazaną wiedzę. Nigdy nie zdołałabyś okiełznać demona, nawet gdybyś wytropiła go w jednej z ksiąg. Nie masz dość mocy ani dość wiedzy. Ale nauczyłaś się czytać, a za to jest dla kobiety jedna kara, starsza od nas obojga.

Śmierć, pomyślała Arachne. Kobieta, która nauczy się czytać, zostanie ukamienowana jak strega na placu przed świątynią. Gallinetta miała rację. Powinnam była użyć trucizny.

- Zabijesz mnie - rzekła.

- Taką naznaczono karę.

Miała niejasne wrażenie, że powinna coś zrobić. Rzucić się magowi do nóg i błagać o litość. Albo przeklinać go i złorzeczyć. I nie potrafiła.

A najdziwniejsze było, że nie czuła strachu. Dokądkolwiek zmierzała przez te siedem lat po śmieci brata i matki, dotarła do celu. Nic więcej od niej nie zależało. Była w tym jakaś otucha.

- Czy powiesz mi coś wcześniej?

- Pytaj.

- Kiedy się o mnie dowiedziałeś? Już wtedy, kiedy pierwszy raz spróbowałam ściągnąć demona?

Nie zawahał się ani odrobinę.

- Wcześniej. Lichwiarz wydał cię tej samej nocy, gdy przyszedł do niego po księgę. Wyznaczono za podobne wieści nagrodę. Nie jesteś pierwszą kobietą, która usiłowała zgłębiać zakazaną wiedzę czarodziejów.

Uwierzyła mu. Nie pojmowała, dlaczego.

- Skoro wiedziałeś, czemu mnie wówczas nie zabiłeś?

- Byłem ciekaw. Dałem lichwiarzowi księgę, bezużyteczną, abyś przez przypadek nie wyrządziła krzywdy nikomu prócz siebie, i rozkazałem, by ci ją dał, jeśli powrócisz. I nie omyliłem się. Wróciłaś. Wtedy zrozumiałem.

- Co?

- Chodź ze mną. - Ujął ją za łokieć i poprowadził przez taras ku drzwiom.

Zgadła, że to jego komnata i zdumiała się jej surowością - nie było w niej nic, oprócz łóżka, pulpitu do czytania przy oknie i dwóch zwyczajnych skrzyń. Przy posłaniu stał ogarek pojedynczej świeczki. W wielkim kominie buzował ogień. A pod ścianami na drewnianych stojakach rozwieszono siedem płaszczy, które wyhaftowała.

- Więc to ty je kupowałeś - powiedziała cicho. - Powinam była zgadnąć. Mam nadzieję, że przyniosły ci więcej radości niż mnie.

- Nigdy ich nie nosiłem. Czy wciąż nie wiesz, dlaczego?

Potrząsnęła głową.

- Prawie ci się udało, Arachne. Niemal mnie zabiłaś.

Była pewna, że się przestyszała.

- Kiedy Tuillio przyniósł pierwszą szatę, twoja sztuka zachwyciła mnie. Nie sądziłem, że człowiek może bez magii stworzyć coś równie pięknego. Że kobieta może wyrysować demona tak samo biegle jak ja. Od sześćdziesięciu lat patrzę im prosto w twarze, kiedy przybiegają do mnie, rozwścieczone, lecz posłuszne zaklęciu. Jednak na zwyczajnym kawałku płótna zobaczyłem coś innego. Jakaś cząstkę wiedzy, której nie znałem. Nawet nie przeczuwałem jej istnienia. Czy wiesz, co zrobiłaś - wtedy i przez wszystkie kolejne lata?

- Haftowałam.

- Jest dziewięć sfer nieba, a w każdej krążą duchy odmienne i właściwe tylko dla niej. Dziewięć chórów demonów, którymi włada tylko Najwyższy - i magowie, jeśli mają dość rozumu oraz umiejętności. To właśnie zrobiłaś na swoich płaszczach, Arachne. Wyhaftowałaś kolejno siedem demonów, po jednym z każdego chóru, od najłagodniejszego mocą po coraz groźniejsze, aż do tronów, nad którymi są już tylko keruby i serafy.

- A jak cię prawie zabiłam? - przerwała niecierpliwie.

- Nawet teraz dbasz tylko o to? - Coś przemknęło po twarzy Severa. Smutek. - Dobrze, więc. Kiedy niemal włożyłem pierwszy płaszcz.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Drwisz ze mnie?

- Wydawał się dla mnie stworzony - ciągnął szeptem Severo. - Płaszcz godny maga, czyż nie? Błękitny i srebrny jak moja magia. Niebo i gwiazdy. Morze i szron. Kiedy go dotknąłem, tkanina omywała moje palce niczym fala. A gdy go podniosłem, był lekki jak pióro i delikatny jak pajęczyna. Prawie włożyłem go na ramiona. - Potrząsnął lekko głową, jakby dziwił się własnej głupocie. - Prawie mnie pokonałaś.

- Nie rozumiem.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Udało ci się uwięzić w płótnie demona. Wplotłaś go między nici tak zręcznie, że niemal go przeoczyłem. Spętałaś go bez zaklęcia, tak, że nikomu więcej nie uda się nad nim zapanować ani zmusić go do spełnienia życzenia. On zaś nie potrafi się uwolnić. Pozostanie w płaszczu, dopóki haft nie zetleje i nie rozpadnie się na strzępy. Chyba, że wcześniej demon zdoła mnie pochwycić, bo twoje pragnienie jest również zapisane we wzorze haftu i pozostawiłaś mu tę jedną drogę ucieczki. Wystarczyłoby włożyć płaszcz na ramiona, a demon pochłonałby mnie bez śladu.

- To niemożliwe - wyjąkała. - Nie można czegoś podobnego zrobić.

- Nikt nigdy nie próbował - przyznał mag. - Ale tobie się w jakiś sposób udało. Bardzo dobrze znałaś swoją sztukę. I nienawidziłaś mnie wystarczająco mocno.

Więc to, dlatego Gallinetta próbowała mnie ostrzec, zrozumiała dziewczyna. Czuła moc, choć nie pojmowała jej natury. A ja nie posłuchałam. Zmarnowałam to. Zmarnowałam wszystko.

- Kiedy znałem już prawdę - mówił dalej mag - czasami przyglądałem ci się z oddali. Byłaś taka... - zawahał się - kompletna. Zamknięta jak muszla i doskonale nieświadoma. Demony zbiegały się i krążyły wokół ciebie jak przezroczyste płomienie, a ty nie przeczuwałaś

wcale ich obecności. Przebijałaś je stalową igłą jak motyle i przypinałaś do tkaniny, cały czas szukając daremnej, bezużytecznej wiedzy. Pomyliłaś się, Arachne. Tak bardzo się pomyliłaś.

Znowu się rozplakała.

- Nie musisz mnie upokarzać - powiedziała przez łzy.

- Nie upokarzam cię.

- Powinieneś mnie ostrzec. Zatrzymać.

- Chyba powinienem - przyznał powoli Severo. - Byłem jednak ciekaw. Ciekawość jest największym grzechem magów.

- Podobnie jak pycha, zachłanność i okrucieństwo.

Potrząsnął tylko głową.

- Być może. Ale poza wszystkim... - zastanowił się, jakby nie mógł znaleźć właściwych słów. - Chciałem, żebyś pozostała wolna. Żebyś zatrzymała się z własnej woli i w wybranym przez siebie czasie. Tym się różnimy od demonów. Chwytamy je, lecz nie pętamy siebie nawzajem.

- Wolność jest dziwnym darem.

Skoro teraz masz zamiar mnie zabić, dodała w myślach.

- Są dziwniejsze od niej. Tyle, że czasami przychodzą nieproszone i zbyt późno.

Wydało się jej przez chwilę, że na swój irytujący, pokrętny sposób mag próbuje jej powiedzieć coś ważnego, ale zaraz odepchnęła tę myśl od siebie.

- A więc po prostu przez siedem lat napawałeś się moją głupotą.

- Nie napawałem się! - Pierwszy raz usłyszała w jego głosie gniew. - Nic o mnie nie wiesz.

- Ktoś mi to już powiedział zeszłej nocy - odparła hardo, choć wspomnienie przejmowało wstrętem. - Pewien lichwiarz, który bawił się mną z twojego rozkazu. Czy inne rzeczy również mu rozkazałeś?

Zobaczyła, że Severo zacisnął zęby.

- Zabiłem go zeszłej nocy.

Roześmiała się.

- Czy sądzisz, że to mi coś przywróci? Pocieszysz po tych siedmiu latach, kiedy byłem twoją zabawką?

Złapał ją za nadgarstek tak mocno, że zabolało.

- Nie byłaś zabawką. Pozwoliłem ci żyć. Nie sądziłem, że zrobisz coś równie szalonego.
Że rzucisz mi wyzwanie przy wszystkich moich ludziach.

- Teraz, więc mnie zabijesz.

Zawahał się.

- Nie. Nie mogę cię utracić. Splotę cię z demonem. Umrzesz, lecz jednocześnie będziesz żyła. Przy mnie.

- Och... - tylko tyle zdołała powiedzieć. Potem głos się jej załamał.

Jak ślepa podeszła do łóżka i usiadła na pościeli. Nic więcej w komnacie nie było, więc Severo ukląkł przed nią na posadzce.

- Ostrzegali mnie - rzekła głucho, splatając palce na podołku. - Nie mogę nikogo winić. Ostrzegali mnie przed okrucieństwem magów.

- Arachne...

- Czy właśnie, dlatego w cytadeli wciąż nie ma pani? - Nie wiedziała, skąd bierze odwagę, aby mówić do niego w ten sposób. - Bo wszystkie swoje kochanki oddałaś demonom? Bałeś się ich tak bardzo, że musiałeś je przemienić i odebrać im duszę?

- Nie ma innego sposobu, abyś żyła. Złamałaś zakaz.

- Wolałabym umrzeć! - krzyknęła zapalczywie.

- Ale nie umrzesz.

- Dlaczego?

- Masz zbyt wiele mocy, aby to zmarnować.

Jednak tym razem zgadła, że skłamał. Pierwszy raz.

- Tylko, dlatego? - Podniosła się. Kiedy stała, Severo był dalej i czuła się bezpieczniejsza.
- Czy gdybym nigdy nie nauczyła się czytać i nie próbowała cię zabić, wówczas pozwoliłbyś mi odejść swobodnie?

Wyszedł za nią na taras. W ogrodach trwała zabawa. Śmiechy dobiegały aż tutaj.

- Wiesz, że mój ojciec spotkał kiedyś Sirocco? - spytał. - To znana opowieść, o tym, jak popłynął na Isola di Tutti Venti.

- Aby ją zabić - poddała mściwie.

Zignorował ją.

- Był tam raz wcześniej, zanim rozpoczęła się wojna. Powiedział mi tuż przed śmiercią. Wezwała go, więc popłynął, bo był młody, próżny i nie wierzył, aby cokolwiek mogło go pok-

onać. Ale tak, potem powrócił po śmierci Duilia. Sirocco czekała na niego. Odmieniła go. Nie magią. Czymś jeszcze głębszym. Tak, że nie potrafił się potem cieszyć ze zwycięstwa. Nie potrafił się cieszyć, że odbudował z popiołów Brionię, z jej różowymi kopułami świątyń, marmurowymi placami i murami jak złote węże. - Severo odwrócił się i oparł rękami o balustradę.

Nie patrzył na nią, więc powoli przesunęła się krok do tyłu. Potem jeszcze jeden, najciszej, jak potrafiła. Modliła się do Jedynego, aby mag mówił dalej i pozwolił jej cofnąć się jeszcze trochę.

- Zaczął szastać mocą. Chciał tworzyć rzeczy trwałe i piękne, które zaćmiłyby pamięć o Isola di Tutti Venti. Ale tak naprawdę próbował wykonać coś, co znalazłoby uznanie w oczach martwej kobiety. A ponieważ ona rzuciła się ze skał w morze, był dla siebie najsurowszym sędzią.

Odeszła już o osiem kroków od niego. Wystarczająco daleko. Zresztą mógł odwrócić się w każdej chwili.

- Roztrwoniał swoją magię. Inaczej żyłby jeszcze wiele lat. Kiedy umierał, obiecałem sobie, że nie pozwolę, aby ktoś mnie podobnie opętał. Nie pozwolę sobie odebrać mocy. Nikomu.

Przechyliła się nad balustradą i mocno zacisnęła na niej rękę. Ogród był ciemny i bardzo odległy.

- Nie rób tego, Arachne! - rzucił ostro. - Wciąż jestem magiem i nie zdołasz mnie tak łatwo oszukać. Nie pozwolę ci się zabić. Jeśli skoczysz, demony pochwyć cię i nietkniętą przyniosą z powrotem.

- Pomyślałeś o wszystkim? - Nachmurzyła się, choć wobec wszystkiego, co się stało tego wieczoru, ta drobna klęska nie miała żadnego znaczenia.

- Nie, nie o wszystkim. - Uśmiechnął się. - Ale o tym tak. Patrzyłem przecież na ciebie przez siedem lat. Jak mógłbym nie zgadnąć?

Wzruszyła ramionami.

- W jaki sposób zamierzasz to zrobić? Jak spręgniesz mnie z demonem?

Wydało się jej, że pytanie sprawiło mu przykrość. Może nawet teraz nie chciał się podzielić z nią sekretami tajemnej wiedzy czarodziejów.

- Podobnie jak ty chciałaś mnie zabić. Włóżysz płaszcz. Tyle, że nie zginiesz.

Zadrżała mimowolnie. Była w tym jakaś przewrotna, przerażająca sprawiedliwość.

- Czy będzie bolało?

Starła się, by nie wyczuł w pytaniu strachu. Ale oczywiście się jej nie udało.

- Arachne, to nie jest tak - odparł ze znużeniem Severo - że wieczorami idę do katowni i syć się krzykami torturowanych. Nie zadaję bólu bez potrzeby. Niewiele poczujesz. Nałożysz płaszcz, a potem... Potem odpłyniesz.

- Umrę - sprostowała sucho. - Potem mnie zabijesz.

- Jeśli tak wolisz to nazwać. Nie chcę się teraz z tobą spierać.

- Nigdy więcej nie będziesz miał okazji. Kiedy włożę płaszcz i stanę się demonem, będę cię już tylko kochać. Przez całą wieczność.

Zmarszczył brwi.

- Nie uda ci się mnie w ten sposób zranić, Arachne. Nie warto próbować. Ostatecznie przyszłaś tu, aby mnie zabić. Słabość nie jest niczym prócz słabości.

- Nikt mnie nawet nie pocałował - powiedziała nagle ze zdumieniem.

Severo nie zrozumiał.

Przypomnieli się jej wszyscy chłopcy z Vicolo delle Tessitrici, którzy oglądali się za nią, kiedy była młodą, radosną dziewczyną, jeszcze przed śmiercią Yanniego. Syn Crescenza strzecharza, który zaprosił ją na tańce więcej niż osiem lat temu i zginął gdzieś daleko od Brionii.

- Żaden mężczyzna - dodała, bardziej do siebie niż do maga. - Nigdy.

- A lichwiarz?

- Nie zależało mu na moich pocałunkach - odparła tak obojętnie, jak tylko umiała. - Myślałam wtedy, że mści się na mnie. A teraz nie jestem pewna. Być może mścił się na tobie. I zdaje mi się, że powinnam być mu wdzięczna. Ale mnie nie pocałował.

Był zdumiony. Dopiero teraz udało jej się go zaskoczyć. Podeszła bliżej.

- Nie mam sztyletu - wyszeptała. - Możesz sprawdzić.

- Wiem - powiedział i bardzo ostrożnie dotknął jej warg.

Przyciągnęła go bliżej, objęła z całej siły, aż poczuła obok spokojne, równie bicie jego serca. Zamknęła oczy. Wokół niej znów wirowała muzyka, ta sama rozkołysana, powolna melodia, którą grano, kiedy mag poprosił ją do tańca.

Za plecami Severa, ponad dachem cytadeli, zaczęły się rozpryskiwać ogniste fajerwerki. Zabawa w ogrodach Palazzo Ducale dobiegała kresu.

- Dlaczego? - spytał chrapliwie mag, odsuwając ją na wyciągnięcie ramienia.

Jego oczy wydawały się całkiem czarne.

- Żebyś podczas tych wszystkich lat, kiedy będziesz całował demona, pamiętał, kim byłam naprawdę.

Jego twarz zmieniała się na moment.

- Teraz włożę płaszcz - dodała, aby go uprzedzić, cokolwiek zamierzał powiedzieć. - Czy pozwolisz, abym zrobiła to sama? Zostawisz mnie na moment?

- Tak - zgodził się po chwili. - W mojej komnacie.

Pozwoliła zaprowadzić się na powrót do sypialni maga, gdzie czekało na nią siedem płaszczy.

- Zapieczętuje drzwi - przestrzegł ją. - Nie wymkniesz się.

Na progu obejrzał się jeszcze.

- Żałuję, Arachne. Naprawdę.

- Wiem.

Kiedy wyszedł, usiadła na łóżku i patrzyła na siedem płaszczy, które przez nieprzeliczone godziny pokrywała haftem. Siedem lat jej życia. Siedem demonów.

Jedna śmierć.

Wreszcie podniosła się z westchnieniem, bo wiedziała, że Severo nie będzie czekał w nieskończoność. Ale pomylił się w jednej rzeczy.

Drzwi były zamknięte magiczną pieczęcią i być może zastawił jeszcze wiele innych pułapek, bo przecież patrzył na nią przez siedem lat i znał ją bardzo dobrze, a jednak znalazła sposób, aby przed nim uciec. Podeszła do komina i skoczyła prosto w płomienie. Lecz ogień także był demonem.

Jej cień

Strumień Czasu, niestrudzony, zagarnia wszystko, co się zrodziło w podksiężycowym świecie, i unosi w nieprzenikniona ciemność zarówno czyny bez znaczenia, jak i rzeczy wielkiej wagi, warte uwiecznienia; jak napisano w świętych księgach: „przywodzi na światło to, co było

zakryte, i odbiera nam to, co było widziane". Wszakże wiedza Historii jest nieprzemogłą zaporą przeciwko strumieniowi czasu; ona to ogranicza ów niezmordowany potop i w ciasny uścisk chwyta wszystko, czego może dosięgnąć, a co unosi się na powierzchni, i nie pozwala, aby osunęło się w otchłań Zapomnienia.

*Ja, Luana, córka Senna, który panował nad Brionią i Adalgisy z rodu książąt Orvieto, zrodzona i wychowana w l'Azzurro, zdając sobie sprawę z niszczycielskich skutków Czasu, zapragnęłam poprzez moje pisma zdać sprawę z czynów moich przodków, które nie powinny zostać litościwie skazane na Zapomnienie ani uniesione przez strumień Czasu do oceanu Niepamięci, lecz po kres dni służyć za przestrożę i napomnienie. Zamierzam przypomnieć wszystko, co się tyczy ich wyniesienia, i rozliczne plagi, które spadły na Półwysep za przyczyną ich panowania, nade wszystko zaś ich upadek i zniszczenie miasta, które niegdyś było źrenicą w oku świata... **

* [W tekście sparafrazowano fragment *Aleksjady* Anny Komneny.]

Skryba raz jeszcze zmierzył wzrokiem swe dzieło i, zadowolony, odłożył pióro, po czym obejrzał się na opatkę. Staruszka drzemała, pochrapując lekko, z kącika ust ściekała jej ślina. Ostatnio zasypiała bardzo często, a wybudzona znienacka, nie rozpoznawała ludzi wokół i z lękiem przyzywała zmarłych przed półwieczem: ojca, matkę, piastunów, a także, ku zdumieniu i odrazie mnichów, swego narzeczonego, ostatniego z Principi dell'Arazzo. Czasami zaś wśród innych pojawiała się jeszcze jedno imię - Arachne, małżonki Severa, która dała początek przekłętemu rodowi władców Brionii i którą powszechnie oskarżano o konszachty z demonami. Staruszka wzywała ją pośrodku nocy, lecz ocknąwszy się, nie umiała bądź nie chciała wytłumaczyć, po co. Gdy ją o to pytano, wodziła tylko oczami po twarzach mnichów, bezradna, strwożona jak dziecko skarcone przez ukochanego nauczyciela, i kurczowo zaciskała palce na wielkiej perle, symbolu Najwyższego, którą zawsze nosiła zawieszoną u sukni na łańcuszku.

W końcu dali jej spokój. Gdyby pozostało jej więcej czasu, spróbowaliby rozwikłać i tę tajemnicę. Jednak mogła umrzeć lada dzień, nie chciano, więc, aby mroczne sprawy czarodziejów rzucały cień na konanie największej świętej Półwyspu, jak ją coraz częściej nazywano. Być może przed śmiercią jej umysł zabłąkał się bezpowrotnie w tamte okrutne czasy, kiedy jako dziewczynka była świadkiem ostatecznego upadku Brionii. A może, jak wierzyli bracia z górzystej północy, tuż przed zgonem jej oczy spoglądały już w inną krainę, daleką od podksiężycowego świata.

Staruszka zachrapała donośniej i mnich skrzywił się niechętnie. Powiadano, że uchodziła za największą piękność swoich czasów, lecz skryba uważał podobne przechwałki za bluźnierstwo. Zresztą z urody ksieni nie pozostał ani ślad. Jej twarz zapadła się i pokryła sinymi wybroczynami, grzbiet przygiął się do ziemi, palce poskręcał artretyzm, ślad po latach spędzonych w wilgotnych, mrocznych ruinach katedry Brionii. Worek łąjna, pomyślał mnich, z odrazą mierząc ją wzrokiem, worek, obciążony skórą niegdyś gładką, a teraz pomarszczoną i splekaną, ale jednak obmierzły.

Zaledwie przed kilkoma tygodniami przybył do opactwa. Z początku nieco oszałamiało go olbrzymie, milczące rumowisko miasta, sterczące w niebo ułamki białych kolumn, resztki cyklopowych murów, wypalona skorupa cytadeli. Wszędzie też dostrzegał pozostałości zakazanej magii - w kamiennych rzygaczach, które naśladowały kształtem wypędzone gargulce, w jaśniejszym płacie na wrotach, który był śladem po zerwanej kołatce z salamandrą, w znaku Testa di Cavallo, wyskrobanym ukradkiem w klasztornej bramie. Nawet w oszałamiającej woni białych róż, ulubionych kwiatów opatki, jej własną ręką zasadzonych w klasztornym rosarium, szczepionych i pielęgnowanych ze starannością, która powinna być zastrzeżona jedynie dla zbożnych dzieł. Spoglądał na błękitne filigrany, którymi zdobiono księgi w skryptorium, na odkryte głowy wieśniaczek, kiedy o poranku czerpały wodę ze studni, wreszcie na osmolone mury starej katedry, u której zbudowano klasztor. I z każdym dniem jaśniej pojmował, że na tej zatrutej glebie nie wyrośnie nic dobrego, bo każde święte dzieło zostanie tutaj wypaczone i zatrute magią. Gdyby zależało to od niego, zrównałby opactwo z ziemią, a resztki posypał popiołem i solą. Jednak posłano go, aby spisał żywot Luany, opatki Brionii, więc musiał tu tkwić, póki starucha nie sześźnie.

Miał nadzieję, że nastąpi to niebawem, bo i tak nie miał z niej żadnej pociechy. Pytana, mamrotała coś w odpowiedzi bezzębnymi ustami, śliniąc się i postępując jak niemowlę. Skryba nie rozumiał ani słowa. Nie starał się zresztą rozumieć, bo zawczasu wiedział, jak należy napisać, aby jego dzieło stało się pokrzepieniem dla braci w tych ciemnych czasach, dopóki ostatni z czarodziejów nie zniknie z Półwyspu i nie spłonie ostatnia magiczna księga. Luana, ta żywa, nie była mu do niczego potrzebna. Nie mógł jednak tego wyznać, nie w Brionii, która była kolebką i świadkiem jej cudów.

Pochodził z nadmorskiego klasztoru, z południowego krańca Costa dei Gabbiani. Rodziców zabrało morze, a krewni, ubodzy jak klasztorne myszy, postanowili go oddać na wy-

chowanie szarym braciom. Nie było w tym złej woli - w czasach, które nastąpiły po zagładzie Principi dell'Arazzo, klasztory padały ofiarą rozszalałych demonów znacznie rzadziej niż rybackie wioski.

Wspólnota była maleńka, niechętna obcym i dobrze ukryta pomiędzy wapiennymi skałami wybrzeża. Z trzech stron chroniła ją woda, miłosierne morze, które popycha statki zdrajców na podwodne skały. Z czwartej strony biegł strumień i pojedyncza ścieżka poprzez wyschłe, jałowe wzgórza, gdzie chadzały tylko zdziczałe kozy. Mnichów nie odwiedzał nikt, prócz rybaków z okolicznych wiosek. Ci skrupulatnie strzegli tajemnicy i zawczasu powiadamiali braci o nadejściu obcych. Zresztą ziemia wokół monasteru, niegdyś władztwo Brionii, po śmierci Principi dell'Arazzo nie należała już do nikogo: żaden mag nie poświęciłby się na spłachetek nagiej, zasolonej skały. Jeśli nawet obcy wiedzieli o wspólnotce, pozostawili mnichów samym sobie, aby wyzdychali z głodu i niedostatku.

Na Costa dei Gabbiani było kilkadziesiąt takich klasztorów i właśnie one stały się zarzewiem zmiany, która przez ostatni wiek przeobraziła oblicze Półwyspu.

Jeszcze nie, pomyślał mnich, obracając się ku staruszce. Jeszcze nie dosyć uczyniono. Czarnoksiężnicy wciąż siedzą w swoich wieżach i panują nad miastami, a pomimo wszelkich przysięg żaden z nich nie ukorzył się prawdziwie przed Panem. Zgorszenie jest podstępne, wciąż rzeźbi nowe ścieżki w twardej skale wiary. Są południowe opactwa, gdzie mnisi starej reguły nadal wyliczają szlaki pośród gwiazd i przepisują kodeksy pełne zaklęć. Jest klasztor świętego Sirona, gdzie udzielono schronienia synowi czarnoksiężnika, aby sącył powolny jad w nasze modlitwy. Jest wreszcie to miejsce, centralny punkt dawnych legend i zakazanej magii.

Potrzeba nam wiele czasu, aby zniszczyć to wszystko.

* * *

W nocy ogromna cytadela Brionii była dziwnym miejscem, pełnym szeptów i drżących cieni. Odgłosy niosły się po opustoszałych korytarzach, budząc zmienne echa, które zdawały się chichotać i przyzywać do zabawy. Strużki bladego światła wpełzały spomiędzy kamieni jak srebrzyste zmiłki, odbijały się od wypolerowanych hełmów strażników i uciekały w mrok. Błędne ogniki tańczyły na ostrzach mieczy, którymi ozdobiono sale przyjęć, i zapalały iskielki w

oczach posągów z alabastru. Gobeliny falowały, poruszane wiatrem, niewyczuwalnym dla śmiertelników, oczy książąt z portretów poruszały się, łowiąc najmniejszy ruch pająka, który snuł pajęczynę w mrocznym kącie pod powałą.

Nocą po cytadeli przechadzały się demony i żaden z gości Rocca di Brionia nie odważył się wychylić nosa poza drzwi gościnnej komnaty. Nasuwali kołdrę na głowę i licząc krople, które przelewały się w wodnej klepsydrze, modlili się do Najwyższego o sen. Kiedy zaś usnęli głęboko, spomiędzy gobelinów wychylały się lamie, lekko jak oddech pełzły w dół po słupach baldachimu, zawisały tuż nad poduszkami, aby łowić słowa szeptane przez gości i spijać z ich ust najskrytsze sny. Czasem za oknami dawał się słyszeć łopot skrzydeł, kiedy zapóźniona grają powracała z wiadomościami do książęcego ptaszyńca. Podczas pełni kamienne gargulce obracały się ze skrzypem w stronę księżyca i mruczały ciche pieśni o pięknie ponadksiężycowego świata. Patrolujące mury stymfalidy przysiadły na blankach, ze zgrzytem ostrząc metalowe pióra. Golemy człapały ciężko, roniąc ziarna piasku na marmurowych posadzkach.

Niekiedy zaś wśród tych wszystkich skrzypów i szelestów rozlegał się płacz dziecka.

* * *

Izba. była ciasna, nie więcej niż cztery kroki wzdłuż każdej ściany. Dwa boki zamknięto kratami - jedna z nich wychodziła na korytarz, druga zaś na krużganek jednego z wielu wewnętrznych dziedzińców. Obie też zostały zatrzaskane na głucho; Rocco przekręcił klucz, po czym odszedł, pogwizdując pod nosem ulubioną pieśń. Kiedy jego kroki przycichły w oddali, salamandra w jedynej latarence, którą pozostawiono na korytarzu, wypuściła z nozdrzy kłębek dymu i zwinęła się do snu. Golem z piaskowca zastygł na straży pod kratą, czujnie nasłuchując odgłosów ze środka. Płacz mu nie przeszkadzał, w przeciwieństwie do inkantacji wypowiedanej wciąż od nowa, lecz nieodmiennie z błędną intonacją, złymi akcentami, niewłaściwą melodią. Gdyby potrafił, zasłoniłby uszy, udręczone zwichrowanym zaklęciem, ale ze służby mógł go zwolnić jedynie poprawnie wypowiedziany czar. Czekał, więc nieruchomo, lecz z nadzieją, bo jego kamienny umysł nie potrafił utrzymać w pamięci dziesiątek nocy, które spędził w tym samym miejscu, daremnie wyglądając uwolnienia.

Chłopiec skulił się przy murze. Dygotał, na próżno usiłując powstrzymać łkanie. Dawno już przestał błagać golema, aby go wypuścił. Monstrum miało wprawdzie dość siły, aby roztrzaskać kratę, ale nie słuchało nikogo, prócz swego stwórcy. Nie bez przyczyny ojciec spośród wszystkich potworów naznaczył właśnie owo bezmyślne, niestrudzone stworzenie, odporne zarówno na błagania, jak i groźby. Golem nie potrafił nawet pojąć, że uczyniono go wyłącznie po to, aby służył za strażnika synowi władcy, a jeśli chłopiec poprawnie wypowie zaklęcie, znikną cel i przyczyna istnienia potwora. Rocco był ostrożny i nigdy nie wystawiał swoich stworzeń na pokusę. Monstrum rozsypie się w pył, a uwolniony demon odleci wysoko ponad gwiazdy i nikt nie będzie próbował go zatrzymać. Niektóre prawa są niezmiennie. Po spełnieniu trzech życzeń powietrzny duch odchodzi wolno, bo żaden czarnoksiężnik nie może ponownie spętać tego samego demona. Trzecim życzeniem Rocca było nieodmiennie, aby odszedł spokojnie, nie mszcząc się i nie nękając nikogo z domowników.

Złośliwi szeptali, że owa zapobiegliwość jest najwyraźniejszym znakiem upadku Brionii, bo w czasach dawnej potęgi żaden demon nie zaatakowałby bezkarnie księcia-maga. Było w tym trochę prawdy. Od śmierci Severa przeminęło sześć pokoleń. Jego potomkowie rozplenili się bujnie i skoligacili z innymi rodami, ale żaden nie dorównał mężowi Arachne. Magia, która załśniła jak błyskawica w Golfo delle Lacrime, zdawała się stopniowo wygasać w krwi Principi dell'Arazzo i każdy władca był słabszy od poprzedniego. Wciąż jednak panowali nad Brionią, a czego nie potrafili dokonać zaklęciami, czynili sztyletem i trucizną. Rocco nie wyróżniał się w tym względzie szczególnym okrucieństwem, choć zamordował brata, a po jego śmierci zamknął wdowę z dziećmi w klasztorze, aby nigdy nie stanęli mu na przeszkodzie.

Nie przewidział wszakże, iż Diamante, jego własny syn, okaże się głupcem, niezdolnym opanować najprostszego z zaklęć.

Słoma zaszeleściła i chłopiec skulił się gwałtownie. Czasami ojciec odwiedzał go zniemacka w środku nocy. Stawał pod kratą i niespostrzeżony, przysłuchiwał się nieudolnym inkantacjom syna, póki wściekłość nie opanowała go na nowo - wtedy smagał chłopca aż do krwi albo okładał go pięściami. Tym razem jednak z resztek siennika wyłoniła się niewielka szara mysz. Diamante cofnął się odruchowo. Mysz wyglądała zupełnie zwyczajnie - zabawnie poruszała wąsami, a jej oczy połyskiwały jak dwa czarne paciorki - ale Rocco urządził tę komnatę specjalnie dla syna i niczemu nie można było ufać. Kiedy chłopiec usypiał wreszcie, zmęczony zaklęciami i płaczem, siennik potrafił zająć się ogniem, a z sufitu opadały parzące sto-

nogi i przywierały do jego karku. Kary zmieniały się w nieskończoność, zawsze jednak były pomysłowe i okrutne jak jego ojciec. Diamante najbardziej obawiał się twarzy w murze. Pojawiały się zniecka, odwracały ku niemu -opuchnięte, wykrzywione cierpieniem - a każda z nich mówiła głosem ojca.

Ale teraz była to naprawdę jedynie mysz. Chwilę przypatrywała się chłopcu, aż spłoszona jego ruchem, pierzchła w ciemność. Diamante wytarł policzki rękawem, z trudem usiłując przypomnieć sobie słowa zaklęcia. Pamięć była oporna, jak zwykle, wiedział jednak, że nie opuści celi, póki nie wypowie poprawnie inkantacji. Nikt nie odważy się sprzeciwić woli księcia. Rocco postanowił uczynić ze swego syna potężnego czarnoksiężnika i opór głupców nie mógł go odwieść od tego zamiaru. Nawet, jeśli największym głupcem był jego syn.

Od strony golema coś załśniło słabo. Diamante znów wciągnął głowę w ramiona i zacisnął powieki. Cios jednakowoż nie nadszedł. Kiedy odważył się spojrzeć, zobaczył smukłą kobietę w bladoniebieskiej sukni. Otworzył usta do krzyku, a ona uśmiechnęła się tylko, położyła palec na ustach i wyszeptwała:

- Cyt.

Zaintrygowana dźwiękiem salamandra czknęła przez sen, rozżarząc się nieznacznie. Kobieta pochyliła się lekko w przód, jej długie rude włosy opadły aż do ziemi, kiedy bezszelestnie wsunęła się do środka. Diamante przyglądał się temu ze zdumieniem. Był pewien, że nigdy wcześniej jej nie widział. W bladym świetle salamandry wydawała mu się piękna jak jedna z kurtyzan sprowadzanych dla księcia. Ale żadna z nich nie odważyłaby się w środku nocy wyjść na korytarz cytadeli Brionii.

- Kim jesteś? - zapytał trwożliwie.

Uśmiechnęła się znowu, kucając na wprost chłopca.

- Obudził mnie twój płacz. Dlaczego nie śpisz?

Diamante zawahał się: wciąż bał się, że nieznajoma jest kolejną pułapką.

- Ojciec mi zabronił.

- Dlaczego?

- Bo nie potrafię wypowiedzieć zaklęcia.

Spochmurniała.

- W tym nie umiem ci pomóc - rzekła powoli. - Salamandra jednak wkrótce znów zapadnie w sen, więc mogę dotrzymać ci towarzystwa. Jeśli mi pozwolisz.

Zaniemówił ze zdumienia. Nikt wcześniej nie przemawiał do niego w ten sposób.

Kobieta musnęła palcami jego rude włosy.

- Jak masz na imię? - spytała.

- Diamante, syn Rocca di Brionia, niech Najwyższy nigdy nie odwróci od niego spojrzenia - wyrecytował.

Cofnęła się.

- Ach, tak - westchnęła. - A więc to, dlatego...

- Nie zostawiaj mnie! - Wyciągnął rękę, chcąc ją zatrzymać, bo ludzie często lękali się jego ojca. - Nie odchodź!

Znów się odsunęła, o włos mijając jego palce. Światełko salamandry zamierało z wolna, aż kobieta stała się tylko bladym cieniem na tle ciemności.

- Zostanę do świtu - powiedziała bardzo cicho - jeśli obiecasz, że nikomu o mnie nie opowiesz. W przeciwnym razie odejdę i nigdy nie powrócę.

- Obiecuję! - wyrzucił bez tchu, zachwycony, że odtąd będzie miał swoją własną tajemnicę, niedostępną dla ojca. - Jeśli spotkam cię na uczcie, nawet nie spojrzę w twoją stronę.

Roześmiała się.

- Nie spotkasz mnie. Ale jeśli twój ojciec się dowie, zechce mnie pochwycić. Pamiętaj o tym. To ważniejsze niż wszelkie zaklęcia.

Z powagą skinął głową. Miał zaledwie jedenaście lat, lecz rozumiał bardzo dobrze, jak niebezpieczny jest książę-mag Brionii. A potem przypomniał sobie siną, obrzękniętą twarz matki, po tym jak ośmieliła się sprzeciwić mężowi ten jeden jedyny raz i odepchnęła go od syna. Przełknął ślinę.

- Będzie lepiej, jeśli odejdiesz. Ojciec dowie się prędzej czy później, że złamałaś jego rozkaz i ukarze cię jak wszystkich innych.

Oczy kobiety błysnęły w ciemności.

- Nie obawiaj się. Dopóki mnie nie wydasz, nie znajdzie mnie.

- Nie ukryjesz się przed nim. Zna tę cytadelę jak nikt.

Usłyszał w jej głosie rozbawienie.

- Nie lepiej niż ja, jak sądzę.

- Jest potężnym czarnoksiężnikiem - odrzekł z urazą. - Niektórzy mówią, że dorównuje mocą samemu Severowi.

Nie wydawała się przestraszona.

- Doprawdy? Opowiedz mi o nim.

- Był młodszym z braci, ale pokonał mego stryja, aby zdobyć tron Brionii. Krew Principi dell'Arazzo nie ma sobie równych i cały Półwysep uznaje jego władzę.

- Principi dell'Arazzo?

Zdumiał się, jak mogła nie wiedzieć.

- Tak nas nazywają - wyjaśnił. - Kiedyś, dawno temu, Arachne utkła gobelin, a Severo wypęłnił go straszliwymi demonami, aby strzegły jego synów i synów ich synów, aż po kres świata. Podobno zapisano w nim wszystkich z krwi Arachne i Severa i hierofanci potrafią odczytać z biegu nici losy przyszłych pokoleń. Ja jednak - wyznał szczerze - widzę tylko dużo kolorowych zwierząt. Ojciec mówi, że gryf i lwy są znakiem naszej odwagi, ale, po co są wydry, łasice i ropuchy?

Znów się zaśmiała, miękko i pobłażliwie. Przypomniał sobie, że podobny głos miała jego matka w tych rzadkich chwilach, kiedy zostawali sami. Nie zdarzało się to jednak od wielu miesięcy. Wciąż były nowe księgi do przeczytania, nowe zaklęcia i obliczenia - a także nowe kary.

- Kiedy była brzemienna z pierwszym ze swoich synów, Arachne miała sen - powiedziała. - Śniło się jej, że stała na skraju wielkiego morza. Nagle spomiędzy fal wyszła potężna bestia, smok o pałającym oku i oddechu, który spopielał drzewa jak sosnowe igły. Tuż za nim z morza wyłoniły się cztery gryfy o purpurowo-złoty skrzydłach i rozerwały smoka. Zanim jednak wzbity się w powietrze, na brzeg wspięto się dziesięć olbrzymich lwów i w kilka chwil zagryzły gryfy. Zaraz potem z oddechu wynurzyły się dwadzieścia trzy dziki: ziemia trzęsła się od łoskotu ich racic, kiedy runęły na lwy i pozabijały je kolejno. Ale za dzikami wybiegła z morza sfora wilków i było ich po trzykroć więcej, więc bez trudu pokonały dziki i pożarły ich mięso do najmniejszej drobiny. Znów przeszło kilka chwil i morze wypchnęło na brzeg wielkie mrowie dzikich lisów; rzuciły się na wilki i nie przestawały gryźć i szarpać, póki nie wyniszczyły ich do ostatniego. Nie zdążyły się nacieszyć zwycięstwem, bo morze zafalowało, wyrzucając na brzeg mrowie pomniejszych bestii, łasice, rosomaków, kun, tchórzy, borsuków i wydr, które rozbiegły się po całej plaży i wymordowały lisy. Jeszcze krew nie obeschła na piasku, a morze wypluło ławicę ropuch strzykających jadem, pajaków i stonóg o parzącej skórze...

- I one właśnie pokonały łasice - dokończył sennie chłopiec. - A co było później?

Kobieta musnęła dłonią jego czoło. Dotyk był lekki jak pajęczyna i chłodny.

- Nic - odparła cicho. - Nic więcej nie było. Śpij teraz, kochanie, śpij...

* * *

Diamante obudził się w pustej izbie skostniały z zimna i głodny. Poranne promienie słońca oświetlały nieruchomą twarz golema, lecz nigdzie nie dostrzegł śladu kobiety, która przysłała do niego nocą. A kiedy kara dobiegła kresu i ojciec przyszedł go uwolnić, właściwie nie był już nawet pewien, czy nie wyśnił jej sobie ze strachu i zmęczenia. Przez następne dni krążył po cytadeli, wyglądając jej wśród kochanek ojca i małżonek magów, którzy przybywali na dwór w odwiedzinach. Nie sądził jednak, że ją odnajdzie. Nie przypominała żadnej z nich.

Jego niecierpliwość z każdym dniem narastała, więc zapuszczał się coraz głębiej w korytarze. Był zbyt zafrapowany, by podczas lekcji uważnie słuchać słów hierofanty, lecz na szczęście Rocco nie zwracał na niego nadmiernej uwagi. Na dwór przybył kuzyn Adalgisy, pan Orvieto, skąd przed sześcioma laty, po jej śmierci, przepędzono garnizon Brionii. Książę-mag podejmował go łaskawie i w wiekowej cytadeli nastał czas zabaw, wystawnych uczt i turniejów. Poselstwo miało podpisać rozejm, a także wiele pomniejszych traktatów, regulacje ceł, zwrot zagrabionych statków, odszkodowania za wymordowanych żołnierzy. Rocco jednak z dnia na dzień odwlekał rokowania, zupełnie jakby pragnął jedynie olśnić bogactwem południowego księcia i jego jasnowłosą, brzemienneą małżonkę. Aż wreszcie pewnego dnia, kiedy wyruszali z cytadeli na polowanie z sokołami, Testa di Cavallo przebudziła się w Porta dei Leoni i naznaczyła płaszcz pana Orvieto trzema kroplami krwi.

Żołnierze Rocca roznieśli go na mieczach w chwilę później. Jego okrwawioną głowę rzucono na podolek jasnowłosej księżnie. Jeszcze tego samego dnia poroniła, a ją samą, w poszarpanej sukni i z rozpuszczonymi włosami, książę-mag kazał wypędzić z miasta jak żebraczkę. Ale był to jedynie spektakl dla mieszkańców Brionii, wojnę, bowiem rozstrzygnięto daleko na południu: podczas gdy władca Orvieto ucztował w cytadeli, okręty Rocca podpływały chyłkiem pod mury jego miasta.

- W ten sposób, więc Rocco pokonuje wrogów - rzekła powoli rudowłosa kobieta, kiedy Diamante opowiedział jej o wszystkim.

Ojciec znów wymierzył mu karę, ale tym razem chłopiec przyjął ją nieomal radośnie. Nade wszystko chciał spotkać nieznajomą i nie przerażały go nawet czary ojca.

- Książę Orvieto chciał go zabić - odparł niepewnie, bo wydawało mu się, że słyszy w jej głosie przyganę. - Był przecież znak. Testa di Cavallo uroniła trzy krople krwi.

Rudowłosa kobieta stała tuż przy kracie, oparta o ścianę. Jej jasna suknia lekko połyskiwała w ciemności.

- Wiesz, skąd w Porta dei Leoni wzięła się Testa di Cavallo? - spytała.

Chłopiec skinął głową.

- Severo ją uczynił z końskiej skóry, mosiądzu i żywego srebra, aby po kres czasów chroniła księżęta-magów Brionii i przestrzegą ich przed śmiertelnym niebezpieczeństwem.

- Nie - odparła. - Zrobili ją magowie z Centocchio, kiedy książę Brionii wyprawił się w ujście Fiume Bianco i podbijał kolejno ich miasta, aż wreszcie zostało tylko najpotężniejsze z nich, Isl, wzniesione na skale daleko w morzu i wąską groblą połączone z suchym lądem. Wtedy czarnoksiężnicy wiedzieli już, że ostatnie z wolnych księstw Półwyspu gaśnie bezpowrotnie, a żaden z nich nie ma dość mocy, aby pokonać Severa. Postanowili jednak stworzyć dzieło, które pozostanie, kiedy ich już zabraknie, i zachwyci nawet ich największego wroga. Zrobili rzecz niespotykaną, gdyż czarnoksiężnicy nie słyną z ufności: połączyli siły, aby zwabić demona, którego nigdy wcześniej nie oglądano w podksiężycowym świetle, i zamknąć go w kształt rumaka w kolorze srebra i złota. Po siedmiu latach oblężenia armia Severa złamała wreszcie opór i weszła do miasta. Rzezi nie było końca, bo obrońcy, nie licząc już na litość, walczyli o każdy budynek, każdy plac i kawałek muru. Najdłużej broniła się katedra nad samym brzegiem morza. Kiedy w końcu wyłamano wrota, ze środka wypadł rumak - był wysoki jak kolumny podtrzymujące portyk świątyni, a od uderzeń jego kopyt pękały głazy. Zanim ktokolwiek ocenił niebezpieczeństwo, stratował całe setki żołnierzy i parł naprzód, szukając samego Severa.

- Ale nie pokonał go! - wykrzyknął chłopiec, pochłonięty tokiem opowieści.

- Nie, nie pokonał - usłyszał w jej głosie uśmiech. - Severo okiełznał go, acz nie bez trudu, i na jego grzbiecie ruszył na spotkanie magów. Niestety, kiedy dotarł do świątyni, wszyscy już nie żyli: przelali wiele krwi, aby na zawsze związać demona w kształt zwierzęcia.

- Chciał darować im życie? - spytał z niedowierzaniem Diamante. - Przecież próbowali go zabić.

- Cenił piękno, nawet śmiercionośne, a ów wierzchowiec był jednym z największych cudów, jakie oglądał. Za każdym razem, kiedy dosiadał rumaka, ten próbował go uśmiercić, takie, bowiem było życzenie czarnoksiężników i cel jego istnienia. Severo nie mógł jednak pozwolić, aby tak niebezpieczna rzecz wpadła w obce ręce, więc zanim wyruszył do Golfo delle Lacrime na spotkanie Arimaspi, odciął mieczem głowę konia i przymocował ją nad wejściem do Porta dei Leoni. Nikt nie rozumiał, po co to uczynił. Jedynie najstarszemu synowi zdradził, że odtąd Testa di Cavallo będzie strzegła dzieci zrodzonych z krwi jego i Arachne, a jeśli stanie pod nią ktoś, kto zechce nastawać na ich życie, z głowy bestii wyciekną trzy krople krwi.

- I właśnie tak się stało, kiedy księżę Orvieto z orszakem przejeżdżał przez bramę.

- Być może - odparła z namysłem. - Jednak... Nie tylko twój ojciec wie swój ród od Severa i Arachne. Jedna z ich wnuczek poślubiła księcia Orvieto i krew książąt Brionii płynie także w ich rodzie.

- Co z...? - urwał, pojmując, co naprawdę wynika z jej słów. - Ojciec nie mógłby...

Kobieta potrząsnęła głową.

- Magia nie jest sprawą łatwą ani nieskomplikowaną. Wiem tylko, że dwóch książąt z rodu Severa stanęło pod Testa di Cavallo i któryś z nich uknuł spisek przeciwko drugiemu. Demon zrobił to, do czego do stworzono. Ostrzegł o niebezpieczeństwie.

Diamante zamilkł, rozmyślając nad opowieścią. Nie radził sobie zbyt dobrze z zaklęciami, ale jak każde dziecko w rodzie magów znał prawa rządzące magią - spętany demon spełni zaledwie trzy życzenia wykraczające poza naturę rzeczy, w którą go zmieniono, jedynie śmierć maga wyzwala demona, jeśli czarnoksiężnik nie użył własnej krwi, aby na dobre utrwalić zaklęcie.

- Jak to możliwe - zapytał, tłumiąc ziewnięcie - że Severo zdołał zmienić zaklęcie magów z Centocchio, skoro posłużyli się własną krwią, aby stworzyć rumaka?

- Zauważyłeś - pochwaliła go. - Wierzchowca stworzono, aby zabił Severa. Po śmierci maga ustał cel i sens istnienia rumaka, więc rozpadłby się bez śladu, pozwalając demonowi odlecieć ponad księżyc. Severo wszakże uczynił coś, czego nie próbował nikt wcześniej. Dołączył własne zaklęcie do poprzedniego, wplótł je lekko jak wstążkę w końską grzywę. Póki mag żył, nie miało to żadnego znaczenia. W tej samej chwili, kiedy umarł i demon odzyskał swobodę, zaklęcie zacisnęło się wokół niego niczym jedwabna wstążka, pętając go na nowo. Ani wcześniej, ani później nikt nie dokonał podobnej sztuki.

- Ale mnie się uda - wyszeptał w półśnie chłopiec. - Kiedy dorosnę, zadziwię was cudami, jakich jeszcze nie oglądaliście...

Historyk powiada, że Arachne, umiłowana małżonka Severa, była niewiastą wielkich przymiotów, wprawną w rozlicznych kunsztach, przynależnych jej z racji pozycji i urodzenia. Szczególnie wszakże słynęła jako hafciarka i gobeliniarka, twórczyni dzieł niezwyklej urody. Przez długie lata pracowała w skupieniu, czyniąc rzeczy rzadkie, niepodobne do żadnych innych. Spomiędzy owych cudów jeden gobelin był szczególnie i najdoskonalszy w swoim pięknie. Arachne podarowała go najstarszemu ze swoich synów w ten sam dzień, kiedy wraz z mężem wyruszyła na spotkanie Arimaspi. Kazała zawinąć gobelin w płótno i schowała go w skrzyni, tę zaś zniesiono do nieprzemierzonych lochów pod brionską cytadelą i ukryto w miejscu, które Arachne wyjawiała jedynie pierworodnemu. Wówczas też przykazała mu, aby strzegł tego gobelinu niczym żrenicy oka, w nim, bowiem zapisana jest chwala i zagłada wszystkich, którzy narodzili się już i jeszcze się narodzą w podksiężycowym świecie z krwi Arachne i Severa.

Jak powszechnie wiadomo, oboje zginęli na brzegu morza, w Zatoce Łez, której wody stały się tamtego dnia czerwone od krwi barbarzyńców. Syn i następca księcia usłuchał ostrzeżeń matki i póki żył, gobelin pozostawał w ukryciu, pochowany głęboko w skalnych korytarzach pod twierdzą. Jego następca wszelako drwił ze starych lęków i ufny w potęgę swojej magii, a także moc oręża Brionii, przykazał wydobyć cenną oponę z lochów i przyozdobić nią ścianę sali poselstw ku większej wspaniałości swego dworu. Rychło wieść o dziwie rozeszła się szeroko po Półwyspie i gobelin stał się jednym z najbardziej pożądaných cudów Brionii. Podziwiano niezwyklej zręczność gobeliniarki, wierność kształtów i doskonałość barw, które sprawiały, że zwierzęta z kobierca zdawały się poruszać jak żywe przed oczyma patrzących. Jednakowoż prawdziwa wartość gobelinu -przepowiednia o przyszłości rodu Severa - pozostawała utajona i żaden wróż ani hierofanta nie potrafił jej odgadnąć.

Stąd też potomków Severa i Arachne zaczęto pospolicie nazywać *Principi dell'Arazzo*, Księżętami Gobelinu.

Niektórzy jednak twierdzili, choć nikt nie ośmielił się rzec tego głośno w obecności księżąt Brionii, że kiedy pierwszy raz spojrzęła w twarze swoich synów, Arachne dostrzegła w ich oczach piętno demonów, ślad po zakazanych praktykach ich ojca. Przewidziała też, że pewnego dnia demony zapanują nad nimi, co naznaczy kres rodu księżąt-magów Brionii. Aby zapo-

biec ich zagładzie, dopuściła się zbrodni, którą w innych czasach ukarano by kamienowaniem. Sięgnęła po zakazaną wiedzę czarodziejów, aby okiełznać demony i cienkimi niciami związać je w formie gobelinu.

Omyliła się jednak, jako że przeklęte nasienie demonów, synów ułudy i opętania, nie daje się poskromić ludzkim palcom.

Nie doceniła również pychy swoich potomków, którzy z własnej woli sprowadzili na siebie zagładę.

Mrok zgęstniał i spomiędzy ruin podniosły się ciemne kształty. Skryba ciaśniej otulił się opończą i nasunął na czoło szpiczasty kaptur. Szedł szybko, nie rozglądając się po bokach, aby jego wzrok nie napotkał przypadkiem jednego z przeklętych monstrów, wypaczonych pozostałości po sztuce czarodziejów. Nawet teraz, pomimo wszelkich starań mnichów, Brionia nie była bezpiecznym miejscem. Wśród zgliszczy chimery lęgły się jak kocięta - kiedy szedł w ciemności wśród niepojętych szmerów i szelestów, miał wrażenie, że ocierają mu się włochatymi grzbietami o łydki - graje podrzucały swe plugawe jaja do klasztornych kurników, a po nocach harpie nawoływały się ochrypłymi głosami znad ruin cytadeli. Principi dell'Arazzo, choć martwi od wielu lat, odcisnęli swój ślad w każdej poczerńniętej cegle i każdym nadkruszonym kamieniu tego miejsca.

W dawnych kronikach zapisano, że kiedy zachodzące słońce padało na różowe kopuły Brionii i cyklopowe mury, których nie wzniosła ludzka ręka, było to najpiękniejsze spośród miast stworzonych z magii i marzeń czarnoksiężników.

Skryba prychnął z pogardą. Cała moc i wszelkie skarby nie ustrzegły czarodziejów przed zagładą, kiedy wreszcie nadszedł dzień odpłaty za ich zbrodnie.

Spomiędzy tych, którzy tamtego dnia byli w cytadeli, ocalała jedynie dziewczynka, niegdyś oblubienica ostatniego z Principi dell'Arazzo, obecnie zaś opatka najślawniejszego z klasztorów szarych mniszek. Luana di Brionia, ostatnia, która miała prawo do tego imienia. Skryba wyczuwał wyraźnie, że w klasztorze skrycie napawano się jej niezwykłym pochodzeniem, choć w żyłach Luany płynęła przecież skażona krew magów, a oczy, wypełzłe teraz i spłowiałe od wieku, wciąż zachowały cień dawnego błękitu. Spędziwszy kilka tygodni w przeklętym mieście, uznał, że nie bez powodu bracia z Costa dei Gabbiani powątpiewali w prawowierność brionińskiego opactwa. Owszem, przestrzegano tutaj zaleceń nowej reguły, ale skrybie nie raz i nie dwa zdarzyło się podsłuchać, jak mniszki nad miskami z soczewicą i grochem opowiadają sobie

szeptem o minionej wspaniałości miasta, o kościołach, których sklepienia podtrzymywały niegdyś skrzydła serafów, dzwonach, w których sercach mieszkały zakłète keruby o głosach potężnych jak spizowe trąby i słodkich jak miód, o atlantach, co wspierali portyki świątyni, i żywych pnączach oplatających trzony kolumn.

W jego rodzinnym klasztorze nic podobnego nie mogłoby się zdarzyć. Sama myśl o tym, że demony miałyby służyć za podporę świętych murów napełniała skrybę dogłębną odrazą, choć wiedział, że nic takiego już się nie może przytrafić. Mnisi z Costa dei Gabbiani wiele lat wcześniej odkryli, że należy zakreślić świętymi olejami okrąg tam, gdzie w przyszłości miał powstać przybytek Najwyższego. Ograniczając tę drobną cząstkę świata, wydzielali ją zarazem spod zgubnej władzy demonów, które odtąd nie miały przystępu do świętego miejsca - jeśliby któryś z nich spróbował przekroczyć okrąg, jego materialne ciało i sama esencja, zakorzeniona głęboko w ponadsięzycowym świecie, stawała w płomieniu nie do ugaszenia. Podobnie zresztą działo się z potomstwem demonów, tymi wszystkimi monstrami, pokracznymi krzyżówkami człowieka i złego ducha. Jeśli nie naznaczono ich znamieniem demona, głową psa albo uszami, które ciągnęły się aż do ziemi, mogły żyć spokojnie pomiędzy ludźmi, całymi latami nieodkryte, z jednym wszelako wyjątkiem: żaden z nich nie mógł postawić stopy na poświęconym gruncie.

Plotka głosiła, że właśnie, dlatego Servio, przedostatni książę-mag Brionii i ojciec Luany, zgodził się, aby nową katedrę wzniesiono wedle rytuału mnichów z Costa dei Gabbiani. Nigdy nie krył się z pogardą dla brodatych, bosonogich misjonarzy, co przedkładali jałmużnę wieśniaków nad przepych książęcego dworu, otaczali go, bowiem mnisi starej reguły, spadkobiercy najdawniejszych zgromadzeń Półwyspu. Skoro jednak mógł pognać tych, którzy upatrywali w nim potomka demona, nie bez satysfakcji skorzystał z okazji i kazał nakreślić świętym olejem okrąg, choć patriarcha mocno krzywił się na podobne zabobony.

Kiedy katedrę wzniesiono - a zajęło to wiele czasu, jako że żaden demon nie mógł być zaprzęgnięty do pracy przy jej budowie - książę nie opuścił ani jednej mszy w swej nowej świątyni. Rozpierał się tuż przed ołtarzem na tronie o podłokietnikach rzeźbionych w kształt lwów, z upodobaniem zmuszając posłów innych księstw do uczestniczenia w wielogodzinnych modłach. Jego najmłodsza córka, jasnowłosa dziewczuszka o imieniu Luana, długo miała wspominać chłopców w bladozłoty szatach - ich śpiew zdawał się ulatywać prosto do nieba - woń kadzidła i migotliwe płomienie świec, które ugiwały się płynnie pod jej oddechem.

Jednakże pobożność nie ocaliła księcia, kiedy jego młodszy brat Rocco pchnął go sztyłem w krużganku świątyni.

Skryba zastanawiał się, czy córka Servia zapamiętała cokolwiek z tamtych czasów, gdy wraz z matką i braćmi zamknięto ją w klasztorze szarych mniszek. Przeoryszą była tam ciotka obu książąt i rychło miało wyjść na jaw, że hojne nadania Rocca nie pozostały bez odpłaty. Obaj synowie zabitego księcia dziwnym trafem nie doczekali wiosny. Wiedli powoli, dręczeni uporczywym kaszlem i nawrotami gorączki. Ich matka, Adalgisa, wkrótce podążyła za nimi, przeklinając Rocca i przysięgając, że nawet po zgonie nie odejdzie i w podksiężycowym świecie będzie czekać, póki Najwyższy nie ześle na bratobójcę kary za jego niezliczone zbrodnie. Jednak żadne klątwy nie odstraszyły śmierci i z całej rodziny pozostała jedynie Luana o oczach ciemnobłękitnych jak dwa górskie stawy. Zanim zakwitły białe róże w ogrodach Palazzo Ducale, ogłoszono ją narzeczoną dziedzica Rocca.

Na dworach Półwyspu mówiono z przekąsem, że książę-mag nie mógł pozostawić bratanicy odłogiem, podobnie jak nie porzuciłby na zmarnowanie winnicy, która rodzi grona słodsze od innych, ani oliwnego sadu obsypanego owocem. Z każdym pokoleniem magia w żyłach potomków Severa i Arachne ulegała rozrzedzeniu, a sam Rocco nie wyróżniał się kunsztem spomiędzy innych czarodziejów. Nic, więc dziwnego, że pragnął, aby chociaż w jego wnuku odrodziła się dawna wspaniałość Brionii.

Jednak owo zamierzone kazirodztwo, choć odrażające ponad wszelkie wyobrażenie i gorsze niż inne zbrodnie Rocca, okazało się w istocie zbawienne, doprowadziło, bowiem do ostatecznej zagłady domu książąt Brionii.

* * *

Dni płynęły jeden po drugim, a Diamante wciąż na darmo usiłował odnaleźć rudowłosą kobietę, która odwiedzała go w środku nocy. Czasami wydawało mu się, że widzi ją w oświetlonej nawie katedry albo w mroku krużganku, kiedy dowódca straży, obchodzący o zmierzchu cytadelę, powracał do Rocca z kluczami do wszystkich bram twierdzy. Widział jej oczy w twarzach żon i córek magów, które przybyły na doroczne obchody zwycięstwa w Golfo delle Lac-

rime, w łagodnym pochyleniu głowy swojej matki, w lęklwym geście, jakim zbierała płaszcz nowa kurtyzana, kiedy sprowadzano ją z miasta przed oblicze księcia.

Z początku obawiał się ojca, ale nieoczekiwanie Rocco nie miał mu za złe zakradania się do kobiecej części cytadeli. Kiedy żołnierze przyprowadzili mu syna przydybanego przez pokojówki księżnej Orgentu w jej prywatnych komnatach, wybuchł jedynie tubalnym śmiechem, który niósł się rozgłośnie po l' Azzurro, Lazurze, najpiękniejszej z sal cytadeli, póki wreszcie nie zamarł pomiędzy kamiennymi gryfami, podtrzymującymi kapitele kolumn.

- Dobrze! - huknął, a kariatydy, przestraszone, wtuliły głowy w ramiona. - Przed jesienią wyprawimy w cytadeli weselisko. A wcześniej - zawiesił znacząco głos - wybierzemy się razem do miasta, jak syn z ojcem powinien, żebyś się, chłopcze, napatrzył na piękność kobiet i oswoił z ich czarem. Nie przystoi, aby syn księcia-maga Brionii wycierał kąty w alkwie tłustej księżnej Orgentu.

Diamante ściągnął wargi, nie ośmieliwszy się odezwać. Wiedział, że przeznaczono mu kuzynkę, bladwołose stworzenie, które czasami z rozkazu ojca strażnicy sprowadzali na uczty z klasztoru o dwa dni drogi na południe od Brionii. Prócz kilku słów tamtego dnia, gdy nakazano im wymienić pierścionki, nie rozmawiali ze sobą ani razu i letnie wesele jawiło mu się jak jakiś odległy sen, który wcale nie musi się spełnić. Na razie pragnął jedynie poznać tajemnicę rudowłosej kobiety, przeczuwał jednak, że w żadnym razie nie powinien się z tym zdradzić przed ojcem.

Rocco szturchnął go jeszcze pobłaźliwie w plecy i kazał wyprowadzić. Zaprzętały go przygotowania do obchodów rocznicy zwycięstwa nad Arimaspi i prędko zapomniał o drobnej przewinie syna. Nie przebaczył mu jednak lenistwa w nauce zaklęć i w kilka dni po odjeździe gości przybyłych na uroczystość Diamante znów wepchnięto na noc do izby kar.

- Długo cię nie było.

Chłopiec poderwał głowę, obudzony gwałtownie.

- Mieliśmy święto - usprawiedliwił się, trąc oczy, wciąż piekące od snu. - Z całego Półwyspu zjechali książęta i magowie, aby pokłonić się przed grobem Severa.

Musiał długo spać, bo powietrze wyziębło i zamarło już granie cykad w pałacowych ogrodach. Nieznajoma stała w kącie izby. Jej bladoniebieska suknia nikła w mroku, a włosy wyglądały jak smuga popiołu.

- Niepotrzebnie - powiedziała bardzo cicho. - Ich tam nie ma. Żadnego z nich.

Nie zrozumiał.

- Kogo?

- Arachne i Severa. Nigdy nie odnaleziono ich ciał. Powinieneś o tym wiedzieć.

- Ale przecież... - zaprotestował, bo niejeden raz widział miejsce na dziedzińcu przed katedrą, gdzie pochowano maga wraz z jego ukochaną małżonką, złamawszy zarazem niejednego z książeńcych i kościelnych zakazów, nie było bowiem zwyczaju, aby magów grzebać w poświęconej ziemi ani tym bardziej u boku kobiety.

Ten jeden raz patriarcha Brionii postanowił się ugiąć przed władzą księcia-maga, który, oszalały z rozpaczy po stracie obojga rodziców, domagał się, aby ojca pochowano u wejścia do katedry, którą sam wystawił ku większej chwale miasta i Najwyższego. Czas nie sprzyjał jałowemu targom, bo magowie i hierofanci, którzy powrócili cało z Golfo delle Lacrime, szeroko roznieśli wiedzę, czego naprawdę dokonał władca Brionii i do czego szykował się przez całe życie. Zresztą ludzie nie potrzebowali napomnień. Nawet w odległych wioskach morze jeszcze przez wiele dni rzucało rybakom pod nogi martwe ciała Arimaspi z grymasem przerażenia zastygłym na twarzach. Na długi czas ucichły wszelkie pogłoski o zbrodniach Severa i nawet w Centocchio, gdzie każdej wiosny rebelianci roili się jak dzikie pszczoły, zapanował krótkotrwały pokój. Stare spory nagle straciły znaczenie i cały Półwysep zastygł nieruchomo, w zdumieniu kontemplując własne ocalenie.

Ciało Severa wydobyto z dna urwiska i w wielkim pochodzie odprowadzono do Brionii. Żałobnicy zatrzymywali się w każdej wsi i w każdym miasteczku, a ludzie wędrowali z najdalszych stron, aby pokłonić się przed swym wybawcą i pożegnać go na ostatniej drodze. Dlatego patriarcha Brionii nie mógł doprawdy odmówić prośbie księcia i Severa pochowano tuż przed portykiem katedry w grobowcu z białego marmuru, pośród nimf, niobe i cyklopów oplakujących jego odejście. Pierworodny księcia własnoręcznie przygotował mauzoleum, a każda rzeźba była w istocie demonem uwięzionym w kamieniu i zaklętym w ludzkim kształcie: z ich oczu nieustannie płynęły łzy, o zmierzchu zaś zawodziły w żalobnym lamencie.

Grobowiec Severa nazwano później jednym z siedmiu cudów Półwyspu, choć złośliwi mówili, że jego stworzenie wyczerpało i tak poślednią moc najstarszego z synów księcia, który wkrótce potem zmarł bezpotomnie, powierzwszy w ostatniej woli tron bratu. Mauzoleum zaś spłonęło w wielkim pożarze wraz z innymi wspaniałościami katedry. Ale posągi przetrwały, ożywione mocą uwięzionych w kamieniu demonów. Poczerniały od sadzy i nadpalone, nadal

płakały nad śmiercią Severa, lecz ich głosy zmieniły się w przerażające jęki, których nie mógł znieść żaden człowiek. W końcu zniesiono je w czeluści pod cytadelą i pokryto gruzowiskiem w najdalszym lochu. Czasami w środku nocy w niskich korytarzach dawało się wychwycić dalekie echo ich szlochów.

Arachne pogrzebano nieopodal męża, tuż przy murze świątyni, co było i tak zaszczytniejsze od zwykłego losu małżonek magów, szczególnie pomawianych o czary. Patriarcha niechętnie przychylił się do próśb księcia i w tym względzie, nalegał jednak, aby księżnę pochowano cichaczem i w nieoznaczonym grobie. Nie zdało się to jednak na wiele. W siedem dni po pochówku ze świeżej jeszcze mogiły wyrósł krzak głogu o długich, giętkich pędach, które popęły wzdłuż muru katedry aż na dziedziniec, gdzie owinęły się ciasno wokół konnego posągu Severa, wieńczącego mauzoleum. Dziwowano się wielce temu zdarzeniu, ale patriarcha rozkazał ściąć krzew i rzucić jego gałęzie w ogień. W siedem dni później wyrósł na nowo i znów przemierzył całą drogę do posągu księcia. Tym razem wykarczowano go wraz z korzeniami. Na darmo. Wreszcie stało się jasne, że ci, którzy byli złączeni za życia, pragną pozostać razem także po śmierci i książę-mag Brionii nakazał, aby Arachne spoczęła u boku swego małżonka, a patriarcha, chcąc nie chcąc, spełnił jego życzenie. Nie było w tym żadnej tajemnicy, choć obecny grobowiec książęcej pary nie dorównywał wspaniałości dawnego mauzoleum.

- Widziałeś groby - powiedziała powoli rudowłosa kobieta - w których nic nie ma. W Golfo delle Lacrime nie znaleziono ich ciał, wszystko pochłonęło morze. Ale ludzie potrzebują legend, więc pozwolono wam wierzyć, że jest inaczej.

Diamante chwilę zastanawiał się nad jej słowami. Przywykł do oszustw - dwór księcia-maga Brionii nawet dla dziecka nie był nieskomplikowanym miejscem. Nie przypuszczał jednak, że można kłamać w podobnej sprawie.

- Nie pochowano ich w Brionii? - upewnił się jeszcze.

- Ani w żadnym innym miejscu na Półwyspie.

- Przeżyli, więc? - zapytał, tknięty nagłym pragnieniem, aby ta baśń o magu, który samotnie stawiał czoło nieprzebranej armii i jego ukochanej, która nie chciała go odstąpić w godzinie śmierci, jedna z najpiękniejszych baśni, jakie znał, miała dobre zakończenie.

Rudowłosa kobieta lekko skłoniła głowę.

- Nie, kochanie. Umarli oboje, choć nie z ręki Arimaspi.

- Opowiesz mi?

Nawet, jeśli opowieść nie miała być prawdziwa, chciał zatrzymać kobietę przy sobie, póki jej słowa nie ukołyszają go do snu.

- To smutna historia - odparła z wahaniem. - Jesteś za mały, aby ci się spodobała.

Urażony, wyprostował się sztywno na sienniku.

- Jestem synem księcia-maga Brionii - rzekł szorstko. - Mam jedenaście lat i jesienią poślubię kobietę, a rzeczy, o których mówisz, są moim dziedzictwem. Rozkazuję ci mówić.

Uśmiechnęła się. Rozbawienie mieszało się na jej twarzy z żalem.

- Jak chcesz, skarbie. Nikt nie jest zbyt młody na smutek.

Jednak milczała jeszcze długo, zanim odezwała się znowu.

- Kiedy wszyscy odeszli - jej głos był cichy jak tchnienie - kiedy nie pozostało już nic prócz żagli Arimaspi na morzu przed nimi, szkarłatnych jak zachodzące słońce i licznych jak krople wody w morzu, Severo po prostu stał i patrzył bez słowa. To było jego marzenie, sen, który od dawna zwidywał mu się pośrodku nocy. I teraz, kiedy wreszcie miał go przed sobą na jawie, nie potrzebował żadnych ksiąg inkantacji ani spisów demonów. Wszystko było jasne i oczywiste, aż wreszcie pierwszy z okrętów wpłynął do zatoki...

Chłopiec bezwiednie zatrzymał oddech. Tej części opowieści nigdy przedtem nie słyszał, bo też nikt nie wiedział, co naprawdę wydarzyło się w Golfo delle Lacrime po tym, jak Severo odesłał innych magów.

- Nigdy wcześniej na Półwyspie nie oglądano podobnej flotylli. Wydawało się, że morze pokryły setki purpurowych klonowych liści. Przodem płynęły małe, zwiadowcze okręty - ich kapitanowie nie mieli argusów ani wszystkowiedzących eosów o różowych palcach, więc żeglowali ostrożnie, zewsząd wyglądając niebezpieczeństwa, wiele, bowiem słyszeli o podstępach czarodziejów. Ale skoro zbliżyli się dostatecznie i spostrzegli, że czeka na nich jedynie dwoje ludzi, mężczyzna w płaszczu błękitnym jak morze i kobieta z rozpuszczonymi włosami, ich niepokój przygasł. Być może rozpoznali na opończy barwę czarodziejów -ultramarynę, której wyrobem trudni się tylko jeden ród farbiarzy na Półwyspie i przekazują sobie tajemnicę z ojca na syna. Uznali mimo to, że jeden człowiek, choćby najbardziej potężny, nie powstrzyma armady. A może oczekiwali starcia wielkich armii, setek żołnierzy, obozujących na wybrzeżu, i demonów przyczajonych za każdą skałą. Ponieważ ich nie dostrzegli, pomyśleli, że to tylko pan najbliższego zameczku przybył, bezbronny, układać się z nimi o ocalenie. Jakikolwiek jeszcze snuliby przypuszczenia, dość, że dali znak dymny, aby okręty śmiało wchodziły do zatoki.

- Skąd wiesz? - spytał, bo nagle wydało mu się podejrzanym, że mówi z taką łatwością o rzeczach zakrytych dla innych.

Kobieta położyła palec na ustach.

- Cyt - powiedziała. - Sam pragnąłeś opowieści, więc pozwól teraz wybrzmieć jej do końca. Wejścia do zatoki strzegły dwie skały, nazywane Prefiche, Płaczkami - jeśli spojrzalesz na nie z głębi łądu, przypominały stare kobiety pochylone nad wodą w żałobnym lamencie. Okręty Arimaspi przesuwały się powoli pomiędzy ich zgarbionymi korpusami, a kiedy minął je ostatni z nich, Severo uniósł ramiona i rozpoczął inkantację, w jednej chwili opasując zatokę murem z pyłu, wodnej piany i wichru, aby nikt nie zdołał się wydostać na zewnątrz bez jego zgody. Potem zaś...

Przechyliła głowę i Diamante zobaczył w jej oczach odbicie ognia, choć salamandra drzemała przecież w swojej lampie.

- Są takie wichry - podjęła szeptem - które wybrzuszają żagle okrętów i spopielają je w jednej chwili. Są podwodne skały, które z rykiem unoszą się ku powierzchni i rozrywają kadłuby niczym dziecięce łódki z kory. Są trytony uzbrojone w trójzęby o długim drzewcu, aby dobijać marynarzy, co wypadli za burtę, i harpie, które wyszarpują oczy sterników, i stymfalidy roniące nad pokładem stalowe pióra. Półwysep kryje nieprzebrane mrowie potworów, a wiele z nich przybyło tamtego dnia do Golfo delle Lacrime, posłusznych wezwaniu swego stwórcy. Jednak nie zatrzymały Arimaspi, a wtedy Severo przywołał demony. Spadały ze świstem z nieboskłonu jak kule z ognia i siarki, aż wreszcie nie można było odróżnić wody od płomieni i dymu. Lecz z pokładów okrętów podniósł się obłok mlecznej mgły i pary i Severo zrozumiał, że nie tylko z ludźmi przyjdzie mu stoczyć walkę.

- Niemożliwe! - wykrzyknął chłopiec. - Przecież Arimaspi zabijają czcicieli demonów!

- Być może - zgodziła się. - Jednak musieli oszczędzić, choć jednego, ponieważ w olinowaniu okrętów, w deskach kadłubów i płótnie żagli, ukryto całą armię maridów i ifrytów, geniuszy powietrza, którzy teraz powstali, aby bronić swych panów. Severo uwalniał kolejno swoje demony, sięgając po coraz potężniejszych kerubów i serafów. Tamtych wszakże było bardzo wielu i coraz bardziej zbliżali się do brzegu, mag tymczasem słabł z każdym wypowiedzianym zaklęciem i każdym demonem, który, uwolniony po spełnieniu jego życzeń, unosił się ponad księżyc. Jednak walczył, a słońce przesuwało się po niebie, chociaż nikt nie mógł go zobaczyć poprzez zasłonę z mroku i duchów. Wreszcie o zmierzchu Severo upadł na kolana i jeszcze raz

ogarnął wzrokiem wody zatoki. Z okrętów Arimaspi nie pozostało więcej niż dziesiąta część. Większość ich dżinów wygubiono, inne zaś rozpierchły się w przestrachu. Wciąż jednak było ich wystarczająco wiele, by ruszyć marszem w głąb Półwyspu. Wtedy mag wypowiedział ostatnie zaklęcie i uwolnił najpotężniejszego spośród służących mu demonów, ducha, który nie odstępował go przez ostatnich dwieście lat i był wcielonym ogniem...

Diamante zaczął kręcić się niecierpliwie na sienniku, lecz kobieta milczała uparcie, przesuwając w palcach pasmo włosów.

- I co? - nie wytrzymał w końcu chłopiec, choć przecież wiedział bardzo dobrze, że tamtego dnia żaden z najeźdźców nie postawił stopy na ziemi Półwyspu. - Demon pokonał Arimaspi?

- Demon pokonał Arimaspi - powtórzyła za nim jak echo. - Potem zaś zabił Severa i wreszcie był wolny.

Chłopiec podskoczył jak uderzony różgą. Nie takiego końca opowieści oczekiwał.

- Jak to? - zapytał z pretensją. - Zamiast uciec z podksiężycowego świata, demon zabił najpotężniejszego z magów? Jego własny demon? Przecież to się nie zdarza.

- Ale zdarzyło się tamtego dnia w Golfo delle Lacrime. Podobnie jak wiele innych rzeczy, które nie miały prawa, nie powinny się zdarzyć.

Coś go tknęło, jakaś nuta w jej głosie.

- A Arachne?

- Rzuciła się ze skały, bo nie chciała żyć dłużej po śmierci męża.

Znów chciał wytknąć jej kłamstwo, lecz życie na dworze ojca nauczyło go ostrożności, więc tylko marszczył brwi, w skupieniu rozważając jej słowa. Nie wierzył w tę historię. Nawet najpospolitsi wioskowi czarodzieje potrafili panować nad własnymi demonami, ci zaś, którzy padli ofiarą swej magii, stawali się po wiek wieków pośmiewiskiem wśród konfratrów. Myśl o tak nędznym końcu Severa napawała go oburzeniem. Nie wiedział jednak, dlaczego kobieta miałaby go oszukać.

- Skąd wiesz? - zapytał po chwili ostrożnie.

- Zastanów się, Diamante - odparła lekko i tym razem na dnie jej głosu czaiła się kpina. - Skąd mogłabym wiedzieć?

Wyczuł, że oczekuje jego odpowiedzi i z góry wie, że nie będzie właściwa. Znał dobrze ten podstępny ton, ojciec używał go często i zwykle zapowiadał szyderstwo i kary. Czekał, więc,

nieświadomie wciągając głowę w ramiona. Ona jednak milczała uparcie. Cisza zalegała pomiędzy nimi coraz głębiej, gęsta i ciemna jak oliwa na dnie dzbana, i tylko zza krat, gdzie znużony golem pocierał piętami o nasadę kolumny, dobiegał lekki chrobot.

Chłopiec poddał się pierwszy.

- Ponieważ jesteś naszej krwi?

Uśmiechnęła się do niego jak matka dumna z wyczynu ulubieńca.

- Moją ciotką? - próbował dalej. - Kuzynką?

Odkąd skończył dwa lata, kazano mu się uczyć genealogii, ale w żaden sposób nie potrafił zgadnąć, kim jest nieznajoma. Wprawdzie prawdziwa, nieskazona krew Severa płynęła wyłącznie w żyłach książąt Brionii, ale ci przez ostatnie dwa wieki rozrodzili się bujnie i skoli-gacili z większością panujących rodzin - jeśli chcieli któremuś z podległych władców okazać szczególną łaskawość, posyłali mu za żonę córkę lub inną krewniaczkę w stosownym wieku. Nikt nie śmiał odmówić. Panowie Brionii okrutnie mścili zniewagi.

Ona jednak potrząsnęła tylko głową i uczyniła krok ku kracie zamykającej wyjście.

- Dobranoc, kochanie. Czas spać. Zrozumiał, że nadmierna ciekawość ją uraziła.

- Zostań dłużej - poprosił. - Opowiedz mi coś jeszcze.

Zawahała się.

- O czym?

Gorączkowo szukał czegoś, co jej nie rozdrażni.

- Czy była już kiedyś wojna podobna tamtej z Arimaspi?

- Nie - odpowiedziała natychmiast. - Ale będzie, kiedy powrócą synowie Sirocco.

Zmroziła go łatwość, z jaką wypowiedziała imię przeklętej stregi, ciekawość jednak wnet wyparła strach. Nigdy nie słyszał o potomkach Sirocco.

- Skąd powrócą?

- Z południa i zachodu - odparła śpiewnie - wschodu i północy. Z morza i lądu, z kamienia i ognia. A teraz śnij, kochanie. Śnij.

Powieki zaczęły mu opadać jak zaczarowane. Zanim usnął, zobaczył jeszcze, że metalowe kraty rozwiewają się przed nią jak dym.

Wbrew temu, co powiadają, Rocco nie był okrutniejszy ani bardziej krwiożerczy od innych książąt swego rodu. Zrodzony późno, w jesieni życia ojca, od pierwszych dni wydawał się

wątki i chorowity. Nie poświęcano mu, więc wiele uwagi, licząc, że zemrze przedwcześnie, jak się czasami zdarzało nawet w rodach magów, jeśli żywotne siły ojca rozproszyły się pomiędzy wielu synów. Każdy z czarnoksiężników musiał, bowiem stawić czoło nierozwiązywalnemu w istocie dylematowi - czy spłodzić jednego dziedzica, przekazując mu wszelkie moce, które przypadły przysłanemu pokoleniu, czy też pozwolić żyć wielu synom, słabszym wprawdzie, lecz bezpieczniejszym na wypadek wojny czy zarazy. Lękając się, aby tron Brionii nie został bez spadkobierców i nie wpadł w ręce dalszych krewnych, ojciec Rocca wybrał tę drugą ścieżkę i jego żona wydała kolejno na świat trzech chłopców. Wszyscy wyrosli zdrowo, rokując wielkie nadzieje i ciesząc się miłością poddanych, którzy w harmonii książęcej rodziny widzieli odbicie własnego szczęścia. Potem jednak, podczas wojny z piratami z Centocbio, dwóch książąt wpadło w zasadzkę: powieszono ich na rejach, następnie zaś strącono w morze z kamieniami uwiązanymi do piersi, aby nigdy nie wydobyli się z otchłani.

Zrozpaczony ojciec okrutnie pomścił ich śmierć, spuszczając demony na nadmorskie wioski, które od dawna sprzyjały buntownikom, nie zdołał jednak zamknąć ust tym, którzy szepotali, że oto dziedzictwo Sepera osłabło widać niezmiernie, skoro niemal wyszkoleni magowie pozwalają się pochwyć i potopić jak kocięta. Ze zranionej dumy i gniewu po stracie dzieci książę uczynił rzecz niebywałą i szaloną - stojąc tuż nad grobem i czerpiąc z resztek swojej mocy, spłodził jeszcze jednego syna, Rocca. Ów wysiłek podkopał jego siły tak dalece, że odszedł kilka miesięcy później, przed śmiercią przekazując trud rządów w ręce dworskich hierofantów, jako że nawet starszy z jego synów nie osiągnął jeszcze stosownego wieku, aby panować nad całym krajem.

Aby zrozumieć, kim był Rocco, należy nieustannie pamiętać, że dorastał w czasie zamętu, który nazwano potem l'Anni della Tristezza, Latami Smutku, kiedy na tronie Brionii nie zasiadał żaden władca, a hierofanci niczym dzwiczate psy wrywali sobie ochłapy władzy. Krewni obu chłopców, oburzeni niezmiernie, że zmarły książę nie wezwał nikogo z nich na pomoc i nie naznaczył regentem na czas małoletności dziedzica, odsunęli się od nich i zaczęli snuć plany, jak na własną rękę wykorzystać niespodziewaną słabość miasta, które dotychczas władało całym Półwyspem. Prowincje jedna po drugiej odmawiały płacenia trybutu i wysyłania żołnierzy do armii Brionii, naciskane zaś, groziły otwartym buntem. Skoro zabrakło księcia-maga, inni władcy nie przybywali już do cytadeli, by pokłonić się przed najwyższym panem Półwyspu i poprzysiąc mu lojalność oraz pomoc. Hierofanci spoglądali na to bezradnie; żaden z nich nie był

wystarczająco silny, by narzucić swoją wolę zbuntowanym, a choćby na krótko nie potrafili zjednoczyć sił. Chcąc wywrzeć jak największy wpływ na pozostałych, toczyli w dusznych korytarzach swoje nieustanne intrygi i wojenki, zupełnie jakby poza cytadelą nie istniał żaden świat.

Nic, więc dziwnego, że nikt nie zadbał o edukację chłopca, którego powszechnie uważano za słabeusza niezdatnego do magii i panowania. Jego brata natomiast nieustannie otaczano przepychem, który w istocie był tylko zasłoną, mającą ukryć nadzór i ubezwłasnowolnienie. Czułnie dobierano mu towarzyszy, najczęściej spośród szarych mnichów, którzy wyrzekają się wszelkiej magii i nie uczestniczą w sprawach czarodziejów, nie mogą, więc okazać się lojalnymi sprzymierzeńcami. Ponieważ pod ich wpływem książę zwrócił się ku sprawom duchowym, nie tylko nie karcono go za owo niecodzienne zainteresowanie, ale wręcz podsycano w nim pobożność stosowną bardziej u mnicha niżli księcia-maga. Zamiast szkolić go w sztuce czarodziejów, zachęcano młodego władcę, by spędzał długie godziny w świątyni, rozmyślając o bogobojnych sprawach, podczas gdy hierofanci rządzili krajem, dzieląc go i łupiąc wedle własnego uznania. Na koniec zaś wybrano mu małżonkę z odległego Orvieto. Wprawdzie pochodziła z rodu o nieposzlakowanej opinii, bogatego w magię, lecz była zbyt młoda i przerażona zaszczytem, który na nią spadł, aby mogła mu naprawdę posłużyć pomocą.

Rocca wszakże pozostawiono samemu sobie. Pozwalano, by włóczył się beczynniami po korytarzach, zaglądał do pracowni magów, nasłuchiwał ich mamrotań nad wnętrznościami koźlęcia i pomniejszych zaklęć, aż przestraszony chłopiec zmienił się w chudego wyrostka, który trzymał się blisko ścian i nigdy nie podnosił oczu. Zagadnięty, starał się prosto unosić głowę, która zwykle opadała mu na ramię - pozostałość po nieostrożnej piastunce, która upuściła niemowlę na kamienną posadzkę, przez co wątłe kości uległy zniekształceniu na zawsze - i wygłaszał bełkotliwą, niezrozumiałą odpowiedź. Każdej zimy zapadał na zdrowiu i aż do wiosny zanosił się kaszlem, który zdawał się rozrywać jego wynędzniałą postać. Każdej też jesieni hierofanci oczekiwali, że kolejna choroba go zabije. I właśnie, dlatego litościwie pozwolono mu żyć, nie chcąc wyręczać natury w tym, co nieuniknione.

Skoro jednak wkroczył w wiek męski i bez uszczerbku na honorze rodu nie dało się go dłużej pozostawiać bez małżonki, hierofanci wyszukali mu oblubienicę, czyniąc to w sposób pełen zarazem kpiny i okrucieństwa. Benedetta była córką jednego z górskich magów, usadowionego w swej wieży z szarego granitu tuż poniżej Passo dei Lupi. Prócz długich, pszennozłotych warkoczy nie wniosła mężowi w posagu nic, ani bogactwa, ani wiedzy, ani cennych

sojuszy. Przybyła do Brionii z dwoma kuframi, w których mieścił się cały jej dobytek, i księgą przestarzałych zaklęć, którą wręczył jej przejęty wspaniałą parantelą ojciec. Ścisnęła ów kodeks w rękach przez całą długą drogę - stanowił całe jej dziedzictwo - lecz hierofanci zabrali go pierwszego dnia, a potem zaśmiewali się na weselnej uczcie, odczytując zaklęcia i nieuczone zapiski jej ojca, który na darmo usiłował przywoływać wymienione w księdze demony.

Kiedy uczta dobiegła kresu, wśród toastów i sprośnych żartów poprowadzono przełęknionych młodych ku alkowie. Zwykle czynił to ojciec oblubieńca, lecz skoro jego zabrakło, wszyscy hierofanci czuli się w obowiązku sprawdzić, czy właściwie rozścielono łoża i czy poduszki są dość miękkie, by nie urazić delikatnej skóry księżniczki. Z kielichami wina w ręku zachęcali Rocca, by się dobrze sprawił w łożnicy, i głośno wychwalali urodę panny młodej, kiedy się w końcu przed nimi obnażyła. Nie odstępili też od łoża, gdy Rocco spełniał swój mężowski obowiązek, głośno komentując jego poczynania i zachęcając do wzmożenia wysiłków. Właśnie tamtej nocy, nie panując zupełnie nad swym nasieniem, Rocco splotził jedyne go syna i dziedzica, nieświadomie i bez rozmysłu wlewając w niego całą moc, jaka na ten cel została przeznaczona.

O tym wszystkim należy pamiętać, jeśli chce się zrozumieć, kim był Rocco.

Starucha zdawała się czuć dzisiaj lepiej. Zanim zapadła w drzemkę, dyktowała dobrą chwilę, za nic mając nerwowe pochrząkiwania skryby, który z najwyższą niechęcią spisywał jej wynurzenia o księciu-magu Brionii. Nie śmiał jej jednak skarcić, bo opiekunka przeoryszy, która nieodmiennie towarzyszyła im w tych spotkaniach przycupnięta na niskim stołku w kącie komnaty, nie spuszczała z nich oczu. Widać zbudowana tym przykładem pokory i miłosierdzia, bo przecież mowa była o Roccu, mordercy ojca Luany, człowieku, który nadto wystawił na straszliwe niebezpieczeństwo jej nieśmiertelną duszę, pełnym aprobaty skinieniem kwitowała każde słowo przeoryszy. Skryba był pewien, że gdyby tylko mogła, zaglądałaby mu przez ramię, czy nie uрониł choćby jednej litery.

Zacisnął zęby, aby powstrzymać pełen satysfakcji uśmiech. Na szczęście słabość i ułomność natury kobiet nie pozwalała wystawiać ich na pokusy, niesione przez znaki pisma - w tym względzie mnisi i czarnoksiężnicy byli całkowicie zgodni - on zaś stworzył dzieło swojego życia, żywot świątobliwej niewiasty, która podeptała łby demonów i cisnęła je w ogień. I nie przeszkadzają mu w tym żadne przedśmiertne mamrotania konającej mniszki.

Szarpnął ją za ramię. Czas płynął nieubłaganie i z każdym dniem była coraz bliżej śmierci, musiała, więc mówić, musiała dokończyć tę historię chociażby po to, by wiedział, co w przyszłości przemilczeć i zmienić, aby tym lepiej służyło zbożnemu dziełu.

Przeorysza wzdrygnęła się i obronnym gestem, na oślepię, zacisnęła palce na zawieszonym u pasa perle. Wedle legendy ów klejnot powstał z łez jej matki, która, uwięziona w klasztorze z rozkazu Rocca i zmuszona patrzeć na powolne konanie synów, modliła się, błagając Pana, aby ocalił, chociaż ostatnie z jej dzieci. Przeczując rychły zgon, księżna podarowała klejnot córce, aby odtąd ów znak Najwyższego chronił ją i podtrzymywał w wierze.

Z namysłem przygryzł wargę. Tak, tę historię mógł zapisać - oto owoc miłości matczynej przeistacza się w mistyczny wizerunek doskonałości i wiary, który towarzyszył opatce w dniach zwątpienia i rozjaśniał mrok, odstraszał potwory. Mówiono, że Luana nic więcej nie wyniosła z gorzejjącej cytadeli. Niespełna dziesięcioletnia, przeszła przez dziedziniec wśród płomieni i demonów, które odstręczał cudowny blask bijący z perły. Potem zaś, wciąż ściskając klejnot w dłoni, wkroczyła w ciemny owal portalu świątyni, na zawsze pozostawiając za sobą dawne życie. Była to pobożna opowieść, pełna budującej nauki. Niewątpliwie należało ją zapisać.

- Zostawcie ją, panie. - Opiekunka położyła mu rękę na ramieniu. - Jest znużona i coraz częściej osuwa się w sen.

Syknął ze złości, że ośmieliła się przemówić niepytana i, co więcej, dotknąć nieczystą dłonią konsekrowanego mnicha. Rozpoznawał w niej prostą istotę, służkę z najniższego chóru, jakąś chłopską córkę albo sierotę przygarniętą do klasztoru z litości, bez żadnego posagu i zawczasu przeznaczoną do posługi, która mogła nie pojmować, że przystoi jej posłuszeństwo oraz milczenie, szczególnie w obliczu czcigodniejszych od niej i bardziej zasłużonych w wierze. Ignorancja jednak nie usprawiedliwiała występku. We własnym klasztorze rad byłby ją kazał obić różgą aż do pierwszej krwi. Ale w Brionii życie było odległe od prostych, dobrych obyczajów z Costa dei Gabbiani, a świątobliwa Luana dziwnie gustowała w obecności prostaczków i, dopóki przeorysza żyła, musiał cierpieć obecność jej opiekunki.

Zapewne wyczuwszy jego zakłopotanie, mniszka ośmieliła się na więcej.

- Pozwólcie jej śnić - powiedziała cicho. - Wtedy jest szczęśliwa. Wy także wydajecie się znużeni, przyda się wam chwila wytchnienia.

Współczucie rozgniewało go jeszcze bardziej. Odtrącił jej dłoń z taką gwałtownością, że kobieta zatoczyła się i upadłaby, gdyby nie przytrzymała się gzymsu przy kominie.

- Precz - wysyczał przez zęby. - Nie prowokuj mnie, kreaturo, abym własną ręką nie nauczył cię pokory, skoro inni zaniedbali twoje wychowanie. I nie broń mi przystępu do starej, bo ona wkrótce zdechnie, ty zaś zostaniesz w klasztorze, na łasce tych, którzy przyjdą po niej, a uwierz mi, że oni nie będą pobłażali krnąbrności. Zanim jednak tak się stanie, muszę usłyszeć, co ta wywłoka może mi opowiedzieć o upadku domu Brionii i demonach, które ją sprowadziły...

Jakiś ruch, pochwycony kącikiem oka, przykuł jego uwagę i zamącił słowa. Odwrócił się i dostrzegł, że przeorysza rozbudziła się zupełnie. Sztywno wyprostowana, wbijała w niego spojrzenie niewidzących oczu. Policzki miała blade jak pergamin, dłonie spoczywały nieruchomo na podołku, zaciśnięte wokół perły, lecz był pewien, że usłyszała każde słowo.

Poczuł nieprzyjemną suchość w ustach, ale opanował się prędko. Ostatecznie dobrze, że stara strega usłyszała przed śmiercią kilka słów prawdy. Nic mu nie mogła zrobić.

Wtedy Luana przemówiła wysokim, świetnie ustawionym głosem, zupełnie niepodobnym do jej codziennego mamrotania.

- Chcesz usłyszeć o upadku domu Brionii, mnichu? Czy jesteś jednak pewien, że zniesiesz wiedzę o demonach, które nie czają się w ciemności, niezdolne postawić stopę na poświęconym gruncie, ale śmiało stają przed tobą w koronie z płomieni, a ich spojrzenie jest władne spopielić twoją nieśmiertelną duszę? Czy naprawdę pragniesz stawić im czoło i sprawdzić, jaką osłoną okaże się twoja wiara?

Już pierwsze słowa sprawiły, że poczuł się jak zarośnięty, bosonogi rybak, zniecka postawiony przed obliczem wielkiej pani i oskarżony o kradzież kolorowego świecidełka z jej ogrodu. A ona naprawdę była wielką panią, zrodzoną i ukształtowaną do władzy, wychowaną w cytadeli, którą uważano niegdyś za centralny punkt świata, początek i koniec wszelkich dróg i baśni. Kiedy wszyscy inni uciekli z Brionii, zostawiając za plecami dymiące zgliszcza cytadeli, samotnie przetrwała w miejscu grozy, choć była nieomal dzieckiem, zda się, niezdolnym przewodzić innym. Kobiety jednak przybywały do niej na długo przed tym, jak mnisi pobłogosławili jej święte powołanie. Oddawały się w opiekę pustelnicy z brionńskiej katedry nie dlatego, że widziały jej nabożność i osobliwe cuda, którymi broniła się przed zakusami demonów. Nie, dla nich była po prostu księżniczką, która nie odstąpiła swoich poddanych w godzinie trwogi. Świątobliwość nie miała żadnego znaczenia. Gdyby poślubiła któregoś z czarnoksiężników, którzy ubiegali się o jej rękę, i nazaczyła go władcą, ludzie Brionii również ulegliby jej woli.

Zrozumiał nagle, że dopiero ze śmiercią Luany tamten świat naprawdę zniknie i zatrze się w ludzkiej pamięci. Póki żyła, istnieli też magowie, ich czary i demony formowane w kształty zwierząt oraz roślin, ich bale i gonitwy za łabędziami, które, pochwycone, przemieniały się w dziewczyny, ich pieśni, upajające jak wino, gobeliny, w których zapisano przyszłość, i krople krwi, przemawiające ludzkim głosem. W pamięci Luany wszystko to było rzeczywiste i tak wyraźne, jakby wydarzyło się zaledwie wczoraj.

Myśli kolejno pojawiały się w jego umyśle, jedna boleśniejsza od drugiej, ale stał jak oniemiały, nie mając dość odwagi, by odpowiedzieć. Choć poruszał wargami, słowa nie chciały opuścić jego ust. Być może również była to jakaś sztuczka czarodziejów, której nauczyła się we wczesnej młodości. Nie wiedział.

- Dobrze, więc. - Luana uśmiechnęła się szybkim, wąskim uśmiechem, który był jak błysk dobywanego noża. - Słuchaj, mnichu, jak księżęta Brionii doprowadzili do swojej zguby. Nie uroń ani słowa.

* * *

Rocca oskarżano o wiele zbrodni i większość z nich popełnił naprawdę. Nie był jednak głupcem i rychło spostrzegł, że lęk Diamante przez nocnym zamknięciem znacząco zelżał. Zrazu przypisał to dorastaniu syna i ucieszył się nawet, bo mazgajowatość potomka od dawna przyprowadzała go o niepokój. Po namyśle jednak odrzucił tę myśl, albowiem we wszystkich innych rzeczach chłopiec pozostał równie nieporadny i tchórzliwy, jak przedtem. Postanowił, zatem sprawdzić, co też się kryło za tą dziwną sprawą, i wypytać golema.

Potwór, stworzony do zgoła prostszych zadań, z trudem usiłował podołać badaniu. Stękając i chrzęszcząc niezmiernie - jego z grubsza tylko obrobione gardło nie skłaniało do długich opowieści - wyrzucił z siebie mętną historię o kobiecie, która odwiedza chłopca w nocy i opowiada mu baśnie. Rocco, nie pojmując, jak to możliwe, że monstrum nie usłuchało rozkazu stwórcy i nie odegnało intruza, odesłał je do miejsca kaźni. Ale nawet smagany ognistym biczem, golem zaklinał się, że nikomu nie pozwolił wejść do celi Diamante, choć nie potrafił też wytłumaczyć, jakim sposobem znalazła się tam nieznajoma. Najwyraźniej nie umiał w pełni

ogarnąć tego osobliwego zjawiska, co zresztą nie było dziwne, zważywszy, że uczyniono go dla jednego celu, a nie było nim rozwiązywanie zagadek.

Zafrapowany i nieodmiennie podejrzliwy, Rocco sam postanowił rozwikłać tajemnicę. Rychło nadarzyła się okazja. Własnoręcznie zamknął syna w sekretnej komnacie i odszedł, udając wielkie zagniewanie z powodu jego nieuctwa. Odczekał w głębi korytarza, aż Diamante uspokoi się nieco - jego łkania ucichły zdumiewająco szybko - po czym okręcił się płaszczem i przysiadł na marmurowej ławeczce w zagłębieniu muru. Dobył z sakwy ulubioną salamandrę, zamkniętą w kształcie maleńkiej mosiężnej lampki, i delikatnie umieścił ją pośrodku fryzu zdobiącego ścianę. Był to jeden z jego pierwszych służebnych demonów, schwytany jeszcze przed zamachem, który kosztował życie jego brata i wszystkich briońskich hierofantów. Nie miał zbyt wiele mocy, ale w czasach, gdy Rocco nieustannie obawiał się zabójców, zwykł nocami stawiać go na straży przed wejściem do swojej komnaty. Lampa, przeważnie uśpiona, rozjarzała się jasnym światłem, kiedy ktoś do niej podchodził. Rocco wprawdzie był pewien, że nie zdoła pokonać siepaczy rady, chciał jednak być przytomny i spojrzeć im w twarz, kiedy nadejdą.

Tej nocy wszakże salamandra zawiodła. Książę usnął, znużony czuwaniem i ukołyszany monotonnym szelestem łusek strażniczych demonów, które przemierzały ściany pod postacią kekropsów, potworów o węzowych splotach i ludzkich głowach. Nic go nie ostrzegło. Ani syk węża, ani pulsowanie mosiężnego ciała salamandry, ani nawet odgłos kroków.

Ocknął się sam, czując na twarzy powiew lodowatego powietrza. Zamrugnął, aby odpędzić resztki snu, i dopiero po chwili zorientował się, że słyszy w oddali echo dwóch głosów. Jeden znał bardzo dobrze, należał do jego niemądrego potomka, kobiety jednak nie potrafił rozpoznać. Dał znak i kekropsi ruszyli przodem poprzez mrok, badając węzowymi odnóżami każdą piędź ziemi. Minęli zastygłego w bezruchu golema i popełzli dalej, ale nie udało się im zaskoczyć nieznajomej.

Kiedy stanęli pod kratą, w izbie kar nie było nikogo, oprócz chłopca, który siedział na skraju posłania, obejmując ramionami kolana. Rocco z bezsilną wściekłością wpił ręce w żelazne pręty. Był gotów przysiąc, że jeszcze przed chwilą ją słyszał, mimo to zdołała mu się wymknąć. Nie zgadywał nawet, jak mogła tego dokonać, ale sama możliwość, że obca kobieta wędruje w ciemności, niezauważona, korytarzami cytadeli, napełniała go złością i grozą.

Jego syn czekał ze spuszczoną głową, lekko poruszając wargami. Wsłuchawszy się uważniej w jego szept, mag wychwycił strzępy inkantacji. Wiedział jednak doskonale, że przed chwilą chłopiec był pochłonięty czymś zupełnie innym.

- Gdzie ona jest, Diamante? - rzucił ostro. - Gdzie się ukryła?

Chłopiec potrząsnął głową i bezradnie rozłożył ręce.

Ta nieudolna próba oszustwa rozsierdziła ojca jeszcze bardziej.

- Przestań kłamać!

Kekropsi odskoczyli w mrok, przerażeni. Wprawdzie Rocco nie zdołałby mocno ich uszkodzić, ale w złości mógł im zadać ból na wiele sposobów.

Chłopiec spoglądał na ojca szeroko rozwartymi oczami. Salamandra Rocca przybiegła ku nim po gzymsie, pulsując czerwonym światłem, które zdawało się odbijać furię czarnoksiężnika. Latarenka na ścianie także ocknęła się, obudzona blaskiem bliźniaczego demona, lecz jarzyła się najlżejszą poświatą. Była jedynie słabym monstrum, jakich tysiące od wieków służyły w cytadeli Brionii, ale nawet ona rozumiała, że w podobnych chwilach nie należy ściągać na siebie uwagi maga.

- Nie kłam, nicponiu - wycodził przez zęby Rocco. - Słyszałem ją bardzo dobrze.

- Tu nic nie ma. - Diamante powiódł dłonią po pustej komnacie. - Możesz sprawdzić, ojczu.

Po raz pierwszy chłopiec spróbował stawić mu czoło i ów dziecięcy sprzeciw nieomal napełnił Rocca zadowoleniem. Zaraz jednak wydało mu się, że na bladej twarzy Diamante dostrzega szybki, chytry uśmiezek. Najwyraźniej nie tylko kłamał, ale też rozkoszował się własnym sprytem.

Mag zagryzł zęby. Nie musiał sprawdzać, aby wiedzieć, że kobiety nie ma w komnacie. Nie pozostawiono tu żadnych gobelinów, skrywających tajemne przejścia, magicznego kominka ani dywanów, w które wpleciono latające demony. Rocco osobiście dopilnował zaklęć, którymi wzmocniono kraty i obłożono kamienie. Wciąż nie rozumiał, jak zwyczajna kobieta mogła je ominąć, ale był pewien, że nie ma jej w środku.

Uczynił nieznaczny gest i golem z niezadarnym pośpiechem rozsunął kraty. Chłopiec wstał, zadzierając brodę z udawaną hardością.

- Kim ona jest? - zapytał na pozór obojętnie Rocco.

- Nie wiem, o czym mówisz, ojczu.

Odpowiedź była gładka i w oczywisty sposób nieprawdziwa. Nie zmieniając wyrazu twarzy, Rocco uderzył chłopca na odlew tak mocno, że ten poleciał trzy kroki w tył i osunął się po ścianie.

- Drażnisz mnie, Diamante. Nie rób tego więcej - powiedział lekko, po czym dał znak kekropsom.

Monstra przybliżyły się pospiesznie. Wiedziały dobrze, co teraz nastąpi, więc żadne nie chciało zostać w tyle, ale Rocco pochylił się szybko i na chybił trafił złapał jedno z nich.

- Nie! - wykrzyknął chłopiec. - Ojczy, proszę, nie!

Ale potwory już pochwyciły go wężowymi ramionami i unieruchomiły, wciskając mu twarz w chłodne kamienie. Wrzasnął przeraźliwie, kiedy ojciec zadał pierwszy cios. Kekrops również piszczał cienko, lecz nie ośmiewał się wyrwać z uścisku maga, a jego wężowe sploty raz po raz spadały na plecy chłopca. Wkrótce ich parzydełka otwały się, wydzielając trującą ślinę, która raniła po równo chłopca i potwora, bo jego podrażniona uderzeniami skóra zaczęła także pękać i ronić łuski. Wreszcie zmęczony Rocco opuścił ramię, dysząc z ciężka. Zmasakrowany potwór zwinął się w ciasny kłębek i odtoczył w mrok. Z jego oczu płynęły łzy, fioletowe jak krew mątwy.

- Nie śmieję cię dłużej zwodzić, synu - rzekł mag, posapując przez nos. - Kimkolwiek jest ta kobieta, nie ochroni cię przed moim gniewem.

Potwory odwróciły chłopca twarzą do ojca. Diamante był brudny i opuchnięty od płaczu. Z poranionych pleców spływała krew.

- Nie wiem, kim jest. - Unikał wzroku maga. - Naprawdę nie wiem.

Rocco uśmiechnął się chłodno.

- Lecz przyznajesz, że jakaś kobieta istnieje?

Chłopczyk skinął głową.

- Ale nie wyjawiała mi imienia i nigdy nie widziałem jej w cytadeli.

Potwory, które go podtrzymywały, z napięciem śledziły każde słowo. Los dziecka był im obojętny, ale również miały nadzieję, że chłosta się już skończyła. Stworzono je na skrytobójców i mogły w każdej chwili skrócić mu kark wężowymi ramionami, lecz sposób, w jaki Rocco ich używał, sprawiał im ból.

- Czego od ciebie chciała?

Diamante patrzył na niego, jakby nie rozumiał pytania.

- Opowiadała mi tylko historie. Nic więcej.

- Jakie historie?

- Różne. - Wzruszył ramionami, ale z twarzy ojca odgadł zaraz, że nie jest to właściwa odpowiedź. - O dawnych czasach -dodał pospiesznie. - O tym, jak Severo stworzył Testa di Cavallo, a Arachne utkała gobelin...

Mag lekceważąco machnął dłonią. Nie interesowały go baśnie, lecz podejrzewał, że w całej sprawie kryło się znacznie więcej. Przymrużył oczy.

- A co ty jej opowiadałeś? Wypytywała cię o ojca, czyż nie? I ty jej wszystko opowiedziałeś w zamian za kilka baśni, nieprawdaż?

Diamante potrząsnął przecząco głową.

- Wcale nie pytała. I nic jej nie mówiłem.

- Naprawdę chcesz, abym wierzył, że przychodziła tutaj wyłącznie z dobroci serca?

Chłopiec milczał.

- Diamante - mag przybliżył się do niego - ta kobieta przeszła niepostrzeżenie obok golema i wywiodła w pole kekropsów, którzy strzegli korytarzy. Nie mów mi, więc, że to jakaś babina z miasta, która w środku nocy opowiada baśnie dzieciom. Ktoś ją tu przysłał. Jakiś mag wystarczająco silny, aby sforsować moje zabezpieczenia. Być może w korytarzach cytadeli krąży teraz zabójca, więc nie czas na dziecięce dąsy i fochy. Chcę, żebyś mi wyjawiał wszystko, co o niej wiesz i czego się domyślasz. Natychmiast.

Chłopiec wyprostował się, a kekropsi zaszeleścili łuskami po murze, ostrożnie dopasowując się do nowej pozycji. Ich twarzyczki przybrały nadąsany wyraz. Potwory nie lubiły tych dziwnych gier maga. Oczywiście były mu posłuszne i nie zamierzały zmiążdżyć wątlých kości jego potomka, ale utrzymywanie go dość mocno, by nie uciekł, i wystarczająco delikatnie, by go nie uszkodzić, nastęczało im niemało wysiłku.

- Jest naszej krwi - wyznał cicho chłopiec.

Mag roześmiał się cierpko.

- Połowa książęcych rodzin pochodzi z tego samego pnia, ci zaś, którzy przez ostatnie dwa wieki nie spokrewnili się z naszym rodem, również klną się na wszystkie świętości, że pochodzą od Severa. Można by pomyśleć, że jego bękartów było więcej niż armii Arimaspi. Powiedz mi, jak otworzyła kraty, jeśli nie chcesz spędzić reszty życia w ciemnicy wraz z kekropsami.

Diamante załkał cicho - spomiędzy wszystkich potworów najbardziej obawiał się milczących, węzowatych stworów - lecz zaraz umilkł pod karcącym wzrokiem ojca.

- Nie otworzyła ich. Zmieniła je w dym i po prostu wyszła stąd, jakby ich w ogóle nie było.

Rocco z zamachu uderzył chłopca w twarz.

- Czasami sędzę, że jesteś zbyt tępy, aby być moim synem. I tak ją odnajdę, a ty powiesz mi, gdzie jej szukać. Żadna kobieta nie ukryje się przede mną w tym miejscu.

Chłopiec wzdrygnął się, choć tym razem nie ze strachu. Rocco miał rację, żadna żywa kobieta nie znała cytadeli lepiej niż jej pan. Książę-mag nawet własnej małżonki nie wprowadził w sekrety podziemnych lochów, korytarzy, które wiły się jak serpentyny i opadały w ukryte sztolnie, przejść najeżonych pułapkami i prowadzących poza granice miasta, aby w razie potrzeby władca wraz z rodziną zmylił pogoń i bezpiecznie wymknął się z twierdzy. Tylko jedna kobieta mogła go przechytryć. Ostatecznie była towarzyszką największego z magów Półwyspu i spędziła w tym miejscu dwieście lat.

- Ojczy, ona nie jest prawdziwa! - wykrzyknął Diamante, zdumiony własnym odkryciem.

Mag uczynił gest, jakby chciał go znów uderzyć, ale powstrzymał się w porę.

- Ona cię zdradzi, synu - powiedział Rocco, a politowanie w jego głosie zabołało chłopca bardziej niż wcześniejsza wściekłość. - Kiedy oddam ją w ręce potworów, będzie wic się i błagać o litość. Uczyni wszystko, aby uzyskać moją łaskę. Wszystko, synu, choćby to miało oznaczać twoją śmierć. Pozwolę ci zastanowić się nad tym aż do świtu, lecz nie wódz mnie dłużej na pokuszenie.

Potwory odczekały, aż kroki księcia ścichną w oddali, po czym ułożyły się wygodniej, wykorzystując każdą szczelinę i nierówność muru. Potrafiły bez wysiłku poskromić dorosłego mężczyznę, więc chłopiec nie był dla nich żadnym przeciwnikiem. Syczały jeszcze trochę i wodziły po jego skórze rozdwojonymi językami, a w końcu znieruchomiały, uśpione chłodem kamieni.

Dopiero wtedy chłopiec otworzył oczy. Poranione plecy bolały go niezmiernie, ale jeszcze bardziej doskwierał mu dotyk łuskowatych ramion na skórze. Starał się, więc stać nieruchomo, by nie zaniepokoić monstrów, a jednocześnie, mimo zmęczenia, bał się usnąć. Wątpił, czy nieznajoma się pojawi i zdoła go wybawić z pęt kekropsów. Ale tuż przed świtem, kiedy obrazy zaczynały się rozmywać przed jego oczami, ośmielił się w końcu wypowiedzieć jej imię:

- Arachne...

Wynurzyła się ze ściany jak obłok mgły, bezszelestnie, bez najmniejszego ostrzeżenia. Uśmiechnęła się do Diamante, kładąc palec na wargach. Jej suknia falowała, poruszana nieistniejącym wichrem.

- Jednak się domyśliłeś - powiedziała cicho. - Sądziłam, że zajmie ci to więcej czasu.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytał zmartwiały wargami.

Nigdy wcześniej nie widział zbłąkanego ducha. Mnisi utrzymywali, że dusze po śmierci zmierzają do Najwyższego, unoszone jego łaską przez kolejne kręgi nieba, póki nie roztopią się w jego miłości. Oczywiście istniały też dusze zbrodniarzy, które nigdy nie mogły ulecieć z podksiężycowego świata, te jednak strącano w otchłań, pomiędzy złe duchy, skąd nadaremnie wołały miłosierdzia. Jedynie stare kobiety opowiadały baśnie o przeklętych upiorach, które błąkają się wśród żywych, póki nie odprawią pokuty lub nie ukarzą tych, co je skrzywdzili. Zwykle były podstępne i okrutne, dlatego w najdłuższą z zimowych nocy w rybackich wsiach utaczano kilka kropli krwi, aby je przebłagać.

- Wypowiedziałeś moje imię, więc jestem.

Jeden z kekropsów zasyczał tuż przy oku chłopca. Diamante stęzał, bo potwory w każdej chwili mogły wezwać jego ojca. Arachne uśmiechnęła się tylko znowu i, nucąc jakąś melodię, podeszła kilka kroków. Monstrum zakołysało się ospale i skłoniło głowę, na nowo zapadając w drzemkę.

- Czy on cię nie widział? - zdumiał się chłopiec.

- Rozpoznał mnie bardzo dobrze. - Arachne zbliżyła się jeszcze bardziej i zanurzyła palce w węzowych splotach.

Diamante wyczuł, jak ciała potworów rozluźniają się i miękną. Kekropsi wciąż byli tuż obok, słyszał cichutki szelest łusek, pełzających po kamieniach, ale teraz mógł usiąść. Nie wiedział, jak to możliwe. Nigdy wcześniej nie zlekceważyli rozkazu księcia.

- Są stworzeniami mojego męża - wyjaśniła kobieta - i nakazano im, aby strzegły naszych dzieci, a pamięć węża jest długa.

Rozgniewało go, że przypisuje Severowi czary jego ojca.

- Być może kiedyś naprawdę tak było - rzekł zapalczywie. - Te jednak należą do Rocca i on jest ich twórcą.

Spojrzała na niego łagodnie, z rozbawieniem.

- Mylisz się, kochanie - odparła. - Severo uczynił wiele dziwów i wiele jest w podziemiach komnat, opatrzonych pieczęciami, które otworzy tylko krew jego prawdziwych potomków, gdzie czekają na swój czas. Nie należy jednak ich uwalniać bez wielkiej potrzeby i nie sądziłam, że ten czas nadejdzie tak prędko.

- Skąd wiesz? Przecież pozostały zaklęcia...

- Nie - przerwała. - Severo nie zapisywał zaklęć, a w każdym razie tych najgroźniejszych i najbardziej skomplikowanych nigdy nie powierzyłby w ręce kopistów. Magiczne kodeksy są cenniejsze niż ziemia i klejnoty, więc prędzej czy później jego synowie albo synowie ich synów zaczęliby walczyć i zabijać się o takie dziedzictwo. Nie chciał tego. Ponadto - uśmiechnęła się nieznacznie - nie ma dwóch identycznych zaklęć, każdy czarnoksiężnik czyni je na sposób tylko sobie właściwy. Uwierz mi, że potrafię rozpoznać rękę Severa. Kekropsi należeli do niego, więc będą służyli twemu ojcu zgodnie z tym, do czego ich stworzono, lecz nigdy nie skłoni ich, aby spełnili życzenie wykraczające poza ich naturę. Golem wszakże - skinęła ku nieruchomemu monstrum, które znów popadło w swe zwykłe odrętwienie - jest od początku do końca dziełem twego ojca i znać w nim jego rękę.

Nie musiała dłużej tłumaczyć: potrafił porównać morderczy, precyzyjny wdźwięk kekropsów i doskonałość ich węzowych kształtów z ledwie obrobioną bryłą golema, jego topornymi ruchami i ociężałą mową. Hierofanci od dziecka powtarzali mu, że prawdziwy czarnoksiężnik potrafi spajać demony z materią w taki sposób, by wydawały się częścią Stworzenia, nie zaś pokracznym wybrykiem natury. Ale nawet w czasach wielkich mistrzów z rzadka tylko powstawały dzieła naprawdę piękne i zadziwiające. Większość magów snuła drobne czary, zapewniając sobie bezpieczeństwo i dostatek. Nie próbowali sięgać po demony z najwyższych kręgów ponadksiężycowego świata, po keruby i serafy, zdolne oddechem przesłonić słońce i zaćmić księżyc. Podobno w wielkich opactwach wciąż przechowywano księgi zaklęć, które niegdyś pozwoliły Duiliowi wydzwignąć z dna morza wyspę i uczyniły go władcą wichrów. Jednak nikt już nie wyciągał po nie ręki. Nie toczono wojen o najcenniejsze atlasy nieba i nie szczycono się spisami zaklęć, sięgającymi pierwszych magów Półwyspu. W sześć pokoleń po śmierci Severa magia stała się przyziemna jak kołowroty u studni, napędzane przez drobne demony, i równie pozbawiona tajemnic.

Rocco wszakże często się pysznił, że w Brionii, gdzie ocalały pradawne sekrety protoplastów książęcej rodziny, nadal można oglądać magię w jej prawdziwej postaci, zmienną jak

ogień, pełną niebezpieczeństw i cudów. Cytadela wciąż skrywała przedziwne monstra, posłuszne jedynie woli księcia-maga i śmiertelnie groźne dla każdego, kto zechciałby wystąpić przeciwko niemu. Tylko, dlatego odległe prowincje wciąż uznawały zwierzchność księcia--maga. Wprawdzie w większej części była to jedynie gra pozorów, pusty ceremoniał dworski, za którym nie stało prawdziwe przywiązanie ani obietnica pomocy, ale chwiejne rządy hierofantów mocno nadszarpnęły znaczenie miasta i na razie Rocco nie mógł liczyć na nic więcej. Nie przestawał jednak powtarzać synowi, że magia, która płynie w żyłach potomków Severa, wyniesie ich ponad wszystkich innych - jeśli nawet nie teraz, to za panowania Diamante.

- Dlaczego do mnie przychodzisz? - zapytał chłopiec, tknięty nagle podejrzeniem, że rozmowy z widmową kobietą także są częścią planu jego ojca, jakąś próbą, której z pewnością nie zdoła sprostać. - Dlaczego opowiadasz mi te wszystkie rzeczy?

Arachne usiadła pod przeciwległą ścianą. Jej twarz była jasna w ciemności i tak rzeczycista, że przez chwilę znów uwierzył, iż jest żywa. Potem zobaczył, jak kekropsi suną ku niej po posadzce i układają się tuż za jasnym kręgiem jej sukni. Wyciągnęła dłoń, aby pogłodzić najbliższego po skórze, lecz przeszedł przez jej palce, jakby uczyniono je z dymu. Monstrum zasyczało z rozczarowaniem, a jego węzowe ramiona wiły się jeszcze przez chwilę, na darmo usiłując jej dotknąć.

- Usłyszałam, jak płaczesz - odpowiedziała. - Kiedyś obiecałam Severowi, że będę chronić naszych synów. Dlatego przyszłam.

Pomyślał o zaszytym stryju i jego dwóch synach, których otruto w klasztorze.

- Nie ja jeden cię potrzebowałem.

- To prawda. - Skinęła głową. - Ale ja nie żyję. Moja moc niknie o brzasku i nie sięga poza te korytarze.

Mogła mówić prawdę, lecz wychował się w miejscu, gdzie słowa były najtańszą z broni, a plecy wciąż paliły go od uderzeń.

- Ojciec powiedział, że mnie zdradzisz.

- Nie, skarbie. - Pochyliła się lekko ku niemu. - Tej jednej rzeczy nie potrafię zrobić, choćbym chciała. Być może jednak nie zdołam ci pomóc. A teraz śpij. Póki tu jestem, kekropsi cię nie skrzywdzą.

Kiedy Rocco wysłuchał wreszcie syna i dowiedział się, że po korytarzach cytadeli wędruje duch Arachne, najpierw nie dowierzał chłopcu, potem wpadł we wściekłość, na końcu zaś postanowił ją pojmać. Przywykł wierzyć, że jest panem twierdzy, być może słabszym od poprzednich, ale niepodzielny, i myślał, że ktokolwiek, choćby duch zmarłej dawno temu niewiasty, drwi sobie z jego władzy, przyprawiała go o wściekłość. Zamykał syna w coraz bardziej wyszukanych lochach tortur, każąc mu przyzywać Arachne, choć doradcy przestrzegali go, że wystawia na szwank życie swego jedynego dziedzica. Nie dbał o to, ogarnięty obsesją i furią, która wzmagala się z każdą nocą, albowiem duch nieodmiennie wymykał się z pułapek, niepomny na zaklęcia i potwory mające go okiełznać. Wkrótce Rocco zrozumiał, że monstra, stworzone niegdyś przez męża Arachne, wciąż kłonią przed nią głowy, a inkantacje są bezsilne wobec zjawy. Nigdy też nie zdołał zobaczyć nawet skrawka jej sukni, choć często słyszał jej głos i biegł jak szalony, aby chociaż spojrzeć na Arachne, skoro już nie dostawało mu sił, aby ją uwięzić.

Miotając się w bezsilnej złości, zaczął sprowadzać do cytadeli hierofantów i magów, którzy pomogliby mu pozbyć się nieproszonego gościa. Bezskutecznie. Nie pomógł ani słynny Grajek z Solerno, który dźwiękiem piszczałek przepłaskał z miast zabłąkane demony i monstra, ani Sztukmistrz z Centocchio, twórca niezwykłych lustrzanych pudełek, w istocie będących pułapkami na duchy. Nie pomogła nawet strega, którą strapiony władca wezwał na pomoc i nocą rozkazał wpuścić do cytadeli. Skoro zawiodły zarówno kunszty wysokie, jak i plugawe gusta, książę postanowił jąć się świętych sposobów. Patriarcha długo tłumaczył mu, że nie jest władny wypędzić ducha precz, ponieważ to nic innego, jak złudzenie umysłu dziecka, które nazbyt łatwo udzieliło się innym. Wreszcie uległ nagabywaniom, ale jego wysiłki również spełzły na niczym, choć poprowadził wielką procesję przez komnaty, tarasy, podziemne korytarze i lochy twierdzy, kreśląc świętymi olejami znaki na murze, aby odstraszyć niespokojnego ducha. Odszedł jak niepyszny, obiecując modlić się za spokój duszy księcia, w skrytości ducha piastując jednak przeświadczenie, że odwiedziny zmarłej księżnej są zapowiedzią kary, jaka niebawem spadnie na Rocca w odplacie za jego wcześniejsze niegodziwości.

Rychło też wieść o zgrzozocie trapiącej księcia przedostała się do miasta, stamtąd zaś niepostrzeżenie powędrowała dalej, aż po najdalsze krańce Półwyspu. Rocco wiał się w bezsilnej złości, kiedy kolejni książęta przesyłali mu dobre rady i wyrazy współczucia, rozumiał, bowiem, że ów duch, który uparcie odmawiał poddania się jego woli, ośmiela do działania jego żywych i

znacznie niebezpieczniejszych nieprzyjaciół. Najbardziej jednak niepokoiła go pogłoska, zrazu szerząca się wśród plebsu Brionii, potem rozniesiona przez wędrownych handlarzy i żebraków po całym Półwyspie. Głosiła ona, że cytadelę nawiedza nie Arachne, lecz Adalgisa, żona zamordowanego brata Rocca, która, mszcząc się za okrutną śmierć własnych dzieci, na dobre opętała potomka obecnego władcy. Szeptano, że odebrała Diamante rozum, zmieniając go w śliniacą się, przerażoną kukłę, którą ojciec musi żelaznymi łańcuchami przykuwać do ściany w najgłębszych lochach cytadeli, gdyż byle promień słońca wprawia chłopca w morderczą furję.

W odpowiedzi Rocco zaczął przyjmować poselstwa z synem u boku i często zabierał go na konne przejażdżki do miasta, aby wszyscy mogli się przekonać, że następca tronu jest zdrowy na ciele i umyśle, Brionii zaś nie grozi powrót do rządów hierofantów. Ale ta nagła odmiana zwyczajów księcia, który wcześniej niezwykle rzadko ukazywał się wraz z dziedzicem, natchnęła ludzi jeszcze głębszą nieufnością. Wnet rozeszła się plotka, jakoby prawdziwy następca konał w ciemnicy, podczas gdy jego miejsce zajął sobowtór, wynaleziony w odległej wiosce przez siepaczy władcy, albo, co gorsza, demon obleczony przez maga w ludzkie ciało na kształt jego syna. Rocco zrozumiał, więc, że cokolwiek czyni, obraca się to na jego zgubę, i żałował wielce, że nie zabronił po prostu synowi nocnych spotkań, pozostawiając zjawę samej sobie. Teraz wszakże było już za późno, a niefrasobliwość, z jaką wystawił się na pośmiewisko, mogła go niezadługo przyprowadzić o jeszcze większy koszt, jako że śmiech jest często pierwszym zwiastunem buntu.

Skoro, więc nie mógł przemóc nad duchem innym sposobem, postanowił poznać jak najdokładniej żywot Arachne i przekonać się, dlaczego zmarła darzy go tak zapiekłą nienawiścią. Choć nie był wcześniej miłośnikiem ksiąg i innych starożytności, całe dnie spędzał teraz na lekturze rodzinnych zapisek, pamiętników, ksiąg magicznych i kronik, nade wszystko pragnąc odnaleźć coś, co da mu władzę nad nieuchwytnym duchem.

Tak też wpadł na trop tajemnicy, która wstrząsnęła podstawami Półwyspu i zmiotła z powierzchni ziemi Principi dell'Arazzo.

Tygodnie płynęły nieprzerwanie, zamieniając się w miesiące, a starucha nadal uparcie czepiała się życia. Skryba, który ściągnął do Brionii w przekonaniu, że spędzi tu nie więcej niż kilkanaście dni, wystarczająco dużo, by zamienić parę słów ze świątobliwą niewiastą i spisać świadectwa jej nabożnych czynów, popadał w coraz większą złość i rozgoryczenie. Wyznaczono

mu komnatę tuż pod dachem, z dala od cel mniszek, i zamiast spać, nocami leżał nieruchomo, nasłuchując na dachu chrobotu stymfalid i harpii. Rankiem nie mógł zwlec się z łóżka, głowa ciążyła mu niezmiernie podczas posiłków, a w sercu budziło się z wątpienie i żal, że niepotrzebnie przybył do tego przeklętego miejsca.

Jedynie spisywanie żywotu Luany szło dobrze, choć z każdym dniem coraz mniej przypominał on wymarzone przez skrybę dzieło. Tuż przed śmiercią umysł staruszki odzyskał, bowiem dawną bystrość. Co gorsza, odkąd nazwał ją wywłoką, przeorysza zapalała niezwykłą ciekawością do dzieła mnicha i codziennie kazała go sobie sprowadzać. Jeśli czuła się gorzej, przyjmowała go w swojej celi, nie podnosząc się z łóżka, wypytywała w nieskończoność o życie w klasztorach Costa dei Gabbiani i bez opamiętania dyktowała kolejne stronic. Zabrakło na nich wszakże wspomnienia o jej zwycięskich walkach z demonami czy też katalogu wyrzeczeń i miłosiernych uczynków, co mogłoby posłużyć w przyszłości za naukę młodym mniszkom. Nie, z nieodgadzionych powodów Luana postanowiła dyktować mu historię swego przeklętego rodu oraz zdarzeń, które doprowadziły do zagłady Principi dell'Arazzo. Na początku każdego spotkania żądała, by odczytał jej wczorajszą część, toteż chcąc nie chcąc, skryba zapisywał słowa, choć w duchu uważał je za bezbożne i wszeteczne. Starał się nie wypuszczać manuskryptu z rąk, aby nie znalazł go ktoś niepowołany i plugastwo nie rozpełzło się jeszcze szerzej. Nie mógł jednak spożywać posiłków z księgą pod pachą, zbyt wiele oczu go obserwowało w refektarzu, nie był, więc pewien, czy pod jego nieobecność nie dopadł jej jakiś sprytny kopista. Wszystko to przyprawiało go o straszliwe męki i wyrzucał sobie, że oto przyczynia się do zachowania pamięci o świecie, który ze wszech miar powinien zostać zapomniany.

Kiedy już bez reszty podupadał na duchu, wybawienie przyszło z zupełnie nieoczekiwanej strony. W magicznej burzy, którą rozpętały po śmierci Principi dell'Arazzo zwycięskie demony, zniszczał akwedukt doprowadzający do miasta wodę z górskich źródeł. Większość studni wykopanych za murami dla biedoty i marynarzy z portu, pokryły gruzy albo też ich wody zatęchły i stały się niezdatne do picia. Przez długi czas nieliczni ocalali mieszkańcy chwyтали w beczki deszczówkę i dopiero, kiedy powstał klasztor, Luana rozkazała wykopać na jego dziedzińcu nową studnię. Własną dłonią wskazała miejsce, gdzie należy to uczynić, a skoro robotnicy zeszli na odpowiednią głębokość, z dna trysnęła woda o słodkim, orzeźwiająjącym smaku i kryształowo czysta. Odtąd wszyscy, którzy tylko zapragnęli, mogli z niej czerpać do woli i o świecie wiele kobiet stało z dzbanami pod klasztornym murem, czekając na otwarcie wierzei.

Aż pewnego ranka woda okazała się zatruta. Niewiasta, która zaczerpnęła jej jako pierwsza, upiła kilka łyków i padła martwa, zanim jeszcze wyszła z opactwa. Pospieszenie uczyniono próbę i napojono osła woziwody, który rozprowadzał pełne beczki po okolicy. Zwierzę skonało, a studnię zabito natychmiast deskami, aby na nikogo więcej nie ściągnęła zguby.

Mniszki zataiły nieszczęście przed opatką z lęku, że zgryzota dodatkowo nadwątlili jej i tak słabe ciało. Jako że pora była sucha, kto tylko mógł, wyjechał do krewnych lub poprosił o gościnę w okolicznych monasterach. Dla pozostałych wodę sprowadzono na wozach z najbliższego źródła, które było oddalone o pół dnia drogi.

Skryba, który początkowo upatrywał w tym nieszczęsnym zdarzeniu widomego znaku gniewu Pana, po kilku dniach zrozumiał, że nadarza mu się wyśmienita sposobność, by wreszcie uwolnić się od staruchy i jej obmierzłych wspomnień. Odczekał, aż siostra służebna wyjdzie na chwilę z komnaty, by zwilżyć ręcznik, którym ocierano twarz cierpiącej, i wówczas niezobowiązująco napomknął o trapiącym klasztor nieszczęściu. Na darmo jednak wyglądał w twarzy ksieni oznak przestrachu. Luana przyjęła nowinę tak obojętnie, że przelotnie pomyślał, iż zdrzemnęła się znowu i wcale go nie usłyszała. Ale kiedy służebnica wróciła, opatka otwarła swe niewidzące oczy i od razu wiedział, że stara strega znów wywiodła go w pole.

- Woda w studni jest nieczysta, czy tak? - odezwała się suchym, starym głosem Luana.

Siostra rzuciła skrybie pełne wyrzutu spojrzenie.

- Tak, matko - odparła cicho. - Chciałyśmy oszczędzić ci wiedzy o tej zgryzocie.

- Niepotrzebnie zgoła. A teraz sprowadźcie mnie na dół. No, nie ociągaj się, dziecko - dorzuciła zdumiewająco rażącym głosem. - Moje krzesło. Szybko!

Mniszka bez zwłoki podreptała w kąt komnaty, gdzie stało wyściełane krzesło na kółkach, sporządzone specjalnie dla opatki przez rzemieślników z Brionii. Luana przywołała skrybę i z jego pomocą uniosła się z posłania. Jej palce zacisnęły się na jego ramieniu jak szpony i przez chwilę czuł kwaśny, dławiący zapach choroby. Z trudem ukrył grymas obrzydzenia. Na szczęście dotyk nie trwał zbyt długo, zakonnica zaraz podtoczyła krzesło i mógł się bezpiecznie cofnąć do pulpitu, gdzie spoczywał cenny manuskrypt. Ale starucha od razu to spostrzegła.

- Ty także chodź z nami, braciszku.

Nienawidził, kiedy zwracała się do niego tym zdrobnieniem. Miał wrażenie, że z niego kpi.

- Przypatrzysz się - dodała - abyś lepiej zdał świadectwo z naszych zajęć.

W ostrym, południowym słońcu mury klasztoru stały się nieomal białe. Przy studni nie było nikogo, ale na wieść, że przeorysza wyszła ze swej celi, mniszki zbiegły się z całego klasztoru, aby ją powitać. Od razu też na dziedzińcu skądeś zaroilo się od błagalników, w przeważającej części kobiet z dziećmi na ręku, które przybyły prosić o błogosławieństwo Luany. Łaskawie dotykała ich drżącymi dłońmi, gładziła główki niemowląt i przygarniała, co większe dzieci, choć nawet skryba widział, że była już bezmiernie słaba. Wreszcie zdołali ją przepchnąć przez ciżbę ku cembrowinie zakrytej grubą warstwą desek.

- Podnieście pokrywę - rozkazała Luana.

- Ależ, matko, woda jest nieczysta... - sprzeciwiła się słabo jedna z sióstr.

- Dobrze, więc - opatka wymacała skraj wieka - sama to uczynię.

Spoza kobiet wysunął się mężczyzna z toporem na ramieniu.

Skryba rozpoznał w nim ogrodnika, który mieszkał w małym domku tuż przy klasztornym murze. Podobno niegdyś był czarnoksiężnikiem i przybył tu prosić Luanę, by odpuściła mu dawne zbrodnie, a kiedy z nią pomówił, postanowił na zawsze zostać. Jego obecność w żeńskim klasztorze napawała skrybę świętym oburzeniem, ale za życia przeoryszy nic nie mógł uczynić, szczególnie, że ogrodnik zdawał się zawczasu odgadywać jej życzenia i od nikogo więcej nie przyjmował rozkazów.

Właściwie, pomyślał skryba, dziwna jest ta zażyłość sługi demonów i świątobliwej niewiasty. Gdyby oboje byli młodszy, kto wie, co jeszcze mogłoby się zdarzyć...

Ogrodnik rzucił mu ironiczne spojrzenie, zupełnie jakby odczytał tę myśl w jego umyśle, po czym odsunął go szorstko od studni. Choć już mocno starszy, wciąż był postawnym mężczyzną, a na jego nagich ramionach grały węzły mięśni. Spod topora posypały się jasne drzazgi, przyskajac szeroko pomiędzy ludźmi.

- Dobrze - rzekła opatka, kiedy pokrywa została już rozrąbana na części. - Teraz zaczerpnijcie wody.

Dwie mniszki spieszenie podpięły wiadro do kołowrotu, opuściły je na dno i zaraz wyciągnęły z powrotem. Woda była przejrzysta, słońce grało na jej powierzchni lśnięciami refleksami.

Luana pochyliła się nad naczyniem z perłą w stulonych dłoniach, po czym zmówiła krótką modlitwę i zaczerpnęła wody.

- Matko! - wykrzyknęła ze strachem służebna mniszka.

Opatka powoli uniosła dłonie do ust. Woda przelewała się przez jej palce, ściekała po łańcuszku z perłą na cembrowinę i do wnętrza studni. Luana tymczasem piła powoli, smakując każdy łyk.

- Jest dobra - oznajmiła spokojnie; na jej wargach i brodzie osychały krople. - Sami spróbujcie.

Skryba cofnął się odruchowo - kilka dni temu widział trupa kobiety, która umarła od trucizny, zanim jeszcze zdążyła wyjść poza klasztorny mur - i żadna z mniszek nie kwapiła się usłuchać przeoryszy, więc ostatecznie ogrodnik napił się pierwszy. Luana nie czekała dłużej. Dała znak, aby odprowadzono ją do celi. Skryba ruszył jej śladem. Bez przykrości przyjąłby śmierć ogrodnika, lecz nie zamierzał tkwić w środku ludzkiej tłuszczu, kiedy, przerażona kolejnym zgonem, rzuci się na oślep do ucieczki.

Ale jeszcze w krużgankach dobiegła ich nagła wrzawa i nie były to okrzyki trwogi.

- Cud! - wołano na dziedzińcu. - Mateczka Luana uczyniła cud!

Skryba spojrzął na nią niechętnie, szukając w twarzy opatki znaków triumfu. Nie odnalazł ich jednak. Krańcowo wyczerpana, przeorysza przymknęła oczy i siedziała bezwładnie, z głową opuszczoną na ramię. Na podołku, w zaciśniętych palcach, wciąż trzymała perłę i skryba pomyślał, że po jej śmierci każe oprawić cudowny klejnot we wspaniały relikwiarz. Niech Brionia zachowa sobie doczesne szczątki opatki, nie dbał o nie. Lecz ta ogromna, przeczysta perła była nie tylko znakiem Najwyższego, ale też obiektem jego szczególnych łask, należało, więc wywieźć ją z miasta czarodziejów w jakieś godniejsze miejsce, gdzie znajdzie stosowną oprawę i przyczyni nowych cudów. Uśmiechnął się do siebie. Jego ojczysty klasztor z pewnością chętnie przyjmie ów wyjątkowy przedmiot.

Luana rozwarła powieki.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegła, zazdrośnie zaciskając palce na perle. - Ta rzecz jest znakiem przymierza, które zawarłam dawno temu, i zabiorę ją ze sobą do grobu.

* * *

Diamante stał bezradnie w deszczu, przyglądając się, jak ojciec kreśli magiczne kręgi wokół grobu Arachne. Już nie próbował go przekonywać, że wewnątrz jest jedynie trumna pełna

ziemi, bo ciała Severa i jego ukochanej małżonki znikły w głębinie Golfo delle Lacrime. Rocco nie uwierzyłby w jego zapewnienia, najwyżej kazałby jednemu z golemów bić chłopca, póki ten nie zamilknie. Odkąd poseł z Lirne z ledwie skrywanym śmiechem zagadnął władcę, czy prawdą jest, że w cytadeli załagał mu się wyjątkowo szkodliwy pasożyt, Rocco winił syna, że uczynił go obiektem powszechnych szyderstw, i bez opamiętania wymierzał mu kary. Diamante nauczył się z nieruchomą twarzą znosić kolejne wybuchy ojca, a teraz wołał moknąc, choćby do białego świtu, niż otwarcie mu się przeciwstawić.

Dzisiaj Rocco był, bowiem w szczególnie złym nastroju, jak zwykle zresztą, kiedy musiał wezwać obcych magów, by wspomogli go w rzeczy, która opierała się jego zaklęciom. Wypełnienie misji bynajmniej nie gwarantowało wdzięczności księcia i obaj hierofanci, pomagający mu wytyczyć kręgi wokół mogiły, byli tego doskonale świadomi. Nawet, jeśli ich zaklęcia poskutkują, potężne monstra, służące od wieków księżetom Brionii, mogły ich rozszarpać, a ciała wrzucić w biegnące do portu kanały. Jednak niepowodzenie oznaczało pewną śmierć, trudzili się, zatem ile sił pod czujnym okiem lamii i harpii, które przyglądały im się z blanków najbliższej wieży.

Stojący obok chłopca golem westchnął chrapliwie, kiedy z twarzy spłynęła mu kolejna warstwa gliny. Czekali na deszczu już od wielu godzin, pilnując, aby nikt niepowołany nie zbliżył się do tego miejsca, i ich ciała zdążyły nasiąknąć wodą niby gąbki. Diamante z przerażeniem patrzył, jak rysy potworów rozmywają się, a zaciśnięte na magicznych głowniach palce zmieniają się w bezkształtne bryły błota. Wcześniej nie zwracał uwagi na kruchość stworzeń Rocca, podobnie jak ojciec upajając się siłą, z jaką rozłupywały kamienne bloki i miażdżyły głowy nieprzyjaciół księcia. Teraz jednak nie potrafił zapomnieć słów Arachne i morderczego wdzięku kekropsów, kiedy układały się wokół niej, nucąc węzowe pieśni. Owszem, dla odwiedzających cytadelę golemi były kolejnymi spomiędzy niezliczonych potworów, które stworzono dla wygody i obrony książęcej rodziny - może nieco bardziej topornymi i niezdarnymi od innych, ale przynależnymi temu miejscu jak wszystkie inne. Diamante jednak poznał nieuchwytnie znamię, jakie wyciskał na swoich dziełach Severo, i nie potrafił o nim zapomnieć.

Jego ojciec nigdy nie oddałby cząstki mocy, aby uczynić swe stworzenie doskonalszym czy choćby piękniejszym. Zadowalał się prostą użytecznością golemów, a zniszczone monstra wedle potrzeby zastępował nowymi.

Chłopcu wydało się, że jeden z potworów łypnął na niego znacząco ślepiem żółtym jak siarka. Wyprostował się odruchowo i strużka dżdżu pociekła mu za kołnierz. Stojąc dokładnie pośrodku wyrysowanych znaków, z ramionami wzniesionymi ku deszczowemu niebu, Rocco dokończył właśnie kolejną inkantację. I znów nic się nie stało. Marmurowa płyta mogiły ani drgnęła i nigdzie nie było widać wzywanego ducha.

Dwaj hierofanci, mimowolni świadkowie klęski księcia, milczeli ze wzrokiem uprzejmiem zwróconym w bok. Prócz nich i maga z synem na dziedzińcu katedry nie było ni jednego człowieka. Patriarcha, acz nie bez oporu, przychylił się do prośb księcia, odesłał strażników i nakazał mnichom, odprawiającym aż do świtu modły przed ołtarzem Najwyższego, nie wychylać tej nocy nosa z dormitorium.

- Zawołaj to - wysyczał przez zęby Rocco.

Jego głos aż wibrował od furii.

- Wołałem - odparł cicho chłopiec.

- Więc postaraj się bardziej! - ryknął mag.

Przestraszone stymfalidy wzbiły się w powietrze i z trzepotem zatoczyły nad nimi krąg. Pojedyncze żelazne pióro upadło tuż obok stóp Rocca. Mag zdrygnął się i pogroził pięścią niezdarnemu ptaku.

- Przecież ostrzegałem, że Arachne nie ma w grobowcu, a jej moc nie sięga poza mury cytadeli.

Ojciec z całej siły uderzył go w twarz.

- Mówiłem ci, abyś nie nazywał tego jej imieniem. To tylko demon. Zwyczajny demon zesłany przez nikczemników, aby opętał kobietę, która była matką naszego przodka.

Diamante zlizął z warg krew. Już nie płakał. Przez ostatnie trzy miesiące doświadczył wielu takich nocy i wiele rozmów zakończono biciem. Czasami myślał, że pewnego dnia ojciec każe go bezpowrotnie okaleczyć, a jednocześnie był ciekaw, jak daleko sam może się posunąć. Wcześniejszy strach zastąpiła jakaś zapiekła niechęć, która skłaniała chłopca, by drażnić dumę Rocca i prowokował go do kolejnych kar. Nie przyjął też dobrze najnowszego odkrycia księcia, choć przeczuwał, że ojciec również jest zmęczony walką i gdyby syn, choćby pozornie, dał wiarę jego rewelacjom, w rodzinie zapanowałby kruchy, lecz wytęskniony przez domowników rozjem. Diamante jednak nie potrafił się ugiąć, mimo że widział, jak bardzo szkodzi mu pogłębiająca się z każdym dniem niezgoda. Miał wrażenie, że jeśli uwierzy, pozwoli tym sa-

mym, aby ojciec ostatecznie odebrał mu Arachne - tak samo, jak odebrał mu poprzednio dziecięce zabawki, wieczory w komnacie matki, przejażdżki na kucyku w otoczeniu synów dworzan i jeszcze wiele innych rzeczy, które uznano za niegodne książęcego dziedzica.

Spokojnie wysłuchał, więc opowieści, którą ojciec - nie bez satysfakcji - powtórzył mu, kiedy wreszcie ze sterty ksiąg i pergaminów wyłowił właściwe wyjaśnienie trapiącej ich plagi. Choć w Brionii okrutnie karano oszczerstwa wymierzone w książęcą rodzinę, chłopiec już wcześniej słyszał pogłoski, jakoby Arachne została w istocie opętana przez demona. Pomiedzy wrogami Rocca było kilku minstreli, którzy skomponowali całkiem udane pieśni, demonicznemu pochodzeniu przypisując jego skłonność do okrucieństwa i przelewu krwi. Głosili, że Severo uległ wdziękom najpiękniejszej kobiety swoich czasów, spadkobierczyni rozlicznych sekretów magicznych, i pokonał wielu rywali w walce o jej rękę. Z początku byli szczęśliwi, gdyż Arachne prawdziwie pokochała swego męża-maga. Mimo to Severo, z natury nieufny, rychło zaczął podejrzewać, że jej przywiązanie jest jedynie pozorem, pod którym kryją się fałsz i wielkie niebezpieczeństwo na przyszłość. Ponieważ jednak nie chciał jej utracić, związał ją z demonem, aby nigdy nie mogła od niego odejść. Były to całkiem ładne piosenki, Diamante nie raz słyszał, jak służące nucą je u studni, kiedy ochmistrzyni i kucharka odeszły wystarczająco daleko.

Opowieść Rocca była jednak inna. Oto na wieść, że małżonka księcia Brionii spodziewa się potomka, magowie z Centocchio postanowili go ugodzić jak najdotkliwiej, mszcząc się za próby podboju ich ojczystej ziemi. Jako że w żaden sposób nie mogli zaszkodzić Severowi, który mocą przewyższał ich wszystkich, zamierzali jednocześnie pozbawić go ukochanej i wytyśkionego dziedzica. Przywołali demona, nędznego wyrzutka spomiędzy tych, które były wcześniej spętane materią i po śmierci maga nie zdołały uciec z podksiężycowego świata, po czym wysłali go do Brionii. Miał opętać Arachne, przyprawić ją o utratę zmysłów, aby zabiła dziecko w swym łonie, potem zaś rzuciła się ze skały w błękitne morze.

Demona zamknięto w pudełku, a jeden z magów, utajony pod postacią żebraka, powędrował z nim do Brionii. Tam ukrył go w książęcym ogrodzie we wnętrzu świeżej figi, dowiedział się, bowiem, że księżna właśnie te owoce szczególnie ceni. Nikt nie spostrzegł pułapki i Arachne połknęła wraz z figą demona. Ale kiedy w nocy sięgnęła po sztylet, Severo ocknął się i zdążył ją powstrzymać. Aż do świtu walczył z demonem, nie mógł go, bowiem wypędzić ani zniszczyć, nie uśmiercając zarazem żony i dziecka. Zdołał go jednak uśpić i

obłożyć zaklęciami tak potężnymi, że Arachne, kiedy obudziła się o poranku, nie wiedziała nawet o jego istnieniu. Sam Severo wszakże nigdy nie przebaczył magom z Centocchio, że poważyli się zagrozić jego rodzinie i dlatego z tak wielkim uporem i okrucieństwem kontynuował podbój ich ziemi. A demona, który stał się narzędziem w tej zbrodni, za karę niewidzialnymi nićmi zaklęć związał z cytadelą Brionii, aby po kres czasów nie opuścił tego miejsca.

Diamante nie uwierzył w ani jedno słowo ojca. Przez chwilę podejrzewał nawet, że Rocco wymyślił sobie całą tę historię, aby go przerazić i odstręczyć od widmowej kobiety. Ale nie. Księżę wydawał się szczerze uradowany, że wreszcie znalazł wyjaśnienie zjawiska, które dotąd wymykało się jego poznaniu.

- Skoro to tylko zwyczajny demon - wycedził chłopiec - dlaczego nie potrafisz go pochwycić? Wszak jesteś księciem-magiem Brionii, zrodzonym z krwi Severa dziedzicem jego mocy i sekretów. Czyżby ostatecznie miał pokonać cię pośledni demon, zbyt słaby, by ulecieć ponad księżyc?

Hierofanci wymienili przerażone spojrzenia. Cokolwiek opętało chłopaka, aby mówić w ten sposób z ojcem, nie chcieli uczestniczyć w jego szaleństwie.

- Nie prowokuj mnie, synu - Rocco zniżył głos do szeptu. - Sam sprowadziłeś na nas to nieszczęście, więc teraz milcz. Trzeba ci było raczej zaglądać służącym pod spódnicę albo sprowadzić z miasta kurtyzanę, żeby cię objaśniła w sprawach przynależnych mężczyznom. Ale skoro przedłożyłeś demona ponad rozkosze żywych kobiet, zadbam, abyś dostał to samo, co miał niegdyś Severo. Jutro rozkażę sprowadzić z klasztoru Luanę.

Wesele Diamante szykowano pospiesznie, lecz z wystawnością niezwykłą nawet w rodach magów, dla których wszak niewiele rzeczy było niedostępnych. Rocco pchnął gońców, aby pospraszali gości spomiędzy wszystkich panujących rodzin, a narzeczoną wezwano z klasztoru i umieszczono w Torre dei Leoni, starannie przepatrując wszystkich, którzy ją odwiedzali. Sprowadzono też szwaczki, kaletników, złotmistrzów i kuśnierzy, aby przyszykowali dla niej wyprawę, jakiej wcześniej nie oglądano na Półwyspie. Nie chcąc, by podniosła się wieść, że wydaje bratanicę w jednej koszuli, księżę nie żałował grosza, świadom, iż wszystkie te wspaniałości ostatecznie i tak przypadną jego synowi. W warsztatach pod zamkiem grawerzy mozolnie ozdabiali inicjałami młodej pary niezliczone kubki, miednice, wazy, dzbany, misy i talerze. Szlifierze przywracali blask starym klejnotom, a złotnicy gorączkowo szykowali misterne cuda ze szlachet-

nego metalu i najkosztowniejszych kamieni: wszystkie one były prawdziwe, nietknięte magią, aby nikt nie zarzucił Roccowi w tym niecodziennym dniu oszustwa. Mimo że czasu pozostało niewiele, tkaniny barwiono ultramaryną magów, najkosztowniejszym z barwników świata, którego wyrobem para się tylko jeden ród. Od kupców ze wschodu zakupiono bele jedwabiu na obicia, weselne bramy i zasłony, którymi zostanie przystrojona sala zaślubin - a był to dowód niezwykłego bogactwa, jako że Arimaspi zamknęli szlaki handlowe i bardzo nielicznym karawanom udawało się przebyć ich ziemie z cennym ładunkiem. Wszystko to miało uświetnić zaślubiny i zaćmić pamięć o niesławnym duchu, który kołatał się w korytarzach cytadeli.

Kiedy rzemieślnicy skończyli, wyprawę Luany wystawiono na pokaz w niskich salach cytadeli i mieszkańcy Brionii przybywali dumnie, by ją oglądać. Szczególnie dziwowano się małżeńskiemu łożu, przyozdobionemu mahoniem oraz macicą perłową i rzeźbionemu w winne grona, prastary motyw płodności i szczęścia. Zachwyty budziły również tkaniny, od stołowych płócien do najmniejszych chustek powleczone barwą magów, a także kielichy z kryształu przejrzystego jak woda. Na poduszkach ze złotogłowiu umieszczono wyjątkowo kunsztowne klejnoty, a wśród nich trzy korony - jedna z nich była ozdobiona szafirami, druga lapis-lazuli, trzecia zaś ametystami, aby jeszcze lepiej podkreślały niezwykły błękit oczu Luany. Tuż za nimi rozwieszono jej stroje, w tym przepięknej urody suknię ślubną wyszywaną srebrną nicią i perłami, a tak ciężką, że ledwie można ją było podnieść. Dalej były płaszcze podbite sobolami, kapelusze przyozdobione ptasimi piórami, a nawet pantofelki o zawiniętych noskach, na których umocowano maleńkie dzwoneczki.

Większość odwiedzających odchodziła z cytadeli zadziwiona i ukontentowana, bo wśród owego niezwykłego przepychu bardzo łatwo było zapomnieć, że narzeczona nie osiągnęła jeszcze wieku stosownego do zamążpójścia i nie z własnej woli wstępuje w ów uświęcony związek. Niektórzy tylko utrzymywali, że Rocco umyślnie pyszni się wspaniałością wyprawy, chcąc odwrócić uwagę od szaleństwa swego dziedzica. Jednakowoż znaczna część mieszkańców Brionii radowała się na nadchodzącą uroczystość, tym bardziej, że hierofanci nie urządzili hucznych zaślubin Roccowi i jego bratu, toteż od wielu lat w mieście nie świętowano małżeństwa księżąt. Jeśli nawet ktokolwiek wiedział, że narzeczona, która za niechętnym pozwoleniem władcy zwykła, co dnia chadzać do katedry na nabożeństwo, przypadła patriarsze do nóg i ze łzami w oczach błagała go, by ocalił ją przed niechcianym ślubowaniem, uważał jej zachowanie za kaprysy dziecka, które nie potrafi należycie ocenić spadającego na nie zaszczytu.

Kiedy nastał dzień wesela, komnaty cytadeli wypełniły się znakomitymi gośćmi, a na dziedzińcu przed katedrą zgromadziło się tak wielu gapiów, że drabanci musieli siłą torować drogę dla orszaku państwa młodych. W mroku świątyni nikt też nie wiedział, czy łzy, które popłynęły z oczu Luany, kiedy Diamante wkładał jej na palec pierścień zaślubin, były łzami szczęścia czy rozpacz. Jednak widok tych dwojga dzieci, przybranych w błękit i srebro, zmiękczył serca nawet najzacieklejszych nieprzyjaciół księcia i tego dnia mieszkańcy Bronii żyli im jak najlepiej.

Nikt oczywiście nie wiedział, jaki los naszykował dla nich Rocco.

Mniszka obudziła go w środku nocy ze słowami:

- To już nie potrwa długo.

Ze strapienia w jej głosie wywnioskował, że sprawy pogorszyły się nagle, i nie ofuknął jej nawet, że śmiała wejść do jego komnaty. Odesłał ją na korytarz, ubrał się pospiesznie i ruszył za przewodniczką. Kiedy mijali klasztorną kaplicę, dobiegł go przytłumiony szmer wielu głosów: mimo późnej pory zakonnice modliły się żarliwie o ocalenie swej mistrzyni. Senność i rozdrażnienie przeszły mu w jednej chwili. Wyprostował się, a manuskrypt przestał mu ciążyć. Najwyraźniej wyprawa do studni zaszkodziła opatce bardziej niż sądzono. A skoro tak się stało, zamierzał bardzo dokładnie przyjrzeć się ostatnim chwilom staruchy i na własne oczy ocenić, jakiej próby była jej nabożność. Wiedział, bowiem, że demony często dopiero u samego kresu życia przybywają do dłużnika po należną im zapłatę, a Luana, córka i narzeczoną czarnoksiężnika, wydawała mu się skażona zakazanymi sztukami jak mało, kto.

Już od progu usłyszał jej chrapliwe rżenie. Spoczywała na wysoko ułożonych poduszkach, a splecione na piersi ręce unosiły się wraz z nierównym oddechem. Rzadkie, siwe włosy pozlepiały pot. Skryba pierwszy raz widział ją bez nakrycia głowy i zdziwiło go, że są obcięte tuż przy skórze.

Przyglądał się jej w mdłym świetle świecy, zastanawiając się, jak równie szkaradne stworzenie mogło kiedyś budzić podziw i pożądanie tak wielkie, że uczyniono ją narzeczoną ostatniego z Principi dell'Arazzo. Och, pamiętał, że największe znaczenie miała oczywiście krew czarnoksiężników, płynąca w jej żyłach, nieskażone dziedzictwo Severa, który przed dwoma

wiekami pokonał w Golfo delle Lacrime Arimaspi. Ale nawet później, kiedy została już pustelnicą w ruinach katedry, krążyły rozmaite pogłoski o jej małżeństwie.

Wiedziano wszem i wobec, że magiczna burza, która zmiotła cytadelę wraz z mieszkańcami, nastąpiła właśnie w noc zaślubin syna Rocca. Niektórzy upatrywali w niej kary za okrucieństwo, z jakim patriarcha i książę zmusili do małżeństwa dziewczynkę, która pragnęła służyć jedynie Najwyższemu. Młodzi nie mieli wiele czasu dla siebie, zresztą oboje byli dziećmi, zbyt małymi, by prawdziwie świętować swe zjednoczenie. Sama Luana, nagabywana w wiele lat później przez szarych braci, również poprzysięgła przed ołtarzem, że pozostała czysta, dlatego powszechnie nazywano ją narzeczoną, nie zaś żoną ostatniego z Principi dell'Arazzo.

Plotki jednak szerzyły się niestrudzenie nawet wtedy, gdy świątobliwa księżniczka zastąpiła pierwszymi cudami. Głoszono, że Luana nie tylko bez żadnego oporu uległa Diamante, ale też wcześniej była kochanką jego ojca, który, uprzykrzywszy ją sobie po miesiącach rozpusty, przekazał ją synowi. Utrzymywano też, że jej niezwykła uroda zwabiła demona, który wielce ją sobie upodobał i rozjątrzony owym małżeństwem, spuścił deszcz ognia na cytadelę.

Skryba domyślał się, że pogłoski owe rozsyłają sami czarodzieje, którzy niechętnym okiem spoglądali na szerzący się na Półwyspie kult Luany. Nie bez przyczyny. Księżniczka, jak mało, kto doświadczywszy niegodziwości czarnoksiężników i furii demonów, nigdy nie przestała nawoływać, by porzucono magiczne kunszty. Jej nauki były w tym względzie zbieżne z doktryną szarych braci, ale skryba powątpiewał w ich szczerść i w słowach Luany upatrywał rzadkiego wyrachowania. Kiedy słuchał jej wspomnień, coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że opatka w sercu przechowuje obraz miasta, jakim było w minionych czasach czarnoksiężników, i tylko je naprawdę darzy miłością. Właściwie nie było w tym nic dziwnego. Więź, łącząca magów Brionii z ich ukochanym miastem, zawsze wykraczała poza zwykłe przywiązanie, a Luana nigdy nie przestała być spadkobierczynią ostatniego z Principi dell'Arazzo.

Przeorysza poruszyła się. Błysnęła perła w jej złożonych palcach.

- Diamante - odezwała się opatka, z osobliwą tkliwością wymawiając imię narzeczonego.
- Mój biedny Diamante.

* * *

Diamante w rozterce przyglądał się dziewczynce, swojej żonie. Teraz, kiedy służące odwinęły welon, zdjęły z jej ramion kunsztownie wyszywaną suknię i uwolniły włosy spod wysadzanej szafirami korony, wyglądała jak małe dziecko zagubione wśród przepychu ich ślubnej komnaty. Siedziała na skraju łoża, a jej bosa stopy nie sięgały posadzki. Nie umiał zgadnąć, co myśli. Na twarzy wciąż miała maskę z bielidła.

Owszem, widywali się wcześniej, choć za życia jej ojca Rocco nie mieszkał w cytadeli, tylko w letnim pałacu nieopodal murów miejskich. Ale podczas rodzinnych spotkań i uroczystości Diamante wolał się bawić z kuzynami. Nie zwracał uwagi na ich małą siostrę, która z rzadka tylko pokazywała się u boku matki. Należała do dziwnego świata kobiet, gdzie nie istniały księgi, muzyka ani magia.

- Nie bój się - powiedział, chcąc zagłuszyć także swój strach. - Nie skrzywdzę cię.

Luana poruszyła się i na wpół rozpleciony warkocz opadł na ziemię. Kiedy służące ją rozbiegły, zobaczył, że jej jasne włosy sięgają aż do kolan. W milczeniu poddawała się ich zabiegom i Diamante wyczuwał, że jest u kresu sił. Już wcześniej doszła go wieść o walce, jaką Rocco stoczył z jego kuzynką, zanim zmusił ją, by uległa temu małżeństwu. Podobno przez długi czas trzymano ją w ciemnicy, głodząc do utraty sił i dręcząc coraz bardziej wyszukanyymi groźbami. Być może, dlatego Diamante nie pozwolono jej wcześniej zobaczyć. Mógł podziwiać wszystkie skarby, które wniosła mu w posagu, ale samą Luanę ujrzał dopiero w katedrze, u stopni ołtarza.

- Jesteś synem swojego ojca - rzekła jasnym, dziewczęcym głosem. - Nie chciałam cię.

Wystarczyło jej tak niewiele słów, aby go oszacować i odrzucić raz na zawsze.

- Ja też cię nie chciałem - odparł z urazą. - Żadnego z nas nie pytano o zdanie.

Odwróciła się lekko ku niemu, oczy, obwiedzione czarną farbą, błysnęły w białej twarzy jak dwa błękitne klejnoty.

- Zamknij drzwi - poprosiła.

- Są zamknięte.

- Nie tak - ponagliła go niecierpliwie. - Zaprzyj je krzesłem.

Miał ochotę roześmiać się, bo skoro sądziła, że Rocca zdoła powstrzymać pojedyncze krzesło, doprawdy niewiele wiedziała o sprawach czarnoksiężników. Zaraz jednak uświadomił sobie, że ona nie przeczuwa jeszcze, co ją czeka. Dla niej noc poślubna była ostateczną próbą, na którą szykowała się przez wiele dni, a ponieważ książe nadal nie złamał jej ducha, zamierzała

stawić mu czoło najmężniej, jak potrafiła. Z weselnej sali wciąż dochodziły odgłosy zabawy i spodziewała się zapewne, że niebawem książęta, a może nawet patriarcha we własnej osobie, przybędą do komnaty, aby sprawdzić, czy małżeństwo zostało należycie spełnione. Jeśli zechcą okazać delikatność, przyślą jedynie jakąś stateczną matronę, aby zebrała pościelowe płótna i wychyla pod drzwiami kielichy wina za szczęśliwe poczęcie następcy. Jeżeli jednak Rocco zechce upokorzyć bratanicę, pozostanie w tej komnacie aż do świtu, a Luana poznała go wystarczająco dobrze, by nie oczekiwać zbytnej łaskawości.

Diamante, choć doskonale wiedział, że ta noc jest całkowicie pozbawiona znaczenia, nie chciał przerażać jej jeszcze bardziej. Dlatego z powagą na twarzy zaparł drzwi, których nikt nie zamierzał forsować, i nałożył kapturek na głowę salamandry, służącej im za latarnię. Bestia prychnęła z niechęcią, lecz zaraz przyćmiła światło.

- Śpij teraz - zwrócił się do Luany. - Nikt tu nie wejdzie.

Nie docenił jej jednak. Chwilę jeszcze siedziała nieruchomo, jej ramiona drżały lekko, jakby powstrzymywała łkanie, ale przemówiła zdumiewająco opanowanym głosem:

- Coś wiesz. Powiedz mi.

Zawahał się. Była od niego młodsza i była dziewczynką, powinien, więc ją chronić przed strachem, skoro nie mógł uczynić dla niej nic więcej.

Luana wyczuła jego opór.

- Jestem silna. I chcę wiedzieć.

Powoli, urywanymi zdaniami opowiedział jej o nocnych spotkaniach z widmową kobietą, kłótni z ojcem i obietnicy Rocca.

- Chce mnie opętać? - spytała Luana, kiedy skończył. - Na zawsze sprzęgnąć z demonem?

Spodziewał się, że wybuchnie płaczem, jak jego matka, która na wieść, że do cytadeli sprowadzono kolejną kurtyzanę, wiła się na posadzce, zawodząc przeraźliwie, drapiąc twarz i wrywając włosy. Luana jednak nie poruszyła się i jedynie palce, drgające kurczowo na podołku, świadczyły, że zrozumiała groźbę. Nieoczekiwanie zdjął go podziw dla tej jasnowłosej kuzynki, która nigdy wcześniej nie zaprzętała jego uwagi. Być może sprawiło to uwięzienie w klasztorze, zabójstwo ojca albo powolna śmierć braci i matki, ale była odporniejsza niż on na strach i knowania Rocca. Wydawała się odmienna od kobiet z cytadeli, podobna raczej do jednej z owych świątobliwych dziewic z drugiej strony morza, o których czasami czytali mu mnisi i które bez

lęku stawiały czoło kapłanom Arimaspi. Gdyby tylko mógł, zatrzymałby ją przy sobie, póki oboje nie dorosną, a wówczas może naprawdę zapragnąłby się z nią ożenić.

Zastanawiał się, czy nie wyznać jej tego wszystkiego, ale zanadto się wstydził, więc tylko usiadł obok na wielkim małżeńskim łożu.

- Czy ta kobieta... Arachne... - odezwała się z namysłem - uczyniła ci kiedykolwiek krzywdę?

- Nie. Dlaczego pytasz?

Uciszyła go krótkim zmarszczeniem brwi.

- Ty również nie zdradziłeś jej przed ojcem, prawda?

Potrząsnął głową.

- Wezwij ją, więc - powiedziała, jakby była to najzwyczajniejsza, najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

Nie mógł jej ofiarować nawet krztyny nadziei.

- Ojciec po wielokroć kazał mi ją przywoływać, ale nigdy nie przyszła.

Dziewczynka obróciła się ku niemu.

- Ale tym razem przyzwij ją dla nas. Na pewno przybędzie.

- Nie boisz się, że jest demonem, jak twierdzi ojciec? - zapytał, bo wiele słyszał o po-
bożności Luany i o tym, że pragnęła pozostać w klasztorze, a mnisi nienawidzili przecież de-
monów, nazywając je najgorszymi nieprzyjaciółmi rodzaju ludzkiego.

- Demony nie mogą nam uczynić nic, na co nie przyzwolimy - odpowiedziała stanowczo.
- Bardziej lękam się ludzi. Poza tym nikt inny nie zechce nam pomóc.

Powątpiewał, czy duch okaże się wystarczającą pomocą, ponadto nie umiał oszacować, jakimi zaklęciami i magicznymi pułapkami Rocco naszpikował tę komnatę. Być może ojciec przewidział nawet, że wbrew wszelkiemu rozsądkowi syn zechce tej ostatniej nocy uratować narzeczoną i czekał tuż za drzwiami na przybycie zjawy.

Luana jednak spoglądała na niego z taką pewnością w błękitnych oczach, że nie miał serca jej odmówić. Westchnął głęboko i szeptem wypowiedział imię swojej przyjaciółki:

- Arachne...

Płomienie świec załopotwały, poruszone niewyczuwalnym wichrem, i duch pojawił się natychmiast po przeciwległej stronie komnaty, w ciemnej wnęce u okna. Dziewczynka drgnęła nerwowo i jej palce zacisnęły się na dłoni Diamante, gdy Arachne sunęła ku nim po dywanie ut-

kanym w błękitno-złoty wzór. Jej policzki były blade, lecz pierś poruszała się w oddechu, rude włosy falowały przy każdym kroku - wyglądałyby jak żywa kobieta, gdyby jej bose stopy nie przechodziły na skroś przez nogi kandelabrow i kosze kwiatów, które rozstawiono w komnacie.

Przystanęła kilka kroków przed łóżem, nie spuszczać oczu z dziewczynki. Diamante otworzył usta, aby przedstawić kuzynkę, ale ta uprzedziła go. Zeskoczyła z łóżka i wykonała formalny ukłon, jak przed kimś niezrównanie przewyższającym ją godnością i urodzeniem. Był to osobliwy widok, ponieważ księżniczki z rodu Severa przed nikim nie kłoniły się aż do ziemi i nikogo nie uznawały za lepszego od siebie.

- Jestem Luana di Brionia - dziewczynka wymawiała słowa z taką starannością, jak gdyby w l'Azzurro przemawiała przed całym dworem - i skoro Rocco nie mógł cię pochwycić ani ukarać w żaden inny sposób, postanowił spleść mnie z demonem, podobnie jak z tobą niegdyś uczynili nieprzyjaciele naszego rodu.

- Może nie zdoła tego zrobić - wtrącił niepewnie Diamante. - Mnisi grożą anatamą każdemu, kto będzie się parał opętaniem. Nadto to trudne czary i nie próbowano ich na Półwyspie od wielu lat.

One jednak nadal mierzyły się wzrokiem.

- Ach, tak - odezwała się płaskim głosem Arachne. - Więc postanowili cię oddać demonowi.

- Ale to, co dla ciebie trwało jedną noc, dla mnie ma trwać całe życie. Nie potrafisz nawet pojąć, co mnie czeka.

Widmowa kobieta roześmiała się chrapliwie.

- Mylisz się, dziecko. Spomiędzy wszystkich ja potrafię najlepiej to zrozumieć, choć tobie uczynią to dla kaprysu, mnie zaś...

Wyczuł w jej głosie coś, czego nie było w nim nigdy wcześniej. Rozpacz.

- Pani? - ponagliła ją Luana.

Arachne uniosła głowę. W jej oczach odbijały się płomienie świec.

- Z miłości - dokończyła miękko. - Mnie uczyniono to z miłości.

Diamante chciał się odezwać, bo jeśli nawet Rocco miał rację i magowie z Centocchio wysłali po nią demona, te słowa były pozbawione sensu. Ale nagle zdał sobie sprawę, że dwie kobiety, jedna u progu życia, druga poza jego kresem, mówią tylko ze sobą i żadna z nich go nie potrzebuje.

- Jak to możliwe? - spytała dziewczynka.

- Po prostu. - Arachne opuściła na moment powieki. - Pragnęłam śmierci Severa, więc przyszedłam do ogrodów Palazzo Ducale, aby go zabić i raz na zawsze uwolnić Brionię spod władzy magów. Nie przewidziałam, że zatańczy ze mną jeden raz i oboje zagubimy się w tym tańcu na zawsze. Czasami tak się zdarza - dodała cicho. - Bez powodu, choć magowie twierdzą, że magia w naszej krwi ciąży ku sobie, byśmy dokonywali właściwych wyborów, a mnisi opowiadają baśnie o tym, że tuż po stworzeniu świata nie było kobiet i mężczyzn, tylko idealne istoty, które rozcięto na pół i rozdzielono, by do końca czasu poszukiwały swego dopełnienia. Ale to nieprawda. Pewne rzeczy się dzieją bez powodu i można zatracić się bezpowrotnie w jednym tańcu.

Chłopiec skinął głową. Oczywiście znał opowieść o tym, jak Severo po raz pierwszy zobaczył Arachne i wybrał ją spośród wszystkich kobiet Brionii. Nie było w tej historii życzenia śmierci, lecz podobne rzeczy się zdarzały pomiędzy książętami. Nie dziwiło go nawet, że Severo wybaczył żonie. Mnisi powtarzali nieustrudzenie, że kobiety są ułomnymi, podległymi ułudzie stworzeniami, które należy chronić przed ich własną naturą. Gdyby tej nocy Luana zagroziła mu nagim ostrzem, wyjąłby nóż z jej dłoni i nigdy nie opowiedział o tym nikomu.

- Tak, wybaczył mi życzenie śmierci. - Arachne uśmiechnęła się i miał wrażenie, że kobieta słyszy jego myśli, jakby wypowiadał je na głos. - Ale nie mógł złamać prawa, którego był panem i sługą jednocześnie, a ja utkałam płaszcze, siedem płaszczy, z których każdy był kryjówką demona.

- Uwięziłaś demony? - spytał z niedowierzaniem, bo przecież nawet Sirocco, która była stręgą, nie dokonała podobnej sztuki.

Żadna z kobiet nie odwróciła się do niego.

- Wedle prawa - odezwała się cicho Luana - powinni cię ukamienować przed świątynią, a potem wyjąć martwe ciało i ukamienować je jeszcze raz, i na nowo, póki nie otrzymasz kary za każdego z demonów. Jeśli książę chciał okazać litość, mógł podarować ci szybką, łatwą śmierć, nie więcej.

- Nieprawda! - wykrzyknął Diamante, nieświadom, że podnosi głos i może sprowadzić do komnaty strażników. - Mógł cię ukryć i jeszcze tego samego dnia pożegłować na południe, na same krańce Arcipelago della Rugiada Rossa, gdzie nie sięga władza magów i gdzie nie mieszka nikt, prócz dzikich bestii. Ja bym tak uczynił!

Teraz popatrzyły na niego obie - Arachne z czułością, Luana ze zdumieniem - a potem widział poprzez grubą warstwę bielidła, jak zmienia się wyraz jej twarzy, aż staje się lustrzanym odbiciem oblicza Arachne.

- Moje kochanie - powiedziała miękko starsza kobieta. - Ale Severo nie był tobą i wiedział, że każdy dzień przybliża go do Golfo delle Lacrime. Gdyby odszedł, Arimaspi pochłonęliby Półwysep jak spragniony osusza bukłak wina. Dlatego nie złamał prawa i pozwolił, abym umarła, bo to się przecież stało w tamtej chwili, kiedy oddał mnie demonowi. Ale zrobił coś jeszcze... - Przymknęła oczy. - Zmodyfikował zaklęcie i na jedną noc w roku uwalniał mnie spod władzy demona.

Luana wydała dziwny zdławiony dźwięk - okrzyk przestachu albo szloch - ale Diamante był zbyt zdumiony postępkami maga, by się nad tym zastanawiać.

- Dlaczego? - zapytał.

- Nie zrozumiesz, skarbie - odparła. - Jeszcze nie teraz. Może zdołałbyś pojąć za wiele lat. Może nigdy.

- Wy tłumacz, więc nam. - Luana przysunęła się bliżej do chłopca.

Objął ją i tym razem nie odtrąciła go, choć kiedy w kościele podał jej ramię, odwróciła się od niego pospiesznie i niemal upadła w sukni ciężkiej od klejnotów i srebra.

- W tamtych czasach zdarzało się, że magowie łączyli swoje kobiety z demonami, jeśli chcieli być pewni ich wierności i posłuszeństwa, albo po prostu woleli je ukształtować wedle swej woli niż zdać się na kaprysy żywej istoty. Gdyby tak uczynił, może po pewnym czasie Severo zapomnieliby, kim byłam. Ponieważ jednak prosiłam go, by pamiętał, i ponieważ chciał widzieć rzeczy takimi, jakimi były naprawdę, pozostawił tę jedną noc, aby przypominała mu, jaką ceną opłacił walkę z Arimaspi.

Luana drgnęła. Na kominku płonął ogień, lecz w komnacie robiło się coraz zimniej, a cienka płócienna koszulą nie chroniła przed chłodem.

- Czy było warto?

- Zwyciężył - odparła po prostu Arachne. - Wierzył, że obdarowano go magią po to, aby ich pokonał, i wszystkie inne czyny były dla niego jedynie pochodną tej pierwszej i najważniejszej powinności. Ale kiedy powinność ustała... uwolnił mnie.

- Zatem jednak nie umarł z ręki demona? - odezwał się Diamante.

Arachne chyba go nie usłyszała.

- Demon może wypełnić trzy życzenia wykraczające poza naturę tego, czym go uczyniono. Severo zrazu poprosił, aby demon chronił nasze dzieci, i wówczas utkałam dla niego gobelin. Potem nakazał, aby demon pokonał dla niego Arimaspi i ognista burza pochłonęła ich statki. Na koniec zaś, kiedy pozostaliśmy sami w Golfo delle Lacrime, polecił mu spełnić moje życzenie. I wtedy demon go zabił.

- Jak to? - Luana poderwała się z łoża i wyciągnęła ręce ku duchowi, ale jej palce przeszły przez widmową postać jak przez dym.

- Z takim życzeniem przyszedłam do niego pierwszy raz - po twarzy Arachne płynęły łzy - i widać w sercu uznał je za usprawiedliwione. Magowie są surowymi ludźmi, także dla siebie, i niewiele wiedzą o miłosierdziu.

Wiele słów zapisano na pergaminie i w kamieniu o snach ludzi opętanych przez demona. Czy powracają w nich do dawnego życia, w nieskończoność odtwarzając minione dni? Czy może wszystko, co nastąpiło po zespoleniu z demonem, wydaje im się dziwne i nierealne jak sen, ponieważ umysł broni się przed wiedzą, która jest zbyt przerażająca? Czy też w snach zwiduje im się życie, które nieodwracalnie utracili, kiedy los postawił na ich drodze demona? Nikt jednak nie zastanawiał się, o czym śnią demony.

Luana umilkła i skryba odłożył kartę. Nie pojmował, dlaczego w godzinie śmierci jej umysł skłonił się ku najnikczemniejszemu z czynów czarnoksiężników - opętaniu, zespoleniu żywego człowieka z potępionym duchem. Był zbyt zdumiony, by protestować. Jak oczadziały, zapisywał słowa, zamiast uświadomić jej niestosowność tych roztrząsań w ustach umierającej mniszki. Na szczęście osłabła tak dalece, że zdołała wycharczeć jedynie kilka zdań, ale i tak śmiertelnie przeraziła czuwające przy niej zakonnice.

Teraz leżała jak martwa, wbijając ślepe oczy w mrok, choć jej pierś nadal unosiła się w nieregularnym oddechu i połyskiwał łańcuszek perły w zaciśniętych palcach.

Siostra służebna pochyliła się i odwracając zapłakaną twarz, delikatnie otarła czoło konającej. Luana poruszyła się.

- Nie lękam się - powiedziała z trudem. - To tylko jeden krok w ciemność, nic więcej.

Po czym położyła zimną dłoń na jej ramieniu i umarła.

* * *

Miał tak wiele pytań, więcej, niż zdołałby wypowiedzieć w tę noc, a może nawet przez wiele nocy, póki nie zestarzeje się wystarczająco, by ogarnąć całą tę niepojętą, okrutną opowieść. Ale Luanie znów udało się go zaskoczyć. Zdumiewająco szybko otarła z twarzy łzy i resztki bielidła.

- Czy zdołasz powstrzymać potwory?

Zjawa skinęła głową.

- Póki jestem z wami, kekropsi nie będą was niepokoić. Dziewczynka poderwała się z łoża i zrzuciła długą batystową koszulę. Szybko odwróciła się tyłem, ale Diamante przez moment widział jej jasne, wciąż niedojrzałe ciało.

- Musimy spróbować - rzekła, wciągając przez głowę skromną, niebieską suknię, w której miała o poranku przyjmować życzenia weselnych gości.

- Dokąd chcesz uciec? - spytał ze zdumieniem. - Prędzej czy później Rocco odnajdzie nas, jeśli zaś sam nie zdoła, demony przetrząsną dla niego wszystkie miejsca w cytadeli.

Luana popatrzyła na niego wielkimi, poważnymi oczami.

- Prócz tych, do których nie zdołają wejść.

Zrozumiał natychmiast.

- Chcesz się ukryć w katedrze? Przecież patriarcha już raz nie dał ci schronienia.

- Powiedział, że nie postąpi wbrew woli mojego opiekuna - i dziewczynka przygryzła wargę - choć bardzo dobrze wiedział, że Rocco zamordował mojego ojca i co zamierza mnie uczynić. Ale... - rzuciła mu badawcze spojrzenie - Rocco nie jest dłużej moim i opiekunem i jeśli obydwójce schronimy się w katedrze, prosząc o azyl, patriarcha nie będzie mógł nam odmówić w obliczu tych wszystkich książąt, którzy zjechali na nasze wesele.

Diamante poblądł na twarzy, kiedy ogarnął rozmiar nieposłuszeństwa, o które prosiła. Chciał jej powiedzieć, że ojciec nie puści płazem zniewagi, jeśli ośmieszą go przed wszystkimi panami Półwyspu, i dostanie ich, choćby miał kamień po kamieniu rozebrać świątynię. Potem jednak przypomniał sobie, co Rocco obiecał zrobić z Luaną, a własne wymówki czy lęki wydały mu się dziwnie niestosowne. Przełknął ślinę, zbierając całą swoją odwagę.

- Dobrze - postanowił. - Zróbmy to.

Luana, która wysypywała ze szkatuł klejnoty i zbierała je w dużej, błękitnej chuście, zamarła w pół ruchu i garść pereł wysypała się z jej dłoni.

- Naprawdę? - zapytała, a jej głos nie przypominał już napiętej cięciwy, był po prostu głosem przerażonej dziewczynki. - Naprawdę zrobisz to dla mnie?

Uprzytomnił sobie, czym musiały być dla niej ostatnie miesiące, po tym jak zamordowano jej ojca i wygnano ją z pełnej przepychu i dziwów cytadeli do surowego klasztoru, gdzie kolejno traciła bliskich, aż wreszcie znalazła się pod pieczę przeoryszy, która bez skrupułów wydała ją mordercy ojca. I w dziwnym przeczuciu -bo przecież był jeszcze zbyt młody, by to ocenić - zdumiał się, jak niezwykłą kobietą stanie się w przyszłości ta jego kuzynka-żona, której wcześniej wcale nie pragnął dla siebie. Teraz zaś bynajmniej nie był pewien, czy chce, żeby obleczono ją w zakonne suknie i ucięto tuż przy skórze jasne włosy. Jednak nawet to wydawało się lepsze, niż gdyby miała zostać opętana dla kaprysu Rocca.

- Oczywiście - odpowiedział. - Nie bój się. Nie pozwolę cię skrzywdzić.

I przez chwilę naprawdę w to wierzył, zapatrzony w jej twarz, zeszkłone nagle oczy i łzy, które popłynęły po policzkach.

- Nie wydostaniecie się z twierdzy - odezwała się cicho Arachne. - Jedyne przejście prowadzi przez krużganek przy biesiadnej sali i Rocco bez wątpienia was spostrzeże.

- Musimy, chociaż spróbować - rzekł chłopiec.

Ale oczywiście to widmo miało rację.

* * *

Oboje byli dziećmi czarnoksiężników, wychowanymi pośrodku briońskiej cytadeli, gdzie wciąż trwały okrucy najczystszej starej magii, nawykli, więc do najdziwniejszych monstrów i demonów o kształtach, jakich nie oglądano nigdzie indziej. Ale nawet ich zadziwił zastęp strażników, których Rocco postawił tej nocy pod drzwiami ich ślubnej komnaty. Kiedy tuż za progiem z jednej z krokwi oderwał się nietoperz o purpurowych skrzydłach i twarzy niemowlęcia, Luana ze stłumionym okrzykiem chwyciła Diamante za rękę i nie wypuszczała jego palców, kiedy ostrożnie schodzili po schodach, mijając coraz osobliwsze potwory. Chłopcu wydawało się, że łkała cicho, gdy lamie wychylały się spomiędzy kobierców i wplatały palce w jej

włosy, a chimery ocierały im się o łydki, jak psy skomlać z cicha o kęs stawy. Nie zatrzymała się jednak. Oboje szli wytrwale za widmową postacią Arachne, a salamandry rozpały przed nimi latarenki, oświetlając drogę, dopóki nie dotarli wreszcie na balkon, wysoko pod stropem biesiadnej sali, gdzie w najlepsze świętowano ich wesele.

Rocco spostrzegł ich od razu. Może pomógł mu w tym sprytny strażniczy demon, odporny na moc Arachne, a może książę miał jednak wystarczająco dużo czarnoksięskiej mocy, by wyczuć ich obecność. Wściekłość ogarnęła go natychmiast. Nie tracąc czasu na zbyteczne ostrzeżenia, pochwycił szczerzłoty puchar, którym spełniał toasty, i cisnął nim przez całą szerokość sali. Naczynie o włos minęło głowę Luany i odbiło się od trzonu kolumny, znacząc marmur czerwonymi plamami wina.

- Dokąd to? - ryknął Rocco. - Dokąd się, szcurki, wybieracie?

Muzyka zgasła w okamgnieniu, a goście zamarli przy stołach, jakby rzucono na nich jeden z tych czarów, o których śpiewają bardzi. Wszyscy spoglądali wysoko, na dwójkę dzieci stojących na skraju balkonu, tui pod powałą sali.

Luana w milczeniu przywarła do ramienia chłopca, ale Diamante również nie potrafił wykrztusić ani słowa z zaciśniętej krtani. Na widok ojca prysła cała odwaga syna. Zamiast myśleć o ucieczce - z balkonu biegło, bowiem dwoje schodów, jedno prowadziły do sali biesiadnej, drugie zaś na długi wewnętrzny dziedziniec, który kończył się przejściem na plac przed świątynią - wbiął wzrok w Rocca, w tym samym bezmyślnym zauroczeniu, w jakim ptak obserwuje węża, który za chwilę go pożre.

Wtedy Arachne, dotychczas ukryta w cieniu za kolumną, wysunęła się przed nich i stanęła pomiędzy łukami arkad na brzegu balkonu. W rześście oświetlonej sali jej postać była bledsza niż zwykle, lecz wyraźna, a błękitne oczy pały magią.

- Splugawiłeś to miejsce - powiedziała cicho, lecz jej głos rozszedł się po najdalsze brzegi komnaty. - Nie jesteś godzien naszego dziedzictwa.

- Jakiego dziedzictwa, demonie? - zarechotał Rocco, świadom, że oczy wszystkich są zwrócone na niego i widmową kobietę, a losy jego przyszłych rządów zależą od tego, które z nich wygra w tym starciu.

Arachne bez słowa wyciągnęła dłoń ku gobelinowi, który rozpostarto na ścianie u szczytu stołu, za plecami księcia. Tkanina zafalowała nieznacznie. Smok i lwy zdawały się unosić głowy, by spojrzeć na nią żółtymi ślepiami, purpurowo-złote skrzydła gryfów drżały, jakby za

chwilę miały wzlecieć w powietrze. Goście, zafascynowani, spoglądali na materię, która mieniła się przed ich oczami jak żywa istota.

Rocco był wystarczająco długo księciem Brionii, by wiedzieć, że oto cienka nić władzy zaczęła wiotczeć i wysmykiwać mu się z palców, a lada chwila całkowicie się zerwie. Może była to czysta ułuda, ale gobelin sprawiał wrażenie, jak gdyby utkane z barwnych nici bestie mogły na rozkaz widmowej kobiety wyjść z osnowy i rzucić mu się do gardła. Miał tylko krótką chwilę, aby zatrzeć to wrażenie w umysłach gości i rozumiał wyśmienicie, że musi jeszcze bardziej przykuć ich uwagę, zadziwić albo przerazić, ale w każdym razie przekonać, że nadal jest prawowitym władcą we własnym domu.

Uczył, więc pierwszą rzecz, która przyszła mu do głowy, a była wystarczająco szalona, by wstrząsnąć nawet księżętami-magami. Pochwycił sztylet, który zawsze nosił u pasa i którym niegdyś ugodził w bok swego brata, i wbił go w środek gobelinu. Ktoś krzyknął zdławionym głosem, gdy osnowa pękła z trzaskiem, a tkanina rozdarła się na dwie części. Smok, lwy i gryfy wyglądały znów jak zwyczajne obrazki na płótnie, lecz w chwilę później ich barwy zaczęły gasnąć, kształty rozmyły się, zmieniając w bezkształtne plamy. Z delikatnym chrzęstem nici rwały się, osypywały na posadzkę, aż wreszcie na ścianie została tylko rama.

Diamante przyglądał się temu ze zgrozą i oszołomieniem, niezdolny postąpić krok naprzód. Dopiero Luana pociągnęła go za rękaw.

- Jeśli teraz nie uciekniemy, nie wymkniemy się przez całe życie.

Co się pognali ku schodom, lecz z tyłu dobiegł go jeszcze głos Arachne:

- Jesteś głupcem.

Chciał się obejrzeć, ale Luana nie zwalniała, więc biegł najszybciej jak potrafił w dół po stopniach aż na dziedziniec. Starał się nie myśleć zbyt wiele o spizowych łucznicach, najpiękniejszym spośród dzieł jego pradziada, których rozmieszczono na szczytach kolumn. Widział kiedyś, jak rzeźby ożyły na rozkaz Rocca, gdy zabójca, który próbował go zasztylować, wyrwał się z rąk strażników i uciekał do świątyni. Rocco dał znak i metalowe ciała łuczniczków poruszyły się, jak gdyby pod cienką warstwą spizu kryły się prawdziwe mięśnie i ścięgna. Choć ich oczy nie drgnęły nawet, zanim skrytobójca zrobił kilka kroków, naszpikowali go strzałami jak jeża.

- Uciekajcie. - Arachne jakimś sposobem znalazła się tuż przy nich. - Czas dobiega kresu.

W tej samej chwili na galerii pojawił się Rocco.

- Zatrzymajcie się!

Władca Brionii przechylał się przez balustradę, a w jego ręku Diamante dostrzegł srebrzysty gwizdek, którego głos ożywił łuczników. Goście weselni, magowie i książęta ze wszystkich stron Półwyspu, również wspięli się na galerię, obserwując teraz z wysoka wydarzenia na dziedzińcu. Każdy z nich doskonale rozumiał, że oto syn i spadkobierca najpotężniejszego z panów Półwyspu otwarcie przeciwstawia się jego woli. Rocco uczynił, więc to, co musiał. Zagwizdał.

- Jeśli ktoś z was pójdzie o krok dalej, łucznicy raz na zawsze nauczą was posłuszeństwa.

Kronikarze powszechnie zgadzali się później, że dając znak posągom, nie przewidział w istocie tego, co nastąpi. Chciał jedynie nastraszyć syna i skłonić go, by wyrzekł się bezrozumnego oporu. Tak się jednak nie stało.

Diamante popatrzył na ojca. Luana szarpnęła go za ramię.

- Nie słuchaj go!

Niepewny, jak dalej postąpić, chłopiec chciał odwrócić się ku widmu. I potknął się.

Arachne próbowała go pochwycić. Na darmo - jej palce przeszły na wylot przez jego ciało. Diamante jeszcze przez moment młócił ramionami powietrze w rozpaczliwej próbie odzyskania równowagi. Po czym przewrócił się, ostatecznie i nieodwołalnie przekraczając naznaczoną przez ojca linię.

- Nie! - Arachne rzuciła się, by zasłonić go przed łucznikami.

- Nie! - zawtórował jej z rozpaczą Rocco i ich głosy zlały się w jedno.

Ale było za późno. Łucznicy wystrzelili, z całą celnością i mocą, do jakiej ich stworzono.

Pierwsza strzała ugodziła Diamante w pierś. Siła uderzenia okręciła go i przez chwilę ojciec widział oczy syna, szeroko rozwarte ze zdumienia, ale następne strzały już spadały z wysoka, jedna za drugą, nawet wówczas, kiedy leżał już nieruchomo na piasku. Przeszywały widmową postać Arachne i ni odrobiny nie ustając w pędzie, wchodziły w ciało chłopca, póki ostatni z łuczników nie zwolnił cięciwy. Skoro raz wydano rozkaz, nic nie mogło ich powstrzymać.

Arachne upadła na kolana przy martwym dziecku i płakała z głową pochyloną nisko przy ziemi, a nitki krwi coraz liczniej spływały ku niej po jasnym piasku. Luana niczym skamieniała patrzyła, jak wnikają w ciało widma i giną bez śladu. Brzeg sukni zjawy zabarwił się krwią, a czerwień pełzła wyżej poprzez tkaninę, aż powlokła ją całą. Dziewczynka ze strachem wy-

ciągnęła dłoń i cofnęła ją zaraz, czując żar. Nie pojmowała, co się dzieje. Strużki krwi poczer-
niały i unosił się z nich gryzący dym, aż w końcu jak ciemna chmura przestonił dziedziniec.
Tylko postać żony Severa połyskiwała w nim coraz jaśniej.

- Arachne? - odezwała się ze strachem Luana.

Duch podniósł głowę, wyprostował się powoli i odsunął od Diamante. Po jego włosach
pełgały drobne ogniki, a twarz była jedną taflą ognia.

- Teraz pamiętam - widmo przemówiło głosem, którego dziewczynka nie słyszała nigdy
wcześniej.

Luana aż się wzdrygnęła, widząc, jak rysy Arachne spływają z twarzy tamtej istoty, a jej
postać rozmywa się i potężnieje, póki nie stała się podobna do kolumny ognia. Chciała uciekać,
ale dym spowijał ją jak gęsty, czarny całun i nie pozwalał się cofnąć ani o krok.

- Nie bój się - rzekła postać z płomieni. - Nie uczynię ci krzywdy.

- Czym ty jesteś? - spytała przerażona dziewczynka. - Czym jesteś?

- Nie mam imienia - odparł ogień. - Nie w waszym języku i nie po tym, jak mag ściągnął
mnie z ponadksiężycowego nieba, aby na zawsze splątać mnie z kobietą, której pragnął.

Dziewczynka zakryła dłonią usta, by powstrzymać okrzyk grozy. Rozmawiała z de-
monem, nieskrępowanym duchem ognia, który by ich omamić, przybrał kształt martwej kobiety.
W wiele lat później usłyszała od mnichów biegłych w pismach teologów, że nawet kilka słów
wymienionych z demonem może przywieść do zguby śmiertelnego człowieka. Nie sądziła jed-
nak, aby mężowie uczeni w piśmie naprawdę wiedzieli, o czym mówią - żaden z nich nie spotkał
nigdy wolnego demona przyobleczonego jedynie w ogień, gdyż w swej prawdziwej formie nie
mógłby się zatrzymać w pod-księżycowym świecie. Nawet święci, którzy zwyciężali potwory i
poskramiali demony, w istocie zmagali się jedynie z poślednimi duchami, na dodatek oszołomi-
onymi niewolą i wciąż skażonymi materią narzuconą im przez magów.

Z nią było inaczej. Nie próbowała walczyć. Zresztą, jak miałyby poskromić demona,
który był najpotężniejszy spośród duchów Severa i pokonał dla niego dziesiątą część armii Ari-
maspi. Owszem, wiedziała, że skoro Severo zdołał go kiedyś zwabić do podksiężycowego świata
i okiełznać, istniało zaklęcie zdolne na nowo odebrać mu wolność. Rocco mógł je znać i obrócić
na swoją korzyść. Luana nie była jednak pewna, czy woli zdać się na łaskę stryja, czy też po-
zostać w mocy demona.

- Spałem i śniłem zbyt długo - ciągnął demon, bardziej do siebie niż do Luany. - Nie sądziłem, że istnieją tak głębokie sny.

Dziewczynka zrobiła dwa ostrożne kroki w bok, aby odsunąć się jak najdalej od tej istoty, która zdawała się teraz zaprzątnięta wyłącznie sobą. Ale kiedy jej wzrok padł na ciało Diamante, zatrzymała się. Nie potrafiła zostawić go na pastwę demona.

- Okłamałeś nas - rzekła z goryczą. - Udawałeś Arachne, a potem zwabiłeś nas tutaj, aby wypić jego krew i odzyskać siły.

- Mylisz się, dziecko. - Demon odwrócił się ku niej i pośrodku słupa ognia ujrzała dwoje gorejących, czarnych ślepi. - Nie oszukałem was, w każdym razie nie bardziej niż oszukałem sam siebie po tym, jak zagubiłem się we wnętrzu śmiertelnej kobiety.

Żar wokół niej zelżał nieco i domyśliła się, że demon hamuje swoją moc, aby wciąż mogła oddychać. Kiedy jeszcze mieszkała wraz z rodzicami w cytadeli, spowiednik ojca czytywał jej czasami legendy o świątobliwych dziewicach, które nie uległy złym duchom, nawet gdy te ofiarowywały im niezmiernie bogactwa i wieczną młodość. Wiedziała, że nie na darmo nazywano je mistrzami kłamstwa i twórcami ułud, co mamią i przywodzą do złego ludzkie serca. Ale słyszała też coraz bliżej na dziedzińcu nawoływania żołnierzy, spośród których przebijał się głos Rocca, zachrypty od rozpacz i pełen nienawiści. Pan cytadeli wykrzykiwał jej imię i była pewna, że po śmierci jedyne go syna nie pozwoli jej swobodnie odejść do klasztoru. Przy boku demona była od niego bezpieczna, być może bezpieczniejsza niż w jakimkolwiek innym miejscu Półwyspu.

- Nosilem w ramionach jej dzieci i kołysalem je do snu - mówił w zadumie demon - a jej magia kołysala mnie rowniez jak dziecko, az wreszcie usnalem, ukojony melodia jej krwi, az stopilismy sie w jedno, ciało i ogień, śmiertelna kobieta i demon, i nie było żadnego z nas. I nawet, kiedy umarła, gdy opuściła mnie na dobre, nie zdołałem się obudzić ani odlecieć w świat bardziej przychylny takim, jak ja.

Choć była przerażona śmiercią chłopca, a także losem, którą ją spotka, jeśli tylko wpadnie w ręce stryja, ujął ją żal w głosie demona i przypomniała sobie, jak wielką ufność pokładał w nim Diamante. Tymczasem postać z płomieni zaczęła zmieniać się znowu. Słup ognia przybladł, poczerniał u wierzchołka, zaczął się kurczyć, opadać ku ziemi i gasnąć, aż spomiędzy ognia ponownie wyłoniła się kobieca postać. Jednak nie sposób byłoby ją znów wziąć za Arachne. Wciąż była po dwakroć wyższa od śmiertelników, a jej kształt zmieniał się nieustannie. Drobne

płomyki pełzały po powierzchni, czasami odrywały się i gasły na wietrze, a czasami jeszcze długo unosiły się wokół jak mydlane bańki, póki demon nie wchłonął ich na nowo. Zbliżył się do ciała Diamante, a kiedy sunął po piasku, skraj jego sukni zostawiał zeszkłone, okopcone ślady. Jakby wyczuwając rozterkę Luany, odezwał się znowu:

- To się nie powinno stać. Gdyby cudzy sen nie zawładnął mną tak dalece, dziecko wciąż by żyło.

Mówiono jej, że nieczyste duchy ustępują jedynie przed siłą. Raz pokonany, demon choćby w najcięższej niewoli nie przestaje nienawidzić swego zwycięzcy i będzie knuł jego zgubę po kres swych dni w podksiężycowym świetle albo jeszcze dłużej, a gdy zabraknie jego ciemności, będzie szkodził jego dzieciom i dzieciom ich dzieci, póki nie wyrze pomsty. Ale żal demona wydał się Luanie prawdziwy. Owszem, zdawała sobie sprawę z własnej kruchości i nadal się go bała, podobnie jak bałaby się dzikiego zwierzęcia, gdyby zniemacka stanęło przed nią pośrodku dziedzińca cytadeli. Nie wierzyła jednak, że naprawdę szuka jej śmierci - gdyby chciał ją zabić, już dawno leżałaby martwa, spopielona jego oddechem.

- Próbowałeś go chronić - powiedziała cicho. - Dlaczego? Demon zwrócił ku niej ciemne, gorejące ślepie.

- Takie było życzenie Severa.

- On nie żyje. Zmarł bardzo dawno temu.

- Wiem. Sam go zabiłem. Cofnęła się mimowolnie.

- To również było jego życzenie. - Demon wyciągnął ku niej dłoń: koniuszki palców były w istocie błękitnawymi czubkami płomieni i nie odważyła się ich dotknąć. - Ale jego śmierć nie przywróciła mi pamięci i nie otworzyła ścieżki pomiędzy gwiazdy, które są stałe i niezmiennie, ponieważ pozostał jeszcze gobelin, spleciony z nici oraz zaklęć subtelniejszych niż słowa i wykresy czarodziejów. - Wśród syku płomieni rozległ się suchy jak trzask śmiech. - Jakimże głupcem okazał się Rocco! Nigdy w życiu nie stworzył magii ani w dziesiątej części tak potężnej, jak ów gobelin, a zniszczył ją jednym uderzeniem sztyletu. A teraz demony budzą się z niewoli, strząsają obce kształty i rozprostowują grzbiety. Czy czujesz ich niecierpliwość, dziecko? Słyszysz, jak ich skrzydła łopoczą już do lotu? A jest wśród nich także demon Rocca i mag rychło zobaczy jego oblicze.

- Demon Rocca? - powtórzyła zmartwiałymi wargami, bo przypomniawszy jej legenda, że zniszczenie gobelinu będzie zarazem kresem dynastii magów z Brionii.

- Każdy z czarnoksiężników, tych, którzy parają się prawdziwą magią i pętają wolne duchy, ma swego demona i ogląda jego twarz w godzinie śmierci.

- Czy ja też? - zapytała cicho, gdyż była córką maga i jej ród także wiódł się od Severa i Arachne.

Oczy demona przygasty.

- Nie masz nikogo prócz mnie, dziecko.

Wiedziała o tym bardzo dobrze - stała kilka kroków za ojcem, kiedy Rocco ugodził go sztylblem, a potem patrzyła na śmierć swoich braci i matki - ale łzy napłynęły jej do oczu.

- Więc pomożesz mi? - zakpiła z goryczą. - Doprowadzisz mnie do świątyni?

Całe późniejsze życie nie przestała żałować tych słów.

- Tak - odpowiedział demon. - Sen minął, a gobelin został spruty i jestem teraz prawdziwie wolny. Zamknij oczy i chodź za mną. Póki ich nie otworzysz, jesteś bezpieczna.

Posłusznie zamknęła powieki, a wówczas coś gorącego i suchego zacisnęło się na jej przegubie jak jedwabny sznurek i pociągnęło ją naprzód. Powietrze wokół znów było tak gorące, że paliło policzki, ale demon nie odezwał się, kiedy głośno wypowiedziała imię Arachne. Za to zewsząd rozlegały się inne głosy, pełne przerażenia i bólu. Przyspieszyła kroku, chcąc zostawić je za sobą, i biegła na oślep wśród szumu płomieni. Wrzaski ludzi stawały się coraz głośniejsze; zdawało się jej, że rozpoznaje wśród nich głos Rocca i jego przybocznych hierofantów. Potem wszystko umilkło, stłumione przez łoskot walących się kamieni i trzask pękających murów. Wokół unosił się gęsty, gryzący pył, opadał na jej suknię i włosy, wciskał się do warg i pod powieki. Chciała się zatrzymać, ale gorący dotyk na ręce dziewczynki włókł ją naprzód, a fale rozpalonego powietrza odgradzały od zewnętrznego świata.

A potem w jednej chwili wszystko znikło. Gorąco ustało i umilkły wszystkie dźwięki.

- Możesz otworzyć oczy - rzekł demon.

Wstawał świt, a wokół niej rozciągała się połać wielkiego pogorzelniska. Gdzeniegdzie z poczerńiałej ziemi sterczały ułamki okopconych murów i zeszkłone trzony kolumn. Luana w oszołomieniu rozglądała się po rumowisku. Gdyby nie portal katedry, nie rozpoznałaby tego miejsca, ale nawet teraz nie mogła uwierzyć, że te zgliszcza jeszcze niedawno były wielką cyta-
delą magów Brionii.

- Jak to możliwe?

Nic więcej nie zdołała wykrztusić.

- Przeniosłem cię w moich ramionach.

Demon również był odmieniony, skurczył się w sobie, jego ognista postać przybrała barwę popiołu i bardziej niż kiedykolwiek przypominał zjawę. Tylko oczy wciąż należały do niego, dwa czarne, gorejące punkty pośrodku dymu.

Nie ośmieliła się zadawać więcej pytań. Później miała się długo zastanawiać, co się stało z wszystkimi innymi mieszkańcami i gośćmi cytadeli - czy próbowali zastąpić drogę demonowi, który ją prowadził, i spłonęli w jego ogniu, czy też dopadły ich inne duchy, uwolnione po tym, jak Rocco rozciął gobelin. Nigdy nie zyskała pewności, więc obwiniała się o ich śmierć, podobnie jak o wiele innych rzeczy, które wydarzyły się tamtej nocy. Ale wtedy, w zgliszczach cytadeli, jej odwaga wyczerpała się wreszcie i była tylko małą, przestraszoną dziewczynką.

Odwróciła się do demona. ' - Co się ze mną stanie?

Pochylił się i przesiał między palcami garść popiołu, aż na dnie jego dłoni pozostał jedynie drobny, czarny kamień. Po chwili rozjarzył się, poczerwieniał jak węgielek w kominie, a demon zamknął go w złożonych dłoniach i turlał przez moment. Kiedy je rozwarł, na jego palcach spoczywała wielka, czysta perła.

- Weź ją - rzekł, podając jej klejnot. - Póki ją zatrzymasz, będziesz bezpieczna, a także wszyscy, którzy pozostaną przy tobie.

Ujęła perlę i mocno zacisnęła na niej palce. Wciąż była ciepła od mocy demona.

Luana odwróciła się ku świątyni. Nie było ani śladu po grobowcu Severa i Arachne, znikły też wszystkie rzeźby zdobiące fasadę katedry. Spizowe wrota stopiły się od pożogi i zastygły w jednej wielkiej kałuży czarnego metalu. Mury jednak oparły się niszczącej mocy ognia, może, dlatego, że wzniesiono je na poświęconej ziemi, gdzie żaden demon nie miał przystępu.

Wejście ziało czernią jak wielkie, rozwarte do krzyku usta. Luana zawahała się, niepewna, co spotkają w środku.

- Boję się.

Później nie potrafiła zrozumieć, dlaczego zwróciła się do niego w ten sposób. Może po prostu nie pozostał nikt inny. Jednak jeszcze bardziej zdumiała ją odpowiedź demona, choć musiało wiele czasu upłynąć, zanim pojęła, co naprawdę wydarzyło się, kiedy razem przekroczyli próg świątyni. - Nie lękaj się - odparł demon. - To tylko jeden krok w ciemność, nic więcej. Położył gorącą dłoń na jej ramieniu i razem weszli w mrok.

Filary Nieba

Historia ta wydarzyła się w kilkadziesiąt lat po upadku Brionii i śmierci ostatniego z potomków Arachne, zwanych też Principi dell'Arazzo. Kiedy wieść o ich zagładzie rozeszła się po Półwyspie, pomniejsi magowie zaczęli walczyć ze sobą o marmurowe miasta, doliny, w których uprawiano pszenicę i jęczmień, winnice, gaje oliwne i zatoki pełne ryb. Wojna rozlała się jak pożoga od Monti Serpillini aż po najdalsze z wysp. Nastał czas nagich ostrzy i dzikiej, nieskrępowanej magii. Demony chadzały wolno po powierzchni ziemi, obracając całe jej poacie w jałowe, dymiące pogorzelnisko. Wielu ludzi opuściło swe domy i uciekło na północ, w nieprzebyte lasy poza Passo dei Lupi, lecz większość z nich wyginęła z rąk pomiotu demonów. Niektórzy ruszyli na południe, jak Sirocco przed wiekami, przepływając się z jednej wyspy na drugą aż po krańce Arcipelago della Rugiada Rossa, lecz demony kroczyły tuż za nimi i nie zdołali się wymknąć. Jeszcze inni pożeglowali na wschód, ku pustynnej krainie, którą władali Arimaspi, jako że bardziej obawiali się demonów niż heretyckich mnichów w opończach z wielbłądziej skóry, wszakże po drugiej stronie morza zamiast ocalenia znaleźli mękę na ofiarnych drewnianych kołach. Ci, którzy pozostali w pobliżu dawnych siedzib, niczym zwierzęta żyli wśród ruin lub w poszukiwaniu schronienia zeszli w mrok jaskiń Costa dei Gabbiani.

Później nazwano tamte dni Guerre dei Gierofanti, Wojnami Hierofantów.

Na całym Półwyspie pozostało zaledwie kilka miejsc, których panowie okazali się wystarczająco silni, by obronić granice przed pochodem demonów. Jednym z nich była Dolina Płomieni, legendarna dolina oliwnych gajów, winnic i różanych ogrodów. Jej władca, Soave di Castello Scarlatto, upodobał sobie demony ognia. Osiągnął w tej dziedzinie niezwykłą biegłość. Powiadano nawet, iż odnalazł i spętał ifrity oraz maridy, które, pokonane przez Severa w Golfo delle Lacrime, nie zdołały już powrócić pomiędzy gwiazdy i błąkały się bez celu po pustkowiach. Jakkolwiek było, Soave otoczył swoje władztwo kurtyną z żywych płomieni i nikt nie mógł jej przebyć bez jego wiedzy i zgody.

Życie w Valle delle Fiamme płynęło jak za starych dobrych czasów. Wieśniacy w białych koszulach zbierali na polach siano i zboże, woźnice pokrzykiwali na woły ciągnące wozy

pełne rzepy i kapusty, przekupki wystawiały na straganach garnki oblane ciemnozieloną politurą, a o świcie, w południe i o zmierzchu ponad wioskami i lasami niósł się dźwięk klasztornych dzwonów. Kiedy Soave jechał gościńcem, zamiast w tradycyjny błękit magów przybrany w szkarłat, żebracy i kupcy kłaniali się przed nim równie nisko, jak niegdyś przed Severem. Lękano się go po trochu, rozważny człek, bowiem nigdy w pełni nie ufa magowi. Ale był dobrym panem, najlepszym, jaki mógł się trafić w tych okrutnych czasach, i poddani doskonale o tym wiedzieli.

Soave, co roku spraszał księżęta na polowanie i ucztę, które uświetniały urodziny jego jedyne go syna. Magowie mieli zwyczaj otaczać podobne daty tajemnicą, jako że przebiegły astrolog potrafi wyczytać losy zapisane w gwiazdach. Stąd też wielu dziwiło się, że księżę lekko-myślnie szafuje wiedzą, która mogła w przyszłości dać komuś władzę nad dziedzicem Valle delle Fiamme. Soave jednak obracał w żart wszelkie przestrogi i otwarcie pokazywał na biesiadach rudowłosego chłopczyka o oczach błękitnych jak górskie jezioro i pełnych magii. Aż nareszcie pomniejsi magowie uznali, że pan Valle delle Fiamme kpi sobie z niebezpieczeństwa nie dla pustej brawury ani też nie z braku troski o dziecko, ale dlatego że wyhodował je sobie dla własnej korzyści i aby przedłużyć swoje istnienie w podksiężycowym świecie - choćby kosztem życia następcy.

Niektórzy czarnoksiężnicy umieli tego dokonać. Brali sobie kobiety spośród tych, w których żyłach płynęła krew magów, i płodzili z nimi dzieci obdarzone mocą, a potem wysączali ją stopniowo, kropla po kropli, by wzmocnić nadwątlone siły i zachować młodość. Nie było w tym wielkiej chwały, gdyż prawdziwie potężni magowie potrafili z własnej mocy utrzymać się przy życiu przez kilka pokoleń, ale nie było też ujmy. Ostatecznie na Półwyspie każdy wieśniak miał prawo zatłuc drągiem swego potomka, jeśli ten nie zapędził na noc kotnych owiec do zagrody, dlaczego więc pan Valle delle Fiamme miałby być pozbawiony tego przywileju?

Księżę postanowił świętować piąte urodziny syna szczególnie uroczyście. Zarżnięto stada wołów i baranów, a wino lało się strumieniami - nigdy później winorośl z Valle delle Fiamme nie wydała równie słodkich gron - lecz rok był urodzajny, więc ludzie z pobłażaniem przypatrywali się rozrzutności Soave. Wreszcie, po sześciu dniach biesiad, festynów, maskarad i tańców, księżę wyjawiał, jaką niespodziankę przygotował na zwieńczenie obchodów. Oto zapraszał wszystkich gości na polowanie w dzikich lasach, na łowy niezwykle i godne uwiecznienia w pieśniach, mi-

ano, bowiem ścigać legendarną bestię z wybrzeża, Srebrnego Dzika, Cinghiale d'Argento di Or-lento.

Potwór ów z dawien dawna pustoszył Costa dei Gabbiani. Ci, którzy go oglądali i zdołali ujść z życiem, mówili potem, że jest wysoki na dwa sążnie i uderzeniem kłów rozrywa okute że-lazem bramy. Jego ryk był ponoć głośny jak huk pioruna, racie zostawiały ślady w litym ka-mieniu, pośrodku czoła miał zaś gwiazdę tak pałającą, że oślepiła każdego, kto w porę nie od-wrócił wzroku. Oczywiście nie narodził się ze zwierzęcia. Dawno temu jakiś czarodziej wykuł go skrycie z jasnego metalu i magii, wlewając w kształt bestii całą swoją nienawiść i gniew.

Dzik zwykle pojawiał się jesienią, kiedy od strony Isola di Tutti Venti podnosiły się najs-rozsze wichry, dlatego też mówiono, że jest bestią stregi z wyspy. Ponoć przeklęta Sirocco wywabiła go z morskich odmętów pieśnią, poskromiła swym czarodziejskim głosem i na pasku od sukni powiodła do pałacu. Kiedy zginęła, Cinghiale d'Argento powrócił w głąb morza. Jednak jesienny wiatr znad morza przywiewał mu zapach róż z ogrodów Isola di Tutti Venti i wspomni-enie utraconej pani. Zapuszczał się wtedy głęboko na ląd, niszcząc i tratując wszystko, co spot-kał na swojej drodze.

Soave, wysoki i dumny w płaszczu w kolorze tętnicznej krwi, poprzysiągł, że wytropi go, powali własną ręką i przybije jego łeb na ścianie biesiadnej sali.

W trzy dni później już nie żył, rozszarpany kłami Srebrzystej Bestii. Żaden z dwunastu książąt-magów, którzy wraz z nim wyruszyli na polowanie, nie zdołał powstrzymać dzika. Być może nawet nie próbowali, bo czarnoksiężnicy Półwyspu nigdy nie litowali się zbytnio nad upadkiem konfratrów. I zanim krew Soave zdążyła zakrzepnąć na mchu, książęta rzucili się w szaleńczą gonitwę ku Valle delle Fiamme, gdyż ze śmiercią władcy opadła zaślona płomieni i każdy pragnął zagarnąć włości zmarłego.

Najśmiglejszego konia miał Iginio di Roccia Livida i to właśnie on pierwszy wpadł do Castello Scarlatto, pokonawszy wprzód zastęp demonów i trzech innych czarnoksiężników, którzy zastąpili mu drogę. Zdumiewano się potem takim obrotem spraw, sztuka Igina nie była, bowiem błyskotliwa i nie napawała zachwytem. W istocie stanowił przeciwieństwo pana Valle delle Fiamme. Nosił się w najciemniejszym, niemal sinym odcieniu błękitu, a za swą domenę obrał chłód, przeraźliwe zimno demonów ściąganych z najodleglejszych orbit ponadksięży-cowego świata i zamykanych w workach z kozłej skóry. Iginio należał do tych magów, którym

nigdy nie przyszłoby do głowy tkać na jarmarku widziadłowe cuda z żywego ognia ku uciesze wiejskich dzieci.

Kiedy powściągnął konia przed murami Castello Scarlatto, dworzanie Soave nie umieli oszacować jego mocy. Zaparli, więc mocno bramy, nawet nie po to, by bronić wstępu zwycięzcy, ale by ułożyć się z nim na własnych warunkach. Srodze się zawiedli. Iginio bez namysłu rozsnurował przypiętą do pasa sakiewkę i demony mrozu runęły naprzód. Skute lodem wierzeje rozsypały się pod ich dotknięciem w pył, strażnicy na murach skamienieli od zimna, a ulice miasta w jednej chwili spowiła śnieżna zadymka, Iginio kroczył pośrodku zawieci, smagając biczami mrozu tych, którzy nieopatrznie nie zeszli mu z drogi.

W pustej sali tronowej powitali go wylękli dostojnicy. Stali sztywno, wciąż przybrani w purpurę, barwę zmarłego władcy. Mróz osadzał się połyskliwymi kryształkami na ich włosach i szatach.

- Przyprowadźcie mi syna Soave - brzmiały pierwsze słowa maga, a jego głos był cichy i pełen chłodu.

To również należało do prastarych rytuałów czarnoksiężników z Półwyspu - kiedy padał jakiś ród, padał na dobre. Nie oszczędzano kobiet przy nadziei ani potomków, choćby najdrobniejszych, bo dzieci przecież dorastają, a krew magów zawsze powraca po zagrabione dziedzictwo. Przybocznicy Soave dobrze więc wiedzieli, co teraz nastąpi. Nie odważyli się jednak nie usłuchać.

Ale chłopca nie było w pokojach jego matki na wieży. Młoda kobieta siedziała nieruchomo u krosna, długie włosy opadały jej na ramiona jak złotoruda przędza, a wielobarwne motki nici zaścielały kamienną posadzkę. Lecz skoro podeszli bliżej - ostrożnie, by nie przerazić jej i nie wyrwać zniemacka z drzemki - dostrzegli, że ma na przegubach szerokie nacięcia. Rany były podobne do znaków czy liter, precyzyjnie kreślonych ostrzem sztyletu. Krew zastygła w cienkich strużkach, które jak purpurowe nici spływały po sukni aż do ziemi. Twarz kobiety pozostała spokojna i gładka, bez cienia strachu. Przez otwarte okna komnaty jesienne słońce padało na niedokończony kobierzec, a szary ptaszek śpiewał słodko w klatce zawieszanej u powały, lecz ludzie Iginia uciekli stamtąd, czym prędzej, choć nie potrafili doprawdy powiedzieć, co ich przeraziło.

Nie poniechali wszakże poszukiwań.

Chłopca nie znaleziono w pałacowym ogrodzie ani na ulicach miasta, które aż do zmroku przeczesywali przerażeni strażnicy. Na darmo wypytywano piastunki - zrazu łagodnie, potem na torturach. Nikt nic nie wiedział, jakby ziemia rozstąpiła się, aby go ukryć. Wreszcie o zmierzchu Iginu wypuścił jego tropem demony.

* * *

Nino zapamiętał tamten dzień jak przez sen. Nie umiał sobie później przypomnieć, jakim sposobem znaleźli się na zakurzonym dziedzińcu poza bramami miasta - czy matka wyprawiła ich w drogę, przeczuwając zbliżającą się zagładę, czy może uczyniła to służebna o litościwym sercu, czy wreszcie Fiametta przysłała po niego w tej dziwnej godzinie, kiedy zamek był pełen lamentów i przerażenia. Czasami miał wrażenie, że wyobrazził sobie tę wędrowną w rozpaczliwym pragnieniu odnalezienia wspomnień i obrazów, których naprawdę nie było. Jednak, gdy leżał bezsennie w celi, otoczony zewsząd bezmierną ciszą, zwidywała mu się w ciemności postać pięcioletniego chłopca, przyodzianego w szkarłat i złoto, przyblakłe nieco pod kurzem gościńca. Kopyta końskie drobity w pyłe, stukwały chodaki służących w drodze do akweduktu, a bladuróżowe poranne światło przeświecało przez szprychy kół wielkich wozów i wysrebrzało wirujące w powietrzu drobiny pyłu.

Ostatnie obrazy, jakie pamiętał.

Dla odmiany wszystko, co wydarzyło się później, kiedy już ich pochwycono i doprowadzono przed oblicze Igina w sali tronowej Castello Scarlato, znikło z jego pamięci jak wytarte czarodziejskim zaklęciem. Oczywiście opowiedziano mu potem wielokrotnie tę historię. Znało ją każde dziecko na Półwyspie i każdy bard, znienacka wyrwany z drzemki pod koniec ociekającej niemieszanym winem uczty, potrafił ułożyć o niej kilka zwrotek. Ale żadna z tych pieśni nie należała do Nina. Nie umiał sobie przypomnieć drgnięcia palców Fiametty w jego dłoni, gdy usłyszała tę niewiarygodną propozycję Igina, ani kształtu twarzy maga, gdy spoglądał na nich z wysokości tronu martwego władcy Valle delle Fiamme. Czasami tylko, w środku nocy, wydawało mu się, że słyszy przeraźliwy krzyk dziewczyny, która zrozumiała właśnie, jak podstępnie czarnoksiężnik obrócił przeciwko niej jej własne życzenie.

* * *

- Ach, więc to tak - odezwał się cicho czarnoksiężnik. - Jakże nieoczekiwanie.

Pulchny rudowłosy chłopczyk, doskonale nieświadomy wagi chwili, wiercił czubkiem buta w mozaikowej posadzce. Dziewczynka stała sztywno, nie spuszczać wzroku z maga. Jej twarz przypominała profilem kameę z kości słoniowej.

- Więc to tak - powtórzył Iginio. - Dwoje dzieci. Tym lepiej.

Dworzanie, milczący świadkowie tej sceny, wpatrywali się w nich z natężeniem, aby nie uронić ani krztyny z niezwykłego widowiska. Niewielu, może nawet żaden, wiedziało o istnieniu córki Soave. Pan Valle delle Fiamme umiał strzec swych sekretów.

- Czy naprawdę wierzyliście, że zdołacie uciec przed czarodziejem?

Fiametta podrzuciła głową.

- Sirocco udało się tego dokonać.

Mag uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Ale ty nią nie jesteś. Soave był zbyt rozważny, by wyhodować sobie pod dachem stręgę.

- Zastanów się raczej, po co mnie hodował.

Iginio drgnął i jego spojrzenie wyostrzyło się, zupełnie jakby dopiero teraz ją naprawdę zobaczył.

- Dobrze - rzekł po chwili. - Możemy pobawić się w zagadki, jeśli sądzisz, że jesteś wystarczająco sprytna.

- Jestem córką Soave i Arianny, ostatniej z rodu Arachne. Moja matka wolała umrzeć przy własnym krośnie niż wpaść w twoje ręce - odparła płaskim głosem dziewczynka. - Czy widzisz tu kogoś, kto chciałby się za mną ująć?

Mag roześmiał się. Chłopczyk wzdrygnął się od tego dźwięku i przywarł do siostry.

- Nie, w istocie nie widzę. Chyba jednak powinnaś ukryć przede mną swoje pochodzenie. Może zląknę się, że wyhaftujesz mi na makatce moją śmierć.

- Nie uczono mnie magii.

Iginio rozciągnął usta w uśmiechu. Był dojrzałym mężczyzną, lecz drobnym i wąskim w ramionach, o wyschłej, niemal pozbawionej warg twarzy. Szyderycy skrycie nazywali go Don-nola, Łasica.

- Dlaczego więc miałbym tracić czas na rozmowy z tobą, dziewczyno, zamiast zawołać oprawców?

- Ponieważ przed śmiercią moja matka rzuciła zaklęcie i przelała krew, aby zaskarbić sobie przychylność demonów. A teraz, kiedy jej krew skrzepła i zastygła, demony pochłoną każdego, kto zechce rozlać śmiertelną krew jej dzieci. Jego - mocno przegarnęła do siebie chłopca - albo moją.

Oblicze maga stężało. Milczał. Dworzanie, nie wiedząc zupełnie, czego oczekiwać po nowym panu, wymieniali niepewne spojrzenia.

- Ten jeden raz puszcę twoje słowa płazem - przemówił ledwie słyszalnie mag. - I nie, nie zabiję cię, jeśli tego oczekiwałaś, drażniąc mnie równie bezrozumnie. Krew Principi dell'Arazzo, która płynie w twoich żyłach, warta jest zastanowienia, więc będziesz mi powolna. Tak albo inaczej, bo mogę cię na nieskończoną liczbę sposobów spleść z demonem i uwięzić na resztę twoich dni, pozornie uległą, lecz w głębi duszy nieustannie krzyczącą z przerażenia. Choć przyznam - zmierzył ją wzrokiem - że ten sposób sprawi mi mniejszą przyjemność. Jednak nie przeciągaj struny. Moja cierpliwość dobiega kresu. Jeśli masz życzenie, proś teraz.

- Daruj nam życie. Obojgu. Wówczas będę ci posłuszna.

Mag powoli wstał z tronu, zszedł po złożonych stopniach, dotknął brody Fiametty i uniósł jej twarz ku sobie. Cień spłynął z jego palców, rozlał się po jej obliczu, pokrywając mlecznobiałą skórę popiołem, i powoli popęzł wyżej, ku linii włosów, upiętych na szczycie głowy w płomienistą koronę. W komnacie ktoś ze świstem wciągnął powietrze, mrok tymczasem pochłaniał sploty włosów, powlekał je coraz głębszą czernią, aż stały się podobne do skrzydła kruką i najciemniejszej z zimowych nocy.

- Teraz należysz do mnie - oznajmił Igino. - Nigdy o tym nie zapomnij.

Fiametta bez słowa skinęła głową. Jej tęczówki, przed chwilą jeszcze pełne błękitu, przypominały dwa węgle.

- Dobrze, więc - rzekł z pobłażaniem mag. - Czyż zaniedbałbym ślubne życzenie mojej narzeczonej?

Wziął ją za rękę i, oszołomioną, poprowadził ku górze. Chłopiec przyglądał się im szeroko rozwartymi, niebieskimi oczami.

- Zostaniesz ze mną. - Igino posadził dziewczynkę u podnóża tronu. - Jego zaś - wskazał na syna Soave - zabierzcie stąd i wyjmijcie mu oczy, by nigdy nie zwrócił ich ku sekretom

magii. Kiedy zaś skończycie, odeślijcie go stąd do klasztoru świętego Sirona. Będzie odtąd śpiewał hymny na chwałę Pana i słaWił moją łaskę, albowiem pozwalam mu żyć.

* * *

Legenda świętego Sirona głosi, że czcigodny ów mnich był doradcą i spowiednikiem Duilia, ale na koniec wyruszył z Isola di Tutti Venti na północ, uprzykrzywszy sobie niegodziwości księcia--maga. Nie mogąc ułagodzić jego czarnego serca, postanowił zwrócić się ku tym, którzy ze wszech miar potrzebowali duchowej nauki, a po okrucieństwach dworu wydawali mu się nieomal łagodni: wyprawił się do krainy Ambarytów i Cynocefalitów, pomiotu demonów. Nie wiedzieć, jakim sposobem przemierzył ostępy Monti Serpillini - dziki zwierz go nie tknął, a monstra pokłoniły się przed nim i ustąpiły drogi - aż zatrzymał się u stóp wielkiej góry, nazywanej przez półdzikich górali Guglia dei Fulmini, Iglicą Gromów, jako że w każdą burzę stawiała w ogniu, otoczona jezorami błyskawic. Spojrzał na nią i rzekł:

- Tutaj zostanę.

Na darmo przewodnicy ostrzegali go, że żaden śmiertelnik nie postawił jeszcze stopy na szczycie tej góry, bo zewsząd okalały ją gładkie, urwiste zbocza, a jedyną ścieżkę przecinała przepastna rozpadlina. Skoro nie zdołali go powstrzymać, oddalili się w swoją stronę, z ubolewaniem kiwając głowami nad głupotą i uporem szaleńca. Z wiosną powrócili, by pogrzebać jego kości i wówczas o wschodzie słońca z wysokości dobiegł ich głos świętego, który pieśnią wychwalał dobroć i urodę Stworzenia. Zdziwieni wielce, ukradkiem podeszli bliżej, aż do krawędzi olbrzymiej szczeliny, skąd dojrzeli szary płaszcz mnicha. Wciąż jednak nie umieli pojąć, jak zdołał wyżyć w miejscu równie jałowym i niedostępnym, gdzie nie biło żadne źródło i nie rośło nic, oprócz sinych górskich mchów.

Nawet, jeśli spostrzegł intruzów, Siro niczym nie okazał zdumienia. Dokończył hymn, po czym podniósł się z ziemi i ruszył naprzód pewnym krokiem, zupełnie jakby nie widział otwierającej się przed nim przepaści. Górale zakrzyknęli ze strachu, a mnich szedł dalej ku urwisku i ponad nim - jego bose stopy unosiły się w powietrzu, jak gdyby stąpał po niewidzialnym moście i zanim dotarł na drugą stronę rozpadliny, świadkowie cudu upadli na twarz, przerażeni i zdziwieni mocą świętego. Oni też pierwsi nawrócili się za jego przyczyną.

Mnich spędził dwadzieścia lat w jaskini u szczytu góry. Zrazu towarzystwa dotrzymywał mu tylko dziki lew, niegdyś postrach wiosek z dolin nieopodał; jego poskromienie było jednym z pierwszych cudów świętego Sirona i zjednało mu niezmierną wdzięczność okolicznych wieśniaków. Z czasem jego sława rozeszła się szeroko po Monti Serpillini i ludzie pielgrzymowali z daleka, aby otrzymać jego błogosławieństwo, wybłagać cud uleczenia dla chorych lub pomodlić się u jego boku za spokój ukochanych zmarłych. Powiadano, bowiem, że modlitwa świętego Sirona jest szczególnie miła Panu i ma moc otwierania wrót niebios.

Pielgrzymi gromadzili się na krawędzi przepaści i czekali na wietrze i zimnie, póki pustelnik nie zlitował się nad nimi i nie przeszedł na drugą stronę. Każdego roku przybywali jednak coraz liczniej i coraz więcej z nich pragnęło pozostać na górze u boku świętego. Nie mieli jednak jego mocy czynienia cudów i kroczenia w powietrzu, toteż dla nich właśnie mnich wymodlił most w poprzek rozpadliny.

Bywali w świecie porównywali go do mostu nad Abisso delle Ondine, choć tamten powstał przy użyciu bezbożnej sztuki czarnoksiężników. Jednak dzieło świętego Sirona było znacznie większą osobliwością, nie skrywało, bowiem żadnych nieczystych sił. Most wyglądał jak długi jęzor zastygłej lawy, smukły, łukowato opadający z obu stron rozpadliny i nie szerszy niż dwa łokcie. Wspierał się na dwóch olbrzymich kamiennych słupach. Górale z dawien dawna nazywali je Pilastrri del Cielo, Filarami Nieba i od nich wziął swą nazwę.

Świadkowie twierdzili, że pojawił się w nocy, znienacka i bez żadnego znaku, który przepowiadałby jego stworzenie. Niektórzy dziwili się, dlaczego pustelnik bez szemrania otwiera dla innych samotnię, której przez lata nie chciał z nikim dzielić. Tajemnica przysła o świecie, kiedy uczniów obudziły dobiegające z groty ryki lwa. Przemagając strach przed dzikim zwierzem, przeszli przez most, zajrzeli do pustelni i znaleźli świętego, który zrazu zdawał im się pogrążony z drzemce, w istocie jednak zasnął snem znacznie głębszym. Zrozumieli, zatem, że most był jego cudem ostatnim, przerzuconym nie tylko nad przepaścią, ale i w przyszłość, zapowiadał, bowiem, czym powinna stać się Guglia dei Fulmini.

Przez kolejne dwa wieki z całego Półwyspu przybywali na nią mnisi, posłuszni wezwaniu świętego. Kiedy zabrakło miejsca w grotach, własnymi rękoma wykuwali sobie jamy w litej skale, aby odtąd służyły im za schronienie. Z czasem na górze wybudowano klasztor, a dawne grotty pustelników opustoszały - z wyjątkiem jednej, najświętszej, w której krył się grób

świętego Sirona, słynący z niezmiernych cudów. Ale do przybytku wciąż prowadziła jedna droga - most zwany Pilastr del Cielo.

Właśnie w tym miejscu syn Soave spędził trzydzieści lat.

* * *

- Mistrzu... - Oblat zatrzymał się przy drzwiach, wyraźnie przestraszony, że nakazano mu zakłócić spokój Nina w krótkiej godzinie przed wschodem słońca, kiedy zwykł komponować hymny.

Syn Soave zdjął dłonie z harfy. Nie odwrócił się jednak. Nie chciał przerażać dziecka widokiem wyszarpanych źrenic.

- Czyż nie prosiłem cię, abyś mnie tak nie nazywał? - zapytał, sięgając po przepaskę.

Chłopiec zaszurał nogami po kamiennej posadzce.

- Wybaczcie, mistrzu.

Nino ukrył uśmiech. Teraz przypomniał sobie imię małego. Tertio, po prostu trzeci w rodzinie. Kilka miesięcy temu ojciec, wędrowny pasterz, zostawił go w klasztorze na wychowanie i chwałę Pana. W tych stronach zdarzało się to często, szczególnie w rok nieurodzaju. Nie mogąc wyżywić dzieci, górale oddawali najmłodszych synów do przybytku świętego Sirona. Mnisi zaś nie odpędzali nikogo, a wiele spośród tych ofiarowanych malców po latach przyjmowało śluby i zostawało w klasztorze na zawsze.

- Z czym cię przysłano, dziecko? - napomniął go łagodnie Nino, bo chłopiec, pochłonięty oględzinami celi, zupełnie zapomniał o swojej misji.

W istocie pomieszczenie było zupełnie zwyczajne, pozbawione wszelkich znamion bogactwa i niemal we wszystkim podobne do cel innych braci. Jedyne harfa przypominała, że mieszka w nim najszynniejszy spośród mnichów klasztoru świętego Sirona.

- Przybyła wasza siostra, mistrzu.

Jedynie wieloletni nawyk opanowania sprawił, że Nino nie pokazał po sobie zdumienia. Od dawna nie miał żadnych wiadomości o siostrze. Igino czasami przysyłał mu suche listy, lecz Nino żadnego z nich nie mógł przeczytać i podejrzewał, że tym sposobem mag przypomina mu o swoim zwycięstwie. Ostatni nadszedł pięć lat temu z krótką, oficjalną notą o narodzinach syna

Fiametty i dziedzica Valle delle Fiamme, którą teraz nazywano Valle della Fredezza, Doliną Chłodów. Czasami Nino zastanawiał się, dlaczego mag zwlekał tak długo ze spółdzeniem potomka i czarodziejską sztuką przedłużył młodość żony, co z pewnością kosztowało go wiele wysiłku, a magowie niechętnie szafowali swoją mocą dla korzyści bliźnich. Być może wcześniej nie pragnął dzieci. A może po prostu dotąd nie potrafił jej zaufać.

Sama Fiametta nigdy nie napisała do brata, lecz mimochodem łowił od pątników wieści o Cigno Nero dal Valle delle Fiamme, Czarnym Łabędziu, jak ją nazywano z powodu jej kruczoczarnych włosów. Mężczyźni często mówili, że jest najpiękniejszą kobietą swoich czasów, lecz równie często krzywiono się na wspomnienie jej wyniosłości i dumy. Podobno nie opuszczała pałacowych komnat i rzadko, kto mógł się poszczycić, że zamienił z nią słowo na osobności. A teraz przybyła do klasztoru świętego Sirona.

Nie wiedzieć, czemu, myśl ta napełniła Nina niepokojem. Świat, który kiedyś porzucił - czy też raczej odebrano mu go wśród bólu i przerażenia - postanowił się o niego upomnieć. I nie umiał wykrzesać z siebie ni krzty radości.

- Opat kazał zapytać, czy mamy ją wpuścić.

Nino zmarszczył czoło. Do klasztoru świętego Sirona przybywali książęta i żebracy, minstrele i ladacznice, złoczyńcy i świątobliwi mnisi. Ale za pamięci Nina nadejście żadnego z nich nie napełniło opata takim niepokojem, aby zastanawiał się, czy nie odprawić go precz. Wedle zwyczaju starego jak klasztor każdy pielgrzym, zanim postawił stopę na moście, musiał otrzymać pozwolenie zwierzchnika zgromadzenia. Był to jednak tylko rytuał pochodzący z czasów, nim jeszcze przetrzebiono potomków demonów, którzy gnieździli się w wysokich górach i czasami zapędzali aż w tę okolicę. Obecnie nie traktowano go nazbyt dosłownie. Owszem, pątnicy prosili mnicha przy furcie po drugiej stronie przepaści o zgodę. Ale nikomu nie wzbraniano wejścia na most, a jedynym mytem były drobne kamyki rzucane przez przybywających w głąb szczeliny; powiadano, że pewnego dnia zapełnią ją całkowicie i będzie to znak ostatecznego wyzwolenia ludzi spod władzy demonów i czarnoksiężników.

- Święty Siro nikomu nie wzbraniał przystępu - rzekł wreszcie. -Zatem i nam nie godzi się postąpić inaczej. Choć opat nie bezpodstawnie się lęka, że trudno nam będzie wyżywić i pomieścić eskortę księżnej - dodał, bo wiedział, że chłopiec z pewnością pochwali się dzisiejszą misją przed innymi oblatami i chciał usprawiedliwić w jego oczach postępowanie opata, który wyrzekł się przywileju decyzji na rzecz jednego ze współbraci.

- Nie, mistrzu - wyjaśnił prostodusznie chłopiec, dla którego całe to wydarzenie było znacznie mniej zdumiewające niż dla dorosłych. - Księżna przybyła z jednym tylko pacholkiem i synem.

* * *

- Och, najdroższy! Tak bardzo za tobą tęskniłam! - usłyszał od drzwi rozmównicy.

Być może sprawiło to jego kalectwo, a może odosobnienie klasztoru, przez większość roku odciętego przez śniegi od reszty świata, lecz nie miał doświadczenie z kobietami. Owszem, niektóre z nich, minstrelki, pątniczki, a nawet mniszki przybywały do klasztoru, by zobaczyć człowieka, którego na całym Półwyspie nazywano Harfą Najwyższego. Nie zaprzętały jednak jego uwagi. Były zaledwie głosami w ciemności, które pobrzmiwały w murach opactwa od późnej wiosny aż do pierwszych przymrozków.

Głos tej kobiety, głęboki i matowy, nie pasował do jego wspomnień. Poderwała się z ławy przy oknie, jej trzewiki zastukały niecierpliwie po kamiennych płytach, a w chwilę później owionął go zapach zetlących róż i wanilii. Zarzuciła mu ramiona na szyję. Przez moment przytrzymał ją w uścisku i odsunął. Była miękka, niewiarygodnie młoda i bardzo niebezpieczna - przybysz z nie-znanego, odległego świata, do którego od dawna przestał tęsknić. Wyciągnęła dłoń ku jego twarzy.

- Twoje oczy...

- Nie - odepchnął ją łagodnie. - Nie trzeba. Co cię sprowadza, pani?

Ze świstem wciągnęła powietrze i wyczuł, że ten oficjalny zwrot sprawił jej przykrość. Nie miał jej jednak nic do ofiarowania i nie mógł pozwolić, aby ta rozmowa zmieniła się w coś, czym nie była. Wiele lat wcześniej Iginio bezpowrotnie odmienił los pewnej dziewczynki oraz pewnego chłopca, i - jakkolwiek nieszczęśliwie i niesprawiedliwie ułożyło się życie jego siostry - Nino nie pragnął odmiany własnego.

- Nie miałam, dokąd pójść. Iginio próbował zabić mojego syna, a nikt inny nie zechce nas ochronić.

Właściwie powinien być jej wdzięczny, bo nie próbowała nawet udawać, że to jedynie spotkanie rodzeństwa, że sprowadziła ją troska o dawno nieoglądanego brata, ciekawość, czym

też okazało się jego życie w tym miejscu, jakże odległym od baśniowej cytadeli, w której się urodzili. Fiametta przemierzyła długą drogę i u jej kresu nie zamierzała tracić czasu na zbyteczną łagodność ani też przeproszać za niepokój i zamęt, które podążały tuż za nią. Była jak ptak, który spada z wysokiego nieba i porywa owcę ze środka stada - równie drapieżna, równie zachłanna. Córka i żona czarodzieja. I matka, napominał się w myślach. Jej syn miał dokładnie pięć lat i Nino wystarczająco dobrze pamiętał błyskotliwą inteligencję swojej siostry, by wiedzieć, że nieprzypadkowo sprowadziła go właśnie teraz.

- Tutaj również nie znajdziesz schronienia - powiedział łagodnie. - To klasztor, a mnisi rzadko bywają dobrymi wojownikami.

Roześmiała się, a potem zaczęła mówić - znów otwarcie, bez żadnych uników czy siostrzanych czułości, które mogłyby złagodzić jej słowa.

- Nie wiesz zbyt wiele o sprawach czarnoksiężników, bracie, i nie bez powodu utrzymywano cię w niewiedzy. Moc Igina się kurczy. Nie ma dość siły ani rozumu, by odnaleźć nowe demony. Z roku na rok coraz trudniej przychodzi mu zachowanie władzy. Przetrwiał sześć najazdów, lecz zeszłego roku wrogowie pierwszy raz wdarli się do wnętrza doliny. Rozpaczliwie potrzebuje czegoś, co wzmocni jego siły, zanim inni magowie rozszarpia go wraz z Valle.

- Dlaczego więc przybywasz do mnie, skoro tak wielu innych czyha na jego zgubę? - zapytał i od razu wiedział, że popełnił błąd, bo właśnie tego pytania oczekiwała.

- Może nie powinnaś, pani. Jestem tylko mnichem.

Było to jednak tak, jakby gołymi rękoma usiłował powstrzymać lawinę, która ruszyła na długo przed tym, nim Fiametta stanęła z synem pod murami klasztoru.

- Bez względu, co ci uczyniono i w co nauczyłeś się wierzyć, nigdy nie będziesz tylko mnichem. - Pochyliła się ku niemu i znów czuł na ramieniu ciepło jej ciała. - Igino wciąż nie przestał się lękać twojego powrotu...

- Po co miałbym powrócić? - przerwał oschle, bo strach o życie syna nie usprawiedliwiał tego, co zamierzała zniweczyć, sprowadzając na drugą stronę Pilastru del Cielo wojnę i zniszczenie. - Oślepieno mnie. Choćbym istotnie spróbował wyrzec się całego mojego życia, ten jeden prosty fakt przekreśla wszystko, czego mógłbym dokonać na przeklętej ścieżce czarodziejów. Ślepiec nigdy nie opanuje arkanów magii.

- Lecz arkana magii mogą opanować ślepeca.

Z wysiłkiem zdusił gniew. Nie miała prawa żądać podobnej rzeczy.

- Jeśli sądzisz, że zdołasz mnie do tego namówić, strach zaślepią cię bardziej niż mnie moje okaleczenie.

- Namówić?

Poderwała się i nerwowo zaczęła przechadzać po komnacie. Kiedy odezwała się na nowo, bez trudu wyobraził ją sobie na dworze księcia-maga, obcą, wyniosłą i pozbawioną wszelkiej litości.

- Głupcze, przybyłam cię ostrzec. Iginu postępuje tuż za mną. Najdalej za parę dni przestąpi Pilastr del Cielo. Nie masz już odwrotu. Żadne z nas nie ma.

- Dlatego przybyłaś? Żeby pozbawić mnie wyboru?

- Tak sądzisz, bracie? - zadrwiła. - Czyż wy, mnisi, nie nauczacie, że wyboru nie można nikomu odebrać?

- Sądzę - podniósł się z ławy - że próbujesz mnie wykorzystać w walce, której nie rozumiem i nie chcę poznać. Co gorsza, chcesz zniszczyć miejsce, które cenię najbardziej na całej ziemi. Być może nie zdołam cię w tym powstrzymać. Nie oczekuj jednak, że będę ci w tym towarzyszył.

- Nie kłóćmy się. - Pochwyciła go za rękę. - Nie przywykłam błagać o pomoc i nie przychodzi mi to łatwo. Lecz spróbuj, chociaż mnie wysłuchać, a jeśli postanowisz pozostawić sprawę swojemu biegowi, nie będę cię winić. Podaruj mi tylko to popołudnie. Nie poproszę o nic więcej.

Nie znalazł w sobie dość siły, aby jej odmówić.

- Wysłucham cię. Ale nie łudź się. Nie mogę ofiarować ci nic ponad to.

Miała wiele rozwagi, musiał to przyznać. Ani jednym słowem nie zdradziła triumfu, lecz był ślepcem od bardzo dawna i nauczył się wyczuwać rzeczy niedostrzegalne dla innych.

- Nie wiesz, czym okazały się te wszystkie lata u boku Igina - powiedziała i nie umiał rozstrzygnąć, czy znużenie w jej głosie było jedynie udawane. - Nie zdołasz sobie nawet wyobrazić. Czasami wydawało mi się, że to tylko sen. Poruszałam się, jadłam, spałam, ale jakaś część mnie pozostawała uśpiona od tamtego dnia, kiedy nas rozłączono. Dopiero narodziny syna przebudziły mnie na nowo.

Domyślał się, że na dworze Igina nauczyła się grać na ludziach z taką samą biegłością, z jaką on ożywiał struny harfy. Mimo to wzruszyła go.

- Jak ma na imię?

- Senzio. - Po raz pierwszy usłyszał w jej głosie prawdziwy uśmiech, zaraz wszak sposepniała. - Musisz mnie dobrze zrozumieć, bracie. Być może nie dostrzegacie tego wysoko w górach, gdzie świat wydaje się niewzruszony i stały, ale czasy potężnych czarodziejów odchodzą w niepamięć. Wy, mnisi, przyłożyliście do tego ręki, podjudzając ludzi do wypędzania magów i niweczenia wszelkich wytworów magii. Jednak zagłada Principi dell'Arazzo stała się jedynie powodem nowego zamętu, bo na miejsce zgładzonego lwa wyrosło wiele tuzinów szakali, które zagryzają się w walce o byle ochłap. Z każdym rokiem jest coraz gorzej. Ludzie w dolinach zaczynają powoli tęsknić za czasami, kiedy na tronie Brionii zasiadał jeden władca, choćby najbardziej okrutny. Na zachodzie, po drugiej stronie morza, zbiera nowy najazd Arimaspi, a tym razem na Półwyspie nie pozostał mag władny ich pokonać. Nie ma hord demonów, które staną pomiędzy nami i nieprzyjacielem. Nie ma...

- Najwyższy... - wtrącił.

- Nie mów mi o nim! - rzuciła z wściekłością. - Półwysep kona z pragnienia mocy, a wy odebraliście nam magię, nie dając niczego w zamian. Wasze modły nie są żadną ochroną. Wszyscy o tym wiedzą, odkąd demony zeszyły z nieboskłonu, by świętować śmierć opatki z Brionii.

Zeszytniał, starając się nie dać po sobie poznać, jak wielki ból sprawiła mu ta wiadomość. Nigdy nie spotkał Luany, przeoryszy wielkiego klasztoru Brionii i dziewiczej narzeczonej ostatniego z Principi dell'Arazzo, przesyłał jej jednak przez posłańców pieśni i wiedział, że przyjmowała je łaskawie. Miał nadzieję, że czasami przywoływały na jej twarz uśmiech. W żaden inny sposób nie potrafił okazać podziwu kobiecie, która postanowiła zostać w miejscu grozy i rozjaśniać mrok, jaki ogarnął najpiękniejsze z miast magów.

- Więc opatka nie żyje?

- To nawet o tym nie słyszeliście w tej głuszy? - zakpiła, choć musiała rozumieć, że wieść potrzebuje czasu, by dotrzeć tak wysoko w góry. - Tydzień temu opatka wyzionęła ducha ku wielkiej radości szarych braciszków, zamierzali, bowiem ogłosić ją świętą. Ale żadne nabożne śpiewy nie odstraszyły ognistych demonów, które zleciały się z wysokiego nieba i obróciły w perzynę resztki Brionii. I nikt nie zdołał ich powstrzymać! - Suknia kobiety zaszeleściła, kiedy znów zaczęła gniewnie przechadzać się po komnacie. - Żaden z magów i hierofantów nie okazał się dość potężny, by je poskromić. Jak stadko dzieci zaryglowali się w swoich zamkach i wieżach, czekając, aż demony znikną z powierzchni ziemi.

- Igino...?

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Kiedy szarzy mnisi nie stali mu dłużej na przeszkodzie, Iginio pognał jak szalony do Brionii, by wśród zgliszczy cytadeli szukać pozostałości po magii dawnych władców. Tylko, dlatego udało się nam umknąć. Ale teraz zapewne już powrócił, jak zwykle z pustymi rękami - prychnęła pogardliwie. - Biedak, nie umie pozbyć się złudzenia, że jeśli zagarnie dobra dawnych magów, ich moc przepłynie do niego jak strużki deszczu po kamieniu. W istocie jednak jest słaby jak strega i równie zabobonny. Jest ledwie...

- Jeżeli jest tak słaby, dlaczego przed nim uciekasz? - przerwał.

Zachnęła się.

- Nie powiedziałam, że jest słaby. Iginio żeruje na sekretach starych mistrzów. Nawet demony mrozu, swoją najpotężniejszą broń, związał zaklęciami z księgi, którą znalazł w jakimś zapomnianym przez Pana i ludzi górskim klasztorze. Nie potrafił nic dodać od siebie, żadnej inkantacji, żadnej nowej mocy. I inni czarnoksiężnicy nie przewyższają go w tym względzie - dodała cierpko.

- Sama rzekłaś, pani, czas magii przemija bezpowrotnie. Trudno mi udawać, że jej żałuję.

Sądził, że ją rozgniewa. Pomylił się wszakże, kolejny raz podczas tej osobliwej rozmowy.

- Błędzisz, bracie - powiedziała ciepło. - Magia nie odchodzi, choć czasem zmienia kształt i barwę. Iginio jednak nie rozumie jej natury, więc czepia się resztek i na oślep próbuje je kształtować. Teraz zapewne również zwałował do Valle jakieś nadpalone manuskrypty, potrzaskane nagrobne płyty i ułamki rzeźb z portyków cytadeli. Ale nie ma kluczy do tajemnic panów Brionii. Poza jednym. Krwią mojego syna, która ma zwabić dla niego demony.

Nino, który został powołany do życia jedynie po to, aby odbudować nadwątlone siły ojca, potrząsnął w zdumieniu głową.

- Czyż każdy z książąt-magów nie przysięga w dniu swojej koronacji przed ołtarzem Najwyższego, że wyrzeknie się podobnego plugastwa?

- Rozbawił ją tylko.

- Nie bądź łatwowierny, bracie. Zmusiliście magów, aby się przed wami ukorzyli, a oni uczynią wiele, by w spokoju uprawiać swoje czary. Dlatego skwapliwie wysłuchają pobożnych nauk kaznodziejów i będą kamienować stregi w swoich posiadłościach. Naprawdę jednak jest jeszcze gorzej niż kiedyś. Odkąd zniknęli Principi dell'Arazzo, wszystko się przemieszało, sztuka czarnoksiężników i brudne sposoby wiedźm, zaklęcia, których obliczenie zajęło wiele lat, i

czarna krew kogutów zarzynanych o północy pod cmentarnym murem. Igino chce pójść zaledwie o krok dalej. Wypije moc, a krwią przywoła demony, które niegdyś służyły księżtom Brionii, licząc, że rozpoznają ich potomka. Czasami - dodała cicho - sędzę, że od początku tak to zaplanował. Nie pozwolił mi żyć ze względu na mnie samą. Liczyła się jedynie krew Principi dell'Arazzo.

Milczał, nie wiedząc zupełnie, co odpowiedzieć. Pomiędzy Fiamettą i nim rozciągała się niezmierna przestrzeń trzydziestu lat i nie próbował nawet zgadywać, jak wiele zawiedzionych nadziei, zdrad i cierpienia kryło się za jej słowami. Nie umiał już sobie przypomnieć twarzy dziewczynki, która wyszła z nim z pałacu na zakurzony gościniec tamtego dnia, kiedy przyniesiono im wieść o śmierci ojca, i nie znał kobiety, którą stała się jego siostra. Rozumiał jedynie, że nie przybyła do klasztoru, aby się go poradzić. Nawet jako małe dziecko potrafiła przechytryć większość domowników i nie wątpił, że przez trzydzieści lat u boku maga jej plany stały się nieskończenie bardziej skomplikowane.

- Po co przybyłaś, Fiametto? - zapytał wreszcie wprost, pierwszy raz nazywając ją po imieniu. - Nie noszę oręża i nie zdołam cię obronić. Jestem tylko mnichem, któremu przed przeszło ćwierćwieczem wydarto oczy.

- Nigdy więcej tak nie mów! - Znów poczuł na ramionach jej szybkie, niecierpliwe dłonie. - Nieświadomość nie oznacza niemocy. Jesteś potomkiem Principi dell'Arazzo, a twoje hymny są pełne magii.

* * *

- Czy naprawdę wierzysz, że czarnoksiężnik pogwałci prawo azylu i przemocą wedrze się do klasztoru? - Opat oparł głowę na złożonych dłoniach.

Siedzieli w wirydarzu przy klasztorным murze. Wiatr poruszał pnąciami róż i słodko pachniały zioła, nagrzane jesiennym słońcem. Nino czasami przychodził tu grać, choć niewiele miejsca pozostawiono dla pustej rozrywki. Każda piędź ziemi została mozolnie przyniesiona przez pielgrzymów z urodzajnych dolin i rozsypana na jałowych kamieniach, więc ogród był niewielki, lecz powiększał się z każdym rokiem i wszystkie grupy pątników miały w tym swój

udział. Uprawiano tu głównie zioła do infirmerii i warzywa, ale Nino najbardziej cenił pojedynczy krzak róży: jej kwiatami w czas największych świąt przystrajano grób świętego Sirona.

- Wierzę, że moja siostra uczyni wszystko, aby go do tego zmusić - odparł Nino. - Być może nigdy nie powinienem jej pozwolić postawić stopy na Pilastru del Cielo.

- Nie ma przecież nikogo prócz ciebie - obruszył się opat. - Gdzie indziej mogłaby szukać obrony?

Nino odruchowo wyciągnął dłonie ku harfie i zaraz opuścił je bezradnie. Dźwięk instrumentu zwykle gasił jego niepokój, lecz po tym, czego się dowiedział od Fiametty, nie śmiał już grać. Jak niewiele słów, pomyślał ze smutkiem, wystarczy, by zwątpić w siebie.

- Ona nie szuka schronienia, ojczu. Nie umiem odróżnić, co w jej słowach jest prawdą, a co kłamstwem. Nie umiem też zgadnąć, co powiedziała Iginowi. Ale zastawiła tę pułapkę na nas obu i mag przybędzie.

Opat zdumiał się.

- Czyżbyś się jej lękał?

Nino potrząsnął głową. Spomiędzy wszystkich mnichów opat był mu najdroższy, ale nawet jemu nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego przybycie Fiametty napełniało go grozą.

- Ona nie jest bezbronna, ojczu, a jej nienawiść parzy jak ogień. Starszy mnich poruszył się niespokojnie.

- Co ci powiedziała?

Zacisnął wargi. Ta część była najtrudniejsza.

- Nino - napomniał go łagodnie opat - nie możesz tego zataić.

Ślepiec milczał przez chwilę, wodząc długimi palcami po porę czy ławki.

- Mówiła, że muzyka jest jedynie ujściem, jakie znalazła sobie magia płynąca w moich żyłach - wyznał cicho, a każde słowo sprawiało ból. - Próbowała mnie skłonić, abym wezwał demony i stanął do walki z Iginem. Przywiozła księgę, wykradzioną z komnat męża, w której mag zapisywał moje hymny, usiłując rozwikłać ich tajemnicę. Wszystko tam jest - rytm, kadencje, słowa i melodia - ale ani Igin, ani żaden z wezwanych przez niego hierofantów czy minstrelów nie potrafił odczytać ich właściwie, wystarczy, bowiem zmienić jedną nutę lub pojedynczy akcent, aby zaklęcie straciło swoją moc. - Nerwowo przełknął ślinę. - Fiametta chce, żebym zagrał i zaśpiewał, kiedy Igin przybędzie upomnieć się o jej syna. Powiada, że jeśli się nie

omyliła, spełnię dobry uczynek, ocalając dziecko przed zagładą. Jeśli zaś się omyliła, moja wiara winna być wystarczająco silna, by przetrwać tę próbę.

Stary mnich wpatrywał się w niego z natężeniem. Twarz Nina była szczupła, przecięta czarną smugą opaski na oczach i zupełnie nieruchoma - współbracia zżymali się często, że nie potrafią nic z niej wyczytać. Opat zastanawiał się czasami, czy to skutek ślepoty, czy też dziedzictwo magów, którzy pieczołowicie skrywali swoje myśli. Inni mnisi nie mieli podobnych wątpliwości. Dawno temu, zanim jeszcze pieśni Nina rozstawiły ich klasztor, nazywali go za plecami odmieńcem, pomiotem czarnoksiężnika, który powinien zostać wypędzony na pustkowie, by nie kalął świętego miejsca. Potem niechęć ustąpiła nieco, lecz opat wyczuwał, że Nino nie należy naprawdę do wspólnoty, tylko zatrzymał się gdzieś na jej skraju, odpychany przez lęki współbraci i własną obcość. Równie dobrze mógłby mieszkać w jednej z grot dawnych pustelników - i zapewne byłby tam szczęśliwszy.

- A ty, czego chcesz? - zapytał z westchnieniem.

- Boję się - przyznał Nino, ponieważ nastał zły czas, by skrywać prawdę albo choćby jej część. - Przez te wszystkie lata byłem jedynie szarym mnichem, który wyrzekł się wszelkiej magii, uboższym nawet od innych, bo pozbawionym oczu. Nigdy dotąd nie rozmyślałem wiele o Valle delle Fiamme ani o dziedzictwie Soave di Castello Scarlatto. Teraz zaś nie umiem wyrzucić ich z pamięci.

Zapachniało lawendą. Opat bezwiednie miął w palcach gałązkę obsypaną drobnymi, fioletowymi kwiatami.

- Co pamiętasz?

Nino potarł skronie.

- Niewiele. Zaledwie kilka obrazów, strzępy rozmów. Nie zgaduję nawet, które z nich są prawdziwe.

Urwał i przez długą chwilę milczeli obaj, wsłuchując się w klasztorną ciszę i przeszłość.

- Kiedy przyprowadzono cię tutaj - stary mnich uśmiechnął się do siebie - byłeś milczącym, poważnym chłopczykiem. Chodziłeś po wirydarzu, w skupieniu dotykając liści na krzewach, kamieni obrębiających grządki, świeżych szczepów drzew. Opat posłał mnie, żebym zaprowadził cię do refektarza i nakarmił. Nie wiedziałem, jak postępować z synem księcia-maga, przykucnąłem, więc i zapytałem, czy zechcesz z nami zostać. Zastanawiałeś się chwilę, z pow-

agą zdumiewającą u tak małego dziecka, a potem skinął głową. Powierzono cię mojej opiece zapewne dlatego, że byłem zbyt prostoduszny, by rozumieć, kim naprawdę jesteś.

Nino po omacku odszukał dłoń starca i uściśnął ją nieznacznie.

- Wszystkiego, co umiem, nauczyłem się od ciebie, mistrzu.

- Nie, nie wszystkiego. Twoje hymny pochodzą tylko od ciebie.

- Aż do dzisiaj przywykłem w to wierzyć.

- Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego ty jeden spośród braci nigdy nie wyruszyłeś w dół, w doliny?

- Ponieważ jestem ślepcem.

Starzec potrząsnął głową.

- Bądź uczciwy, synu.

- Ponieważ jestem synem Soave di Castello Scarlatto i obiecaliście Iginowi, że nigdy nie opuszczę tych murów?

- Nawet on nie próbowałby cię zabić po tym, jak minstrele roznieśli twoje pieśni po całym Półwyspie. Nie, obawialiśmy się czegoś innego. Pamiętam, jak poprzedni opat wezwał mnie do siebie, kiedy u grobu świętego Sirona odśpiewano pierwszy z twoich hymnów. Był strapiiony, choć powinien się raczej radować, jako że tamtego dnia trzech błagalniczy odeszli z klasztoru uzdrowieni za łaską naszego patrona. Wiem, że ta muzyka jest piękna, powiedział mi, niebosiężna jak modlitwa i skłania ludzi ku Panu. Jednak napełnia mnie niepokojem...

Nie zamierzał wyjawić Ninowi, z jakim przerażeniem stary opat przyjął wieść o przybyciu syna czarnoksiężnika, który miał na zawsze pozostać w ich klasztorze. Zrazu mnich zamierzał odesłać chłopca precz, choć rodowa włość Igina rozciągała się zaledwie kilka dni drogi od opactwa i znał złą sławę maga. Powstrzymał go stary żołnierz, który przewodził eskorcie chłopczyka - pośrodku klasztornej kaplicy wykrzyczał zwierzchnikowi zgromadzenia w twarz, że w razie odmowy ma rzucić dziecko do rozpadliny pod Pilastrami del Cielo, a wówczas przeklnie mnichów, aby nigdy nie zaznali spokoju, bo sprzeniewierzyli się miłosierdziu świętego Sirona.

Opat nie mógł, więc odmówić, lecz uczynił to niechętnie i z ciężkim sercem. Przywędrował na Guglia dei Fulmini z południa, z okolic Brionii, ziemi słynącej z czarów nieznanymi na odległej, ubogiej północy. Pomimo upadku Principi dell'Arazzo magowie wciąż panowali tam nad miastami i na niebie nieraz oglądano widmowe kształty demonów. Tam też szarzy bracia, prześladowani przez czarnoksiężników i wypędzani ze swoich siedzib, jako pier-

wsi zaczęli nawoływać do wyrzeczenia się wszelkiej magii. Klasztory kolejno buntowały się przeciwko swoim księżetom. Mnisi nie chcieli dłużej trawić czasu na żmudnych obliczeniach trajektorii demonów ani badać kolejnych sfer nieba. Palono kodeksy pełne starożytnych zaklęć, atlasy nieba i katalogi demonów, z dawien dawna przechowywane w klasztornych bibliotekach.

Magowie odpłacali za bunt z niezrównanym okrucieństwem, pustosząc starożytne monasteria i wydając ich mieszkańców na pastwę demonów. Z takiego spalonego klasztoru pochodził właśnie opat, który cudem tylko wymknął się furii sług czarnoksiężników i zdołał uciec na północ. Nawet z wyłupionymi oczami syn Soave di Castello Scarlatto był dla niego wcieloną grozą, nieustającym zagrożeniem przybytku, w którym znalazł schronienie.

Najwięcej przychylności okazał dziecku stary lutnik, który był odźwiernym na moście, i od niego Nino dostał kiedyś harfę. A potem, ku przerażeniu starego opata, chłopiec skomponował pierwszy ze swych hymnów i klasztor świętego Sirona zmienił się bezpowrotnie.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś, ojcze - odezwał się z cicha Nino.

- Odparłem mu wówczas, że prawdziwe piękno często wzbudza strach, ja zaś nie wyczuwam w twojej muzyce zła, lepiej, więc obrócić ją na wspólny pożytek niż zniszczyć i skazać na zapomnienie. Opat zgodził się ze mną, do końca jednak nie przestał się lękać twoich pieśni. Poradził nam również, byś nigdy nie schodził w doliny. Tutaj, bowiem, jak rzekł, moc świętego Sirona ochroni cię przed złem demonów i złem ludzi, ale z dala od Pilastru del Cielo łatwo staniesz się ich łupem. Jego następcy, ja także, skwapliwie usłuchali tego ostrzeżenia.

Nino był zbyt zdumiony, by poczuć żal lub gniew.

- Baliście się mojej muzyki?

Starzec zawahał się.

- Były znaki - rzekł powoli. - Wydarzenia, których nie można wytłumaczyć rozumem. Okrutnicy nawracali się, słysząc dźwięk twojej harfy, minstrele, wcześniej oddani błahostkom i dworskiej rozpuście, przywdziewali zgrzebne zakonne szaty, aby odtąd ku chwale Pańskiej roznosić po Półwyspie twoją muzykę. Chorzy doznawali uzdrowień u grobu świętego Sirona, kiedy podczas nabożeństwa śpiewano twoje hymny. Obłąkani, wypowiadając słowa twoich pieśni, w jednej chwili wyzwalali się spod mocy demonów.

- Przecież to były cuda! Nie przypisujcie mi mocy, której nie posiadam.

- Owszem, to były cuda - głos opata nieoczekiwanie nabrał surowości. - Jak mamy jednak zgadnąć, skąd pochodzi moc w świecie, gdzie demony chadzają wolno pomiędzy ludźmi ku uciesze czarnoksiężników?

- Czy naprawdę... czy wierzycie, że moje hymny...? - Nic więcej nie zdołał powiedzieć.

- Nie, synu. - Starzec potrząsnął głową. - Wiara jest cienką linią, poza którą są tylko ciemność i demony, a twoja wiara jest mocna i strzelista jak Pilastrri del Cielo. Dopóki wierzysz.

Nim odszedł, nakreślił na czole ślepego znak błogosławieństwa, ale pierwszy raz w życiu nie napełniło to Nina spokojem.

* * *

Następnego ranka, tuż po porannych modłach, przyniesiono wieść, że na skraju Pilastrri del Cielo stoi czarnoksiężnik i chce mówić z synem Soave. Ten sam oblat, co wczoraj, przyszedł z nią do celi Nina.

- Opat pozostawił twojej woli, panie, czy zechcesz mu wyjść naprzeciw.

Tak szybko, pomyślał Nino, choć Fiametta ostrzegęła go wczoraj i sam powinien przecież wiedzieć, jak niewiele rzeczy jest niedostępnych dla czarodziejów.

- Nie sądzę, abym naprawdę miał wybór.

- Zaprowadzę cię, panie - rzekł chłopiec, kiedy Nino sięgnął po laskę.

- Nie lękasz się?

Wiedział, jak bardzo pasterze obawiają się magów z odległych miast.

- Lękam się, panie - odparło poważnie dziecko. - Nie godzi się jednak, abyś stanął przed nim sam i bezbronny, bo nie dostrzeżesz w porę, co zamierza uczynić.

Nino zmieszał się. Niczym sobie nie zasłużył na takie przywiązanie.

- Widziałeś go już?

- Spojrzałem przez uchyloną furtę. Stał po drugiej stronie Pilastrri del Cielo i z daleka dojrzałem tylko siny płaszcz. Ale chłopcy mówili, że czarownik jest z wyglądu młodszy od ich ojców, chociaż chodzi po ziemi już ponad sto lat. Czy to możliwe, panie - dodał z niepokojem - żeby człowiek żył tak długo i nie starzał się?

Musiał się uśmiechnąć. Do niedawna dla tego malca największym bogactwem było kilka miedziaków, które oglądał na jarmarku w dolinie, a największym skarbem - kolorowe, wygładzone przez wodę kamyki z dna potoku.

- Niemal wszystko jest możliwe dla magów, chłopcze, lecz płacą za to straszliwą cenę. Podaj mi płaszcz.

Szli przez klasztorny dziedziniec, dziecko i ślepiec, a głosy mnichów, wymieniających z nimi pozdrowienia, były pełne trwogi. Nigdzie nie słyszał Fiametty, może jeszcze nie wstała. Opat nie odprawił jej zeszłej nocy - od najbliższej wioski dzieliło klasztor pół dnia drogi, zbyt wiele dla zdrożonej kobiety z maleńkim synkiem. Naszykowano jej komnatę w domku dla pielgrzymów, z dala od mnichów, ale wieść o nadzwyczajnym gościu rozeszła się szeroko po klasztorze i Nino miał wrażenie, że współbracia winią go za niebezpieczeństwo, które ściągnęła na przybytek jego siostra.

Poczuł nedorzeczną ulgę, kiedy minął furtę opactwa i wkroczył na most. Stukot jego sandałów zdawał się rozlegać nieskończonym echem, odbijając od skał i zwielokrotniony powracać ku niemu. Mały oblat oddychał nierówno, lecz nie wypuszczał dłoni Nina. Mnich nie potrzebował właściwie pomocy, przemierzył tę drogę tak wiele razy, że znał każdy krok i każdą nierówność skały. Jednak tego dnia bardziej niż kiedykolwiek odczuwał swoją ułomność i był wdzięczny za cichą obecność przewodnika.

Nagle dobiegł go jakiś dźwięk - ulotny, niemal niesłyszalny szelest szat. Zatrzymał się.

- Przyszedłem po moją własność - przemówił Iginio di Valle della Fredezza. - Oddaj mi żonę i syna.

- Nie należą do mnie.

- Nie staniesz mi, więc na przeszkodzie?

- Powiedziałem jedynie, że nie mogę oddać czegoś, co do mnie nie należy.

Iginio zaśmiał się.

- Odpraw chłopca, jeśli nie chcesz, abym go musiał zabić. To, z czym przychodzę, nie jest przeznaczone dla jego uszu.

Nino przykucnął i oparł dłonie na ramionach dziecka. Tertio stał lekko wychylony wprzód, a jego mięśnie były naprężone jak postronki i mnich umiał sobie wyobrazić spojrzenie, jakim mierzy maga. Górale często grzeszyli zbytnią zaciekłością i nie zmieniało się to, nawet,

jeśli przywdziali zakonne szaty. Jednak walka z prawdziwym czarodziejem była czymś nie-skończenie odległym od potyczek na drągi przy brodzie albo na skraju targowiska.

- Odejdź teraz - poprosił. - Twoje życie jest dla niego tanie jak źdźbło trawy. Idź! - popchnął ociągającego się chłopca z powrotem ku klasztorowi.

Mag odczekał, aż malec zejdzie z mostu, po czym przysunął się bliżej do mnicha.

- Fiametta przekonała cię o mojej niegodziwości? Opowiedziała, jak nastawałem na życie jej i naszego cennego syna, aż wreszcie musiała wyrwać się spod mojej tyranii?

Nino milczał, usiłując wydobyć z pamięci jakieś odległe wspomnienie tego głosu. Na darmo.

- Zapewne okazała się wymowna - ciągnął mag lekkim tonem. - Sam wiem, jak potrafi być przekonująca, a odkąd ją uwięziłem zeszłej jesieni, miała dość czasu, aby przygotować tę historię.

Siostra nie wspomniała mu o uwięzieniu. Właściwie, zdał sobie sprawę, nie powiedziała mu zbyt wiele, a każde słowo zostało zawczasu wyważone i przygotowane jak strzała w kołczanie, czekająca, aby w odpowiednim momencie wystrzelić ją w powietrze.

- Dlaczego ją uwięziłeś?

- Nie z powodu urody, chociaż przyznaję, że jest piękną kobietą i często wystawiała mnie na pokusy zazdrości. Nie sądzę jednak, aby ciekawiły cię dworskie plotki, mnichu.

Nino nic nie odpowiedział. Czekał.

- Nie masz wielu powodów, aby mnie kochać - Igino odezwał się ponownie, zupełnie innym głosem. - Tym razem jednak przybywam w dobrej wierze i nie ze swojego zamysłu, wysłuchaj, więc prawdy, zanim ta kobieta przywiedzie cię do zguby.

- Po to przyszedłem.

- Jakże szlachetnie - zakpił. - Widzisz, mnichu, na początku twoja siostra nienawidziła mnie z twojego powodu i dlatego, że ją oszukałem. Potem jednak jej nienawiść nie potrzebowała już przyczyn, syciła się samą sobą i nie było żadnej plugawości, przed którą się cofnęła. Ponieważ Fiametta wiedziała, że pragnę syna, jednym ze swych kochanków uczyniła mojego niewolnika, pomiot demonów, psiogłowca z rodu Cynocefalitów. Nie powiodło się jej, pozostała jałowa, zatem zwróciła się do innych magów i usiłowała ich przeciwko mnie podjudzić. Kiedy znów poniosła klęskę, sprowadziła na dwór stregę aby mnie otruć magicznym naparem. Jej pomysłowość była zdumiewająca - w jego słowach pobrzmiwał podziw. - Całymi latami

prowadziliśmy grę, której nie jesteś w stanie ogarnąć, coraz bardziej przywiązując się do siebie nawzajem nicią kłamstw, zrad i podstępów. Czy jesteś zgorszony, mnichu?

- Nie. Raczej zasmucony.

Mag nie zwrócił na niego uwagi.

- Fiametta była zachwycająca. Krążyliśmy wokół siebie w śmiertelnym tańcu jak dwa skorpiony na pustynnym piasku, aż wreszcie zdołałem uczynić ją brzemienną. Jakąż wściekłością wybuchła! Ale nie potrafiła pozbyć się dziecka i w stosownym czasie powiła chłopca. Mojego syna i dziedzica, w którego żyłach tętniła błękitna magia. Rósł, a Fiametta nie dbała o niego bardziej niż o parszywego kociaka, póki nie przyszło jej do głowy, aby go wykorzystać. W tajemnicy wezwała maga, plugawego odszczepieńca, który wiodł życie na jałowej ziemi na skraju morza. Nie był wiele sprawniejszy od wiejskiej stregi, lecz udało mu się dokonać jednej rzeczy. Przywołał demona, nie jakiegoś dumnego ducha z najwyższych sfer nieba, ale wynędzniałą salamandrę, która kiedyś służyła na dworze maga, a po jego śmierci nie zdołała się już w pełni uwolnić spod żywiołu ognia i ulecieć ponad księżyc. Spętał ją, choć nie bez trudu, a kiedy to się stało, Fiametta zwabiła do swoich komnat mojego syna i poprzez magię krwi spletli go z demonem.

- Nie wierzę ci - powiedział powoli Nino. - Żadna matka nie uczyniłaby czegoś podobnego swemu dziecku.

Zaraz jednak zdał sobie sprawę, jak ułomne jest jego wyobrażenie o kobietach. Do klasztoru świętego Sirona przybywało wiele matek. Mozolnie wspinały się na górę, niektóre na kolanach, niosąc w ramionach czy na plecach kalekie lub chore dzieci, z nadzieją, że święty Siro wybłaga dla nich uzdrowienie. Ale jeszcze więcej matek pozostawało w dolinach i Nino nigdy nie wejrzał w serce żadnej z nich.

- Fiametta nie jest żoną rybaka, która z oseskiem przy piersi patroszy ryby w przystani i rozwiesza sieci. Nie chciała tego dziecka, gdy zaś przyszło na świat, postanowiła wykorzystać je, by zranić mnie jak najdotkliwiej.

- To tylko dziecko.

Wczoraj Fiametta przyprowadziła na chwilę syna do jego celi.

Chłopczyk tulił się do niej i popłakiwał, przestraszony nowym miejscem i natłokiem nieznanym mężczyznom.

-Jesteś ślepy, mnichu! - wykrzyknął z wściekłością mag. - Nie widzisz jego włosów, które w ciemności żarzą się czerwoną poświatą, ani oczu, kiedy zniemacka rozbłyskają jak dwa gorejące węgle.

A wiesz, co jest najgorsze? Gdzieś w głębi potwora mój syn jest zupełnie sam i krzyczy w ciemności z przerażenia, a ja nie mogę go osiągnąć. Obróciła przeciwko mnie starą groźbę, którą przed trzydziestu laty skłoniłem ją do posłuszeństwa. Sądziłem, że chce mnie zmusić do zabicia własnego dziecka. Ale nie! - Zaniósł się przenikliwym chichotem. - Kiedy uciekła, zrozumiałem, że jej niegodziwość jest jeszcze większa.

- Uciekła, aby go ratować.

Igino prychnął z pogardą.

- Oprzytomniej, mnichu! Jest mnóstwo lepszych miejsc, bardziej niedostępnych i otoczonych potężniejszymi murami niż ten klasztor. Jest też na Półwyspie wielu książąt, którzy z chęcią udzieliliby schronienia mojej żonie, choćby po to, aby mnie rozwścieczyć. Fiametta wybrała jednak Guglia dei Fulmini i przyznasz, że nie z siostrzanej miłości przypominała sobie o bracie, którego wcześniej nie chciała znać.

Zakłuło go w piersi. Wczoraj nie spytał nawet, dlaczego przez tyle lat siostra nie wysłała mu choćby jednego listu. Zanadto lękał się odpowiedzi.

- Sam jej wzbraniałeś pisać.

- Owszem, z początku, kiedy jeszcze wierzyłem, że można ją obłaskawić, ale po trzydziestu latach zaiste nie miałem się już, czego lękać. Zapomniała o tobie. Zapomniała o wszystkim, oprócz swojej nienawiści.

Przez chwilę Ninowi wydawało się, że przypomina sobie młodzieńczą twarz Fiametty, kiedy siedzi na podeście kolumny, puszcza bańki mydlane i śmieje się, patrząc, jak wirują w powietrzu. Zaraz jednak rozmyła się i znikła, pozostawiając pod powiekami ostre smugi światła. Wzdrygnął się.

- Jest taka, jaką ją uczyniłeś.

Mag zamilkł.

- Być może masz rację - przyznał. - Ale kluczem do tej historii jest coś innego. Księga.

Fiametta przekonywała go, że mag, wzburzony zniknięciem syna i żony, nie odkryje kradzieży kodeksu.

- Widzę, że opowiedziała ci o niej - rzekł czarnoksiężnik. - Nie przecz nawet, nie przywykłeś kłamać, mnichu. Czy wiesz również, co jest w środku?

- Ty mi powiedz.

- Czemuż nie? Fiametta wykradła mi najcenniejszą księgę z moich zbiorów, spis zaklęć tak potężnych, że mogą zetrzeć z powierzchni ziemi całe miasta.

- Twoich zaklęć?

Igino znowu wybuchł piskliwym śmiechem.

- Wyjawiła ci, więc także moją małą słabość. Tak, mnichu, nie dorównuję może mocą Duiliowi, Severowi ani innym dawnym mistrzom, ale przez te wszystkie lata zdołałem utrzymać Valle della Fredezza i tron twojego ojca. A za pomocą tego kodeksu poważę się na coś więcej i Półwysep znów stanie się jednością.

- Poprzez magię?

- Och, wiem, że wy, mnisi, nie będziecie dla mnie zachętą. Ale nadciągają Arimaspi i Półwysep bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje obrony. Ja zaś potrzebuję kodeksu, w którym zapisano legendarne zaklęcia Principi dell'Arazzo. Oddasz mi go?

- Fiametta powiedziała mi coś innego.

- Nie wątpię - odparł szyderczo Igino. - Zastanawiam się jednak, czy wyjaśniła ci, po co potrzebuje twojej pomocy. Widzisz, mnichu - podjął, kiedy Nino nie odpowiadał - moja droga żona nie potrafi odczytać zaklęć, a jej kochanek mag nie miał dość mocy, aby choćby spróbować stawić czoło przywołanym demonom. Fiametta potrzebuje, więc kogoś innego - ślepej mocy, która pozwoli jej zapanować nad duchem i zmieść mnie z powierzchni ziemi. Dlatego przybyła do ciebie.

- Skąd wiesz?

- Ostatniej nocy przed ucieczką zaszytowała kochanka, ale maga nawet stałą niełatwo śmiertelnie naznaczyć. Zanim zdechł, przekazał mi ostrzeżenie. Fiametta wykorzysta cię, a potem zabije jak tamtego nieszczęśnika.

Nagle zachciało mu się śmiać. Czarnoksiężnik, który przed trzydziestu laty pozbawił go oczu i całej przyszłości, która była z nimi związana, przestrzegał go teraz przed siostrą.

- Opamiętaj się, magu - rzekł cicho, starając się zdusić histeryczny śmiech, który narastał w jego krtani. - Za kogo mnie masz, jeśli sądzisz, że teraz uwierzę w twoje przestrogi?

- Wciąż nie rozumiesz! - wykrzyknął Igino. - Zaklęcia mają formę pieśni i ja sam wciąż nie potrafię ich rozwikłać. Ty zaś masz wszystko, co potrzebne, wiedzę i moc, która płynie w twoich żyłach.

- Prócz oczu.

- Te zastąpi ci demon. Nasz syn. Nino zacisnął palce na lasce.

- Przechodząc przez ten most, wyrzekamy się wszelkiej magii.

- Taki jesteś sobie pewien, mnichu? - Igino prychnął. - Niewiele wiesz o naturze magii. Jeśli raz jeden zaczniesz przywoływać demona, zaklęcie zawładnie tobą i uniesie jak zawierucha. Dlatego odesłałem cię aż za Pilastrri del Cielo, gdzie nie dopuszcza się czarodziejów i gdzie nie będziesz wystawiany na pokusy. Ale kiedy usłyszałem twoje pieśni, zrozumiałem, że każda kropla twojej krwi rozpaczliwie domaga się magii.

- Zwodzisz mnie. Sławię Pana, najlepiej jak potrafię, i nie dbam o przekłete sprawy czarodziejów.

Igino zaniósł się chichotem, który pod koniec przeszedł w nieznacznym, zdławionym skrzek. Nino zmarszczył brwi. Za sprawą swojej ślepoty niewiele czasu spędzał w infirmerii i nie pomagał braciom w opiece nad pielgrzymami. Potrafił jednak rozpoznać niemoc. Czarnoksiężnika, który niegdyś pokonał jego ojca, skrycie toczyła choroba, co było widomym znakiem jego gasnącej mocy. Magowie w pełni sił nie zwykli zapadać na zdrowiu.

- Najwyraźniej jesteś, więc nie tylko ślepy, ale i głuchy - zadrwił Igino. - A może po prostu nie chcesz słyszeć ani pamiętać. Ale prawda jest taka, że w każdą pieśń, w każdy hymn, wplatasz zwichrowane zaklęcia i strzępy inkantacji, którymi niegdyś twój ojciec przywoływał demony

- Kłamiesz.

- Po co miałbym to robić? Żeby pognać ślepego głupca z klasztoru na końcu świata? Nie przeceniaj się, mnichu. Gdybyś potrafił odczytać księgi swego ojca, może zostałbyś prawdziwym czarnoksiężnikiem, godnym Principi dell'Arazzo. Ale tak jesteś jak szczenię, które przyzywa matkę, naśladując jej głos. Choć nie wiem, czy Soave uradowałby się, słysząc strzępy swych zaklęć w kościelnych pieśniach. Właściwie - zachichotał - to nawet zabawne, ci biedni prostacy, którzy myślą, że sławią Pana, naprawdę zaś pośrodku jego świątyń nadaremnie przywołują demony.

- Kłamiesz - powtórzył Nino. - Jak rozpoznajesz zaklęcia mojego ojca, skoro nie potrafisz odczytać jego ksiąg?

- Soave nie krył się nadmiernie ze swoją sztuką, ufając, że nikt nie zdoła skopiować jego zaklęć. I miał w tym niemało racji, bo czarnoksiężnicy z rzadka gustują w tym rodzaju magii. W każdym razie umiem rozpoznać jego inkantacje. Te same, które od lat bezwiednie usiłujesz odtwarzać, układając pieśni o melodiach tak łudząco podobnych do zaklęć, że trzeba wprawnego ucha, aby rozpoznać różnicę. Ale wystarczy jedno prawdziwe zaklęcie, a magia cię pochłonie. Zastanawiam się... - zawiesił głos - czy nie tego właśnie pragnie Fiametta.

- Nie ma powodów, aby życzyć mi zagłady.

- Jesteś pewien? - odparł szyderczo Igino. - Przecież nie wróciłeś po nią, by uwolnić ją spod władzy złego czarnoksiężnika, i nie odebrałeś zagrabionego dziedzictwa, choć błękitna magia śpiewa w każdej twojej pieśni. Nie, Fiametta ma dość powodów, aby cię wykorzystać i zniszczyć. Dam ci czas do jutra. Przemyśl to sobie dokładnie i zdecyduj, czy oddasz mi kodeks i odprowadzisz Fiamettę, czy też narazisz swoją duszę na zgubę. Jeśli wybierzesz właściwie, odejdę, ty zaś będziesz dalej wplatać w pieśni swoje zwichrowane zaklęcia. Jeśli zaś nie... Tak czy inaczej Pilastrri del Cielo ulegną zagładzie.

* * *

- Jak mogłeś się z nim spotkać?! - Młoda kobieta jak burza wpadła do celi. Jej syn dreptał za nią na krótkich nóżkach: Nino wyraźnie słyszał drobny tupot jego bucików. - Naraziłeś nas wszystkich na wielkie niebezpieczeństwo.

- Wróciłem jednak szczęśliwie - odrzekł spokojnie. - Witaj, pani.

Bez zaproszenia opadła na jego łóżko. Oddychała ciężko, najwyraźniej biegła całą drogę, a spod zapachu pachnideł przebijała ostra woń bielidła do twarzy: widocznie dzisiaj miała więcej czasu i pragnęła wyglądać jak wielka pani, którą w istocie była. Przypomniawszy sobie, że nie, kto inny, jak właśnie Fiametta wprowadziła tę dziwną modę, ganioną przez kaznodziejów jak Półwysep długi i szeroki. Małżonki i córki magów nie ukazywały się już światu z obliczem, którym obdarował je Najwyższy, lecz powlekały je szczelnie warstwą białej farbki, na którą pracowicie nakładano kolejne barwy, drobinki złota i sproszkowane szlachetne kamienie, aż ich

twarze stawały się podobne do kunsztownych malowideł -i równie nieruchome. Kobiety czarodziejów z rzadka miały okazję swobodnie przemówić pomiędzy ludźmi: na dworach nazbyt dobrze pamiętano przekłętą Sirocco, która jawnie pokazała, jaką zdradę i jad może skrywać język kobiety. Dlatego każdy kolor i każdy motyw na twarzach szlachetnych pań miał swoje znaczenie. Pozbawione słów i pieśni, okazywały smutek czy radość poprzez kombinację barwnych wzorów. Pomimo wszelkich przestróg kaznodziejów, Nino nie potrafił ich winić.

- Wysłuchałeś go - zgadła, wyrwijając go z zadumy. - Powinnam była wiedzieć, że nie znajdziesz dość sił, aby się mu oprzeć. Nino, język czarnoksiężnika jest rozdwojony jak język żmii i równie jadowity. Igino zrobi wszystko, aby cię zwieść...

- Jak miałbym ci pomóc? - przerwał. - Nie potrafię odczytać znaków czarodziejów.

- Mój syn pobierał nauki - rzekła bez tchu. - Będzie twoimi oczami.

Milczał. Nie zamierzał przyznać, że nie potrzebował żadnej j pomocy. Pamiętał każdą z pieśni, które napisał przez ostatnich dwadzieścia lat. Każdy dźwięk, słowo, rytm były nieustannie przy nim. Muzyka otaczała go, kiedy leżał w ciemności celi i własnej śle-poty, myśląc o zimowych gwiazdach, co świeciły nad klasztorem, i porannej zorzy, której nigdy nie zobaczy. Nie rozpaczał nad tym. W pieśniach istniały wszystkie miejsca i wszystkie barwy, które mu odebrano. Nie potrzebował więcej.

W oddali rozległ się mały dzwon wzywający mnichów na wieczerzę.

- Tylko ten jeden raz, braciszku - poprosiła. - Przecież mnisi śpiewają twoje pieśni w każdej świątyni Półwyspu i nie ma w tym nic zdrożnego. Zaśpiewaj dla mnie, a nie zażądam już nic więcej.

Dzisiaj nie była równie pewna jak wczoraj, znikła buta i szyderstwo, z jakim wypominała mu niewiedzę. Być może nie wierzyła, że czarnoksiężnik przybędzie tuż za nią.

Odwrócił się do niej, rozpaczliwie pragnąc zajrzeć jej w twarz.

- Czy ty mnie nienawidzisz, Fiametto? - zapytał cicho.

- Jak możesz pytać? Jesteś moim bratem.

Odpowiedź była jednak zbyt szybka i zgadł od razu, że oczekiwała tego pytania. Jakby wyczuwając jego namysł, Fiametta przygarnęła mocniej synka. Chłopczyk ssał kciuk i w celi raz po raz odzywało się mokre ciamkanie. Być może w naturze matki jest, pomyślał Nino, że poświęci wszystko i dopuści się każdej zbrodni dla ocalenia dziecka.

Wyciągnął dłoń, aby pogłodzić chłopca po głowie, i przez moment poczuł pod palcami ciepłą miękkość jego dziecięcych loków. Senzio wzdrygnął się jednak i natychmiast odsunął.

- Lęka się obcych - wyjaśniła Fiametta. - Igino nie pozwalał mu opuszczać komnat, a sam wiesz dobrze, jak zazdrośnie czarnoksiężnicy strzegą swoich synów.

Milczał, starając się zapanować nad strachem i rozterką.

- Nie ma więcej lat, niż ty miałeś - głos kobiety był cichy jak tchnienie - tamtego dnia, kiedy Igino wyrwał ci oczy. Jemu chce zabrać jeszcze więcej: życie, duszę i całą przyszłość na tym i drugim ze światów. Pomóż nam. Nikt inny tego nie zrobi.

Każde jej słowo sprawiało ból.

- Pójdę do kaplicy - powiedział - i będę się modlił, aby Pan podpowiedział mi jakiś sposób. Czy zechcesz mi towarzyszyć wraz z synem?

Mlaskanie umilkło. Ninowi wydało się, że chłopiec cofnął się jeszcze bardziej, dotknął plecami ściany. Od razu przypomniało mu się, że żaden demon z własnej woli nie stanie na poświęconej ziemi, jeśliby zaś próbował, stopi się i spłonie we własnym ogniu, jak stało się z przeklętymi duchami, które ściagały Luanę, opatkę z klasztoru Brionii, w tamtą noc, kiedy ród Principi dell'Arazzo uległ zagładzie.

- Czy tylko tyle możesz mi ofiarować? - fuknęła, szeleszcząc brokatową suknią. - Jesteśmy zdrożeni - dodała łagodniej - a w nocy dzwon nieustannie wyrwał nas ze snu, zabiorę, więc raczej syna na spoczynek. I będę czekać na twoją decyzję. Jak wiele czasu dał ci Igino?

- Do jutrzejszego świtu.

- Jakże łaskawie! - zakpiła. - Zwykle nie bywa tak litościwy.

Zmilczał oczywistą odpowiedzi: przed trzydziestu laty poznał łaskę czarodzieja i nie trzeba mu było o tym przypominać. Zaraz jednak przeszło mu przez myśl, że Fiametta zapłaciła znacznie więcej.

- Bądź ostrożny - podjęła za moment. - Igino rozpaczliwie potrzebuje mocy i zetrze nas wszystkich z powierzchni ziemi, aby ją dostać.

Zastanawiał się, czy Fiametta wie o chorobie maga. Była wystarczająca sprytna, aby ją odkryć i obrócić na swoją korzyść, ale też Igino zapewne ukrywał słabość przed żoną i z całych sił starał się opóźnić konanie. Nino nie potrafił ocenić, jak wiele czasu pozostało magowi - czarnoksiężnicy gaśli nagle, pokonani przez zwycięskiego konfratra, kiedy ich moc wystarczająco zwą-tlała. Zwykle jednak tak mocno czepiali się życia, że trudno było cokolwiek przewidzieć.

- Tak dobrze go znasz?

- Widziałam, co ci uczynił! - wykrzyknęła, chwytając go za rękę.

- Jestem tu szczęśliwy, Fiametto. - Delikatnie uwolnił się z uścisku. - Szczęśliwszy, niż kiedykolwiek mógłbym być w Palazzo Scarlatto.

Syknęła przez zaciśnięte zęby jak kotka.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Bo znam siebie.

Podrzuciła gwałtownie dłońmi. Powietrze w komnacie nieomal pulsowało jej złością.

- Przez te wszystkie lata u jego boku zastanawiałam się nad jednym. Co by było, gdybym tamtego dnia, kiedy zabito naszego ojca, ja również miała moc i wiedzę czynienia zaklęć.

W tej chwili potrafił ją sobie wyobrazić bardzo dokładnie, całą w szkarłacie i złocie, z wysoką koroną czarnych włosów, które kiedyś były płomienście rude, wciąż młodą i rozpaczliwie spragnioną magii.

- Są różne rodzaje mocy, Fiametto.

- Wiem. I przyjmę z radością każdą, która stanie pomiędzy moim synem i Iginem.

Dobrze, więc, pomyślał. Niech i tak będzie.

- Daj mi księgę, Fiametto - zdecydował. - Wiem, że masz ją przy sobie. Nie pozostawiłabyś tak cennej rzeczy niestrzeżonej.

Młoda kobieta zawahała się. Malec stał cicho u jej boku.

- Wkładam w twoje dłonie nasze życie - powiedziała wreszcie. - Cokolwiek się stanie, pamiętaj, że ci ufałam.

Wreszcie podała Ninowi księgę i pociągnęła chłopca ku wyjściu. W drzwiach zatrzymała się jeszcze.

- Pamiętaj - jej głos zmiękł, jak zawsze, kiedy mówiła o synu - że on ma tyle samo lat, co ty, kiedy cię tu przyprowadzono. Igino nie okaże mu więcej litości niż niegdyś tobie. Nie zawiedz Senzia. Poza tobą nie mamy żadnej nadziei.

* * *

Księga była lekka i doskonale pasowała do jego złożonych dłoni. Wyczuwał na grzbiecie jakieś znaki wytłoczone w oprawie. Kiedy obwiodł jeden z nich opuszką palca, miał wrażenie, że skóra stała się gorąca pod jego dotykiem. Wydzielała dziwną woń - mieszaninę ambry, piżma i jeszcze czegoś, zetlałych ziół albo kwiatów. Bał się otworzyć księgę, zarazem jednak nie potrafił jej odłożyć i schować pod siennikiem. Siedział nieruchomo w celi, trzymając ją na kolanach, owiniętą w podwójny płat materii, kiedy odnalazł go opat.

- Czy to ta księga? - zapytał starszek, wysłuchawszy całej opowieści.

- Tak sędzę - odparł, zaciskając na niej kurczowo palce, bo nagle obudziło się w nim podejrzenie, że Fiametta zwiodła go tylko, podsuwając bezużyteczny przedmiot zamiast kodeksu magów.

- Czy pragniesz ją otworzyć?

- Ojczy, jestem ślepcem. Obojętne, jak bardzo będę tego pragnął, nie zdołam sam rozstrzygnąć, co w niej zapisano.

Stary mnich pokręcił głową.

- Żaden z nas nie posłuży ci pomocą. Ta rzecz nigdy nie powinna się była znaleźć w klasztorze i trzeba, aby stąd znikła, zanim rzuci cień na nasze dusze.

- Nie otworzyłem jej, ojczy, jeśli tego się lękasz.

- Księga jest jedynie przynętą - powiedział powoli starzec. - Lękam się tego, co jeszcze sprowadzą na nas twoja siostra i ten mag.

- Wkrótce oboje odejdą, tym czy innym sposobem.

- Któremu z nich wierzysz?

Nino bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie wiem. W istocie Fiametta prosi mnie tylko, abym zaśpiewał jeden z moich hymnów, mag zaś pragnie zwrotu księgi będącej jego własnością. Żadna z tych rzeczy nie jest zła, jednak wzdramam się na samą myśl, że mógłbym przychylić się do którejkolwiek z próśb.

Z wysiłkiem rozprostował palce - dotąd zaciskał je tak mocno, że żelazne klamry boleśnie wpiły mu się w ciało - i odłożył księgę.

- Widzisz, ojczy - zaczął z namysłem - nigdy nie próbowałem śpiewać własnych pieśni. Dyktowałem słowa i wygrywałem melodię na harfie, lecz nie odważyłem się zaśpiewać. Nie zastanawiałem się dotąd, dlaczego. Teraz myślę, że w głębi duszy przeczuwałem, iż mnie to zniszczy.

- Nie zachęcaliśmy cię do tego. - Stary mnich pokiwał głową. - Twoja muzyka była wystarczającym darem, ale czasami, kiedy grałeś, zdawało się, że jest jak pustynny wicher, zdolny rozsadzić mury klasztoru.

Obaj pomyśleli o sirocco, wicherze, którego imię nadano demonowi, a także ukochanej córce maga, której los stał się przestrogą dla wszystkich niewiast z Półwyspu. Żaden jednak nie powiedział tego głośno.

- Tyle, że wichry wieją z różnych stron, ojcze. A niektóre z nich są demonami.

- Nie wierzę w to. - Opat dotknął lekko jego zaciśniętych dłoni.

- A kiedy jutro staniesz pośrodku Pilastru del Cielo, nie bój się i pamiętaj, że ten most jest tylko znakiem.

* * *

Furtian, który po drugiej stronie wpuszczał pielgrzymów na most, mówił później, że coś wyrwało go ze snu tuż przed świtem, w porze, kiedy niebo zaczyna szarzeć, a z otchłani rozpadliny podnoszą się mleczne mgły. Było zimno. Kiedy wyszedł z bramy i stanął na krawędzi mostu, z jego nozdrzy unosiła się para. Gdzieś z głębi gęstego tumanu dobiegł go przenikliwy krzyk kobiety:

- Co robisz?

W chwilę później Igino bezszelestnie pojawił się u jego boku, zupełnie jak gdyby poranna mgła wypluła go na skraju przepaści. Zaraz potem dobiegł ich głos Nina, czysty i dźwięczny, jakby znalazł się tuż obok:

- Mam księgę.

Nino stał na wąskim przesmyku pomiędzy dwiema kamiennymi igłami, od których wziętą nazwę most. Wyglądał zwyczajnie w szarej klasztornej szacie i ciemnej przepasce na oczach, która sprawiała, że nie dało się go pomylić z żadnym innym ze współbraci. Jednak w jego posturze było coś takiego, że furtian przycisnął dłonie do piersi i zmówił szybko modlitwę. Może sprawiła to księga w rękach Nina.

- Nie umiem rozstrzygnąć, które z was mówi prawdę.

Igino wyszeptał coś pod nosem - przekleństwo albo zaklęcie - i mgielne opary rozzedziły się nieco. Mnich przy furcie wyteżył wzrok i dostrzegł na przeciwległym brzegu szczeliny kobietę w szkarłatnym płaszczu. Jej długie, kruczoczarne włosy rozwiewał wiatr. Rudowłosy chłopczyk trzymał w garści poję jej szaty.

- Ale są moce większe od magii i słowa, które sięgają dalej niż zaklęcie. Nie mnie osądzać, które z was skłamało. I nie mnie wymierzać karę. Jeśli ta rzecz prawdziwie należy do któregoś z was, niech się nie lęka i przyjdzie po nią.

I zaczął śpiewać. Mnich odźwierny znał dobrze tę modlitwę - Nino napisał ją wiele lat temu i furtian niejedną raz słyszał ją w klasztornej kaplicy. Nigdy jednak nie brzmiała tak, jak tamtego dnia na środku mostu zwanego Pilastru del Cielo.

Mag zawahał się. Przez moment mnich widział wyraźnie, jak strach walczy na jego twarzy z pożądaniem. Potem Igino postąpił krok naprzód. Kobieta pod drugiej stronie rozpadliny też wyszła na most, pociągając za sobą dziecko - a może to ono ją popchnęło.

Mgła rozwiała się całkowicie, pieśń zaś spotężniała. Unosiła się coraz wyżej, do szczytów skał i ponad nie, do nieba błękitnego jak magia. Wraz z nią wstawał świt, zupełnie jakby pieśń odsłaniała kolejno skaliste granie, rozpadliny pełne śniegu, co nigdy nie topnieje, ciemne smugi krzewów, klasztorne mury i wędrowców na ścieżkach, którzy zadzierali głowy do góry, usiłując wypatrzeć źródła pieśni.

Furtian miał wrażenie, że oto nastał pierwszy świt świata i wszystko to stwarza się właśnie przed jego oczami za sprawą hymnu Nina. Patrzył, więc z zachwytem wokół, jakby oglądał to miejsce po raz pierwszy, jakby dopiero ślepiec ukazał mu prawdziwy kształt rzeczy. Przyciskał ręce do piersi, bo bał się, że serce pęknie mu od tego nadmiaru cudowności. Wiedział, że w życiu usłyszy jeszcze wiele modłów, jednak nigdy już nie doświadczy czegoś takiego, jak ta pieśń. Były w niej zachwyty i ból. I jeszcze coś, zrozumiał po chwili. Pieśń zmieniała się, choć wciąż pamiętał słowa i melodia wydawała się znajoma. Nino, samotny pośrodku Pilastru del Cielo, rozpaczliwie prosił o prawdę.

Nie powinien tego robić, pomyślał ze zgrozą mnich. Człowiek nigdy nie powinien błagać o zbyt wiele.

Wychylił się, chcąc uczynić krok naprzód, ale nogi go nie usłuchały. Nie zdziwił się nawet. W jakiś sposób był pewny, że tego dnia na moście nie ma dla niego miejsca.

Pieśń dobiegła kresu.

- W tej chwili widzę wyraźnie - rzekł schrypłym głosem Nino. - Wolałbym pozostać ślepcem.

Furtianowi wydało się, że dostrzegł jeszcze, jak spod jego przepaski spływają czerwone łzy.

Czarnowłosa kobiety wykrzyknęła coś, rozrzucając szeroko ramiona.

Mag odpowiedział jej ze śmiechem.

Nino otworzył księgę. Wicher ze świstem opadł ku niemu i przewrócił karty.

A potem niebo z hukiem rozdarło się nad nimi na dwoje i spomiędzy obłoków spadła kolumna ognia, spowijając Nina, kobietę, dziecko i maga. Ziemia trzęsła się i pękała, skały opadały w przepaść, krzewy stawały w płomieniach od gorąca. Furtian przywarł rozpaczliwie do ziemi i osłonił twarz, oślepiiony blaskiem. Wśród huku lawin i syku płomieni nie słyszał już żadnych głosów, tylko słaby pogłos pieśni dobiegającej z niezmiernej odległości. Powietrze gorzało, paląc mu twarz i ramiona, a szara klasztorna suknia spopieliała na nim, jakby przeszedł po niej ogień. Ale wciąż żył i zadziwienie tym prostym faktem przewyższało nawet strach. Nie miał prawa przetrwać w tym miejscu i tym czasie, jednak go oszczędzono. Nie pojmował, dlaczego.

Dygotał, rozplaszczony na ziemi i zmartwiały ze strachu jeszcze na długo po tym, jak słupy ognia wypaliły się w powietrzu i opadły najgrubsze ziarna pyłu. Z odrętwienia wyrwał go dźwięk dzwonu: w klasztorze bito na trwogę, a głosy przerażonych mnichów coraz głośniejszy niosły się nad przepaścią. Podniósł się z wysiłkiem i popatrzył ku nim ponad mostem, którego był strażnikiem.

Mostu nie było. Pozostał z niego jedynie przesmyk pomiędzy dwiema skalnymi igłami, nie więcej niż dwadzieścia stóp kamiennej ścieżki, tak wąskiej, że po wyciągnięciu ramion dłonie wisały już nad przepaścią.

Nie było też maga o lodowatym spojrzeniu, który wczorajszego ranka pojawił się znikąd przed chatką fiurtiana. Nie pozostał ślad po jego czarnowłosej żonie, piękniejszej od wszystkich kobiet, które mnich widział, ani po pulchnym chłopczyku z nieodłącznym kciukiem w buzi.

Tylko Nino stał pośrodku resztek Pilastru del Cielo, wyciągając przed siebie puste dłonie.

Księga zniknęła.

* * *

Następnego dnia pasterz, który prowadził stado poniżej przełęczy, odnalazł na ścieżce kilka pojedynczych kartek. Były czyste.

Śmierć Czarnoksiężnika

"*Nigdy* nie ufaj obietnicom wiedźmy, даром przybysza. z północy, wschodnim wichrom ani zaklęciom czarnoksiężnika z Askalonu", powtarzano od wieków na Półwyspie. I nie bez przyczyny. Pomimo klątw mnichów i napomnień władców, stregi wciąż sprowadzały na manowce naiwne wieśniaczki, które przybiegały do ich domostw z czarnymi kurami albo koszami fig i winogron. Kiedy przygrzało pierwsze wiosenne słońce i śniegi na traktach zaczynały topnieć, z południowych zboczy Monti Serpillini rok w rok zbiegały hordy dzikich, monstrualnych plemion, potomków demonów. Wschodnie wichry, jeśli pochwytyły nieostrożnych na głębokim morzu, rwały żagle rybaków i popychały na podmorskie skały ich małe, bezbronne statki. Askalon zaś nieodmiennie słynął ze swoich magów.

Niegdyś zasobna republika kupiecka, znana z błękitnego szkła, purpurowego barwnika i suszonych dorszy, podczas Guerre dei Gierofanti podupadła niezmiernie i straciła na znaczeniu. Senat Askalonu nie opowiedział się po żadnej ze stron, ufny w bogactwo miasta, jego dumną flotę i potężne, cyklopowe mury, które broniły go przed nieprzyjacielem. Nie docenił wszakże furii rozsierdzonych magów. Po jednej z bitew, które spustoszyły tę część Costa dei Gabbiani, brzeg cofnął się dobre dwa stajania w głąb morza. Z czasem magiczne wichry ustały i pył opadł, ale przy pogruchotanym nabrzeżu portu długo tkwiły pękate buzza i kupieckie cocci. Smród gnijących wodorostów mieszał się z wonią butwiejących kadłubów, których nigdy już nie udało się zepchnąć na wodę.

Potem przyszła zaraza. Morowe powietrze znad portu opadło na rybackie dzielnice, przytulone do muru miejskiego i stłoczone u podnóża portowej latarni. Śmierć przychodziła szybko i we śnie, jakby miłosierny Pan postanowił dokończyć dzieła demonów. Rybacy nie próbowali uciekać. Za zamkniętymi drzwiami chatek z jasnego łupku wyczekiwali tego, co nieuniknione. O świcie kobiety w czarnych żałobnych szatach przemykały się do studni i odchodziły pospiesznie, ze wzrokiem ku ziemi, by nie napotkać spojrzeń sąsiadek. Nocami z opus-

toszałych domostw dobiegał płacz dzieci i gasł bez śladu, zanim się rozwidniło. Wreszcie wszystko ucichło. Tylko wiatr kołysał rozwieszonymi na drągach sieciami, aż zetlały na słońcu i rozpadły się wniwecz, a morskie ptaki kołowały nad niegdysiejszym portem, krzyżąc z zadziwienia i smutku nad upadkiem Askalonu. Na koniec w nadbrzeżnej dzielnicy pozostały jedynie duchy i obłąkany kapitan portu. Jednak przed zimą i on powiesił się na koronie latarni, skąd niegdyś witano nadpływające statki i światłem wskazywano im drogę.

W obliczu owej katastrofy Askalon jakby skupił się w sobie i cofnął na zachód, ku górującemu nad miastem Monastero del Sole, gdzie mnisi w szarych szatach śpiewali na chwałę Najwyższego. Jedni wierzyli, że dźwięk dzwonów uchroni ich przed morowym powietrzem. Drudzy chcieli zapomnieć o spadzistej skale nabrzeża, która opadała ku bezkresnej przestrzeni, pełnej wyschłego mułu i gnijących alg - zupełnie jakby nie mieli jej oglądać do końca swoich dni, odcisniętej nieodwracalnie na wewnętrznej stronie ich powiek. Jeszcze inni z zapałem skorzystali z nieszczęścia ziomków, przenosząc się do opuszczonych kupieckich siedzib, a wiele pozostało ich w Wysokim Mieście po tym, jak najbogatsi obywatele spakowali resztki majątku na wozy i wyruszyli z przeklętego miasta na zachód w poszukiwaniu lepszej odmiany losu.

Zaraza nie zlekka się jednak bicia dzwonów ani pokutnych procesji, które po wielokroć obchodziły mury miejskie. Nie pomógł również mag sprowadzony przez niedobitki senatu aż z północnych księstw, gdzie wciąż celebrowano resztki pradawnej wiedzy hierofantów. Pokiwał głową nad ruinami portu, wymamrotał kilka zaklęć, ale tylko wichur podniósł się po nich znad rumowiska okrętów, połamał resztki falochronów i na nowo rozniósł nasiona zarazy po Wysokim Mieście. Czarnoksiężnika przegnano bez zapłaty, a rychło po nim, przed porą jesiennych wichrów, odjechali nieliczni ocalali kupcy i co zasobniejsi rzemieślnicy.

Najubożsi jednak i najbardziej uparci pozostali. Nie wypędziły ich ani dotkliwy chłód zimowych miesięcy, ani napady grabieżców, którzy rabowali majątek zmarłych, ani niedostatek, który nastał z wiosną. Nie byli wszakże liczni i na wiele lat życie w Askalonie skupiło się pomiędzy Porta dei Grifoni, Monastero del Sole, Palazzo Forti, siedzibą senatu oraz ruinami Torre delle Candele, w której niegdyś mieściła się miejska zbrojownia. Wszystko to stanowiło niewielki czworobok, zaledwie kilka wąskich uliczek wybrukowanych kamieniami wokół Piazza della Fontana Rossa.

Wędrowcy, którzy zawitali do Askalonu - co nie zdarzało się często, gdyż po Guerre dei Gierofanti trakty niepostrzeżenie odsunęły się od miasta i zarosły piołunem - z zadumą przy-

glądali się cyklopowym muirom, wysokiemu klifowi suchego nabrzeża i rozległej połaci wyludnionego Niskiego Miasta, Citta Bassa. Potem zaś nieodmiennie pytali o magów. Albowiem pomimo wszelkich klęsk i tragedii, Askalon słynął ze swoich czarnoksiężników.

Mieszkańcy przyjmowali wścibstwo przybyszów z pobłażliwością. Bosonodzy chłopcy za kilka miedziaków pokazywali zeszkloną czarną skałę, jedyną pozostałość po palazzo, w którym swego czasu Umberto Nero usiłował zgłębić tajemnicę wiecznego ognia. Potem prowadzili obcych na cypel latarni morskiej, gdzie przy szczątkach falochronu tkwił rząd wapiennych golemów: w jednym z nich ponoć kołacze się dusza Jacopa di Campogrigio, który postanowił osiągnąć nieśmiertelność, na zawsze splatając się z kamieniem i demonem. Na końcu zaś - ku przepastnej wyrwie tuż za Palazzo Ford, powstałej w miejscu, gdzie dawno temu stał Nesso di Lupi, kiedy postanowił sprząc swe demony ze stałą w pojedynczą nić wystarczająco długą, aby dosięgła księżyca, jako że postanowił okiełznać go i ściągnąć na ziemię.

Co tu ukrywać, magowie Askalonu prędzej czy później okazywali się dziwakami i szaleńcami. Owszem, mieli moc: rzadko, kto mógł się równać z ich potęgą. Ale przybywali do dumnej republiki kupieckiej, gdzie nie było żadnego księcia ani innego pana, nie po to, aby nią zawładnąć, lecz aby w spokoju trawić czas na najdziwniejsze eksperymenty. O resztę nie dbali. Powiadano, że kiedy magiczna nawałnica pustoszyła miasto, ówczesny mag Askalonu, niepomny na zagładę współziomków, tkwił w swej wieży, wyliczając trajektorie lotów błyskawic, które miały strzaskać górską grań i obrobić ją w kształt jego twarzy. Nie oderwał się od obliczeń nawet wtedy, gdy wieża zaczęła trząść się i pękać pod naporem magicznych wichrów, ani wówczas, gdy upadła z łoskotem, grzebiąc go w rumowisku.

Tacy właśnie byli magowie z Askalonu. Ich dumne zamierzenia sięgały poza sferę nieruchomych gwiazd, lecz zaklęcia ustawicznie szły na opak. Ostatecznie popadali we władzę własnych demonów albo pochłaniała ich zawierucha rozpętanej magii. Ale właśnie ostatni z nich miał stawić czoło całej potężnej armii Arimaspi, którzy przepłynęli morze na okrętach o szkarłatnych żaglach, aby bezpowrotnie zniszczyć Półwysep.

* * *

Na Półwyspie od dawna z lękiem i nienawiścią wypowiedano miano Arimaspi. Przed wiekami rybacy przynieśli wieści o przybyszach z pustyni o twarzach zasłoniętych szkarłatnymi zawojami, którzy w kilkanaście lat podbili wszystkie nabrzeżne księstwa. Wraz z wojownikami nadciągnęli mnisi w niewyprawionych skórach wielbłądów. Ich wiara była jak suchy pustynny wicher, co podnosi się znad piasków kurzawą i tnie ciało aż do kości.

Spośród wszystkich ludów mnisi najbardziej nienawidzili mieszkańców Półwyspu i nazywali ich czcicielami demonów. Uciekinierzy opowiadali o wielkich okrętach, które budowali szkutnicy mistrzowie dawnych książąt, obróceni przez Arimaspi w niewolników. Jednak jeźdźcy z pustyni nie znali morza, jego wirów, wichrów, zmiennych prądów i podstępnych raf albo też, jak mówiono później na Półwyspie, morze rozpoznało ich nikczemność i uniosło w otchłań, podobnie jak fale zbierają z brzegu jasny pustynny piasek. Cała flotylla zatonała, zanim jeszcze na horyzoncie pojawiły się szczyty Isola di Tutti Venti, i żaden z najeźdźców nie postawił stopy na ziemi, którą władali książęta-magowie. Ale nienawiść Arimaspi nie wygasła. Przeciwnie, rozgorzała jeszcze bardziej za przyczyną owej niewyobrażalnej klęski.

Za życia trzech następnych pokoleń derwisze nie przestawali przeklinać czcicieli demonów, a także ich książąt, którzy byli ziemskim wcieleniem wszelkiego zła i zaklęli morskie fale, aby wygubiły prawdziwych wiernych. Tymczasem jeźdźcy w szkarłatnych zawojach wrastali głębiej i głębiej w pas żyznej ziemi pomiędzy niezmierną pustynią i wielką wodą, aż w końcu z ludzi rozpalonego piasku stali się ludźmi wybrzeża, rolnikami, hodowcami ziarna i rybakami. Z czasem coraz dalej wyprawiali się na morze w swych łódkach o żaglach barwionych koszenilą, ich przywódcy zaś coraz śmielej mówili o nowej wyprawie na Półwysep. Wspomnienie dawnej klęski przyblakło, a naczelnicy szczepów, choć zdążyli obrosnąć w bogactwa i splendory, z rozrzewnieniem wspominali czasy niegdysiejszych podbojów. Wreszcie, złaknieni nowych ziem i wojennej sławy, a także podburzeni słowami mnichów, którzy wyrzucali im tchórzostwo i opieszałość w służbie Jedynemu, ogłosili nową świętą wyprawę.

Tym razem szczęśliwie przepłynęli morze i obie armie spotkały się nieco na północ od Brionii, w zatoce, którą później nazwano Golfo delle Lacrime, Zatoką Łez. Dniało i poranne słońce barwiło fale na kolor krwi, a purpurowe żagle okrętów Arimaspi zdawały się przesłaniać niebo. Magowie Półwyspu - a raczej ci spośród nich, którzy postanowili przybyć na wezwanie księcia Brionii i stawić czoło najeźdźcom - stali na wysokim skalnym urwisku w swych szatach koloru ultramaryny. Było ich niewielu, zaledwie tuzin, i żaden z nich umiejętnościami nie

dorównywał gospodarzowi. Choć starali się to ukrywać, sama jego bliskość wprawiała ich w niepokój.

O potędze Severa krążyły na Półwyspie legendy: wszak żył po wielokroć dłużej niż zwyczajny śmiertelnik, a jego demony od wieku bez litości pustoszyły ziemie każdego, kto odrzucał zwierzchnictwo Brionii. W portowych tawernach szeptano z lękiem, że był opętany, że w zamian za nieśmiertelność wydał swoją duszę na pastwę demonów. Jednym z nich miała być jego małżonka, Arachne, która nieodmiennie towarzyszyła mu od dziesięcioleci, wciąż młoda i pełna wdzięku. Oczywiście uczeni magowie byli ponad owe przesady i strachy. Jednak i oni z drżeniem spoglądali na niewzruszoną, milczącą kobietę, która w białym płaszczu stała u boku Severa. Wicher szarpał jej rude włosy, a oczy, błękitne od magii, nieruchomo wpatrywały się w dal.

Severo pierwszy oderwał wzrok od nadciągającej flotylli i odwrócił się do towarzyszy.

- Odejdźcie teraz - rzekł cicho.

Wiatr unióśł jego słowa i zrazu wydało im się, że źle go zrozumieli. Gapili się tylko w oszołomieniu.

- Wezwałem was jedynie, żebyście to zobaczyli - książę-mag Brionii powiódł dłonią, wskazując na gęstwą szkarłatnych żagli. - Żebyście mogli dać świadectwo.

- Panie... - przemówił z wahaniem młody mag z południa; miał czarne włosy, kręcone jak sierść kozła i od trzech lat szykował w nadmorskich grotach powstanie przeciwko władzy Severa.

- Dosyć, Baldassarre. - Severo nie unióśł nawet głosu, lecz tamten cofnął się o krok. - Przez całe moje życie zmierzałem ku temu miejscu. Ku tej jednej bitwie. I nie pozwolę jej sobie teraz odebrać. Nie po wszystkim, co utraciłem.

Arachne przysunęła się bliżej i położyła dłoń na ramieniu męża. Jej delikatna, wąska twarz, od wielu lat wysławiana przez poetów i minstreli, była spokojna i nie wyrażała zupełnie niczego. Może, dlatego Baldassarre przemówił ponownie, choć magowie z rzadka ulegali urokom kobiet. Na Półwyspie wciąż pamiętano historię przeklętej Sirocco.

- Pozwól więc, że odprowadzimy w bezpieczne miejsce twoją panią.

Małżonka maga wybuchła ostrym, suchym śmiechem.

- Jeśli on umrze - powiedziała głosem, który zabrzmiał w ich uszach jak krakanie kruka - moja będzie pomsta.

- Wszystkie opowieści muszą dobiec kresu - dodał miękko Severo. - A ta należy tylko do nas dwojga. Zostawcie nas samych.

Każde słowo, każdy gest miały się wkrótce stać legendą.

Młody mag nie opierał się dłużej. Tamci dwoje byli szaleni: może strach przed Arimaspi pomieszał im zmysły. Ale nawet obłąkany, Severo pozostawał zbyt niebezpieczny, aby z nim walczyć i trwonić siły tuż przed napaścią wroga. Dlatego Baldassarre dał znak towarzyszom i magowie cofnęli się za pasmo wzgórz, gdzie zamierzali czekać, aż Severo wezwie ich na pomoc - lub zginie.

Jeśli któryś z nich obejrzał się przez ramię, widział na nadmorskim klifie dwie sylwetki i dwa płaszcze targane podmuchami porannej bryzy. Błękit i biel na tle bezkresnego nieba.

Nikt z nich nie dowiedział się, co wydarzyło się potem.

Na Golfo delle Lacrime opadła zasłona, utkana z piasku, dymu i mroku. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk ani szum fal, ani wycie wichru. Przez wiele godzin, aż do zmierzchu, magowie próbowali ją rozproszyć lub choćby przeniknąć wzrokiem. Na darmo. Rozpoznawali w tej przeszkodzie ślad magii Severa i jeszcze coś, zaklęcia tak subtelne i obce, że wydawały się niemożliwe. Ale nie umieli ich sforsować. Wreszcie po zmierzchu zasłona rozwiąła się niczym tuman mgły i oczom magów ukazało się skalne rumowisko, a niżej, w płyciźnie, las połamanych żagli oraz pogruchotanych okrętów.

Wody zatoki przybrały barwę gęstej purpury.

Spośród Arimaspi nie uchował się ani jeden żywy świadek klęski. Przepadli bez śladu w wodach Golfo delle Lacrime. Dopiero z czasem szpiedzy zdołali poznać los wyprawy i strach padł na dawnych jeźdźców pustyni. Klęska była tak dotkliwa, a pamięć o złowieszczej potędze magów Półwyspu tak dojmująca, że przez wiele lat nawet mnisi w wielbłądzich skórkach nie śmieli napomykać o nowej wojnie - któż, bowiem mógłby się równać z mocą czcicieli demonów, skoro jeden z nich wystarczył, aby uśmiercić olbrzymią armię?

Tymczasem po śmierci ostatniego maga Brionii na Półwyspie Guerre dei Gierofanti rozgorzały walki. Czarnoksiężnicy wyrzynali się nawzajem, książęta ginęli za przyczyną magii, trucizny i sztyletu, a zwykli śmiertelnicy umierali na progach domów, nie rozumiejąc nawet przyczyny swej śmierci i nie znając imion swych zabójców. W zamęcie, który ogarnął Półwysep, zapomniano o szkarłatnych żaglach Arimaspi. Mijały lata i dekady. Najpotężniejsi z magów wyginęli lub odeszli na wygnanie, a ich starożytna sztuka podupadła. W klasztorach na północy

nie śledzono już orbit planet ani torów demonów. Nie wyszukiwano nowych zaklęć, a stare padały w niepamięć. Zakony, które niegdyś stały wiernie u boku książąt-magów, zwróciły się ku ascezie i powszechnie odrzucały zakazaną wiedzę. Potężni opaci przyjmowali pod opiekę okoliczne wioski i miasteczka, a z czasem wokół klasztorów powstały udzielne władztwa. Z kolei na zachodzie świeccy kondotierzy budowali nowe księstwa. Spustoszona kraina powoli wracała do nowego życia.

I wtedy właśnie Arimaspi postanowili uderzyć ponownie.

Tym razem prowadził ich jeden władca - szachinszach, ten, który panuje nad wszystkimi innymi - a mnisi w wielbłądzich skórach głosili, że został wybrany i pobłogosławiony, aby ostatecznie wygubić czcicieli demonów. Na Półwyspie długo łudzono się, że morze, jak niegdyś, pochłonie okręty nieprzyjaciół. Tak się jednak nie stało. Flotylla wylądowała szczęśliwie na południowym cyplu, nieopodal Abisso delle Ondine, i nie znalazł się mag dość potężny, aby w tym przeszkodzić. Pomniejsi czarnoksiężnicy zaryglowali się w swoich wieżach, pałacach i zamkach, chcąc pod osłoną magii w spokoju przeczekać inwazję. Niebawem jednak miało się okazać, że żadne zaklęcia nie zapewnią im bezpieczeństwa.

Kiedy armia szachinszacha stanęła pod murami pierwszego miasta - a było to Lenzio, otoczone winnicami i pełne cienistych piwnic, w których dojrzewało słodkie wino - heroldzi Arimaspi stanęli przed bramą i obwieścili, że jest wolą ich pana, aby mag dobrowolnie wyszedł mu na spotkanie, ukorzył się i wyrzekł obmierzłych praktyk, a wówczas życie innych mieszkańców zostanie oszczędzone. Oczywiście czarnoksiężnik ani myślał usłuchać. Kiedy współziomkowie pytali go, czy nie lepiej zdać się na litość wroga niż próbować beznadziejnej obrony, odparł, że nie zamierza umierać za ich wrzaskliwe bachory, małżonki o tłustych zadach, kramy bławatne, podziemia pełne beczek z moszczem, lektyki wykładane aksamitnymi poduszkami i kamienice o fasadach z kremowego marmuru.

- Niech się każdy ratuje wedle swej wiedzy i przezorności - rzekł mag i mieszczanie odeszli jak niepyszni.

A następnego poranka Arimaspi uderzyli.

Wojsko opasało Lenzio ciasnym pierścieniem i argusi - magiczni strażnicy o potrójnej źrenicy, uczynieni przez magów z ludzkiego ciała i esencji demona - którzy wypatrywali wroga z czterech bastionów miasta, mogli dokładnie policzyć strzały w kołczanach łuczników i klejnoty zdobiące turbany przybocznych szachinszacha. Szturm jednak nie nastąpił. Zamiast tego spo-

między szeregów Arimaspi znów wyszli heroldzi. W dłoniach trzymali trąby, długie, pozłociste i zawinięte na końcu, a kiedy w nie zadęli, rozległ się dźwięk, jakiego wcześniej nie słyszano na Półwyspie. Ci, którzy stali najbliżej, padali na ziemię, na próżno usiłując zasłonić uszy, z nosów i ust buchała im jasna krew. W chwilę później potężne, granitowe mury Lenzio zaczęły wibrować i drżeć pod stopami mieszkańców miasta. Trąby Arimaspi zagrzmiały jeszcze donośniej. Ich głos przeniknął do wnętrza głązów i olbrzymie ciosy skalne jęły rozpadać się i osypywać jak piasek, grzebiąc niezliczonych obrońców.

Rzeź miasta trwała aż do zmierzchu: wybito wszystkich, którzy nie przyjęli wiary Arimaspi. Kiedy dobiegła kresu, szachinszach wjechał do Lenzio pomiędzy dwoma zwałami pyłu rozwiewanego już na wszystkie strony przez wiatr. Większość budynków legła w gruzach, choć nie ucierpiały od głosu trąb tak dalece, jak mury. Jedynie wieżyca maga wznosiła się dumnie pośród zrujnowanego miasta, spowita winoroślą i pędami niewidocznych zaklęć. I przed nią właśnie Arimaspi spędzili w ciżbę nielicznych ocalonych.

Władca Arimaspi podjechał powoli do wieży - kopyta jego białego rumaka stukotały cicho po resztkach bruku - po czym dobył miecza i uderzył jeden raz w spiżowe wrota. Każda ich wypukłość, każdy relief i ozdoba była hartowana zaklęciami i wzmocniona demonami w służbie maga. Jednak metal wierzei rozdarł się pod ostrzem miecza jak pergamin. Szachinszach dał znak. Czterech przybocznych znikło w mrocznym wnętrzu wieży i po chwili wróciło, wlokąc czarnoksiężnika. Mag opierał się, wierzgał i wykrzykiwał plugawe klątwy, ale czerwony nos i poplamiona winem szata nie dodawały mu dostojności. W uścisku wojowników wyglądał jak zwyczajny chuderlawy staruszek i żadne demony nie sfrunęły z nieba, aby zetrzeć w proch jego nieprzyjaciół.

Przekleństwa maga jeszcze moment rozbrzmiewały wśród ruin, które kiedyś były pałacami dumnych patrycjuszy Lenzio - ich właściciele w większej części już nie żyli - zanim miecz szachinszacha opadł po raz drugi. Głowa czarnoksiężnika potoczyła się po suchym pyle, znacząc go gęstą barwą purpury. Martwe oczy zamrugały, jakby w zdumieniu, a usta poruszyły się nieznacznie, może w próbie dokończenia zaklęcia, i ustały. Wojownik Arimaspi niedbale trącił głowę czubkiem buta o zakręconym nosku i uniósł ją do góry za włosy, aby wszyscy mogli dobrze poznać los czarnoksiężnika. Wtedy szachinszach przemówił. Z jego ostrza wciąż skapywały drobne krople krwi.

- Przynoszę wam nagi miecz - rzekł. - Miecz pomsty i kary, posłano mnie, bowiem, abym stał nieprawość z oblicza tej ziemi. Ani pomiędzy ludźmi, ani na niebie nie ma takiej potęgi, która zdoła mnie powstrzymać, póki nie odnajdę i nie uśmiercę ostatniego z czarnoksiężników. Po to mnie posłano i dlatego daruję wam życie...

Pomiędzy jeńcami rozeszły się szmery zdumienia, jako że nie spodziewali się podobnej łaskawości. Ale zaraz Arimaspi dobyli biczu ze skóry nosorożca i nie szczędzili razów, póki wszyscy znów nie ucichli.

Szachinszach uniósł dłoń na znak, że będzie mówił dalej.

- Widzieliście, że żadne zakłęcie, żadne mury nie mogą ich przede mną ochronić. Nie ma też takiego miejsca, gdzie zdołaliby się ukryć. Zabiję ich jednego po drugim, jak zostało przesądzone i obiecane. Zabiję też każdego, kto użyczy im dachu czy chleba. Wam pozwolę odejść, ale jeśli jeszcze któreś miasto nie otworzy przede mną bram, nie dozna więcej litości. Siedziby czcicieli demonów zostaną zburzone, ich dobytek strawi ogień, ich dzieci staną się niewolnikami, oni zaś sami zginą nędznie i w męczarniach. Roznieście tę wieść aż po najdalsze krańce Półwyspu. I powtórzcie jeszcze jedną rzecz, przeznaczoną dla uszu waszych czarnoksiężników. - Szkarłatna zasłona szczelnie okrywała jego twarz, ale w głosie pojawiło się sztyderstwo. - Gdyby ktoś z nich miał dość odwagi i chęci, niech z własnej woli wyjdzie mi na spotkanie, a pod jasnym niebem przekonamy się, który z nas jest potężniejszy. Tyle winniście zapamiętać. A teraz idźcie precz!

Wojownicy znów rozwinęli biczu i przerażeni mieszkańcy runęli na oślep ku wyrwie w piaskowym wale, która o poranku była bramą dumnego Lenzio.

Podczas kolejnych trzech tygodni Arimaspi rozlali się po wybrzeżu Półwyspu niczym szkarłatna fala, pochłaniając kolejno siedem marmurowych miast. Trzy z nich próbowały obrony i podzieliły los Lenzio. U murów dwóch kolejnych armię szachinszacha powitał widok czarnoksiężników przybitych przez pobratymców żelaznymi ćwiekami do bram miejskich. Przyjął to łaskawie, ale zażądał ogromnego trybutu, a każdy z mieszkańców musiał przejść pod nagim mieczem, na znak poddaństwa oraz wyrzeczenia się demonów i wszelkich spraw czarnoksiężników. Dwa ostatnie miasta były od wieków rządzone przez rody książąt-magów. Żaden z nich nie posiadał ani cząstki mocy poprzedników, lecz nie dawali wiary opowieściom o zdumiewającej potędze szachinszacha, który niweczył wszelkie zakłęcia i był odporny na zakusy

demonów. Jak za dawnych czasów stanęli pod murami swych miast, a władca Arimaspi wyjechał im na spotkanie na białym rumaku i z łatwością uciął głowy zakrzywionym mieczem.

Powiadano, że śmiał się, kiedy to czynił. Powiadano też, że ogromnie radował się z ich klęski i gdziekolwiek wyruszał, kazał nieść przed sobą na włóczniach osiem głów czarnoksiężników.

* * *

Magiem Askalonu był w tamtych czasach mistrz Benilde. W mieście nie wiadano, skąd pochodził ani czym się w przeszłości parał. W kilka dni po śmierci poprzedniego czarnoksiężnika nadjechał traktem z zachodu na wózku zaprzężonym w dychawicznego ośła i bez zbędnych słów wprowadził się do pustej wieży. Nikt mu nie przeszkodził. Nawet w najgorszych czasach warto było mieć własnego czarnoksiężnika.

Przez ćwierć wieku po przybyciu do Askalonu mistrz Benilde nie zmienił się nadmiernie. Od początku był człowiekiem wiekowym i przygiętym do ziemi, z czasem zaś wychudł tylko i rysy jego twarzy zaostrzyły się jak u sępa. Z rzadka się odzywał, a zagadnięty, mamrotał jedynie pod nosem. Sam sprzątał swoją wieżę: nie najął żadnej z miejscowych wdów do pomocy w gospodarstwie i w ogóle niechętnie zadawał się z kobietami, stąd kumoszki u studni gadały czasem z urazą, że skrywa w swym czarnoksiężskim obejściu nie wiedzieć jak plugawe tajemnice.

O poranku mistrz Benilde nieodmiennie pojawiał się w swoim kramie na rynku przed Palazzo Forti. Rozkładał flakoniki, tygle i miseczki z najdziwniejszymi ingrediencjami, rozwieszał pęki \ ziół, które napełniały powietrze osobliwym aromatem, owijał się zetłałym błękitnym płaszczem i zapadał w drzemkę. Nie miał wielu klientów, więc z rzadka tylko udawało mu się zakryć miedziami dno w drewnianej czarce, gdzie wrzucał zarobek, ale też w Askalonie wszystkim żyło się ubogo. Koło południa zaciągał w kramie zasłony i w skupieniu opróżniał miskę flaków z fasolą, przyniesioną przez głuchoniemego chłopaka od matki Bonacety, szynkarzi. Kiedy niebo zaczynało ciemnieć, pakował swoje wyroby na niewielki wózek i z wysiłkiem ciągnął go ku wieży. Po zmierzchu nikt go nie oglądał. Słowem, wiódł życie obyczajne, pracowite i skromne. Niemal bogobojne. Nie oszukiwał na wadze, nie wikłał się w miejskie spory, nie uwodził cudzych żon i nie napastował młodych chłopców. Mieszkańcy Askalonu bardzo go so-

bie chwalili, a kilku zacnych obywateli liczyło skrycie, że sędziwy mistrz przyjmie ich synów do terminu. No, wprawdzie nie bywał w świątyni, lecz nikt nie śmiał tego po czarnoksiężniku oczekiwać.

Monastero del Sole zawiadywał podówczas fra Gioele. Prócz niego w klasztorze pozostało zaledwie sześciu mnichów o twarzach pobrużdżonych jak wiekowe kamienie, z których wzniesiono opactwo. Wciąż jednak wystarczało im siły, by o poranku rozkołysać wielki dzwon na wieży i - jak w czasach świetności Askalonu - witać jego biciem wschodzące słońce, znak Pańskiej łaski. W niedzielę zaś mnisi szeroko otwierali drewniane - gdyż przepiękne spiżowe wrota zrabowano dawno temu - wierzaje klasztornej kaplicy, a fra Gioele wspinał się wokół filaru po kręconych schodkach, rześko postukując cisową laską i mamrocząc pod nosem w roz-targnieniu. Ale kiedy w końcu stanął w maleńkiej kazalnicy w kształcie konchy małża, jego wzrok wyostrzał się nagle. Choć większość czasu spędzał za murami klasztoru, czy to przeglądając listy zimowych zapasów, czy pieląc grządki w ogrodzie, fra Gioele jak nikt inny znał sprawy mieszkańców Askalonu. Był człowiekiem niezmiernie łagodnym i pełnym namysłu, lecz nawet najbutniejsi spośród miejskich rzezimieszków zwieszali pokornie głowy pod spojrzeniem jego bystrych, szarych oczu. Kochano go jednak powszechnie i niezmiernie szanowano - także za to, że nie opuścił zdruzgotanego Askalonu, choć były zasobniejsze miasta i klasztory bardziej obfite w ziemskie bogactwa.

Po skończonym nabożeństwie fra Gioele wygładzał płótna na ołtarzu, zdejmował odświętną szatę, burą i bezkształtną, gdyż srebrne nici, którymi ją ozdobiono, pokruszyły się z czasem i zaśniedziały, po czym zamykał wielkim kluczem wewnętrzną część kaplicy i wzdłuż klasztornej ściany schodził w dół, do tawerny starej Bonacety. Mistrz Benilde zwykle już czekał. Latem przysiadali na wewnętrznym dziedzińcu, osłoniętym winoroślą i różanymi krzewami, zimą zaś za przepierzeniem we wspólnej izbie. Alchemik zamawiał dzban porzeczkowego wina, mnich pykał fajkę. Mieszkańcy Askalonu, początkowo nieco zdumieni ich dziwną komi-tywą, przywykli z czasem do widoku dwóch starców, tak samo wysuszonych wiekiem i odzi-anych w bliźniacze zgrzebne płaszcze. Ci zaś siedzieli w milczeniu, póki zachodzące słońce nie powlokło czerwienią ścian Palazzo Forti.

Tego dnia jednak fra Gioele pojawił się wcześniej, niż miał we zwyczaju, a gromkie postukiwanie jego laseczki z daleka obwieszczało, że humor mu nie dopisuje. Wszedł z zasępioną

twarzą, ledwie odpowiedział na pozdrowienie gospodyni, która, zdumiona, upuściła patroszoną rybę do kubła z wnętrznościami. Alchemik podsunął braciszкови kubek wina.

- Sirocco trzeci dzień wieje - rzucił w przestrzeń - i niesie niepokój.

- Nie gańcie niepotrzebnie wichru! - skarcił go fra Gioele. - Ludzie głupi, ot, co!

Mistrz nic nie odpowiedział. Czekał, aż mnich uspokoi się nieco.

- Słyszeliście, że onegdaj pomarła matka Natalina? - podjął opat.

Alchemik skinął głową.

- Zatem pewnie i o tym słyszeliście, że ledwie dychającą sąsiedzi ułożyli ją na drzwiach, wynieśli daleko za mury na skonanie?

- Ano, zwyczajnie, jak się czyni ze stregą.

Mnich sapnął przez nos z irytacji.

- Chcieli rozgrabić jej dobytek i tyle. A że była stara, uboga i samotna, nikt się za nią nie ujął i nie ukrócił bezprawia.

- Owszem, była uboga i samotna. - Alchemik złożył dłonie na krawędzi stołu. - Ale też parała się magią i sprowadzała na ludzi demony, a one, jeśli raz skosztują czyjejs krwi, powracają po niego w godzinie śmierci. Nic dziwnego, że się sąsiedzi zlekli, aby i oni nie ucierpieli, kiedy nadlecą po duszę starej.

- Brednie! - Fra Gioele uderzył kubkiem w ławę. - Nikt nie jest władny odebrać nieśmiertelnej duszy, żaden demon ni człowiek, bo nie oni ją dają i nie od nich pochodzi. Błądzi, kto twierdzi inaczej, myli się okrutnie.

Mistrz Benilde spowaźniał.

- Jak wam się zdaje, ojczy, dlaczego magowie, nawet najpotężniejsi, ci z dawnych czasów, stronili od magii krwi? Dlaczego trawili czas na żmudnych obliczeniach, na przeszukiwaniu starych ksiąg, skoro obok istniała łatwiejsza ścieżka, ścieżka wiedźm? Wszak wystarczyło utoczyć kilka kropel krwi, by demony zbiegły się jak kocięta do mleka, gotowe spełniać wszelkie życzenia.

- Nie mamcie mnie, mistrzu Benilde. - Fra Gioele pokiwał głową. - W istocie niewiele was różni od streg, oj, niewiele. Szczycicie się swoją sztuką, choć niejedyn z tych dawnych mistrzów nie wzdragał się przelać krwi własnego dziecięcia, aby choć trochę przedłużyć nikczemne bytowanie. A i czarną posoką potrafiliście poić swoje czary, czego widocznym dowodem jest most nad Abisso delle Ondine i wiele jeszcze innych rzeczy.

- Mylisz się, ojcze - odparł czarnoksiężnik. - Owszem, zdarza się, że utrwalamy krwią czary, ale nie plugawimy się, dobrowolnie oddając esencję swego życia demonom. Nie zawieramy z nimi paktów, tylko wiedzą i sztuką naginamy je do własnej woli...

- Wszystko to z pychy - przerwał mnich. - Z nieokiełznanej, przemożnej próżności, która każe sięgać dalej, niż należy. Nie uczyniono nas władcami demonów, ich zaś nie przypisano do naszego świata. Gdyby zamysł Pana był inny, chadzałyby po ziemi niczym zwierzęta. Ale naznaczono im własną domenę pomiędzy gwiazdami i tam powinny pozostać. Sztuka czarnoksiężników jest pogwałceniem porządku świata. I kiedyś przyjdzie wam, magom, okrutnie za to zapłacić.

Alchemik ze spokojem wysłuchał tyrady: toczyli ten spór wystarczająco długo, by zaciętrzewienie wygasło, zastąpione przez melancholijną pewność, że żaden z nich nie przekona drugiego.

- Pycha nie ma nic do rzeczy - odezwał się w końcu. - Strach nie rodzi się z nadmiernej dumy, tylko z wiedzy. Ze znajomości natury demonów, które są podstępne ponad wyobrażenie i nieprzychylnie śmiertelnikom. Także tym, z którymi zawarły pakt przypieczętowany krwią. Bo nie jest prawdą, że demony można obłaskawić kilkoma kroplami posoki. Zawsze zwrócą się przeciwko swoim panom. Zawsze. Dlatego właśnie musimy je chwycić i wiązać materią. I dlatego też ludzie wolą wynieść konającą stregę na pustkowie. Nie chcą, by demony dopadły kogokolwiek prócz niej, kiedy powrócą po swoją zapłatę.

- To była tylko stara kobieta - rzekł powoli mnich. - Wprawdzie zdziwaczała i rozum się jej lekko pomieszał ze starości, ale zwyczajna stara kobieta, która utraciła wszystkich podczas zarazy. A oni - potoczył ręką po wnętrzu tawerny, gdzie z wolna zaczynali się schodzić mężczyźni - wywlekli ją z ostatniej pościeli i porzucili na wzgórzach jak dzikie zwierzę. Gdybym tylko wiedział...

- Nie usłuchaliby was, ojcze. Znadto się boją demonów. Wasz Pan jest daleko. Demony każdej nocy krążą nad ich dachami.

Fra Gioele zadumał się.

- Cóż to za ułomność natury ludzkiej, że wolimy zmieniać duchy ponadksiężycowego świata w ułomne monstra, nienawidzące naszego rodzaju, potem zaś, na łożu śmierci, krzyczymy ze strachu przed nimi.

Mistrz Benilde uniósł głowę znad dzbana z winem, a jego twarz spochmurniała.

- Z rzadka opowiadamy tę historię, ale choć raz słyszał ją każdy czarnoksiężnik Półwyspu - zaczął z namysłem. - Był niegdyś mag o imieniu Celio, który jak wy pragnął dojrzeć w demonach coś więcej niż nasienie zniszczenia. Pochodził ze starożytnego rodu i odziedziczył po ojcu miasto, niewielkie, lecz zasobne, obwarowane mocnymi murami i pełne starożytnej magii, jako że każde pokolenie władców dorzucało coś do jego wspaniałości, wplatając kolejne demony w kształt pałaców, parków oraz akweduktów i pętając je na zawsze własną krwią. Kiedy Celio po śmierci ojca przywdział książęcą koronę, wszyscy spodziewali się, że obróci swój kunszt na pożytek miasta i korzyść współmieszkańców. Tak się jednak nie stało. Skoro tylko minął czas żałoby, Celio obwieścił zdumionym mieszkańcom, że pragnie wyrzec się wszelkiej magii i wyzwolić spętane przez przodków demony.

- Może był po prostu zacnym człowiekiem - zauważył kąśliwie fra Gioele.

- Nieżyczliwi powiadali, że pragnął zostać mnichem - odparł z leciutkim uśmiechem mag - lecz ojciec pod karą topora zakazał mu przyjęcia zakonnych szat. Na pewno jednak przychylił ucha szarym braciszkom i oni nakłonili go do tak szalonego pomysłu. Daremnie poddani i matka błagali go o namysł, przedkładając, że pozbawiwszy miasto wszelkiej obrony, w istocie wystawi je na pastwę innych magów. Celio trwał w swoim uporze nawet wówczas, kiedy się okazało, że niektóre z zaklęć, wiążących demony, były tak starożytne, że nie dało się ich już odtworzyć.

- Ha! - mruknął pod nosem fra Gioele. - A więc jednak te zaklęcia można odwrócić pomimo śmierci maga.

- Zawsze znajdują się głupcy, którzy będą usiłovali tego dokonać - przyznał obojętnie mag. - O ile mi wiadomo, żadnemu się nie powiodło i Celio nie był w tym wyjątkiem. Ale uczynił coś, czego nie próbował przed nim żaden mag. Wbrew wszelkim ostrzeżeniom nakarmił demony własną krwią i przekazał im swoją moc, aby napojone do syta mogły odlecieć z podksiężycowego świata. Kiedy dokończył dzieła, wyrzekł się wszystkiego, co mu pozostało, wyruszył z miasta na pustkowie i pod obcym imieniem został pustelnikiem.

- Godne dopełnienie litościwego czynu - skwitował mnich.

- Gdyby został, dawni poddani rozszarpaliby go na strzępy, bo litościwy czyn Celia sprowadził na nich ubóstwo, strach i na końcu niewolę, gdy po upadku cyklopowych murów, niegdyś podtrzymywanych przez demony, sąsiedni władca złupił miasto, a mieszkańcom narzucił ciężki haracz. Nie w tym jednak rzecz. Celio zaszył się na jałowych skałach nieopodal Golfo delle Lacrime, gdzie pokutował żarliwie, prosząc o wybaczenie za niegdyśjsze czary. Rychło

otoczyła go sława niezmierniej pobożności i rybacy przyplływali do niego z całej okolicy, aby pobłogosławić ich sieci. Także, kiedy zapadł na zdrowiu, wielu ludzi ściągnęło do jego grotty, by być świadkami odejścia świątobliwego starca. Srodze się zawiedli. Skoro tylko zamknął oczy, demony nadleciały z wysokiego nieba po jego duszę i rozerwały wszystkich, którzy pozostali przy Celiu.

Mnich, dotąd słuchający uważnie, wyprostował się na krześle i bystro popatrzył na czarnoksiężnika.

- Niejedną taką bajkę słyszałem w klasztorze - rzekł. - Ludzie wciąż przychodzą narzekać, że demon kozę z pastwiska porwał, sieci poszarpał albo dziecię zniweczył w kobiecym łonie. Zanadtośmy skłonni normalną rzeczy kolej albo i nasze błędy tłumaczyć niegodziwością demonów.

- Nie chcecie, tedy nie wiercie. - Czarnoksiężnik wzruszył ramionami. - Wasza rzecz, czy chcecie ufać demonom. Z nimi nie można zawrzeć paktu, są przewrotne i nikczemne z samej swojej natury.

- Nigdy żadnego nie spotkałem na swojej drodze. I pewnie tak pozostanie, bo od dawna nowy mag nie zawitał na nasze odludzie, a wyście, mistrzu, zbyt mądrzy, by ściągać na nas zgubę.

Wprawdzie nie wierzył, aby mistrz Benilde zdołał przywołać prawdziwego demona, ale nie chciał sprawić mu przykrości i nie powiedział tego głośno.

Alchemik odchrząknął, czyszcząc gardło.

- Po co miałbym to uczynić? - burknął, zupełnie jakby wyczuł myśli mnicha. - Żeby, jakoście mówili, kozę zaginioną odnaleźć albo ryby do sieci zaganiać? Nie, na takim odludziu żyjemy, że nam ani demony, ani inne grozy niestraszne.

W dziesięć dni później pod murami Askalonu stanęli Arimaspi.

* * *

Wiść o najeździe Arimaspi dotarła już wcześniej do miasta wraz z wędrownym przekupniem, lecz nie wzbudziła lęku. Owszem, litowano się nad losem zdobytych miast i mieszkańców, wymordowanych albo sprzedanych w niewolę, nikt wszakże nie spodziewał się, aby

najeźdźcy zapędzili się w tę okolicę: drogi do Askalonu zarosły zielskiem, a w obrębie murów nie pozostało wiele do zrabowania.

- Choć raz odniesiemy korzyść z tego, że hierofanci spustoszyli Askalon i złupili całe bogactwo. Przynajmniej Arimaspi nie będą mieli, czego tu szukać - powiedziała przy studni matka Bonaceta, a inne kobiety zgodziły się z jej opinią.

Życie potoczyło się zwyczajnym torem. W winnicach za południowym murem zebrano ostatnie grona. W spiżarniach wisiały już szynki, kiełbasy, półcie słoniny, wianki czosnku i cebuli, w spichlerzach zaś korce były pełne pszenicy i żyta. Pasterze spędzali stada z najodleglejszych pastwisk i wszystkie pierzyny starannie wywietrzono przed nadejściem deszczów. Dnie stawały się jednak coraz krótsze, a roboty nie ubywało i zapewne, dlatego nikt nie spostrzegł wojska, póki Arimaspi nie wjechali na wzgórze okalające miasto.

Było niedzielne popołudnie i na błoniach trwał festyn. Chłopcy przeciągali linę i gonili się w beczkach, dziewczęta kroiły na stołach drożdżowe ciasto z rodzynkami i pasztet z zajęcy. Kiedy klasztorny dzwon zaczął bić na trwogę, wszyscy na oślep rzucili się do domów i czas jakiś minął, zanim zrozumieli, że nie jest to kolejny pożar. W chaosie, który wybuchł, jakimś cudem udało się zaryglować bramy. Ale w mieście nie pozostało dość ludzi, aby obsadzić mury, niewielu też wiedziało, jak obchodzić się z nędznymi resztkami broni, które znaleziono w starym arsenale.

Na szczęście Arimaspi nie zamierzali szturmować Askalonu, jedynie heroldzi podjechali pod bramę, by wygłosić żądania szachinszacha. Reszta armii rozłożyła się obozem na błoniach. Sięgali po sam horyzont. Czerwień ich szat i namiotów niemal doszczętnie przestoniła zieloną trawę, a kiedy po zmierzchu zapłonęły ogniska, wydawało się, że są ich tysiące. Sam widok odbierał wolę walki i ludziom z Askalonu powoli przypominały się zasłyszane od wędrownego kramarza opowieści o miastach obróconych w ruinę głosem trąb, odrąbanych głowach czarnoksiężników, starcach i dzieciach wymordowanych bez żadnej litości. I zanim na klasztornej wieży wybiła północ, najczcigodniejsi spośród mężów Askalonu zeszli się w klasztornym refektarzu, by prosić fra Gioele o radę i modlitwę.

Opat wysłuchiwał ich ze spokojem, choć w twarzach jego współbraci widać było lęk, szachinszach, bowiem ścigał szarych mnichów z taką samą zjadłością, z jaką prześladował czarnoksiężników.

- Co chcecie, abym dla was uczynił? - zapytał na koniec.

- Szachinszach obiecał, że oszczędzi miasto - powiedział Barnabo, rzeźnik - jeśli wydamy mu czarnoksiężnika. Wszyscy inni zachowają życie i wolność.

- Jeśli ukorzycie się przed nim - sprostował fra Gioele. - I przyjmiecie jego kapłanów.

Rzeźnik przytaknął w milczeniu. Reszta tylko zwiesiła głowy.

- Czy wam nie wstyd? - zachnął się jeden z braci. - Wyrzekając się wiary, wydacie się na wieczne zatracenie.

- Zrozumcie nas, ojcze, mamy żony i dzieci. - Barnabo odwrócił się ku fra Gioele, a jego twarzy widać było zawstydenie i żal. - Nie każcie nam patrzeć, jak ludzie szachinszacha wymordują ich wszystkich. Choćbyśmy chcieli, sami doskonale wiecie, że nie utrzymamy miasta. Nawet w dawnych czasach Askalon nie obroniłby się przed taką armią...

- Może lepiej, aby zginął jeden człowiek, niż aby wszyscy mieli stracić życie - odezwał się nieśmiało Basile, piekarz. - A nikt nam w serca nie zajrzy, aby sprawdzić, w co prawdziwie wierzymy.

- Mistrz Benilde jest stary i od wiosny z każdym dniem słabszy - dodał Toldo, który jako kowal był człowiekiem trzeźwym i nad wyraz praktycznym. - I tak nie pozostało mu wiele czasu.

- Jak i nam, jeśli wejdzie tu armia szachinszacha - wtrącił najstarszy z mnichów. - Pierwsi zginieją na ofiarnych kołach.

- Nie w naszej mocy o tym rozstrzygać - uciął fra Gioele. - Wciąż jednak nie pojmuję, co was sprowadza.

- Alchemik chętnie z wami mówi - mruknął Barnabo. - Nas nie usłucha.

- Mam, więc przekonać alchemika - powiedział powoli mnich - aby wyszedł jutro o świcie przed bramę i pozwolił się zabić.

Mieszczanie milczeli, unikając jego wzroku.

- Dobrze - zdecydował fra Gioele. - Spróbuję przekazać waszą prośbę mistrzowi Benilde, choć zapewne nawet nie otworzy przede mną drzwi.

* * *

Jak co noc, okiennice w wieży były zatrzaśnięte na głucho i wygasła nawet latarenka nad wejściem. Fra Gioele na darmo pukał i stukał w drzwi, coraz bardziej zniechęcony i zmoknięty, bo deszcz rozpadał się na dobre. W końcu nawet salamandra z kołatki zapiszczała ze znużeniem i przestała się poruszać. Tylko gargulce popatrywały na niego szyderczo znad okapu dachu, ale zaklęto je w kamień tak dawno, że od wieków żaden z nich się nie poruszył. Wreszcie mnich, zrezygnowany, pociągnął za klamkę, lecz bez większej nadziei, bo mistrz Benilde miał zwyczaj starannie strzec swoich sekretów.

Drzwi rozwarły się z przenikliwym skrzypem. Opat wzdrygnął się, zaraz jednak zajrzał do środka. Od wielu lat przesiadywał z alchemikiem w tawernie starej Bonacety, ale nigdy nie odwiedził go w wieży, podobnie zresztą, jak mistrz Benilde nie zawitał w mury klasztoru.

W korytarzu zalegała ciemność, choć oko wykol. Wymacał laską próg, zmówił krótką modlitwę i wszedł do środka.

- Mistrzu Benilde! - zawołał cicho, aby mag, wyrwany zniemacka ze snu, nie wziął go za złodzieja.

Alchemik jednak milczał.

Mnich na oślep przemierzył wąską sień. W lichtarzu przy schodach znalazł na pół wypaloną świecę, ale nie miał, czym skrzesać ognia. Powoli szedł na górę po wąskich, kręconych schodach, wciąż nawołując gospodarza. Nikt nie odpowiadał. Od ścian biło przeraźliwe zimno i woń pleśni. W załomach schodów zalegał zwykły kurz, może nieco grubszym kożuchem niż w domostwach mieszczan, lecz nie czaiły się w nim żadne monstra, przed którymi przestrzegali go współbracia. Do miski w załomie okna miarowo kapała woda z nieszczelnej okiennicy, przez szpary w deskach cichutko świszczą wiatr. Kilka stopni wyżej mnich wyczuł pod palcami jakieś drzwi, ale za nimi znalazł jedynie niewielki lamus z cebrzykiem, szczotkami i starą kapotą. W następnym pomieszczeniu mistrz Benilde trzymał magiczne ingrediencje, bo fra Gioele aż się cofnął na progu, tak silna uderzyła w niego woń ziół i zjełczanego tłuszczu. W kolejnym była chyba pracownia - na drzwiach umieszczono wprawdzie solidny zamek, ale ustąpiły bez żadnego oporu, kiedy tylko nacisnął klamkę.

- Mistrzu Benilde, jesteście tu?

Mag nie odezwał się ni słowem, uczyniwszy, więc kilka kroków na oślep i strzaskawszy szklaną butlę, nie wiedzieć, dlaczego ustawioną na wprost drzwi, mnich wycofał się na schody, pomstując z cicha na nieporządek. Jednak nie zezłościł się naprawdę. Pomimo wszelkich stra-

chów mieszkańców Askalonu i ostrzeżeń jego współbraci, było to jedynie zwyczajne domostwo starego, samotnego człowieka, tylko bardziej niechlujne i zaniedbane od innych.

Kiedy dotarł na najwyższy podest, dojrzał wreszcie obrys drzwi, zza których biło słabe światło. Odetchnął z ulgą. Nie lękał się czarów, ale nieswojo mu było buszować po cudzym gospodarstwie.

Uchylił drzwi. Zwrócony twarzą do komina, mistrz Benilde spał twardo w wysokim, wyściełanym skórą krześle. Mnich widział tylko czubek jego głowy i rękę zwieszoną nieruchomo nad podłokietnikiem. Na stoliku obok stał dzban i opróżniony puchar.

Fra Gioele skrzywił się kwaśno. Zimą alchemik rozchorował się. Kaszłał, sapał, aż w końcu na dwa tygodnie zamknął się w swojej wieży i nie wpuszczał nawet posłańca od matki Bonacety, która posyłała mu świeże jedzenie z tawerny. Wykurował się jakoś, ale wynurzył się z wieżycy wynędzniały i chudy. Odtąd pił coraz więcej, nie zważając na żadne wyrzuty. Najwyraźniej na wieść o nadejściu Arimaspi także upił się do nieprzytomności.

- Obudźcie się, mistrzu - odezwał się z przyganą. - Przyszedłem z wami pomówić.

Alchemik nie drgnął nawet, tylko wiatr zahuczał głośniejsze w kominie. Chcąc nie chcąc, mnich wszedł do środka. W komnatce było duszno od dymu i drobinki sadzy wirowały w powietrzu, widać od dawna nikt nie czyścił komina.

Wyposażenie alkowy wydało mu się ubogie, niemal klasztorne. Jedna z nóg łoża odpadła i zastąpiono ją naprędcie ociosanym kawałkiem drewna. Kapa, którą je zaścielono, niegdyś zapewne błękitno-purpurowa, zetlała i straciła barwę. Tynk ze ścian osypywał się, odsłaniając gołe kamienie. Na pulpicie leżał płat pergaminu, a w otwartej skrzyni pod oknem fra Gioele dostrzegł kilka ksiąg oprawnych w tłoczoną skórę. Poza nimi nic jednak nie znamionowało bogactwa. Przeciwnie. Na sznurze, przeciągniętym od okiennicy do jednego ze słupów, na których niegdyś wspierał się baldachim łoża, suszyły się spodnie na zmianę, przetarte na szwach ze starości i połatane, oraz dwie tuniki, niegdyś chyba błękitne, teraz jednak wyszarzałe od wielokrotnego prania. Jeden z domowych pantofli świecił dziurą w podeszwie.

Mnich podszedł jeszcze bliżej, z rosnącym zakłopotaniem przyjmując kolejne oznaki ubóstwa. Wcześniej nie przeszło mu przez myśl, że mistrzowi Benilde doskwierał tak dotkliwy niedostatek. Alchemik nie zwykł się skarżyć i podczas ich niedzielnych spotkań zawsze wyskrobał kilka monet na dzban porzeczkowego wina. O inne rzeczy widać jednak nie dbał, bo na cy-

nowym talerzu pozostały resztki wieczerzy - trzy pajdy ciemnego chleba, kawałek obeschniętego sera, kiść winogron, nadgniłych już i pokrytych brunatnymi plamkami.

- Mistrzu? - odezwał się łagodniej, kładąc dłoń na ramieniu alchemika. - Ocknijcie się wreszcie.

I zaraz cofnął się z przestachem, wyczuwszy pod palcami zimne, tężejące już ciało.

Mistrz Benilde nie żył.

* * *

Ogień wygasł, lecz węgle żarzyły się wciąż słabo w kominie. Fra Gioele siedział nieruchomo na podnóżku, trzymając między złożonymi dłońmi zimną rękę alchemika. W komnacie robiło się coraz chłodniej, oddech ulatywał z ust białym obłoczkiem, grabiły wargi szepczące modlitwy. Było niezmiernie cicho. Słyszał tylko miarowe kapanie kropli do miski na schodach.

Nie mógł zdecydować, co zrobić.

Nie lękał się, że zostanie oskarżony o niepowodzenie misji: alchemik umarł i nikt nie zawinił. Coś jednak mówiło mu, że szachinszach nie uzna śmierci maga za wystarczający powód, by odstąpić od oblężenia. A kiedy mieszkańcy Askalonu się tego domyślą, zechcą odciąć mistrzowi Benilde głowę i podarować ją władcy Arimaspi, aby mógł obnosić ją przed sobą, jak głowy ośmiu czarnoksiężników, którzy poprzednio odważyli się stanąć na jego drodze.

Dniało. Niedługo klasztorny dzwon wezwie mnichów na poranne modły. Wiedział, że w refektarzu mieszczanie nadal z wytężeniem oczekują decyzji mistrza Benilde, lecz jeśli opat rychło nie powróci, przyjdą pod wieżę i otworzą drzwi, po śmierci alchemika niestrzeżone żadnym zaklęciem. Wzdrygnął się. Nikt nie powinien być świadkiem nędzy maga teraz, kiedy opadła zasłona magii i wszystkie demony - jeśli kiedykolwiek je posiadał - uleciały wolno ponad księżyc. Myśl o wyjawieniu jego sekretu była mnichowi niemal tak samo wstrętna, jak wyobrażenie odciętej głowy czarnoksiężnika, którą szachinszach każe przed sobą obnosić jako trofeum.

Lecz w chwilę później przed oczami stanął mu inny obraz - ciała mieszkańców Askalonu, rozciągnięte na ofiarnych drewnianych kołach przez szalonych derwiszy Arimaspi.

Westchnął ciężko. Właściwie śmierć czarnoksiężnika nie zmieniała zbyt wiele, trudno było, bowiem uwierzyć, aby mistrz Benilde znał zaklęcia zdolne go ocalić podczas pojedynku z szachinszajem. Przez lata opat wyrobił sobie własne zdanie na temat magicznych zdolności alchemika, którego uważał za miernego w swym kunszcie i w gruncie rzeczy niegroźnego. Fra Gioele był niemal pewien, że wbrew wszelkim przechwałkom i zapewnieniom - obliczonym w większej części na zirytowanie mnicha - mag od dawna nie usiłował przywoływać żadnych demonów, a magiczne monstra, odziedziczone po poprzednikach, traktował jak nieco sprawniejszą odmianę sprzętów domowych. Może, dlatego pomimo wszelkich kłótni połączyła ich głęboka zażyłość dwóch starców, którzy pogodnie przeżywali ostatnie lata i nie oczekiwali zbyt wiele ani od losu, ani od współziomków. Obaj też dobrze wiedzieli, że w Askalonie, obróconym w ruinę przez niepomnych na nic hierofantów, nie potrzebowano prawdziwej magii, tylko odrobiny spokoju. I miasto ofiarowało go hojnie wśród rozleniwiającej ciszy słonecznych, jesiennych popołudni, w łopocie prześcieradeł, które suszyły się na sznurach przeciągniętych nad wąskimi ulicami, w woni ryb nacieranych szałwią i smażonych na oliwie, w porykiwaniu osłów, które pasły się pod klasztorными murami. Tak, pomimo wszystko Askalon był dobrym miejscem.

Mnich zdał sobie nagle sprawę, że nigdy nie zapytał alchemika o jego rodzinne miasto. Mistrz Benilde niechętnie opowiadał o przeszłości, lecz z kilku zdań, które mu się tu i ówdzie wymknęły, opat wywnioskował, że tamten pochodził z północy, gdzieś znad samej krawędzi Monti Serpillini, i przewędrował cały Półwysep, aby na koniec osiąść w Askalonie. Znał Brionię, ukochane miasto czarnoksiężników, obrócone w ruinę w dzień śmierci ostatniego z Principi dell'Arazzo, i samotne cytadele magów-wygnańców, które wrosły głęboko w skały Costa di Gabbiani. Być może za młodu zgłębiał sekrety magicznego kunsztu na dworze jednego z książąt-magów. A może wychował się w przyklasztornej scholi na dalekim południu, na skraju Arcipelago della Rugiada Rossa, gdzie ostały się potężne opactwa dawnego obrządku i gdzie wbrew wszelkim zakazom szarych braci skrycie pielęgnowano resztki zakazanej wiedzy czarodziejów. Fra Gioele nigdy wcześniej nie był tego naprawdę ciekaw, ale dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie będzie wiedział, jakim imieniem pożegnać przyjaciela na nagrobnym kamieniu.

W oddali uderzył dzwon, ale nie ten sam, który co rano wzywał mnichów do kaplicy. Wraz z pierwszymi promieniami słońca Arimaspi rozpoczynali modły i nawet we wnętrzu wieży alchemika mnich słyszał przeciągłe głosy ich kapłanów.

Sam również zmówił krótką modlitwę. Potem zdjął opończę, która przez noc przeschła już po deszczu, i owinął nią zimne ciało alchemika. Miał nadzieję, że mistrz Benilde, gdziekolwiek się znalazł, nie będzie mu miał za złe tego, co zamierzał uczynić. Ściągnął zakonną szatę, włożył spodnie i tunikę alchemika, owinął się jego zgrzebnym płaszczem, w którego barwie pozostało zaledwie odległe wspomnienie błękitu, i głęboko nasunął na głowę kaptur. Podpierając się ciężko na cisowej lasce, bo mięśnie mu zeszywniały od chłodu, ruszył w dół schodów, a potem ulicami miasta ku Porta dei Grifoni.

Było pusto. Nie spotkał żywej duszy nawet na rynku przed Palazzo Forti, choć zwykle o tej porze przekupnie rozłożyli już kramy i pokrzepiali się cienkim winem przed nadejściem pierwszych kupujących. Czasami miał wrażenie, że w zaułku mignęła mu czyjaś sylwetka i skryła się pospiesznie w mrocznej bramie. Nie zdziwił się tym nadmiernie. Przy Porta dei Grifoni stało czterech strażników, wytypowanych naprędce spośród miejskiej milicji, która miała w nocy strzec murów na wypadek niespodzianego ataku Arimaspi. W poobijanych morionach i pancerzach, które, niedopasowane, grzechotały przy każdym ruchu, wyglądali dziwnie żałośnie. Pozdrowił ich lekkim skinieniem głowy, bo nie chciał zdradzić się głosem, lecz tylko odwrócili się i szybko zaczęli zdejmować z wrót żelazne sztaby. Dopiero, kiedy mnich wszedł do bramy, ktoś zawołał za nim lękliwie:

- Niech wam Najwyższy błogosławi!

Fra Gioele nie obejrzał się. Zrobił jeszcze kilka kroków i z mrocznego wnętrza bramy wyszedł na most. Wstawało słońce, znacząc na pomarańczowo brzuchy chmur, a na łące przed miastem było całkiem jasno.

- Nie spodziewałem się, że przyjdziesz, czarnoksiężniku - powiedział szachinszach.

* * *

Władca Arimaspi siedział w siodle wyprostowany jak struna. Jego twarz zasłaniał czerwony zawój, a rumak czekał pod nim nieruchomo, niczym rzeźba odlana z białego metalu. Obok, na skraju błonia, stali w dwóch rzędach heroldzi, trzymając w dłoniach włócznie, do których za włosy przyczepiono poczerniałe głowy pokonanych magów. W opuchłych twarzach trudno było rozpoznać ludzkie rysy, ale mnich wzdrygnął się na podobne barbarzyństwo.

- Boisz się mnie, czarnoksiężniku? - zapytał szachinszach.

W mieście uderzył dzwon. Modlitwa w klasztorze dobiegła końca.

Fra Gioele podniósł wzrok, napotykać spojrzeń władcy.

- Nie - odparł ze spokojem. - Nie boję się.

Szachinszach miał jasne, nieomal przezroczyste tęczęwki. Wpatrywał się w mnicha jak drapieżny ptak.

- To prawda - przyznał po chwili. - Nie boisz się. - Roześmiał się nieoczekiwanie. - Zdołałeś mnie zaskoczyć, magu - odezwał się ponownie - a nie sądziłem, aby cokolwiek mogło mnie w tym miejscu zadziwić. Chcę zobaczyć twoją twarz.

Opat odsunął kaptur. Bez zakonnej szaty czuł się dziwnie nagi.

- Nie wyglądasz na kogoś, kto może stawić mi czoło. - Szachinszach skinął dłonią na wypłowiały płaszcz mnicha i jego ubłocone, poprzecierane trzewiki. - I chyba od dawna nie wiesz ci się zbyt dobrze.

- Askalon jest ubogi. Przed tobą było tu wielu innych. Nie znajdziesz nic wartego złupienia.

Jeden z heroldów odwrócił się gwałtownie ku mnichowi: Arimaspi nie przywykli, aby niewierni rozmawiali w ten sposób z ich władcą. Szachinszach wydawał się wszakże rozbawiony.

- Nie przybyłem po łupy - powiedział łagodnie. - Wiesz o tym dobrze, czarnoksiężniku.

Z szeregu żołnierzy, stojących za plecami szachinszacha, wysunął się kapłan. Jego ciało było opalone na brąz i wyschnięte od ciągłych postów, skołtuniona broda opadała aż do wielbłądziej skóry zamotanej wokół bioder. Postąpił kilka kroków naprzód, nie ośmielił się jednak zrównać z władcą.

- Nie powinniście z nim mówić, panie - rzekł schrypniętym głosem. - To służa demonów.

Szachinszach wyrzucił przez zaciśnięte zęby kilka cichych słów i derwisz cofnął się natychmiast.

- Czy to prawda, magu? - zakpił władca. - Czy spróbujesz wezwać z wysokiego nieba duchy, aby uśmierciły mnie na oczach mojej własnej armii, czy też padniesz mi do nóg, błagając, bym cię oszczędził?

- Nie lękam się śmierci.

Władca szarpnął dłonią, w której tkwiły wodze. Śnieżnobiały rumak podrzucił głowę, ale nadal stał nieruchomo.

- Czarnoksiężniku, spotkałem dotąd ośmiu twoich pobratymców. Dwóch było martwych, lecz każdy z pozostałych płakał i skamlał o litość, zanim go zabiłem.

- Nie zdołali wszakże skłonić cię do litości. Po cóż się, więc lękać tego, co nieuniknione?

Szachinszach przez chwilę rozważał jego słowa.

- Zaintrygowałeś mnie, magu - przemówił znowu. - Spożyjesz ze mną śniadanie i pomówimy jeszcze. Potem jednak cię zabiję.

Namiot szachinszacha był olbrzymi i szkarłatnoczerwony. Władca prowadził fra Gioele, niecierpliwie rozgarniając kurtyny, którymi podzielono wnętrze na mniejsze pomieszczenia. W środku panował chłód. Dywany bezszelestnie uginały się pod stopami, pobrzękiwały dzwonki zawieszane na krawędziach zasłon, a słudzy kłaniali się do ziemi na widok władcy. Żaden nie ośmielił się im towarzyszyć bez wyraźnego znaku szachinszacha, ten jednak mijał ich obojętnie, aż wreszcie dotarli do niewielkiego pomieszczenia. Władca Arimaspi opadł na zaścieloną poduszkami otomanę i wskazał mnichowi niski stołeczek.

- Spocznij, starcze - zaproponował łaskawie. - Przez wzgląd na twoje sędziwe lata pozwalam ci usiąść w mojej obecności.

- Dziękuję - odparł pogodnie fra Gioele. - Wielki to zaszczyt.

- Wcześniej nalej mi wina. - Wskazał na stojące na skrzyni srebrny dzban i dwa kielichy.

- Sam też się napij, jeśli jesteś spragniony.

- Słońce jeszcze dobrze nie wzeszło. - Mnich z ukłonem podał mu naczynie. - Zbyt wcześnie dla mnie na trunki.

- Nigdy nie jest zbyt wcześnie, by świętować zwycięstwo. - Władca zaśmiał się. - Piję za twoją śmierć, czarnoksiężniku, oby nadeszła szybko i przyjęła cię łaskawie. - Wychylił do dna i spojrzał na niego bystro. - Czy może powinienem się lękać, że zatrujesz wino?

- Nigdy bym tego nie uczynił.

Szachinszach przymrużył oczy i długą chwilę milczał.

- Dziwna rzecz - odezwał się - ale wierzę ci, czarnoksiężniku. Jednak zdradzę ci na wypadek, gdybyś chciał wykorzystać moją wielkoduszość, że te kielichy są wykładane rogiem jednorożca. Jeśli spróbujesz jakiegś zdrady, dowiem się o tym natychmiast i zabiję cię bez litości.

- Jakże wiele mówicie o śmierci, panie.

- Śmierć nas otacza. - Szachinszach opróżnił kielich i fra Gioele znów napełnił go trunkiem. - Jest w każdym hańście powietrza, który wciągamy do płuc, w każdej kropli wina, które raduje naszą duszę. Każde uderzenie serca przybliża nas do śmierci. Czyżbyś w to wątpił, magu?

- Nie - odparł powoli fra Gioele. - Trudno się spierać z rzeczą oczywistą. Jednak wolę widzieć słodycz życia tam, gdzie ty dostrzegasz jedynie śmierć.

Władca Arimaspi roześmiał się ochryple. Wino zaczynało krążyć w jego żyłach.

- Powiadano mi, że ostatnie chwile przed śmiercią wydają się osobliwie słodkie, więc raduj się nimi do woli - powiedział, po czym klasnął w dłonie, przywołując dwie niewolnice. - Przynieście mięsiwo, sery i owoce. I następny dzban wina.

Dziewczęta wybiegły, podzwaniając leciutko srebrnymi bransoletami. Były młode i powabne, ich ciała gięły się jak trzciny, kiedy padły na twarz przed swoim panem, lecz na szyjach nosiły niewolnicze obroże. Fra Gioele zastanawiał się, czy przybyły z armią zza morza, czy też pochwycono je w którymś z miast zdobytych przez Arimaspi. Nie śmiał jednak pytać i wystawiać na próbę kruchej łaskowości szachinszacha.

Niewolnice powróciły z półmiskami pieczonego mięsiwa, świeżych owoców, serów i słodyczy. Jedna z nich usiadła u stóp szachinszacha, podając mu najpiękniejsze daktyle i kawałki ciastek maczanych w miodzie. Druga pokłoniła się nisko i chciała odejść, lecz władca ją zatrzymał.

- Rozwesel nasze serca - rozkazał, wskazując lutnię.

Dziewczyna ujęła instrument i trąciła struny. Nie śpiewała, lecz fra Gioele od razu rozpoznał melodię modlitwy, którą znało każde dziecko na Półwyspie:

Spójrz, Panie:

Oto siła, a z siły płynie strach,

A my jesteśmy dziećmi w Twoich rękach.

Kiedy pieśń dobiegła końca, dziewczyna pokłoniła się raz jeszcze i odeszła spieszenie.

- Zasłuchałeś się, czarnoksiężniku - zauważył szachinszach.

- To nasza pieśń - odparł mnich, zastanawiając się, jaką wiadomość próbowała przekazać mu dziewczyna: czy rozpoznała go pod przebraniem, czy też ktoś inny kierował jej palcami, kiedy wybierała właśnie tę melodię. - Nie sądziłem, że usłyszę ją w tym miejscu.

- Kapłani nieco się krzywią - przyznał pogodnie szachinszach -lecz wasza muzyka nie jest pozbawiona czaru. Zniknie oczywiście wraz z całą resztą, kiedy doprowadzimy nasze dzieło do końca.

- Lecz będziesz jej żałował, panie.

Władca zmarszczył brwi.

- Będą jeszcze inne pieśni. Nie próbuj mnie podejść, magu.

- Czy znajdujesz we mnie jakiś podstęp, panie?

Władca odtrącił dłoń dziewczyny, która podawała mu kolejny daktyl. Podskoczyła przestraszona, i owoc potoczył się po wzorzystym dywanie.

- Nie - powiedział. - I tylko, dlatego wciąż żyjesz, czarnoksiężniku. Wyszedłeś z miasta samotnie i nie widzę przy tobie żadnych demonów. To właśnie mnie niepokoi. Gdzie one są, magu? W twojej lasce? W podeszwach butów? Wplecione w nici płaszcza czy może ukryte w twojej brodzie? - Zaśmiał się sucho, z irytacją. - Nie potrafię ich odkryć.

Fra Gioele zdumiał się, sam, bowiem nie umiał odróżnić od zwyczajnego przedmiotu nawet kołatki, w której pospolitym czarem wędrownego maga zamknięto demona. Wiedział też, że nawet ludzie znacznie bardziej niż on obeznani ze sztuką czarodziejów często nie potrafią dostrzec spętanego ducha, szczególnie, jeśli zaklęcie zostało wzmocnione krwią maga.

- Czyżbyś naprawdę mógł je widzieć?

- Na tym polega mój dar, magu - powiedział chełpliwie władca. - Przenikam wzrokiem wszystkie wasze sztuczki, mój miecz niweczy wszelkie wasze czary. Takie jest moje przeznaczenie i po to mnie posłano na Półwysep.

Fra Gioele odwrócił wzrok, by ukryć zmieszanie. Jeśli nawet szachinszach potrafił odnaleźć demony ukryte wśród pospolitych rzeczy, najwyraźniej nie umiał rozpoznać prawdziwego maga - albo też upatrywał najsubtelniejszych podstępów tam, gdzie ich nie było.

- Co tam do siebie mruyczysz pod nosem, czarnoksiężniku? - huknął na niego szachinszach, zniecierpliwiony milczeniem.

- Szarzy mnisi od dawna głoszą u nas podobne nauki. Że trzeba wyrzec się wszelkiej magii i uwolnić demony, które nie przynależą do naszego świata.

Władca roześmiał się znowu: w jego głosie coraz wyraźniej dźwięczało wino. Osuszył naczynie i dziewczyna rzuciła się je napełnić, lecz w pośpiechu potknęła się o skraj własnej szaty i kilka kropli trunku opadło na dłoń władcy.

- Dosyć, niezgrabna! - Odepchnął ją szorstko. - Odejdź stąd i nie pokazuj się więcej, abym nie kazał cię wychłostać. Niech nikt nam więcej nie przeszkadza, póki was nie wezwę.

Kiedy dziewczyna uciekła, szachinszach pochylił się ku fra Gioele i zniżył głos, jakby wyjawiał mu jakiś sekret:

- Ale Najwyższemu nie są miłe modły heretyków, więc niewiele wasi mnisi mogą, oj, niewiele. Co się zaś tyczy demonów... Bezbożną rzeczą jest głosić, że powinny odejść wolno.

- Co też mówisz, panie? - zdumiał się fra Gioele.

Szachinszach przebiegle zmrużył oczy.

- Czyżbyś zapragnął być sprytny, magu, i wyłudzić moje sekrety? Daremnie. Bawisz mnie jednak, zatem uczynię ci tę łaskę i przed śmiercią objaśnię w rzeczach zbyt złożonych dla twego pospolitego umysłu. Nie jest wolą Pana, aby ifryty swobodnie chadzały pomiędzy śmiertelnikami ani też by niespętane wędrowały swoimi ścieżkami wśród gwiazd. Nie, magu, demony uczyniono, abyśmy mogli sprawdzić naszą wiarę. Jeśli bowiem ktoś prawdziwie wierzy, niestraszne mu dziny, choćby najpotężniejsze. Na tym właśnie polega mój sekret, magu. Moja wiara jest tak silna, że żaden z nich nie zdoła oprzeć się memu wezwaniu.

Mnich milczał, nie wiedząc, co uczynić. Władca upił się słodkim winem i wypowiadał teraz rzeczy, które powinny zostać zatajone. Nie śmiał jednak mu przerwać, aby nie rozgniewać go jeszcze bardziej.

- Nie wierzysz mi, magu, czytam to w twojej twarzy - powiedział szachinszach. - Ale jesteś tylko ubogim starcem z nędznego miasteczka, jak więc miałbyś rozpoznać cud, który dzieje się na twoich oczach? Chodź, więc. Coś ci pokażę. - Chwiejąc się, powstał i rozgarnął zasłonę za otomaną.

* * *

Następne pomieszczenie było znacznie większe i po brzegi wypełnione okutymi kufkami. Szachinszach wskazał na najbliższy z nich.

- Otwórz, magu.

Fra Gioele usłuchał, choć nie bez lęku, niespokojny, czy nie znajdzie kolejnych odciętych głów albo innych upiornych trofeów Arimaspi. Ale w środku umieszczono jedynie kilka zwyczajnych glinianych dzbanów. Pękate, o wydłużonej szyjce, przypominały mnichowi naczynia, w jakich gospodynie przechowują oliwę.

- Weź jeden w dłonie. Nie lękaj się.

Dzban był chropowaty w dotyku i dziwnie ciężki. Jego otwór starannie zalano czerwonym lakiem.

- Czy rozpoznajesz znak na pieczęci, magu?

Fra Gioele obrócił naczynie w dłoniach i spostrzegł, że w laku istotnie odcisnięto pieczęć ozdobioną wizerunkiem kroczącego lwa i szeregiem znaków, które układały się wokół niego w owal. Nie umiał jednak ich odczytać.

- To mój klejnot. - Szachinszach wyciągnął ku niemu prawicę: serdeczny palec zdobił wielki pierścień z rubinem. - Wryto w nim imię Najwyższego i lwa, którego noszę w sercu. Dlatego ma moc większą niż wszelkie zaklęcia czarnoksiężników i potężniejszą od mocy demonów. Zabijam waszych czarnoksiężników, a kiedy wyzioną ducha, chwytam ich służebne demony, zamykam je w dzbanach i pieczętuję tym pierścieniem, aby nigdy nie zdołały się uwolnić. I będę tak czynił, póki z powierzchni ziemi nie zniknie ostatni ifryt i ostatni czarownik.

Mnich potoczył wzrokiem po dziesiątkach skrzyń, które zgromadzono w pomieszczeniu. Użytek, jaki magowie mieli ze zniewolonych demonów, od dawna napełniał go obrzydzeniem, jednak postępek szachinszacha był jeszcze gorszy i nie służył niczemu, prócz pychy.

- To duchy przestrzeni i pustki - powiedział ze smutkiem. - Nie stworzono ich, aby były zamykane wśród ciemnej, ciasnej gliny.

Ale szachinszach wyszydził go bez litości.

- Czy to zazdrość przez ciebie przemawia, czarnoksiężniku? Przyznaj, nigdy nie widziałeś podobnego nagromadzenia dzinów, choć są zaledwie zdobyczą z ostatniego miasta.

- Zatem było ich więcej? Co z nimi uczyniłeś?

- To samo, co stanie się udziałem tych - powiódł dłonią po skrzyniach - kiedy zdobędziemy miasto i staniemy na brzegu morza. Zostaną wrzucone w głębinę i na wieki zatopione pod falami.

- Dlaczego to robisz? Nie z własnej woli przybyły do podksiężycowego świata i niczym sobie nie zasłużyły na wieczystą niedolę.

Odpowiedzią był urągliwy śmiech.

- Bo mogę. Bo mam więcej mocy, niż kiedykolwiek oglądaliście na tej jałowej ziemi.

Fra Gioele spoglądał na niego z rozszerzonymi oczami.

- Jesteś magiem - wyszeptał, odgadując wreszcie tajemnicę wodza Arimaspi. - Czy twoi ludzie o tym wiedzą?

Szachinszach nie stropił się. Kołysał się lekko na piętach, obracając na palcu pierścień ze szkarłatnym okiem. Twarz miał czerwoną od wina.

- Spróbuj przed śmiercią sprawdzić, czy ci uwierzą, czarnoksiężniku, a wyrwą ci z gardła język i rzucają na pożarcie psom. Ale nawet sam przed sobą nie zrównuj mnie z twoim nędznym rodzajem. Nie jestem magiem. Jestem władcą magów, który zabije wszystkich innych i na zawsze zetrze ich ślad z powierzchni ziemi. A ty jesteś jedynie starcem, pozbawionym mocy i stojącym nad grobem. Nie możesz mnie zabić ani związać zaklęciem.

- Nie. - Fra Gioele wsparł się mocno na lasce z cisowego drewna.

- Nie mogę zrobić żadnej z tych rzeczy. Mogę jednak uczynić to! - po czym uniósł laskę i z całej siły opuścił ją na głowę maga.

* * *

Ze skroni szachinszacha sączyła się strużka krwi. Kiedy fra Gioele pochylił się nad nim, wyczuł, że władca wciąż oddycha, acz słabo i nieregularnie. Mnich odetchnął z ulgą. Na widok demonów, spętanych bez żadnej przyczyny i pożytku, po raz pierwszy od niepamiętnych lat ogarnął go gniew. Nie zamierzał jednak plamić się śmiercią maga.

Niepewnie spojrzął ku kurtynie. Czerwona materia falowała lekko, lecz ku jego zdumieniu żaden ze sług nie przybiegł na odgłos uderzenia. Widać nie śmieli pogwałcić rozkazu szachinszacha, który nie pozwolił pod żadnym pozorem zakłócać ich rozmowy.

- Co się stało, już się nie odstanie - wymamrotał pod nosem, odciągając w bok bezwładne ciało szachinszacha. - Niech Pan będzie dla mnie miłosierny.

Zdjął płaszcz, wsunął władcy pod głowę i ułożył go wygodnie. Sam przykucnął obok, nie wypuszczając z rąk cisowej laski, i nasłuchiwał, póki oddech szachinszacha nie uspokoił się nieco. Wtedy uniósł zawój, aby spojrzeć mu w twarz. Przywódca Arimaspi był jeszcze młodym człowiekiem o regularnych rysach i kędzierzawej czarnej brodzie. Na policzku miał czerwone znamię podobne do kropli ambry. Jego omdlenie szybko przeszło w niespokojny, pijacki sen. Teraz, kiedy dygotał i pomrukiwał niezrozumiale, nie przypominał wodza, który próbował podbić pół świata i zetrzeć z powierzchni ziemi wszystkie demony.

Mnich odgarnął mu kosmyk włosów z twarzy. Nie umiał sobie wyobrazić, jak wyglądało jego życie po drugiej stronie morza, w świecie, gdzie śmiercią karano wszelkie przejawy magii. Ktoś jednak musiał nauczyć go pętać demony, a pewne prawa - jak mu przez lata klarował mistrz Benilde - pozostawały niezmiennie. Magia płynęła w krwi, więc wielu spomiędzy przodków szachinszacha musiało parać się zakazanymi sztukami, a jeden z nich zapewne wyszkolił go w chwytaniu demonów. I zginął, bo żaden czarnoksiężnik nie pozwoliłby innemu, choćby własnemu synowi, zagarnąć jego dziedzictwa.

Ze smutkiem potrząsnął głową. Zatem wszystko, od początku do końca, było oparte na kłamstwie.

O Arimaspi krążyło na Półwyspie wiele opowieści, ale wychodząc poza bramy Askalonu, fra Gioele nie wiedział, czego oczekiwać. Co więcej, nie rozumiał nawet w pełni, dlaczego włożył płaszcz czarnoksiężnika i zajął jego miejsce na błoniach przed miastem. Nie, nie liczył na cud. Nie był jednym z legendarnych świętych, jak Diamante, który zabił hydrę, czy Nereo, pogromca harpii z Grotta dei Sogni. Nie dorównywał odwagą Luanie, opatce Brionii, która przez wiele lat żyła samotnie w opustoszałej katedrze, wśród demonów i potworów, modląc się za potępione dusze ostatnich Principi dell'Arazzo, i nie miał wiary Nina, który na moście zwanym Pilastru del Cielo pojedynczą pieśnią pokonał Cigno Nero dal Valle delle Fiamme i spędził resztę swego życia na kamiennym słupie pośrodku przepaści.

Fra Gioele uśmiechnął się lekko. Zrujnowane Askalon nie sprzyjało myśleniu o rzeczach wielkich i wiekopomnych. Może w innych miastach mnisi musieli stawiać czoło potworom i demonom lub ścierać się ze złymi czarnoksiężnikami, on jednak za nieprzyjaciela miał jedynie chrabąszcze, niszczące zasiewy, i parchy na owcach. Nie zdobył żadnego doświadczenia w walce z czarnoksiężnikami; mistrz Benilde nie napełniał grozą nawet bezzębnych staruszek i fra Gioele na widok jego czarów również nie umiał w sobie skrzesać ani krztyny lęku.

Raz jeszcze spojrzął na szachinszacha - pogromca demonów i czarnoksiężników leżał bezwładnie, powalony zwyczajną laską z cisowego drzewa. Niedługo jednak przebudzi się i tym razem nie będzie skłonny do rozmów o śmierci i czarach.

Mnich, niezdecydowany, obrócił w dłoniach gliniany dzban, w którym uwięziono demona. Spróbował podważyć paznokciem pieczęć. Bez skutku. Wydobył z sakiewki nożyk do krojenia owoców, ale ostrze ześlizgnęło się z pieczęci i zraniło go w palec. Syknął, zaciskając skaleczoną dłoń i z niechęcią spojrzął na dzban. Nie zdołał nawet zadrapać laku na wizerunku kroczącego lwa. Z pewnością w nim także skrywała się magia, równie potężna jak ta, która pozwoliła szachinszachowi wymordować kolejno sześciu magów Półwyspu. Potarł pieczęć ręką szaty - słyszał kiedyś legendę o czarnoksiężniku, zaklinającym w lampach salamandry, które ożywały, jeśli polerowało się je kawałkiem materii - nic się jednak nie stało. Rozczarowany, odłożył dzban na ziemię. Stanowczo magia nie była jego domeną.

- Dobrze, więc - powiedział głośno dla dodania sobie odwagi, następnie zaś wziął zamach laską i ignorując ból w zranionej dłoni najmocniej, jak potrafił, uderzył w dzban.

Ku jego zdumieniu naczynie rozprysło się z trzaskiem, spośród skorup zaś uniosła się nieć dymu. Fra Gioele cofnął się, bo wydało mu się, że w ciemnym oparze widzi wykrzywioną gniewem twarz demona. Ale smuzka mroku zafalowała tylko nieznacznie i zaraz wzbiła się wysoko, ku otworowi na szczycie namiotu.

Szachinszach poruszył się niespokojnie i zamrugnął powiekami.

Fra Gioele oderwał dwa pasy materiału od tuniki, skręcił je naprędce i pochylił się nad władcą Arimaspi.

- Wybacz mi - rzekł - ale nie mogę pozwolić, abyś mi przeszkodził. - Następnie skrępował mu ręce i nogi, wiążąc je razem za plecami nieprzytomnego, na koniec zaś otworzył mu usta i starannie umieścił w nich zwinięty brzeg płaszcza, uważając, by przypadkiem nie zadławić maga.

Pod koniec owej operacji szachinszach zaczął poruszać się żywiej, fra Gioele wszakże nie przejął się tym nadmiernie. Za młodu praktykował u powroźnika i wprawdzie z magią nie miał większego doświadczenia, ale swoich węzłów był naprawdę pewien. Zakasał rękawy, zebrał wszystkie siły, jakie pozostały w zwiędłym, starym ciele, a potem uderzył laską w kolejny dzban.

Naczynia pękały z trzaskiem, jak dojrzałe dynie albo arbuzy, z których sływały klasztorne ogrody. Ciemny dym, który z nich wypływał, był bezwonny, lecz gryzł w oczy i wyciskał łzy. Demony, jeśli taki właśnie obrały kształt, nie wydawały się fra Gioele szczególnie groźne. Nie wyły, nie wygrażały mu strasliwymi mękami ani nie kusły obietnicami bogactwa władzy i uciech ciała, (choć akurat przemilczenie tych ostatnich pokus dobrze świadczyło o ich ocenie wybawcy, pomyślał z rozbawieniem fra Gioele). Słowem, nie czyniły żadnej z rzeczy, które opisano w świętych księgach, gdzie bogobojni mężowie staczali na pustyni pełne wysiłku i mąk bitwy o swoje dusze. O duszę fra Gioele nikt się jednak nie upominał. Może, dlatego, podsumował mnich w myślach, że licha ona, sterana przez lata spokoju i nadwątlona zażyłością z mistrzem Benilde.

Drażnięta ostrzem dłoń bolała go coraz bardziej. Przewiązał palec szmatką, ale rana nie chciała przyschnąć i kropelki krwi wciąż ściekały po lasce. Starał się o tym nie myśleć: w pomieszczeniu wciąż pozostało bardzo wiele dzbanów i bardzo wiele demonów czekało na uwolnienie, on zaś coraz bardziej opadał z sił. Nie ustawał jednak, póki w komnacie nie zrobiło się ciemno od dymu i nie pękł ostatni dzban. Wówczas przysiadł znużony, opuścił głowę na pierś i na kilka chwil zapadł w płytką drzemkę. Jednak sen nie przyniósł żadnego wytchnienia, tylko mięśnie zeszywniały mu po wysiłku. Z trudem podniósł się i podreptał do szachinszacha. Władca Arimspi leżał nieruchomo, kiedy fra Gioele przecinał jego więzy. Zaledwie jednak opadły, poderwał się z ziemi, odepchnął mnicha i z wściekłością wyciągnął knebel.

- Straż! - wykrzyknął i natychmiast do środka wbiegło czterech wojowników w szkarłatnych zawojach.

Fra Gioele nie bronił się, kiedy go brutalnie skrępowano.

- Powinieneś był uciec, czarnoksiężniku - rzucił przez zaciśnięte zęby szachinszach - kiedy miałeś okazję.

- Z pewnością zostawiłeś strażę wokół namiotu. Nie przemknąłbym pomiędzy nimi niewidzialny.

- Jesteś głupcem, magu. Nie zdołałbyś umknąć do twojego miasta i nie wy dostałbyś się z mojego namiotu, to pewne. Ale pozostała ci jedna droga ucieczki. W śmierć.

Fra Gioele zdumiał się.

- Miałbym ją sobie zadać własną ręką?

- Ta, którą ja ci naznaczę, nie będzie ani szybka, ani łagodna.

Mnich milczał, świadom, że cokolwiek powie, tylko jeszcze bardziej rozwścieczy szachinszacha. Władca przysunął twarz do jego twarzy.

- Sądzisz, że uczyniłeś mi wielką szkodę, czarnoksiężniku? - wyszczał w ucho fra Gioele.
- Mylisz się. Utrata tej odrobiny demonów ani mnie zaboli, ani w niczym nie odmieni losów Półwyspu. Na ich miejsce przyjdą inne i będzie ich po dziesięciokroć i po tysiackroć więcej.

- Ale będziesz pamiętał - odezwał się bardzo cicho opat. - Cokolwiek nastąpi, nigdy nie zapomnisz, że powaliła cię cisowa laska i że każdy haust powietrza, który wciągasz do płuc, zawdzięczasz mojemu miłosierdziu.

Szachinszach zmienił się na twarzy.

- Czyżbyś przymawiał się o litość? Na próżno, magu. Zabrałeś mi moją zdobycz, a teraz ja zabiorę ci wszystko, co uważałeś za swoje. Zniszczę to miasto i jego mieszkańców. Nie pozostawię nic, oprócz garstki pyłu. Wszystko, dlatego, że postanowiłeś wykazać swoją wartość i zabawić się moim kosztem.

- Mylisz się - odparł ze znużeniem mnich. - Uwolniłem demony, ponieważ to, co robisz, budzi moje obrzydzenie. Trzymałeś je w zamknięciu, by zadośćuczynić własnej pysze. Nie służyły niczemu innemu. Były bezużyteczne. Marnotrawiłeś je, jak marnotrawisz własne dary, i kiedyś będziesz musiał zdać z tego sprawę przed Najwyższym.

Pan Arimaspi wymierzył mu policzek.

- Nie śmieję wymawiać imienia Najwyższego, magu! Zabierzcie go! - Skinął na strażników, którzy natychmiast pochwycili mnicha za ramiona.

Z oddali dobiegł słaby głos dzwonu: w klasztorze mnisi schodzili się właśnie na południową modlitwę. Fra Gioele uniósł głowę, łowiąc znajomy dźwięk i nagle, skoro i tak było to już obojętne, zapragnął umierać pod własnym imieniem.

- Nie jestem nim.

Szachinszach nie zrozumiał.

- Kim nie jesteś?

- Magiem. W tym także pomyliłeś się, panie - ciągnął, nie zważając na wykrzywioną gniewem twarz szachinszacha. - Nasz mag skonał tej nocy. Ja tylko włożyłem jego płaszcz i wyszedłem przed bramę.

- Kłamiesz.

Mnich pokręcił głową. Krew z wargi rozciętej pierścieniem spływała mu na tunikę.

- Nie, panie. Jestem zwyczajnym mnichem z klasztoru na górze. Nie rozpoznałeś mnie.

Przez krótką chwilę miał wrażenie, że władca Arimaspi mu uwierzy, ale szachinszach zaraz zdusił wątpliwości.

- Każdy spośród tych, którzy konali na ofiarnych kołach, prędzej czy później przysięgał, że padł ofiarą pomyłki i ludzkiej niegodziwości, bo nigdy, przenigdy nie wezwał do podksiężycowego świata demona. Ty po prostu zapierasz się własnych czynów szybciej niż inni. Widać bardziej lękasz się bólu. Precz z nim! - krzyknął do strażników. - I przygotujcie koło na wzgórzu, przed samą bramą, aby ze środka dobrze było widać, jak kona ich czarnoksiężnik. A gdy wyzienie ducha, uderzymy na miasto.

* * *

Ze szczytu murów mieszczanie w napięciu obserwowali poczynania Arimaspi. Kiedy mag zniknął w szkarłatnym namiocie szachinszacha, wstąpiła w nich odrobina otuchy i wystawiali głośno odwagę alchemika, który zgodził się poświęcić własne życie, aby przetrwali jego krąjanie. Minęło kilka godzin i z każdą chwilą rosła w nich nadzieja, że mag przekona władcę Arimaspi, aby odstąpił od miasta. Na dźwięk klasztornego dzwonu zeszli z murów do kaplicy, by podziękować Panu za tę osobliwą łaskę.

Skoro powrócili, powitał ich widok nagiego ciała, rozpiętego na ofiarnym kole. Ustawiono je dokładnie naprzeciw Porta dei Grifoni, aby mieszkańcy Askalonu nie uronili ani minuty z męczarni alchemika. Niektórzy spośród mieszczan odwracali głowy, nie chcąc patrzeć na cierpienie maga. Inni przywoływali na pamięć dawne czary mistrza Benilde, jego zaklęcia miłosne, które nieodmiennie szły na opak, magiczne zamki, które zatrzaskiwały się, więżąc gospodarza w domu, i latarnie gasnące bez żadnej przyczyny pośrodku nocy. Wspominano jego szorstkie obyczaje i skrytość, z jaką strzegł swoich tajemnic, ale też wszystkie te drobne, sąsiedzkie pogawarki, na które zwykle nie zwraca się żadnej uwagi.

Wreszcie derwisz w skórze wielbłąda, zawiązanej wokół bioder, z wysiłkiem przesunął koło i ukazało im się oblicze torturowanego. Na murach Askalonu zaległa martwa cisza.

- To nie jest mistrz Benilde - odezwała się rwanym głosem stara Bonaceta z gospody. - To fra Gioele.

* * *

Fra Gioele spoglądał prosto w niebo. Nie mrużył oczu. Chwilami rozżarzona kula słońca falowała ponad nim, zdawała się opadać tak nisko, że mógłby jej dotknąć czubkami palców, gdyby tylko derwisz przeciął mu więzy. Potem znów podskakiwała i unosiła się wysoko, jakby umocowano ją na niewidzialnym sznurku. Spoglądał na nią z natężeniem, póki nie ześlizgnęła się niżej ponad murami Askalonu. Nie obrócił się ku miastu. Nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że słońce najpierw zawisnie nad bramą i wyłoci rzeźby gryfów, którymi ozdobiono jej portyk i kolumny. Potem przesunie się nad Torre delle Candele, zaledwie muśnie dachy kupieckich kamienic, zniknie na długo za murami Monastero del Sole, a na koniec prześlizgnie się ponad ruinami dawnego portu, suchą krawędzią nabrzeża i wyschniętym szlamem.

Słońce było łaskawe, nie zbaczało ze swego toru z powodu kaprysów jednego człowieka, nawet, jeśli był to mag i przywódca wszystkich Arimaspi. Może, dlatego fra Gioele nie uległ błaganiom współbraci i nie zgodził się zmienić wezwania klasztoru, choć w tych czasach niezmiernie rzadko pozostawiano świętym przybytkom nazwy pochodzące od ciał niebieskich, uważając tę tradycję za resztki zgubnego związku wiary z przeklętym kunsztem czarodziejów. Kiedyś, w dawnych czasach, wierzono, że słońce jest rydwanem Najwyższego, kiedy wędruje on po niebie, osądzając czyny śmiertelników. Była to oczywiście herezja, tak starożytna, że zupełnie zapomniana poza klasztorami, w których przechowywano księgi z odległych, barbarzyńskich czasów. Fra Gioele miał jednak wrażenie, że tego dziwnego dnia słoneczny blask prowadzi go naprzód poprzez kolejne chwile. Pożegnał przyjaciela, uwolnił demony i uczynił, co mógł, aby uratować ukochane miasto, a teraz powracał do domu. Miał nadzieję, że powitają go tam jak upragnionego gościa.

Ku swemu zaskoczeniu niemal nie czuł bólu. Kiedy przywiązano go do koła i wszystko zostało już rozstrzygnięte, popadł w dziwne odrętwienie. Po prostu patrzył w górę i uśmiechał się, wspominając dni, kiedy z innymi dzieciakami biegał na brzegu morza, czekając na ojców powracających z połowem, czasy terminowania u powroźnika, który był człowiekiem gburliwym, lecz mistrzem w swoim fachu, potem zaś upadek Askalonu i długie lata spędzone w klasztorze na wzgórzu. Słońce przynosiło mu coraz nowe wspomnienia, a w wielu z nich była twarz mistrza Benilde i mnichowi wydawało się godne, że umrą tego samego dnia - dwóch

starców, którzy spędzili ostatnie chwile w gasnącym mieście i którym oszczędzono widoku jego zagłady.

Jednakże w końcu słońce zaszło, on zaś wciąż żył. Derwisz odszedł, potrząsając z niezadowoleniem głową, a przy ofiarnym kole pozostało tylko kilku strażników. Po zmierzchu rozpalili niewielki ogienek, wyjęli chleb, ser i wino i długo jeszcze opowiadali baśnie - o człowieku tak świętobliwym, że Najwyższy zesłał mu chmurę, która wisiała nad jego głową, dopokąd poszedł, o dziełach czarodziejów - miedzianych koniach, odzywających się ludzkim głosem, gdy potarło się tabliczkę na ich piersi, rybach wielkich jak wyspy i jeszcze innych dziwach. Ich opowieści pozwoliły mu przetrwać noc.

O brzasku derwisz pojawił się znowu i długo cmokał nad fra Gioele, zadziwiony, że czarnoksiężnik przetrwał tak długo. Ponowiono, więc tortury, które trwały aż do południa, kiedy do koła zbliżył się szachinszach.

- Wytrwale czepiasz się życia, czarnoksiężniku. Jeśli inni ludzie z tego miasta okażą się równie uparci, dostarczą nam nieliczej zabawy.

- Pozwól im odejść - odezwał się z trudem mnich - mnie zaś godnie skonać. Skoro utrata demonów nie była dla ciebie niczym dotkliwym, odpłać mi już za nią zawiązką.

Władca pochylił się nad nim, przesłaniając słońce.

- Uwierz, że twoja śmierć będzie niczym w porównaniu z tym, co nastąpi, kiedy zdobędę miasto. Przełałeś krew i odebrałeś mi moją zdobycz, a ja nie godzę się łatwo ze stratą.

Fra Gioele zamrugał gwałtownie. Słowa szachinszacha przywołały coś, wspomnienie tak świeże, że zdumiał się, jak mógł je wyrzucić z pamięci. Teraz już rozumiał, co stało się w namiocie szachinszacha. Wiedział też, co dalej nastąpi.

- Przestrzegam cię, że cokolwiek mnie czynisz, czynisz samemu sobie - powiedział. - Uwolnij mnie i co rychlej odstęp od miasta, zanim stanę się przyczyną twojej zguby. Nie chcę tego.

Twarz szachinszacha była już zaledwie ciemnym obrysem na tle pałającej kuli słońca.

- Nie kpij ze mnie, czarnoksiężniku.

Fra Gioele tylko uśmiechnął się zakrwawionymi wargami. I skonał. A wtedy powróciły demony.

Mówiono później, że w dniu, kiedy zamęczono fra Gioele, słońce, zasmucone, odwróciło swoją twarz od ziemi. Ciemność, która zapadła, była głębsza od mroku nocy. Dopiero o poranku,

kiedy niebo pojaśniało nieznacznie i ustało wycie demonów, mieszkańcy Askalonu odwagili się wyjść na mury i spojrzeć na błonie przed bramą. Przekonawszy się, że z niepokonanej armii Arimaspi pozostały jedynie martwe ciała przemieszane z ziemią, popiołem, resztkami namiotów, wozów i całej tej wojennej aparatury, o której nie mieli większego pojęcia, otwarli wierzeje i wyszli na pobojuwisko. Tam, na wzgórzu naprzeciw bramy, znaleźli drewniane koło z poszarpanym ciałem fra Gioele. Zebrali czcigodne szczątki, wodą i winem obmyli je z krwi i kurzu. Potem usypali kurhan, na którym postawiono niewielką kapliczkę, aby po kres wieków upamiętniała miejsce, gdzie świątobliwy braciszek modlitwą rozproszył zastęp demonów, które towarzyszyły armii, jakiej nigdy wcześniej nie oglądano na Półwyspie. Ciało męczennika pochowano w klasztorze i przez długie lata pielgrzymi przybywali do Askalonu ze wszystkich krańców Półwyspu, aby wybłagać jego wstawiennictwo. Jednak żaden z cudów nie dorównał temu pierwszemu, którym było pokonanie Arimaspi.

Miasteczko ożyło na nowo i przysunęło się jeszcze bliżej do Monastero del Sole, choć ten nazywano teraz Monastero di San Gioele. Ale wieża alchemika pozostała zamknięta na głucho i nie wprowadził się do niej żaden nowy czarnoksiężnik, aż wreszcie nadwątlony dach zapadł się pod własnym ciężarem, grzebiąc ostatnie wspomnienia po mistrzu Benilde. Na straganach przed Palazzo Forti nie sprzedawano już magicznych naparów ani ziół, które otwierają wszystkie zamki, tylko wizerunki świętego patrona miasta. Bogobojni pielgrzymi, chcąc zaskarbić sobie tym większą łaskę w oczach świątobliwego męczennika, skuli kilofami zeszkloną czarną skałę, pozostałość po pałacu Umberto Nero, zniszczyli wapienne golemy, dzieło Jacopo di Campogrigio i zasypali wyrwę przed Palazzo Forti, aby nic nie przypominało o bezbożnej przeszłości miasta, które wydało jednego z największych świętych Półwyspu.

Lata płynęły - dostatnie i ciche - aż wreszcie nikt nie pamiętał o starym mnichu, który nad dzbanem porzeczkowego wina przesiadywał w tawernie matki Bonacety ze swoim przyjacielem, czarnoksiężnikiem.

* * *

Nieliczni z ocalonych Arimaspi, kiedy po długiej tułaczce przybili wreszcie do rodzinnego brzegu, przynieśli ze sobą opowieść o najpotężniejszym czarnoksiężniku Półwyspu, który

omamił ich pana i nadwątlił moc jego serca, potem zaś sprowadził na nich demony potężniejsze od wszystkiego, co wcześniej oglądali. Nawet po wielu latach siadali na progach swych chat w otoczeniu dzieci, potem wnucząt i prawnucząt, wygrzewali w południowym słońcu stare rany, wspominając białe skały, przy których rzucili cumy po wielotygodniowej żegludze, i pierwsze miasto zrównane z ziemią przez głos aniołów, które mieszkały w miedzianych trąbach i były sługami ich pana. Przymykali oczy i znów wędrowali przez doliny Półwyspu, ogrody pełne róż, winnice, oliwne sady i zagajniki przesycone wonią żywicy. Czuli na języku smak niemieszanego wina, które sączyli skrycie, by nie padł na nich wzrok jednego z szalonych derwiszy, a na ramionach dotyk dziewcząt z tamtego niepojętego, odległego kraju - dziewcząt, które bezwstydnie nie przesłaniały twarzy i nie potrafiły przy ognisku tańczyć ze srebrnymi dzwoneczkami przypiętymi do bransolet na przegubach, ale miały usta równie miękkie, jak dziewczęta z ich rodzinnej wioski i wszystkich miejsc podksiężycowego świata. Czasami, kiedy od zachodu wył wicher, wymieniali miana potworów, z którymi niegdyś walczyli: harpie o skórze tak twardej, że nie dawały się przebić grotem strzały, salamandry o ognistym oddechu i argusowie o potrójnej źrenicy. Mówili cicho, aby nie usłyszał ich nikt niepowołany, i z tęsknotą, bo, choć byli ludźmi bogobojnymi i surowymi, ziemia czarnoksiężników odmieniła ich bezpowrotnie i w snach zwiadywały im się miasta z białego marmuru, podobne do chmur, przydrożne rzeźby, które witały wędrowców ludzkim głosem, i pieśni niepodobne do żadnych innych.

Czasami zaś śnili o tamtej chwili, kiedy niebo pękło nad nimi jak gliniana skorupa, wypływając w dół cały zastęp demonów, które rozniosły w pył i proch najpotężniejszą armię, jaką kiedykolwiek wydał lud Arimaspi. I przeklinali czarnoksiężnika - nie za to, że ich pokonał, ale dlatego, że największe zło ich życia wyszło im na spotkanie z nędznego, zrujnowanego miasteczka i ukazało się pod postacią dobrotliwego, siwowłosego starca, na zawsze burząc ich wiarę, że rzeczy są jedynie tym, czym postrzegają je oczy.

* * *

Nikt nie dowiedział się, jak było naprawdę.

Wody głębokie jak niebo

Sztorm przycichł przed świtem, ale w wyciu wichru wciąż odzywały się jęklive głosy syren, przewodniczek huraganu. Z góry, spomiędzy koron drzew, odpowiedział im pojedynczy trel. Sancha wciągnęła głowę w ramiona i przyspieszyła kroku, choć była prawie pewna, że to zwyczajny ptak, nie harpia ani stymfalida, ani nawet nie grają, której widok zwiastuje nieszczęście.

Dno lasu wciąż spowijał mrok i wilgotna, grafitowa mgiełka zacierała kontury ścieżki. Dziewczynka potknęła się o korzeń, gładki, wyslizgany od deszczów i piasku. Dzban na wodę niemal wysunął się z jej rąk. Naczynie było piękne, z czerwonej gliny, oblane gładkim szkliwem i ozdobione przy krawędzi czarnym wzorem. Było też bardzo kosztowne - zeszłej jesieni zapłacili za nie wędrownemu handlarzowi beczkę solonych śledzi i garść piór wyrwanych z ogona martwego gryfa - więc matka nie przyjęłaby dobrze podobnej straty.

W listowiu cicho szumiały krople deszczu.

Sancha chwilę stała nieruchomo, usiłując uspokoić oddech i zogniskować wzrok na dróźce. Opar przy ziemi zgęstniał, ale do strumienia pozostało tylko kilkadziesiąt kroków pomiędzy nawisami szarej, nawilgłej trawy i kępami kolczastych zarośli. Dziewczynka bardzo dobrze znała drogę. Od trzech lat, odkąd matka uznała, że córka dorosła do kobiecych zajęć, Sancha przemierzała ją każdego ranka z dzbanem na wodę albo koszem brudnej bielizny. Dzisiaj jednak nie skręciła do pomostu, gdzie czerpano wodę. Ukryła naczynie w kępie trzciny, porastających zakole rzeczki, i pospiesznie przebiegła kładką na drugą stronę. Deszczułki zaklekały pod jej chodakami, lecz o tak wczesnej porze przy pomocy praczek nie było jeszcze żadnej sąsiadki, aby rozgadała wszem i wobec, że Sancha znów przekrada się na lewy, zakazany brzeg.

Matka za podobną zuchwałość niezawodnie obiłaby ją rzemieniami namoczonymi w słonej wodzie albo, co gorsza, wiklinową miotłą do zamiatania chlewu. Jednak tego ranka Sancha musiała wymknąć się na brzeg, nawet, jeśli miało to sprowadzić na nią razy i jazgotliwe

wyrzuty matki. Bo ojciec jak zwykle nie odezwie się ani słowem. Zje rybną polewkę, a potem, ciężko szurając nogami, zniknie za przepierzeniem z foczej skóry i położy się spać, całkowicie obojętny na dobiegające od strony kuchni gniewne poszczękiwanie garnków. Czasami Sancha podejrzewała, że ojciec po prostu nie wydfubuje wosku, którym rybacy zatykali sobie uszy dla ochrony przed śmiertcionośnymi głosami syren. Ale ona nie miała ochrony. Musiała słuchać, nawet, jeśli słowa matki zacięły dotkliwiej od rzemieni.

- Znowu chcesz mnie zabić, wyrzutku, pomocię demonów! Co z ciebie będzie, skoro już teraz urągasz boskim prawom? Przysięgam, nie jesteś dzieckiem mojego łona, strega musiała cię podmienić w kołysce.

Zamyślona, nie spostrzegła dafnisa przytającego za pniem zwalonego drzewa. Śliski pęd owinał się wokół jej łydki i szarpnął mocno. Krzyknęła, bardziej ze strachu niż bólu, gdy purpurowe ssawki przylgnęły do skóry, i na oślep spróbowała wyrwać nogę z uchwytu monstrum. Na szczęście dafnis okazał się bardzo młody, zapewne wykiełkował dopiero zeszłej nocy, i zbyt słaby, aby ją zatrzymać. Pęd cofnął się z ohydny, skrzekliwym dźwiękiem, zostawiając po sobie palący ślad. Ale trucizna nie zdołała wnikać głęboko. Nie było nawet krwi, która przywabiłaby inne potwory.

Deszcz wzmagął się. Niebo pomiędzy koronami drzew wciąż było granatowoszare, lecz dziewczynka wiedziała, że niedługo się rozwidni. Nie pozostało jej wiele czasu. Sycząc z bólu i utykając, zbiegła w kotlinkę, po czym ostrożnie wdrapała się na wydmę. Wpełzła pomiędzy niskimi, zwyrodniałymi krzakami na sam szczyt, rozgarnęła szorstkie trawy. Wichur zaciął ją w twarz, cisnął w oczy ostrym piaskiem, ale nie wydała nawet najlżejszego jęku. Nie mogła ich spłoszyć. Nie teraz, kiedy podeszła tak blisko.

Były tam, na samym brzegu morza, w niewielkiej dolince pomiędzy dwoma pasmami wydm. Poprzez łyzy i piasek Sancha z początku widziała nie więcej niż obłe, jasne kształty na brzegu. Migotliwy błysk łuski, kiedy któraś z nich poruszyła się i leniwie przewróciła na bok. Złote żyłki włosów na szarym piachu. Potem, gdy fala uderzyła mocniej i omyła je rozbryzgami piany, Sancha usłyszała śmiech, przytłumiony szumem wichru i morza.

Dziewczynka ciałniej przywarła do ziemi, przerażona, czy w ślad za śmiechem nie zlegnie się jeszcze inny dźwięk - wysoki, przenikliwy krzyk, który sprowadza szaleństwo i porciąga rybaków w otchłań. Ale nie. W tej wichrowej godzinie tuż przed świtem syreny nie niosły śmierci, tylko napawały się słonym, burzowym powietrzem, gnuśnie ocierając grzbiety o gruby

piasek. Wypełzły wysoko na brzeg, tuż za skrajem ludzkiej wioski, podczas gdy rybacy nadal ścigali je z harpunami i sieciami gdzieś pośrodku morza. Tutaj były bezpieczne. I były też piękne, tak piękne, że ich widok niemal zapierał dech.

Sancha podczołgała się jeszcze kilka kroków. Dalej rozciągała się połać nagiego piasku i syreny dostrzegłyby dziewczynkę bez trudu. Zatrzymała się, więc, z zachwytem patrząc na ich krągłe, dostatnie ciała. Ciężkie piersi kołysały się przy każdym ruchu, po wypukłych brzuchach ściekały strużki wody. Śnieżnobiała skóra połyskiwała, jakby natarto ją rybim tłuszczem, ciasno opinając fałdy i załomy ciała. Poniżej bioder lśnienie wzmagало się, nabierało srebrzystych, błękitnawych tonów, a płetwy połyskiwały jak czyste srebro.

Nagle jedna z syren targnęła się niby łosoś dźgnięty ościeniem i wyskoczyła w górę. Wrzecionowate ciało obróciło się w locie, ogon zatrzepotał, gdy wyrzuciła w powietrze fontannę moczu. Któraś z jej towarzyszek znów wybuchła perlistym, gulgotliwym śmiechem, który brzmiał jak woda spływająca z dachu do beczki na deszczówkę.

Sancha poczuła, że na twarz wypełza jej gorący rumieniec. Nie bez przyczyny ojciec Barnabo nazywał syreny najbardziej bezwstydnymi spośród wszystkich potworów. Ich nieprzyzwoicie obnażone ciała wabiły grzeszników, ale w głosach nie czaiło się nic prócz zagłady. Albowiem nienawiść syren do ludzi jest niezmiernie jak morski przestwór, prawil mnich, i nie zawahają się przed żadnym okrucieństwem, aby odepchnąć nas od morza. Będą smagać brzegi niekończącymi się sztormami, przeganiać ławice ryb na środek wodnego odmętu, dokąd nie docierają rybackie łodzie, wreszcie zsyłać na wioski plagę wszelakiego morskiego plugastwa, trujących skolopender i katobleponów, które zabijają oddechem.

Najgorsze jednak zło kryje się w ich głosach. Jeśli któryś z rybaków z brawury lub zaniedbania nie zalepi uszu woskiem, ich głosy oplotą go jak konopna lina, pociągną w szaleństwo i zatracenie. Nieszczęśnik rzuci się na swoich towarzyszy, będzie ich drapał i szarpał zębami jak zwierzę, którym w istocie się stanie, póki jakiś litościwy cios nie skróci tych męczarni. Nic jednak nie zdoła ocalić jego nieśmiertelnej duszy, ta, bowiem stopnieje i zniknie pod naporem syrenich głosów niczym morska piana.

Jednak tego ranka Sancha nie myślała o niebezpieczeństwie, w jakim znalazła się jej nieśmiertelna dusza, ani nawet o karze, którą wymierzy jej matka, jeśli nie zobaczy córki w tłumie kobiet oczekujących w przystani na powrót łodzi. Niepomna na nic, dziewczynka z zapartym tchem obserwowała igraszki syren. Deszcz ustał, a chmury rozsnuły się nieco. Światło grało

na rybich ogonach syren, kiedy przetaczały się w różowawej pianie. Płetwy z trzaskiem uderzały w mokry piach, a włosy unosiły się na wietrze jak długie złote pnącza.

W dole u podnóża wydmy trzasnęła gałązka. Syreny znieruchomiały, ale nie trwało to dłużej niż jedno uderzenie serca. Potem całe stado z chlupotem runęło ku morzu. Srebrzyste ogony mignęły jeszcze jeden raz ponad falami, wzbijając bryzgi piany czerwonej od krwi gigantów, którzy niegdyś legli na dnie morza. Woda natychmiast zamknęła się, wygładziła wszelkie ślady.

Sancha cofnęła się głębiej w trawy. Dopiero teraz w pełni pojęła, co może ją spotkać, jeżeli matka dowie się o tym najnowszym występku. Albo, jeszcze gorzej, co kaznodzieja uczyni z dziewczynką, która grzesznie szukała widoku syren, nieprzyjaciółek rodzaju ludzkiego. Publiczna chłosta przed l'Albero del Miracolo była najłagodniejszą z kar, które potrafiła sobie wyobrazić.

Odetchnęła, więc z ulgą, kiedy pomiędzy pniami mignęła płowa czupryna. Bianco, jej przyjaciel, miał najbystrzejszy wzrok w całej wiosce i dostrzegł ją od razu. Na powitanie gwałtownie zamachał rękami, a Sancha bez zwłoki zsunęła się z piaszczystego pagórka.

- Znowu je podglądałaś? - spytał, kiedy udało mu się złapać oddech.

Twarz miał czerwoną z wysiłku i dyszał jak młody psiak, a niebieska szmatka, którą zwykł wiązać na czole, pociemniała od potu. Najwyraźniej przebiegł całą drogę z wioski.

- Co się stało?

Postanowiła, że opowieść o syrenach może poczekać na inną okazję.

- Nie wiesz jeszcze? - Bianco zdziwił się fałszywie. - O poranku widziano graję. Siedziała na świątynnej dzwonnicy i nie ulękła się ojca Barnaba, kiedy wyszedł ją przekląć. Skrzeczała ohydnie, póki stara Lizetta nie cisnęła w nią kamieniem. Wtedy odleciała. A potem...

- Co potem? - ponagliła go dziewczynka.

- Potem do przystani przybiła pierwsza z naszych łodzi i... - Ze świstem wciągnął powietrze i Sancha zrozumiała, że tym razem nie chodzi o jeden z żartów w ich niekończącej się grze, kto kogo zdoła bardziej przestraszyć. - Cała ta krew i porozdzierane ciała...

Zacisnęła powieki, myśląc o ojcu, który zeszłego wieczoru jak zwykle wypłynął na nocny połów.

- Kto?

- Angelo, Paride i Nevio. Wszyscy poszarpani na drobne kawałki.

Dziewczynka przełknęła ślinę. Tamci pływali na łodzi Dina, podczas gdy jej ojciec należał do załogi kulawego Pietra. Jednak, kiedy otworzyła oczy, zrozumiała, że było coś jeszcze. Coś znacznie gorszego.

- To Donnino, najmłodszy z synów Dina - powiedział chłopiec. - Kiedy starsi prosili, by zalepił uszy woskiem, nazwał ich przesądnymi tchórzami. Ale sztorm naprawdę nadszedł, a wraz ze sztorem syreny. I wtedy było już za późno. Skoro zaczęły śpiewać, Paride chciał przywiązać Donnina do masztu, ale nie miał dość siły, zew syren okazał się zbyt przemożny. A gdy Paride wciąż nie chciał go puścić, Donnino poderżnął mu gardło nożem do patroszenia ryb, potem zaś chwycił harpun i zakłuł jeszcze dwóch towarzyszy, zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać. W końcu skoczył w morze. Ojciec Barnabo mówi, że nie ma już dla niego nadziei.

Sancha skinęła głową. Jeśli Donnino kiedykolwiek powróci do wioski, nie będzie już człowiekiem. Syreny zmieniają go w jedno z morskich monstrów, hippokampa o głowie konia i węzowym ogonie albo kakosa, który zionie jasnym ogniem.

- A inne łodzie? - zapytała, z wysiłkiem odsuwając wspomnienie o buńczucznym, lekko-myślnym Donninie, który podczas nabożeństwa wykrzywił się do niej zabawnie za plecami ojca Barnaba i przed jesienią zamierzał odejść z wioski, popłynąć na północ na następną wyspę, a potem na kolejną i jeszcze dalej, aż dotrze do krainy ludnych portów i kamiennych miast.

Bianco poprawił na czole błękitną szmatkę.

- Jeszcze nie wróciły - odparł. - Ale wszyscy czekają w przystani i... Sancha, twoja matka zaraz zauważy, że znów cię nie ma. - Złapał ją za nadgarstek i pociągnął naprzód.

Dziewczynka nie opierała się. Bianco znał tę kotlinkę równie dobrze, jak ona. Mogła zaufać, że nie wdepną w kępę dafnisów ani na kopiec myrmeków o złocistych pancerzach i szczykach, które bez trudu przecinają ludzkie ścięgna i kości.

- Poczekaj! - Zatrzymała się na skraju kładki. - Mój dzban!

- Nie bądź głupia! - syknął przez zęby. - Nie mamy czasu.

Pobiegli dalej po wilgotnym piasku, przecisnęli się pomiędzy poczerniałymi palami fałochronu i oto byli na miejscu. Na pomoście tłoczyli się chyba wszyscy mieszkańcy osady, nie wyłączając zgrzybiałej Odetty, którą przyniesiono na jej wiklinowym krześle, gromadki wioskowych kundli oraz czarnego kozła Bela, ulubieńca dzieci. Zgromadzeniu przewodził ojciec Barnabo w wystrzępionym szarym habicie, wsparty o laskę z cisowego drzewa i mimo ostrego wichru wyprostowany jak jeden z legendarnych świętych, którzy gniewnym spojrzeniem roz-

praszali hordy potworów i uśmierzali rozkołysane fale. Ale kipieli w zatoce niewiele sobie robiła ze srogich min wioskowego mnicha. Fale kłębiły się u pomostu, purpurowe od krwi martwych gigantów, a piasek wokół był poznaczony pasmami brunatnych i sinych wodorostów. Jeśli gdzieś pośród tego odmetu płynęły powracające łodzie, Sancha nie umiała ich dostrzec.

Za to bardzo szybko rozpoznała wysoką i chudą sylwetkę matki. Stała tuż przy mnichu, z całej siły ściskając rogi czarnej chusty. Ale kiedy Sancha chciała podbiec bliżej, Bianco przytrzymał ją stanowczo.

- Nie teraz - szepnął przez zęby. - Zapyta, gdzie byłaś. Poczekaj, aż przypłyną. W zamieszaniu nikt nie zauważy, kiedy się pojawiłaś.

Sancha skinęła głową. Bianco był sprytny, znacznie sprytniejszy od niej, i jak zwykle miał rację. Po kłodach drewna, wyrzuconego przez ostatni sztorm na brzeg, przekradli się pod palami pomostu bliżej morza. Silniejsza fala ogarnęła ich i prawie zmyła. W jednej chwili Sancha była cała mokra. Krztusząc się i wypluwając gorzką wodę, chwyciła się oślizgłego, gładkiego słupa. Bianco tymczasem stał już na samym skraju pomostu, na poprzecznej belce pomiędzy palami, i osłoniwszy oczy, wpatrywał się w przewężenie zatoki.

- Są tam! - wrzasnął tak przeraźliwie, że nawet ojciec Barnabo podskoczył ze strachu, zapominając na moment o swej mniszej godności. - Łodzie u wejścia do zatoki.

Sanchy wydało się, że słyszy gniewne sapnięcie mnicha, który nie lubił być zaskakiwany w żaden sposób, a już najmniej przez głos dobiegający spod jego stóp. Ale tym razem nie zgromił chłopca ani nie zaprotestował głośno. Jak wszyscy w wiosce, ufał bystrym oczom Bianca. I jak reszta czekał, aż chłopiec znów się odezwie, bo poprzedniego dnia o zmierzchu z wioski wypłynęło sześć łodzi. Nikt nie wiedział, ile powróci.

Bianco jednak milczał uparcie, a Sancha nie widziała nic prócz sinogranatowego morza. Na pomoście nad nimi z wolna zamierały wszystkie dźwięki, szuranie chodaków na wilgotnych deskach, popiskiwanie dzieci i nawet nerwowe beczenie kozła. Wieśniaczki czekały bez słowa, aż stanie się jasne, kto przetrwał, a kogo ostatniej nocy pochłoneło morze i furia syren.

- Jest łódź Kulawego Pietra - wyszeptał Bianco. - I dwie inne.

Sancha widziała jedynie ciemne plamy, coraz bliższe i coraz większe. Rzucono cumy. Kadłub ze zgrzytem otarł się o krawędź pomostu. Zadudniły ciężkie kroki, gdy pierwsi rybacy wyskakiwali z łodzi. Później zaś któraś z kobiet wydała przeraźliwe, zwierzęce wycie i rzuciła się na wilgotne deski.

Dziewięciu mężczyzn z wioski nie powróciło tej nocy z morza.

* * *

Sancha poprawiła na głowie wiklinowy kosz na ryby. Był pusty, więc niosła go bez wysiłku i balansowała ciałem, gdy przeskakiwała nad wyrwami i korzeniami. Matka szła przodem, pomimo szpotawej stopy wytrwale podpierając męża. Nevio nie ucierpiał mocno, a w każdym razie grzechem byłoby sarkać wobec ogromu nieszczęścia innych. Ale upadł na ostre haki i poranił się dotkliwie. Sancha bała się zgadywać, co skrywa jego poszarpane, okrwawione odzienie, a ojciec nie odezwał się ani słowem, odkąd postawił nogę na suchym lądzie. Za to matka nie przestawała mówić.

- Wszystko to przez nasze grzechy - biadała gromko. - Z dawien ojciec Barnabo powiadał, aby wytępić ten diabelski pomiot, hippokampów, argusów i syreny, zanim one nas wygubią. Ale nie, my w zatwardziałości serc naszych woleliśmy udawać, że niebezpieczeństwo jest gdzieś daleko, że nas nie dosięgnie. Tymczasem ono jedynie przytailo się, czekając sposobnej okazji. I kiedy ta okazja nadeszła, uderzyło bez żadnej litości. Litość nie leży w naturze monstrów. W ich naturze nie leży nic prócz zniszczenia... - Urwała, aby zaczerpnąć oddechu.

Sancha wykrzywiła się brzydko, lecz zaraz opuściła niżej głowę, aby nikt nie dostrzegł grymasu. Matka nie przestanie gadać przez całą drogę do domu, zupełnie jakby w obliczu nieszczęścia znajdowała radość w ponawianiu klątw i samooskarżeń. Niby jedna ze świątobliwych niewiast, które dawno temu zagrzewały armie do boju z demonami, będzie wygłaszała swe płomieniste mowy, czyszcząc i przewiązując rany męża, a także później, kiedy ten już ułoży się do snu za przepierzeniem z foczej skóry. Nic nie powstrzyma jej świętego gniewu i pragnienia zemsty.

Nic prócz grai, przycupniętej na l'Albero del Miracolo, Drzewie Cudu.

L'Albero del Miracolo - ojciec Barnabo zżymał się na wieśniaków za tę nazwę, twierdząc, że nie im rozstrzygać o boskich zamysłach, ale oni wiedzieli swoje - było olbrzymim, uschniętym dębem pośrodku placu przed bramą. Niegdyś, zanim Sancha przyszła na świat, do osady zakradli się rabusie. Udawali wędrownych cieśli, ale nocą odbili skobel w świątyni. Ukradli święte naczynia, które były zrobione z najczystszej srebra, ojciec Barnabo przyniósł je

dawno temu z odległego klasztoru na drugim brzegu morza. Kiedy psy zaczęły szczekać i wieśniacy poderwali się ze snu, aby bronić swego dobytku, jeden ze złodziei wdrapał się na drzewo i wrzucił worek z łupem do dziupli.

Skarb zniknął bez śladu i nikt nie potrafił go odnaleźć, choć przeszukano całą osadę. Wędrowcy zaklinali się, że są niewinni, lżyli wieśniaków i szydzili z ojca Barnaba, który modlił się o odnalezienie świętych naczyń. Ale gdy modlitwa dobiegła końca, bezchmurne niebo przeszła błyskawica. W krótkim oślepiającym rozbłysku piorun uderzył w dąb, spopielił liście i rozszczepił koronę drzewa na pół. A potem dąb zaczął płakać srebrnymi łzami.

Roztopione srebro wypływało przez szczeliny w drewnie, ciężkimi kroplami ściekało po czarnej, dymiącej korze, by na końcu zastygnąć niczym smugi żywicy. Zmartwiali wieśniacy obserwowali ten cud w nabożnym milczeniu. Kiedy oszołomienie minęło, długimi żelaznymi ćwiekami przybili świętokradców do drzewa, które nie chciało być współnikiem ich zbrodni.

Bianco wdrapał się ukradkiem na l'Albero del Miracolo i przysięgał, że w korze wciąż tkwią główki ćwieków, a korę znaczą rdzawe zacieki, ślad po krwi złoczyńców. Poniżej dziupli zaś dało się dostrzec drobne kropelki zastygłego srebra, chociaż poczerniałego już i na wpół zatartego. Sancha oczywiście nic nie widziała i nie była pewna, czy jej nie oszukał. Niemniej wszyscy w wiosce czcili l'Albero del Miracolo niczym relikwię, widoczny znak boskiej sprawiedliwości i kary za grzechy.

A teraz na szczycie tej świętości siedziała bezwstydna, skrzecząca graja.

Matka zamarła z rozwartymi ustami i ramieniem na wpół uniesionym w kierunku potwora. Sancha przeszła jeszcze kilka kroków, wpadła na plecy ojca i natychmiast została odepchnięta na bok przez matkę. Ale po ciosie nie nastąpiły żadne gniewne słowa. Potwór pojawił się w wiosce po raz drugi tego samego dnia i było to coś, co nawet matkę mogło wytrącić z równowagi.

Graja zakołysała się niepewnie i Sancha poczuła stęchłą, oleistą woń monstrum. Przymrużyła oczy, aby zobaczyć ją dokładniej, ale potwór siedział zbyt wysoko. Był niewielki, mniejszy od stymfalidy czy harpii, i na szczęście nie mógł zasypać rybaków gradem kaleczących piór ani wykłuć im oczu zakrzywionym dziobem. Właściwie graje nie atakowały ludzi. Pokryte brunatną łuską i kępkami krótkich, zwyrodniałych piór, nie latały zbyt sprawnie i nie potrafiły doścignąć nawet zdrowego dzieciaka. Porywały tylko kokosze z kurników i czasami rozszarpywały młode jagnięta na pastwiskach. Naprawdę jednak obawiano się ich z powodu oczu,

mętnych i pokrytych bielmem. Ich spojrzenie zwiastowało śmierć, podobnie jak głos grai wiszczył nieszczęście.

Potwór znów się poruszył, załopotał błoniastymi skrzydłami i uniósł głowę do krzyku. Jego głos sprawił, że kosz wyslizgnął się Sanchy z rąk. Upadła na gościniec, kalecząc sobie kolana o żwir, zasłoniła uszy rękami. Jednak wrzask nadal wibrował pod czaszką, napełniał usta metalicznym smakiem. Poczuła, jak z nosa sączy się jej strużka krwi.

I wtedy z przeciwległego krańca wioski grai odpowiedział inny dźwięk. Ludzki głos.

- Argusi zaatakowali stado!

Dwie graje jednego dnia, pomyślała z przerażeniem Sancha. Dwa nieszczęścia.

- Nasze owce! - odezwała się świszczącym głosem matka. - Gdzie są nasze owce, Sancha?

Ale wszyscy troje świetnie wiedzieli, że o brzasku dołączyły one do wioskowego stada i w gromadzie innych zwierząt wypędzono je na pastwisko poza palisadą. Na północnych wzgórzach od dwóch lat nie pokazywali się argusi, nie widywano nawet ich śladów, więc owiec strzegło zaledwie czterech wyrostków i gromada pasterskich psów. Zbyt mało, by powstrzymać hordę potworów, uzbrojonych w ostre włócznie i proce.

Zanim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać, Sancha poderwała się do biegu. Ciekawość była silniejsza od strachu. Trzy lata temu widziała argusa. Potwór wpadł do wilczego dołu, za radą ojca Barnaba wykopanego na drodze na pastwisko. Złamał nogę, ale żył jeszcze, kiedy znaleźli go wieśniacy. Z początku tylko patrzyli z przestachem, jak się miota, toczy pianę z pyska i skacze na ściany jamy, usiłując ich dopaść. Był szeroki w barach i wyższy od najroślejszego z mężczyzn. Nie nosił żadnego ubrania, nawet przepaski biodrowej, aby przesłonić swój wstyd, a płowa grzywa opadała mu na twarz.

Potem wieśniacy zaczęli rzucać włócznie i kamienie. Argus krzyczał, na darmo usiłując przywabić swoich. Miał silny głos, ale w jego wrzaskach nie dawały się odróżnić żadne słowa. Kiedy w końcu go wydobyto z jamy, Sancha zdołała przepchnąć się bliżej pomiędzy kolanami starszych. Oczy potwora nieruchomo wpatrywały się w niebo, a trzecia, nieludzka źrenica pośrodku czoła była olbrzymia i błękitna jak letnie morze.

Ojciec Barnabo zamierzał zatrzymać truchło, wypchać je i powiesić na ścianie świątyni jako wotum. Niestety lato było wyjątkowo upalne i trup zaczął się psuć jeszcze tej samej nocy. Śmierdział tak straszliwie, że wioskowe kundle, wyjął, zbiegły się pod świątynię. Nie dało się

nawet zatknąć jego głowy na palisadzie na postrach dla innych monstrów, bo owce na widok trofeum pierzchały z przeraźliwym beczeniem. Na koniec mnich musiał nakazać wrzucić ścierwo argusa do morza, z daleka od wioski.

Dzisiaj jednak przy bramie nie było martwego potwora, tylko okrwawiony pastuszek i ze dwa tuziny przerażonych owiec, które zbiły się wokół niego w ciasną gromadę. Wieśniacy tymczasem nadbiegali ze wszystkich stron, z niedowierzaniem przyjmując to nowe nieszczęście. Ojciec Barnabo gnał pomiędzy pierwszymi, aż do kolan zakasawszy wytarty habit.

- Co się stało? - wydyszał.

- Argusi. - Chłopiec wypuścił z dłoni pasterski kij i osunął się na czworaka, jakby nagle zabrakło mu sił. - Wielka horda argusów, ojczu. Zbiegli ze wzgórz, zanim podniosła się mgła, i opadli nas ze wszystkich stron. Mieli włócznie, ojczu... - zachłysnął się płaczem. - Zabijali zwierzęta i ludzi po równo...

Czarnosiwa owca odłączyła się od stadka i, becząc, podbiegła do Sanchy. Za nią podążyły dwie następne. Dziewczynka z ulgą zanurzyła dłonie w szorstkie runo. Połowa ich dobytku ocalała z napaści.

Ojciec Barnabo i dwóch innych już zamknęli bramę. Podpierali ją teraz od środka ciężkimi drągami.

Ktoś zniemacka dotknął jej ramienia. Bianco.

- Idź stąd, Sancha - nakazał chrapliwie. - To nie będzie miejsce dla dzieci, jeśli argusi, napadną na wioskę.

Chciała zaprotestować, bo przecież był od niej starszy zaledwie kilka miesięcy, ale coś w jego głosie ją powstrzymało. Odsunął się o kilka kroków i nie widziała dobrze twarzy przyjaciela. Zwykle to nie przeszkadzało, umiała odczytywać jego nastroje. Jednak nie dzisiaj. Dotknęła tylko przelotnie policzka chłopca. Odepchnął ją szybko, lecz i tak poczuła na palcach wilgoć. Płakał. Nie wiedziała, dlaczego.

Ojciec Bianca zginął trzy lata temu, rozszarpany przez lamie, i nie zostawił rodzinie wiele dobytku, toteż chłopiec nie utracił dzisiaj krewnych ani owiec. Wprawdzie mąż jego siostry pływał na jednej z zatopionych łodzi, lecz był to człek skąpy, zazdrosny i porywczy, więc Nina często obnosiła na twarzy purpurowe sińce, ślad jego karcącej ręki. Bianco nie miał powodu, by płakać.

Zapewne, dlatego ją przeraził.

* * *

O zmierzchu okazało się, że do dwóch nieszczęść przybyło trzecie, zdaniem matki dotkliwsze od poprzednich, choć nie zwiastowała go graja.

Do wioski przybył bazarz.

Argusi nie próbowali sforsować palisady, jakiś czas krążyli tylko wokół osady, wyjąc przeraźliwie i wygrażając oszczepami. Brama pozostała jednak zamknięta, nawet, kiedy na dobre znikli ze zrabowanym stadem wśród wzgórz, i bazarz długo stał pod wejściem. Dopiero ryczenie zniecierpliwionego osła przekonało strażników, że obcy nie jest jednym z potworów. Trwożliwie uchylili wierzeje i starzec wemknął się do środka, ciągnąc za sobą opornego zwierzaka.

Był wysokim mężczyzną, choć wyschłym na wiór i pomarszczonym. Długie, siwe włosy zbierał na karku w ciasny warkocz, zwykle ukryty pod filcowym kapeluszem. Jego odzienie też w niczym nie przypominało strojów wieśniaków. Nosił luźną tunikę z szarego sukna i obszerne spodnie, puszczone luźno na buty ze świńskiej skóry. W chłodniejsze dni wdziewał także płaszcz z grubej wełny, gdyż, jak kiedyś powiedział do Sanchy, wiekowe kości przeczuwają już chłód grobu.

Istotnie, dziewczynce wydawał się stary jak świat. Ale z czasem spostrzegła, że kolejni starcy marli pomiędzy jego wizytami w osadzie i grzebano ich na maleńkim cmentarzyku za świątynią, bazarz zaś nie zmieniał się ani trochę. Odwiedzał wioskę nie więcej niż kilka razy do roku, nieodmiennie pełen opowieści o cudach i dziwach wielkiego świata, Sancha uwielbiała jego historie.

Tego wieczoru jednak nie miała okazji ich słuchać. Matka najpierw rozplakała się na widok ocalałych owiec, dalej wybuchła stekiem złorzeczeń, rozpaczając nad utraconym dzbanem, po czym wysłała córkę nad strumień na poszukiwanie naczynia, a po powrocie obita ją rzemieniem i zamknęła za karę w drewnitni. Dlatego dziewczynka nie widziała przybycia bazarza. Umiała je sobie jednak wyobrazić, za każdym razem, bowiem wyglądało tak samo.

Na pewno zatrzymał się przed progiem, z nisko pochyloną głową oczekując słów zaproszenia. Matka wyszczała coś pod nosem na jego widok, ale nie ośmieliła się głośno oponować, kiedy Nevio z czcią wprowadzał starca do izby. Jeden raz pod nieobecność męża poszczała psami tego człowieka, którego uważała za potępionego czarnoksiężnika i sługę demonów.

Nevio dowiedział się jednak. Pożyczył od kowala jedyne konia w wiosce, dopędził bazarza gdzieś pomiędzy północnymi wzgórzami i długimi zaklinaniami nakłonił do powrotu, po czym wywlókł żonę z chaty i na oczach zdumionych sąsiadów pobił ją do krwi jednym z drągów, na których rozwieszano sieci.

- Nigdy więcej nie odmówisz temu człowiekowi schronienia, chleba i wody - rzucił twardo. - Czy wiesz, dlaczego?

- Wiem - wyszeptała zakrwawionymi wargami matka.

- Więc powiedz - zażądał Nevio i wymierzył kolejny cios, choć zwykle stronił od okrucieństwa.

- Ponieważ uratował ci życie.

- To prawda, kobieto. - Nevio skinął głową. - Ocalił mnie, kiedy nikt inny nie chciał mnie ratować, na własnych rękach wyniósł mnie spośród trupów, a skoro wydobrzałem, oddał tutejszym ludziom na wychowanie. Zacnym, poczciwym ludziom, którzy przyjęli mnie jak własne dziecko, choć nie wiedzieli, skąd pochodzę i jakiej jestem krwi.

Sąsiedzi pokiwali głowami. Dobrze znali tę historię. Choroba nie dotknęła ich wioski, ale słyszeli o wielkiej zarazie, karze za bluźnierstwa czarodziejów, która wyludniła połowę Półwyspu. Rybacy nie uważali się zbyt nad dola grzeszników z odległych miast - sami byli sobie winni, skoro uciekali się do przekłętej sztuki magów i hołubili w swych domostwach złe duchy. Ale mieszkańcy okolicznych wysp byli, jak oni, zwyczajnymi, ciężko pracującymi rybakami. Przestrzegali boskich praw i stronili od zakazanej magii. Dlatego w wiosce litowano się nad losem Nevio, który z powodu cudzych przewin utracił całą rodzinę.

Ojciec zamyślił się na chwilę, jakby wspominał ów jesienny dzień, kiedy bazarz zawitał do osady i położył przed radą starszych wychudzonego oseska, który na widok tylu obcych ludzi zachłystywał się krzykiem i własnym przerażeniem. Ale Nevio oczywiście był zbyt mały, by zapamiętać, jak starsi wioski sprowadzili ze świątyni ojca Barnaba i przywołali trzy stare kobiety, szczególnie doświadczone w rozpoznawaniu skażonej krwi. Potem rozdzielili chłopca ze szmat, w które bazarz go owinął dla ochrony przed chłodem, aby obejrzeć dokładnie każdy skrawek jego ciała i odszukać znamię demona - rybią błonę pomiędzy palcami stóp, która kiedyś rozrośnie się w ogon trytona, albo zgrubienie pośrodku czoła, gdzie z czasem pojawi się trzecie oko argusa.

Badali dziecko długo i nieubłaganie, choć posiniało od chłodu i wrzasków. Musieli być ostrożni, bo w przeszłości już się zdarzało, że potwory podrzucały swoje małe pod ludzkie

siedziby. Nic nie znaleźli. Chłopiec był warty, zagłodzony niemal na śmierć i w cichości ducha powątpiewali, czy pożyje do wiosny. Jednakże nie miał w sobie nic z demona.

- Ale nie, jest inny powód, abyś przyjęła go pod własny dach -podjął z namysłem Nevio, który był milkiwym mężczyzną i słowa przychodziły mu z trudem. - Ten mianowicie, że tak ci nakazuję. Ja, twój mąż. A ty masz być mi z woli bożej posłuszna.

Sąsiedzi znów pokiwali z aprobatą głowami. Skoro Nevio postanowił skarcić swoją kobietę za nieposłuszeństwo, nikt nie zamierzał się wtrącać. To była sprawa rodzinna. Nawet ojciec Barnabo nie pochwałał krnąbrności niewiast.

Matka również zrozumiała bardzo szybko, że znikąd nie doczeka się pomocy. Pociągając nosem, powlokła się do izby i nigdy więcej nie próbowała odpędzić bazarza. Jednak nie kryła bynajmniej niechęci, on zaś nie pchał się jej za bardzo przed oczy. Ale tego wieczoru nie kosztowało go to wiele wysiłku. Zdążył tylko rozjuczyć osiołka i wprowadzić go do zagrody, po czym ruszył z Neviem na zebranie starszyny.

* * *

Rada wioski zgromadziła się, jak zwykle, w nawie świątyni. Starcy siedzieli na dwóch długich dębowych ławach, za nimi stali ojcowie rodzin, a jeszcze dalej, w cieniu pod wiekowymi ścianami, kłębił się tłum niezonatych mężczyzn, wyrostków lub nawet chłopców, jeśli mieli wystarczająco wiele odwagi, aby się tu zakraść. Sancha nigdy nie oglądała podobnego zgromadzenia: kobiety ani tym bardziej niedorośle dziewczyny nie zabierały głosu w sprawach wioski. Jednak następnego ranka bazarz opowiedział jej wszystko dokładnie.

- Najpierw ojciec Barnabo prawił wiele o grzechu i bluźnierstwach magów, którzy uzurpowali sobie boską moc tworzenia, gdy jęli łączyć demony z materią, aby powołać do życia niezliczone, obmierzłe monstra. Wszyscy słuchali go z należytą uwagą, choć powtarza tę samą historię od trzydziestu lat. - Bazarz skrzywił się, jakby owo jawne lekceważenie pradawnej sztuki opowieści sprawiało mu ból. - Potem obiecał odprawić specjalne nabożeństwo żałobne za dusze wieśniaków. Nawet tych, których pochłonęło morze, oczywiście z wyjątkiem Donnina, którego nic już nie ocali przed wiecznym potępieniem. To nieco ożywiło zgromadzenie.

Sancha skinęła głową. Ojciec Barnabo nie zwykł pobłażać występkom i zazwyczaj bardzo sumiennie badał, czy ofiary potworów nie uległy im z własnej woli. Widać jednak ogrom nieszczęścia, które spadło na wioskę, natchnął go niecodzienną łaskawością.

- Prawdziwy zamęt nastał jeszcze później, kiedy mnich wezwał starszych do świętej wyprawy przeciwko potworom. Przeciwko dzikim argusom, złodziejom wiejskiej trzody, plugawym syrenom, które sprowadzają sztormy, ich sługom hippokampom i kakosom, a nawet skylli, co siedzi w jaskini u północnego skraja zatoki. Inaczej nigdy nie nastanie pokój, rybacy będą ginąć w odmęcie oceanu, a chłopcy, strzegący stad, staną się strawą okrutnych bestii.

Dziewczynka wstrzymała ze zdumienia oddech. Owszem, ojciec Barnabo od dawna nawoływał, aby wypłenić z wyspy obmierzłe monstra. Brakło jednak wieśniaków do podołania podobnemu zadaniu. Mogli najwyżej zabić harpunami syrenę, jeśli sztorm wyrzucił ją daleko na brzeg, zastawiać wokół pastwisk pułapki na argusów, wybierać jaja z gniazd stymfalid albo podkładać ogień pod kopce myrmaków. Ale na swych kruchych łódkach nie dościgną na otwartym morzu hippokampa ani w tamaryszkowych zaroślach nie stawią czoła spragnionej krwi lamii. Sama wyspa była zbyt rozległa i dzika, aby opanowali wszystkie jej zakątki, a co dopiero mówić o niezmiernym morzu, które z dawien dawna stanowiło siedzibę potworów.

- Oszalał. - Bajarz odgadł jej myśli. - Jak reszta jest na wpół przytomny ze strachu. Syreny i wcześniej napastowały rybaków. Jednak zadowolą się jednym nieostrożnym młodzikiem, teraz zaś utraciliśmy dwie łodzie, i nawet ojciec Barnabo się boi.

Sancha podniosła oczy znad miski korzeni, które matka kazała jej oczyścić na obiad.

- Mnich jest stary - wyrzekł powoli bajarz. - Jest stary i pamięta, że kiedyś było tu więcej wieśniaków. Znacznie więcej. A przecież nawet wtedy nie zdołali wytępić potworów.

- I co mu odrzekli?

- Och, wysłuchali mnicha w skupieniu, jak zwykle. - Bajarz uśmiechnął się półgębkiem. - Rozumieją przecież jego niepokój i świętą furię. Ale nie będzie żadnej wyprawy przeciwko argusom, którzy ponoć rozplenili się niezmiernie na północnych wzgórzach. Najwyżej podrzuci im się jakąś zatrutą padlinę, niech wyzdychają w boleściach. Nikt nie zamierza też drażnić skylli w jej grocie. Co to, to nie. Przecież każdy w wiosce od dziecka wie, gdzie siedzi potwór, i nikt się nie zapuszcza na tamte wody. Jeśli cokolwiek gadzina pochwyci i zeżre, to najwyżej nieostrożnego trytona, hippokampa albo kakosa, co nie jest ostatecznie żadną stratą. Ponadto gdyby ktoś nadpłynął od strony Półwyspu, jakiś pirat albo mag przeklęty, niezawodnie wybierze drogę

obok skylli. Zatem i ten będzie z niej pożytek, że w razie, czego obcą załogę należycie przetrzebi, bo jest szybka i każdą z sześciu głów potrafi złapać ofiarę. Po co mają się tutaj plątać nieproszeni goście? Nie wiedzieć, jakie nowe zło za nimi przyjdzie. Niechże, więc skylla zostanie. Ale z syrenami inna będzie sprawa.

- Dlaczego?

Bajarz poskrobał się po głowie i milczał jakiś czas.

- Bo tak długo mnich gadał, aż się starcy ugięli - odparł w końcu z westchnieniem. - Bali się, że jak się uprą, odmówi należytego pochówku ich krewnym. Ale przeważyło coś jeszcze. - Na twarzy bajarza pokazał się dziwny grymas. - Barnabo podburzył młodych. Donnino miał licznych przyjaciół i wielu chce pomścić jego upadek. Mnich nazwał ich ostrzem Pana. Dzisiaj w południe wypłyną.

Sancha i Bianco stali z bazarzem w przystani, kiedy ośmiu młodzieńców w śnieżno-białych koszulach i z czołami wciąż błyszczącymi od poświęconego oleju wyłoniło się ze świątyni. Pierwszy z nich niósł chorągiew z wizerunkiem świętego Diamante, który zabił hydrę, pozostali zaś z dumą dzierżyli harpuny i szerokie noże do szlachtowania bydła. Z tyłu dreptał ojciec Barnabo, z pokornie pochyloną głową, lecz w jego twarzy raz po raz odbijał się wyraz dogłębnego zadowolenia.

- Czy naprawdę pokonają potwory? - zaniepokoiła się Sancha, bo ośmiu śmiazków wyglądało dziwnie żałośnie na tle sinoniebieskiego przestworu morza.

- Żartujesz, głupia? - ofuknął ją Bianco. - Ośmiu głupków przeciwko wszystkim potworom oceanu? Syreny rozszarpią ich na drobne strzępy.

Ojciec Barnabo zatrzymał się przy pomoście i wysokim, koźlim głosem zaintonował triumfalny hymn. Młodzieńcy kolejno pochylali się, by przyjąć jego błogosławieństwo, ale w ich gestach i postawie nie dawało się odczytać szczególnej pobożności. Chcieli zabijać potwory i powrócić w sławie do rodzinnej wioski. Nic więcej.

- Dlaczego syreny tak nas nienawidzą? - Dziewczynka podniosła na bajarza bladoniebieskie oczy.

Po obliczu starego przemknął cień.

- Ściągają sztormy, ponieważ taka jest ich natura. Są tym, czym je uczyniono. Jak my wszyscy.

- A jak je uczyniono?

Oczywiście bardzo dobrze pamiętała nauki ojca Barnaba o występnych sztuczkach czarodziejów, pragnęła jednak posłuchać bazarza, zanim matka znajdzie jej jakieś niecierpiące zwłoki zajęcie na resztę dnia. W opowieściach wędrownego starca wszystko wydawało się zupełnie inne, a najzwyczajniejsze rzeczy nabierały posmaku cudowności.

- Syreny... - Bazarz mlasnął, jakby smakował to słowo i obracał je na języku. - Nie, nie opowiem ci teraz o syrenach, aby wichry i fale nie uniosły ku nim opowieści i nie ściągnęły ich na tutejsze wody, morskie stwory są, bowiem skryte i zazdrosne o własne tajemnice. - Umilkł, zapatrzony w toń zatoki.

Sancha nie ośmieliła się go ponaglać - wyrwany zniemacka z zadumy, mógł się obrazić i nie odezwać więcej ani słowem.

Chłopcy z wioski odbili od pomostu. Biały żagiel łodzi wydawał się zdumiewająco kruchy na tle otwartego morza.

- Dzisiaj mam dla ciebie inną historię - podjął bazarz. - O dziewczynie, która dawno temu urodziła się na wyspie pośrodku morza, wygiętej niczym ośli grzbiet i sterczącej pod gęstwą lasu. Jej ojciec... - urwał i znów zamyślił się na chwilę. - Jej ojciec znał wszystkie tajemnice wód, zdradzieckie prądy, podwodne łąki, gdzie zbiera się nieprzebrane mrowie śledzi, dorszy i sardeli, skały, na których wylęgają się foki i trytony, a także mielizny, rafy i ławice piasku, co więzi kadłuby okrętów.

- Był rybakiem jak my? - nie wytrzymała Sancha.

Bazarz zmarszczył z przyganą brwi.

- Sądzę, że nie miałby nic przeciwko temu, aby nazwać go rybakiem - odpowiedział powoli. - Córka nadała mu miano pasterza ryb. Miała jasne włosy i oczy, w których odbijało się niebo, a kiedy biegła po morskim piasku, jej stopy były bielsze od piany. Pewnego razu jej uroda ściągnęła wzrok czarodzieja, który mieszkał w wieży nieopodal. Gdy na nią popatrzył, nie potrafił już odwrócić spojrzenia, pragnął widzieć ją znów i bez końca. A ona śmiała się tylko. Im dłużej brzmiał jej śmiech, tym większa złość rosła w sercu maga. Przygotował w pracowni napar fiołkowy jak krew mątwy i wylał go w zatoce, gdzie miała zwyczaj się kąpać. Gdy zaś o poranku dziewczyna, jak co dnia, zeszła na brzeg, czarodziej czekał na nią, pełen słodkich zapewnień i obietnic. Ale ona nie chciała go nawet wtedy. Nie wierzyła, że mógłby uczynić jej krzywdę. Po prostu rozpuściła włosy, odwróciła się do niego plecami i weszła w morze. A czarodziej upadł na

piach, krzycząc z rozpacz i upokorzenia tak głośno, że usłyszało go sześć wielkich czarnych brytanów, które strzegły jego wieży. Potem wypowiedział zaklęcie i wezwał demona.

Dziewczynka poczuła miły dreszcz przerażenia. Uwielbiała historie bazarza. Zwłaszcza te o demonach.

- Sześć olbrzymich psów, czarnych niczym smoła albo serce lamii, runęło ku kąpiącej się dziewczynie. Lecz demon był najszybszy. Kiedy odwróciła się ze strachem ku nadbiegającym zwierzętom, otoczył ją niby ciemna chmura i wciągnęła go w siebie jak oddech. Upadła w wodę, prosto pod nogi rozjuszonych brytanów. Psy ją opadły i nie zdołały już się cofnąć, gdyż właśnie w tej chwili dziewczyna zaczęła się przemieniać, rozrastać i potwornieć. Rysy rozmyły się, twarz pokryła gruba pomarszczona skóra, a śmiech przeszedł w chrapliwe rżenie i umilkł na zawsze. Ramiona i nogi przywarły do korpusu, zrosły się z nim w jedno. Na koniec zaś wchłonęła ciała brytanów, stopiła się z nimi, pozostawiając jedynie sześć paszcz, które ujadły z przerażeniem i kłapały ostrymi zębami. Dopiero, kiedy potwór z wysiłkiem wypłynął na brzeg, mag pojął w pełni, czym było jego zaklęcie. Nie potrafił go jednak cofnąć i ocalić dziewczyny o imieniu Skylla, więc tego samego dnia powiesił się na szczycie własnej wieży.

- Skylla? - wykrzyknęła stłumionym głosem Sancha.

Bianco z przyganą pociągnął ją za rękaw, zamilkła, więc pospiesznie. Ale właśnie tak nazywano sześciogłowego potwora strzegącego wejścia do ich zatoki.

- Ale jego śmierć nie wyzwoliła demona. - Bazarz ze smutkiem potrząsnął głową. - Zwykle potrafią się uwolnić po śmierci maga, który je spętał. Ten jednak widać był zbyt słaby, by strząsnąć zaklęcie, lub zanadto zagubił się w dziewczynie, również obłąkanej ze strachu...

- Czy tak właśnie powstały potwory? - zapytał z napięciem Bianco. - Z powodu zaklęcia, które poszło nie tak, jak trzeba?

Starzec milczał długo. Sancha pomyślała, że obraził się na dobre i nie przemówi więcej.

- Czasami - odparł wreszcie. - Inne uczyniono w rozmyślenie. Argusów stworzono w czasach przed Guerre dei Gierofanti dla ochrony stad i aby z murów oraz wież obronnych wypatrywały wroga. Syreny były z początku ozdobą książęcych zwierzyńców. Wylegiwały się na marmurowych podestach, czesały srebrnymi grzebieniami włosy i śpiewały ku uciechu gości. Trytony miały odnajdować w oceanie ławice ryb i napędzać je w rybackie sieci, harpie zaś tępić drapieżne ptaki, by nie porywały z ludzkich osad kurcząt, gęsi, królików i jagniąt.

- Później jednak zdołały się uwolnić - odgadł Bianco.

- Nie, nie uwolnić - poprawił ostro bazarz. - Załedwie zbiec na pustkowie, z dala od ludzkich siedzib i magów, którzy je powołali do podksiężycowego świata. Uciekały do kryjówek takich, jak ta wyspa, zagubiona pomiędzy odmętami na skraju Arcipelago delia Rugiada Rossa. W najbardziej niegościnnie, ponure i jałowe z miejsc. - W zadumie przeczesał rzadką brodę palcami.

- Nasza wyspa nie jest... - zaprotestowała Sancha, lecz Bianco znów szarpnął ją za koszulę, tym razem mocniej i ze złością.

Bazarz nie zwrócił na nich uwagi.

- Zupełnie jakby mogło to cokolwiek pomóc - podjął z cicha. - Bo przecież pozostały uwięzione, bezpowrotnie spętane materią i zamknięte w obcych kształtach. Nie potrafią się uwolnić. Nawet teraz. Może już wcale nie pamiętają, kim były wcześniej, swobodne i nieposkromione na przestrzeniach dziewięciu sfer nieba. Duchy powietrza i pustki, mieszkańcy ponadksiężycowego świata. Któż jeszcze zdoła odczytać ich minioną chwałę w tych plugawych, wynaturzonych formach?

Dziewczynka spuściła wzrok. Nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć. Ale też starzec nie oczekiwał od niej odpowiedzi.

- Jednak nie na tym polegał błąd magów, wcale nie - ciągnął posępny tonem. - Siedzieli w swoich wieżach z piaskowca i kamiennych zamkach, tacy pewni własnej potęgi, ufni w swe obliczenia, mapy nieba, formuły i magiczne księgi. Nie przewidzieli, że nie starczy tchnąć życia w nowe kształty, trzeba jeszcze nad nim zapanować. A to się nie udało, więc nie mogąc ich zniszczyć, odpychali własne nieudane twory na najdalsze krańce ziemi, aż w końcu stały się niczym gęsta, purpurowa piana, którą unosi się na brzegach niezmiernego morza. Tak, tym właśnie były potwory dla magów. Krwawą pianą, którą czasami sztormy rzucają im pod nogi, a wtedy trzeba ją jak najszybciej zdeptać i zmyć z trzewików. Tymczasem piana rozrastała się, a fale niosły ją coraz dalej...

Umilkł. Sancha wsunęła dłoń w palce przyjaciela i dała mu znak, żeby odeszli po cichutku, bo słowa bazarza dziwnie ją przerażały. Chłopiec jednak odsunął ją lekko i nadal stał w miejscu, aż starzec ponownie ocknął się z zadumy.

- Wciąż nie rozumiecie? - rzucił.

W pytaniu było tyle złości, że dziewczynka aż się wzdrygnęła.

- Magowie też długo nie rozumieli, choć powinni się domyślić, skoro tylko pierwsze lamie pojawiły się w nabrzeżnych zaroślach, a harpie zaczęły wic gniazda na dzwonicach kościołów. Niepostrzeżenie na krańcach świata wezbrał przyptyw. Potwory nie potrzebowały już czarodziejów. Nie były dłużej obce w naszym świecie. Rosły w siłę i płodziły nowe pokolenia.

- Przecież to tylko potwory - wykrztusiła zdezorientowana Sancha.

Bianco tak gwałtownie wyrwał dłoń z jej uścisku, że aż się zachwiała. Odwróciła się ku niemu, zaskoczona, ale on spoglądał już gdzie indziej. Osłaniając dłonią oczy, patrzył wysoko ponad wioskową palisadą.

- Dafnisy! - wykrzyknął z całych sił. - Dafnisy się pylą! Wiatr miota je na nasze pola! - Resztę jego słów zagłuszyła wrzawa, która podniosła się przy pomocy.

Sancha podążyła za jego spojrzeniem i - jak zwykle - nic nie dostrzegła. Ale Bianco na pewno miał rację. Gdzieś na północ od wioski, w przybrzeżnym lesie, osłonięte gęstwiną dafnisy rozkrzewiły się i zakwitły szkarłatnym kwieciem. Gdy zaś przekwitły, wicher nadał błoniaste worki nasion i uniósł je znad ziemi rdzawą chmurą na poszukiwanie nowych, sprzyjających gruntów. Jeśli padną na żyzną ziemię - od lat spulchnianą motykami, czyszczoną z kamieni i wciąż wilgotną od nocnego deszczu - błony skurczą się i popękają, a ze środka wyłonią się zarodki, żywe i łakome. Wypuszczą długie, chwytne wici, wrosną w glebę, zakorzenią się głęboko, a ich jad będzie z każdą chwilą nabierał mocy. Po kilku dniach urodzajne pole zmieni się w uroczysko, na które ani człowiek, ani zwierzę nie ośmieli się wkroczyć.

O ile zdążą się rozplenić, pomyślała Sancha. O ile nie wyrwiemy ich teraz, póki są młode i słabe, i nie rzucimy w palący ogień.

Odruchowo potarła łydkę, oparzoną dzisiejszego ranka. Dobrze wiedziała, co należy uczynić, bo dafnisy pyliły się kilka razy w roku i cała wioska zgodnie ruszała je pielić, jeżeli usiłowały się zagnieździć nieopodal osady. Właściwie nie były najgroźniejszymi z potworów, choć Sancha słyszała o starych, rozrośniętych monstrach, które pluły jadem na odległość rzutu kamieniem i błyskawicznie oplatały ofiarę palącymi wiciami. Jednak nie bała się ich nadmiernie. Zanadto były niemrawe: nogi-korzenie wiążyły je w jednym miejscu. Budziły tylko wstręt.

Ale kiedy chciała wraz z innymi ruszyć na pole, poczuła na ramieniu szorstką dłoń.

- O, nie - rzekła surowo matka. - Jak na jeden dzień dość już zmarnowałeś czasu, a przy pieleniu dafnisów nie będzie z ciebie wielkiego pożytku. Pójdiesz ze mną. Nina zaczęła rodzić. Czas, żebyś przyjrzała się kobiecemu trudowi.

* * *

Nina krzyczała cała noc. Sancha z trudem rozpoznawała jej głos, choć znała go bardzo dobrze, podobnie jak tę izbę o świeżo pobielonych ścianach. Starsza siostra Bianca była pogodną, hałaśliwą kobietą o twarzy nakrapianej niezliczonymi piegami. Choć długo nie mogła doczekać się własnych dzieci, zawsze miała ciepłe słowo dla młodszego brata i jego przyjaciółki.

Teraz leżała za przepierzeniem, na wąskim łóżku we wnęce oświetlonej tylko mdłym łojowym kagankiem, toteż Sancha nie widziała zbyt wiele nawet wówczas, kiedy matka wepchnęła ją za zasłonę. Stare kobiety, które zajmowały się położnicą, zasyczały gniewnie spod czarnych chust i szybko odsunęły małą na bok. Poród był trudny i nie potrzebowały ślepawej, bezużytecznej dziewczynki, która będzie im wchodzić w drogę.

Przed świtem krzyki Niny stały się donośniejsze i wezwano ojca Barnaba. Przybył bez zwłoki. Z zadowoleniem omiół wzrokiem gromadkę kobiet, które głośno odmawiały modlitwy, przycupnięte na stołkach i ławach u pieca. Nina zawyła, a zza przepierzenia wychynęła jedna ze staruszek.

Modlitwa w izbie przycichła.

- Dobrze, że jesteście, ojcze. - Wytarła o fartuch zakrwawione ręce. - To nie potrwa już długo.

- Jej mąż, niech go wszyscy święci prowadzą, zginął wczoraj na morzu. - Mnich ze smutkiem potrząsnął głową. - Modlę się, aby nie utraciła i dziecka.

- Dziecko jest silne, ojcze - stara spojrzała na niego bystro - i nie lękamy się, że umrze. Obawiamy się czegoś znacznie gorszego - dodała przyciszonym głosem, po czym znów znikła we wnęce.

Wśród kobiet rozszedł się szmer, zagłuszony zaraz przez głos rodzącej. Przycupnięta na ziemi Sancha poczuła, jak kościste palce matki zaciskają się mocno na jej ramieniu. Twarze sąsiadek były białe jak święteczne, pszeniczne ciasto i ściągnięte oczekiwaniem. W ich oczach połyskiwał strach, a czasami jeszcze coś - okrutne, drapieżne pragnienie.

Zza sukiennej zasłony niosła się dławiąca woń krwi. Wrzaski cichły stopniowo, zastąpione przez inne odgłosy - nerwową krzątaninę staruch, ich podniesione głosy, stukot naczyń. Potem wszystko się urwało. Sancha nie dosłyszała nawet pierwszego krzyku dziecka.

- Wejdźcie, ojciec - rozległo się z wnętrza.

Mnich podniósł się pospiesznie, ściskając w dłoniach kadzielnicę, ozdobioną świętymi wizerunkami.

- Zła krew - odezwała się szeptem jedna z kobiet. Dłonie miała ciasno splecione na podłokciu. - Widzieliście jej palce u stóp, zrosnięte jak u wodniczy? Skażona krew odezwie się prędzej czy później.

- To się niejednemu zdarza - sprzeciwiła się inna. - Spomiędzy braci jej męża dwóch w dzieciństwie pomarło i święta ziemia ich nie pokryła. Pamiętacie? Marnieli i schli kolejno jak trawa w suszę, choć piersi matki nabrzmiwały od mleka. A szczęki mieli pełne zębów i twarze porośnięte sierścią. Ojciec Barnabo w ogóle nie powinien był im pozwolić zaczerpnąć oddechu...

Matka wymruczała coś ze złością, wskazując brodą na Sanchę, i kobiety zamilkły, czym prędzej.

Zasłona zafalowała znowu. Mnich wynurzył się z zasępioną twarzą, a za nim postępową starucha z krwawym kłębem szmat w dłoniach.

- Dodajcie do ognia - rzucił ostro ojciec Barnabo. - Szybko.

Nic więcej Sancha nie zdołała zobaczyć, bo matka zakryła jej twarz rąbkiem fartucha. Ale czuła ohydny smród spalenizny i słyszała skwierczenie płomieni.

- To nie był cynocefalita - doszedł ją przez fartuch głos staruszki - tylko gegenees. Próbował sam utorować sobie drogę. Prawie ją rozerwał...

- Ninę? - odważyła się odezwać Sancha. Nie miała pojęcia, jakim sposobem potwór zdołałby się zakraść do wioski i tej chaty. Zwykle palisada była wystarczającą zaporą. - Czy on zaatakował Ninę?

- Dosyć! - Matka poderwała ją z ziemi i popchnęła ku wyjściu tak mocno, że dziewczynce zakręciło się w głowie. - Wyjdź stąd, głupia! Wyjdź stąd natychmiast!

Wypadła z chaty jak strzała, byle dalej od przemożnej woni krwi i śmierci. Gdy mijała l'Albero del Miracolo, wychwyciła szept:

- Sancha?

Bianco wynurzył się zza pnia - był nie więcej niż słabym konturem na tle głębokiej ciemności, ale rozpoznała jego głos.

- Co z nią? - Chwycił ją za rękę. - Co z Niną i dzieckiem?

- Nie widziałam - odparła niepewnie. - Chyba coś złego.

- Opowiedz mi! - zażądał. - To trwało tak długo - dodał ciszej. - Wdrapałem się na jabłoń, lecz w izbie było ciemno i nic nie widziałem. Słyszałem tylko krzyki.

W tę jedną noc nie mógł wejść do chaty siostry. Jak wszyscy mężczyźni, musiał się trzymać z dala od domostwa rodzącej.

- Nie widziałam jej - zaczęła ostrożnie. - Ale kiedy noc dobiegała kresu, babki wezwały ojca Barnaba.

- Co się wydarzyło?

- Nie wiem. Dziecko nie chciało się urodzić, a sąsiadki rozmawiały o potworach. O zrośniętych palcach twojej siostry i martwych braciach jej męża. A potem ojciec Barnabo wyszedł od Niny, lecz nie było słychać płaczu dziecka. Nikt się nie cieszył. Powiedzieli, że rozszarpał ją gegenees. Ale to przecież niemożliwe. Skąd miałyby dość odwagi, aby wejść do chaty pełnej ludzi?

Bianco odwrócił się od niej i ciężko oparł dłońmi o pień l'Albero del Miracolo. Wydawało się, że jego plecy drżą od tłumionego płaczu.

- Nie martw się. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Na pewno go złapią. Gegeneesy nie są zbyt mądre.

Chłopak otrząsnął się jak pies, kiedy go dotknęła.

- Przejrzyj na oczy, Sancho - rzucił ze złością. - Nie możesz być przecież tak głupia. Żaden potwór nie zakradł się tej nocy do izby i nie rozerwał Niny na strzępy. Żaden prócz tego, którego urodziła. Nosiła w łonie gegeneesa o sześciu ramionach, a on postanowił wyszarpać sobie pazurami drogę z jej ciała.

- Nina nie mogła być jedną z nich! - zaprotestowała. Bianco nie zrozumiał.

- Jedną z kogo?

- Jedną z tych wszetecznych kobiet, które uciekają na pustkowie, by cudzołożyć z potworami. Zresztą w okolicy od lat nie pojawili się gegeneesi.

Chłopiec milczał długą chwilę. Potem roześmiał się sucho.

- Po co miałyby ich szukać? To jest w nas, Sancho. Płynie w naszej krwi. Popatrz! - gwałtownie zerwał z czoła szmatkę podtrzymującą włosy.

Stali tuż obok siebie, o wyciągnięcie ramienia albo nawet bliżej, i mimo ciemności Sancha od razu spostrzegła zdradziecki, wilgotny błysk pośrodku jego czoła. Nawet nie krzyknęła ze

strachu. Bez namysłu wyciągnęła rękę - jak dziecko do świecidełka. Trzecie oko pośrodku czoła Bianca, oko argusa, mrugało niespokojnie, kiedy wodziła wokół niego palcami.

- Jak to możliwe? - spytała prawie bezdźwięcznie.

Bianco znów wydał zduszony, histeryczny chichot, ale zdołał jakoś nad sobą zapanować.

- Grzech i sromota, jak zwykle. - Odsunął się od niej. - Nie martw się, ojciec Barnabo wszystko ci wyjaśni. Ja nie mam czasu. Muszę uciekać.

- Nie drwij ze mnie. Nie zasłużyłam sobie na to.

- To prawda, nie zasłużyłaś sobie - rzekł łagodniej. - Nikt z nas sobie nie zasłużył na to, co się wydarzyło, jednak rzeczy dzieją się tak czy owak. Jeśli dalej będziemy zwlekać, jutro znów spotkamy się przy l'Albero del Miracolo. Tyle że tym razem ja będę przybity do niego żelaznymi ćwiekami.

- Kto miałby to zrobić?

- Ojciec Barnabo. - W głosie chłopca znów pojawiły się szydercze nuty. - Nasi sąsiedzi. Cała wioska pospołu.

- Nie...

- Sancho - przerwał jej - trzy łodzie nie powróciły zeszłej nocy z morza. Stada przetrzebili argusi, a na polach rozrastają się dafnisy. Plagi spadają na nas jedna po drugiej, bez żadnego miłosierdzia. Może Przedwieczny postanowił pokarać nasze nieprawości, ale też grzech musiał być wielki, wedle srogiej kary. Ktoś, więc musiał zawinić. Kto zaś, jeśli nie niewiasta, która dała życie potworowi, i jej obmierzły pomiot? Samym swoim istnieniem plugawią oblicze ziemi. Ale mogli przecież uczynić jeszcze więcej. Sprowadzić na nasze wody plagę syren i wskazać argusom, swoim pobratymcom, letnie pastwiska owiec. Rozumiesz teraz, dlaczego muszę uciekać? Nina urodziła gegeneesa i o świcie ojciec Barnabo zastuka do naszej chaty, żeby sprawdzić, czy matka i ja nie nosimy na sobie znaku potwora. Żadne z nas nie przetrwa tego badania. Dobrze, że chociaż Nina nie żyje... - dokończył ciszej. - Ją też by zamęczyli.

Sancha słuchała z zapartym tchem. W obejściach psy zaczynały z rzadka poszczekiwać i drób budził się po kurnikach. Wszystko było, jak co dnia i jednocześnie wszystko było osobliwie odmienione - zapach powietrza, w którym wciąż czuła metaliczne nutki krwi Niny, zarys olbrzymiego dębu, pochylającego się nad nimi niby monstrum z baśni, na koniec zaś szum drzew za palisadą, gdzie chadzają potwory. Przede wszystkim jednak chłopiec, który stał tuż obok i którego znała przez całe swoje życie, a który z uwagą wpatrywał się teraz w nią trzema błękit-

nymi źrenicami. Sancha nie umiała jeszcze w pełni zrozumieć tej przemiany, być może zresztą nigdy nie zdoła jej ogarnąć. Czuła się bezradna i samotna, jak nigdy wcześniej. Wiedziała, że powinna się odezwać. Pożegnać z nim. Życzyć szczęśliwej drogi. Zapytać, czy się jeszcze kiedyś zobaczą. Ale zupełnie nie wiedziała, jak to zrobić.

- Dokąd pójdziecie? - spytała w końcu.

Nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Pewnie na wzgórze. - Bianco wzruszył ramionami. - Może argusi przyjmą nas do siebie, przecież czasami porywają ludzkie dzieci. Jeśli nie odpędzą nas od razu, jakoś nauczymy się żyć między nimi. Inaczej... - Przełknął ślinę. - Znam jaskinie za południowym cyplem. Jakoś się w nich ukryjemy.

Do zimy, pomyślała Sancha. Kiedy nadejdą mrozy i sztormy, nikt nie zdoła samotnie przetrwać na skraju morza. Szczególnie zaś staruszka i chłopiec.

Nie powiedziała jednak tego głośno. Nie powiedziała zupełnie nic, kiedy jej przyjaciel - argus - odwrócił się i ruszył przed siebie wąską dróżką pomiędzy ciemnymi domami. Stała pod l'Albero del Miracolo, coraz bardziej skostniała od porannego chłodu. Dopiero, kiedy kozioł Bel przytruchtał pod dąb, wtuliła twarz w jego śmierzące, skołtunione futro i rozplakała się. Zwierzak stał cierpliwie, ocierając się o nią ciepłym, kosmatym bokiem, póki ptaki nad nimi, w konarach dębu, nie zaczęły głośno krzyżeć. Wtedy bodnął ją lekko i becząc z cicha, poprowadził do domu.

* * *

Małeńkie okienka, przesłonięte rybią błoną, nie wpuszczały wiele światła, ale zaraz po przebudzeniu Sancha pojęła, że słońce stoi już wysoko. Zbyt wysoko. Matka nigdy, choćby i po nieprzespanej nocy, nie pozwalała dziewczynce wylegiwać się na sienniku. Od gnuśności kości gniją, mawiała, i duch się do grzechu skłania. Coś, więc musiało się wydarzyć. Coś niedobrego, bo w chacie nie było nikogo i nawet ogień pod piecem wygasł do cna.

Na podwórku, przy korycie, siedział bajarz i rzeźbił kozikiem w kawałku drewna. Długie strużyny opadały na ziemię, wysypaną dla porządku morskim piaskiem. Czasami jakaś kura, zwabiona obietnicą łatwego posiłku, odrywała się od stadka, które dziobało pilnie u podnóża

kompostnika. Przypadała do starca, chwyciła jasny wiórek w dziób, po czym, trzepocząc skrzydłami, umykała, co sił w nogach.

- Zostało trochę mleka w dzbanku - rzekł na powitanie. - I podpłomyki schowałem w garnku na piecu.

- Gdzie matka?

Podniósł na nią oczy - tęcza były bladoniebieskie, wypełzłe od starości - lecz jego palce, zaciśnięte na trzonku nożyka, ani na chwilę nie zmyliły rytmu.

- Z innymi - odparł spokojnie.

Poczuła, jak coś dławiącego narasta jej w gardle.

- Na przystani - wyjaśnił bazarz. - Chłopczy wrócili.

- Ucisk zelżał. Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Znaleźli syreny?

Przypomniał się jej gulgodiwy śmiech potworów, a także ich leniwe igraszki w zatoce, na lewym brzegu strumienia, i nie była całkiem pewna, jaką odpowiedź wolałaby usłyszeć. Bo jednocześnie była niemal pewna, że udane polowanie nastawi przychylniej ojca Barnaba i przynajmniej na jakiś czas odwiedzie go od poszukiwań Bianca.

- Tak - powiedział powoli. - Całe stado potworów. Morze było czerwone od ich krwi, tak powiadają. Ale zdołali dokonać czegoś więcej. Pojmali na otwartym morzu syrenę i przywieźli ją ze sobą. Żywą.

- Jakim sposobem? - zdumiała się. - Przecież jej głos...

Nigdy wcześniej nie zdarzyło się nic podobnego - ani w historiach bazarza, ani w legendach o wspaniałych czynach świętych. Spomiędzy wszystkich potworów syreny były najbardziej niezwykle i najbardziej płochliwe. A także najgroźniejsze. Czasami, przy odrobinie szczęścia, można je było przydybać i zabić. Ale nie pochwycić.

- Ponoć ogłuszyli ją na początku bosakiem. - Bazarz mówił zupełnie zwyczajnie, nie czyniąc nic, by zmienić tę niezwykle przecież wyprawę w cudowną, baśniową opowieść. - Potem skrępowali ją linami i wepchnęli w usta szmaty, aby nie przywołała huraganu ani żadnego ze swych pobratymców.

- Co zamierzają z nią zrobić?

- Na razie ojciec Barnabo nakazał zbudować dla niej szopę w przystani, nieopodal świątyni. Poświęcił już grunt, żeby żaden potwór nie zakradł się nocą i nie pomógł syrenie w

ucieczce. Teraz razem z innymi kończy ciosać kołki na ostrokoły i płoty, co się je wokół postawi. Syrenę zamknęli w koszu, bo dafnisy wciąż się krzewią na polach i brakło czasu na widowiska. Ale po pracy będzie nagroda. Mnich kazał zarznąć wieprzka i wytoczyć beczułkę czerwonego wina. Powiada, że trzeba uczcić to cudowne wydarzenie.

Istotnie, było prawdziwym cudem, że ojciec Barnabo postanowił rozstać się z jednym ze swoich wieprzy, a okazja do zabawy nie trafiała się ostatnio w osadzie zbyt często. Jednak Sancha jakoś się nie ucieszyła. Obserwowała białe, poskręcane strużyny, które wciąż opadały spo między palców bazarza, z dziwną pewnością, że starzec coś ukrywa. Coś, co bezpowrotnie zgasi jej radość.

- Dlaczego nie poszedłeś z innymi?

- Widywałem już syreny - padła szorstka odpowiedź. - Niekoniecznie na postronku i po bite tak, że mięso odchodzi im od kości. Poza tym... - Odłożył nóż i przekrzywiwszy głowę, przyjrzał się swojemu dziełu, maleńkiej figurce chłopca z uniesionymi wysoko rękami. - Poza tym wieśniacy pochycili nie tylko syrenę.

* * *

Bianco wisiał na l'Albero del Miracolo, przybity do pnia wielkimi żelaznymi ćwiekami. Głowa opadła mu nisko, ale kiedy powiew wiatru odgarnął włosy, Sancha spostrzegła, że jego trzecie oko, oko argusa, wypalono rozżarzoną żelazną. Po policzku wędrowała wielka mucha o błękitnym odwłoku.

Kiedy podeszli bliżej, Carisio, którego postawiono na straży truchła, rzucił krótkie spojrzenie starcowi i dziewczynce, po czym przyzwalająco skinął głową i znów zamarł, oparty o długą włócznię. Nie był zbyt mądry, ale oddany ojcu Barnabie jak pies. Dawno temu właśnie głos mnicha przeważał nad obawami wieśniaków, którzy lękali się głupca, jego wykrzywionej, zmarniałej ręki i nieustannie zaślinionej twarzy. Jednak ojciec Barnabo nie dopatrywał się w nim znamienia potwora i ostatecznie Carisio został w osadzie. Sancha nie próbowała nawet prosić, aby odstąpił kilka kroków i choć na moment zostawił ją samą z przyjacielem. Skoro mnich kazał Carisiowi stać na straży l'Albero del Miracolo, ten pozostanie w jego cieniu choćby do końca świata.

Bajarz delikatnie dotknął jej ramienia.

- Jednak go złapali - powiedziała ochryplym, obcym głosem. - Za długo był ze mną. Gdybym go nie zatrzymała, miałby szansę.

- Nieprawda - odparł starzec. - W osadzie urodził się gegenees i mnich dobrze wiedział, co należy uczynić. Kiedy Bianco wrócił po matkę, mężczyźni już na niego czekali. Sprowadził ich stary Dino, który zeszłej nocy utracił syna na morzu z winy potworów i jak niczego na świecie pragnął im odpłacić. Podkradli się cicho, z sieciami, aby omotać zdobycz, z drągami i bosakami. Ale zlekceważyli argusową źrenicę, a Bianco też miał nóż, więc może przed wieczorem Dino dołączy do swego syna.

- Czy on...? - Nie mogła oderwać wzroku od twarzy chłopca, brudnej i pokrytej zaciekami zakrzepłej krwi. - Czy jeszcze...?

- Nie. - Stary potrząsnął głową. - Po tym, jak zranił Dina, zatłukli go w kącie chaty bosakami. Bali się bliżej podejść. Niby argus nie kakos, nie plunie im w twarz jasnym ogniem ani nie zaczadzi oddechem. Ale przecież z potworem nigdy nic nie wiadomo, a chłopiec wił się ponoć i syczał, jakby im się miał przed oczyma przemienić w jeszcze większe dziwo. Nikt, więc się tam za długo nie zastanawiał. Tylko mnich z początku bardzo sarkał i burczał, bo chciał schwycić żywe monstrum i wypróbować na nim święte oleje. No, ale udobruchał się szybko - dodał, zaciskając wargi w wąską kreskę. - Ma przecież syrenę.

- A matka Bianca?

Bajarz odwrócił wzrok.

Niespodziewanie Carisio zaniósł się ostrym, szczekliwym śmiechem. Zachwiał się, włócznia wysunęła mu się z palców. Przytrzymał ją niezdarnie lewą, wyschniętą ręką i zaraz ugodził w grzbiet jednego z czarnych wioskowych kundelków, który, korzystając z zamieszania, próbował podkraść się bliżej l'Albero.

Carisio wyprostował się znowu. Na jego twarzy lśniły kropelki śliny.

- Wisi po drugiej stronie l'Albero del Miracolo, żeby na synka nie spoglądała i żeby na nas stąd nowe nieszczęście nie spadło - oznajmił bełkotliwie, jak miał we zwyczaju. - A gębę ma szmatami zatkaną, więc możecie sobie popatrzeć.

Dziewczynka uczyniła szybki krok naprzód, jakby chciała się rzucić na strażnika, lecz bajarz pochwycił ją za ramię. Szarpnęła się raz i drugi, starzec jednak wciąż trzymał, z siłą zdumiewającą w jego wieku.

- Chodźmy stąd - powiedział, kiedy poddała się i przestała walczyć.
- Nie na przystań.
- Dobrze - zgodził się. - Dokąd zatem?
- Na pole - odparła bez wahania. - Nikt nam nie przeszkodzi, bo dafnisy i tak trzeba wyplewić przed zmierzchem.
- Brwi bazarza drgnęły, a twarz spochmurniała na chwilę.
- Zgoda - rzekł jednak cicho.

* * *

Dzień był słoneczny i kiedy tylko słońce wspięło się wyżej, od nagrzanej, twardej ziemi podniósł się okrutny skwar. Sancha zatrzymała się na moment, podparła na rękach i z trudem rozprostowała plecy. Jej spódnica pożółkła już od pyłu, a kolana, poranione od pełzania po kamieniach, piekły niezmiernie.

Matka była chyba zadowolona, kiedy po powrocie z przystani zastała ją z motyką na polu. Wprawdzie prędko zaczęła mrużyć pod nosem, po czym kazała córce przenieść się do winnicy, gdzie nie będzie się plątać ludziom pod nogami i przeszkadzać im w ciężkiej pracy. Ale nie utyskiwała głośno na niezdarność i ślepotę dziewczynki. Dała jej nawet bukłak wody, który Sancha nieopatrznie zostawiła w domu. Tylko na bazarza nie zwracała zupełnie uwagi, choć razem z innymi wyrywał z ziemi młode, purpurowe potworki. Dla niej równie dobrze mogłyby nie istnieć.

Starzec też przystanął, chwycił się tyczki, podpierającej winorośl, i dźwignął z wysiłkiem. Nie pozostało tu wiele dafnisów, zresztą kamienista gleba winnicy nie nęciła ich zbyt, wolały uprawne pole. Ale wicher niósł je szeroko i niektóre z potworów wykiełkowały właśnie tutaj. Trzeba było obejrzeć każdy krzaczek, rozgarnąć liście i z bliska przepatrzyć szczepy, czy nie kryją się między nimi czerwone, chwytne pędy. Niby winnica nie była duża, zaledwie kilkanaście rzędów krzewów, ale wąskim paskiem ciągnęła się pomiędzy rzędem wzgórz i niełatwo było ją obrobić.

- Odpocznijmy - poprosił starzec.

Ziemia opadała tutaj lekko, a grzbiety dwóch pagórków kryły ich przed wzrokiem pozostałych wieśniaków.

Zamiast odpowiedzieć, dziewczynka zacisnęła dłonie na czerwonej wici i szarpnęła ją z całej siły. Przyssawki natychmiast przylgnęły do skóry, a piekące nici owinęły się wokół przegubów. Aż sapnęła z bólu. Dafnis zaskrzeczał wstrętne, wystrzelając ku niej kolejne chwytne pędy. Usłyszała dźwięk pękających parzydełek, które rozpryskiwały się, uwalniając żrący jad. Kilka kropel spadło jej na policzki. Na szczęście potwór nie zdążył się jeszcze w pełni rozwinąć, więc zapiekło tylko jak od śliny ropuchy. Dorosły dafnis mógłby ją oślepić.

Jakby to mogło wiele zmienić, pomyślała gorzko, ocierając twarz rękawem. I tak oślepnę. Matka przepowiedziała mi to dawno temu.

Obraz rozmazał się nagle, jak zwykle, kiedy przypominała sobie tamte słowa, a wici dafnisa zmieniły się w bezkształtną purpurową plamę. Znow zapiekło, kiedy łza spadła w miejsce podrażnione jadem. Może i lepiej, pomyślała Sancha; koncentryczne, jaskrawe kręgi wirowały jej przed oczami, a dafnis wił się w jej palcach i piszczał, walcząc o wolność. Może i lepiej, jeśli świat jest płataniną rozmazanych plam.

W tej samej chwili kręgi zbiegły się wreszcie w twarz Bianca, tak wyraźną, że niemal krzyknęła. Na szczęście potwór uległ w końcu. Korzenie z mlaskiem wyszły z ziemi, ale wici nie chciały się jeszcze poddać. Czepiały się ubrania Sanchy i boleśnie targały za warkocz, kiedy niosła dafnisa do ogniska.

- Uspokój się! - Bajarz unieruchomił jej dłonie i odciął nożem najbardziej uparte z pędów. - I wytrzymaj natychmiast ręce.

Jad wgrzył się głęboko w skórę i oleista wydzielina była teraz przemieszana z krwią. Ból ustał, zastąpiony przez odrętwienie. Niezdarnie otarła ręce o spódnice. Bajarz z dezaprobatą zacmokał wargami.

- Trzeba obmyć i przewiązać - zdecydował.

- Po co? - Wzruszyła ramionami.

Popatrzył na nią przenikliwie, po czym wziął dzban i chlusnął na jej dłonie wodą. Była krystaliczna i tak zimna, że dziewczynka aż się wzdrygnęła.

- Dostyc, Sancho - powiedział. - Jutro rany się zaognią. Nikomu to nie przyniesie pożytku, jeśli stracisz kilka palców. Najmniej zaś tobie.

Oddał długi pas u dołu tuniki i obwiązał rany.

- Ból nie przytłumi bólu - dodał łagodniej. - Okaleczysz się tylko.

- Nienawidzę ich! - wybuchła Sancha. - Matki, ojca Barnaba, wszystkich! Czy nie dość im syren? Musieli jeszcze jego? Zresztą mnie syreny nigdy nic złego nie zrobiły. Po co więc? Z jakiego powodu?

Bajarz ciężko opadł na kamień wyznaczający skraj winnicy.

- Aby uporządkować świat. Wyznaczyć granice i brzegi. Oddzielić wodę od nieba. Ziarno od plew. Potwory od ludzi.

Buntowniczo zadarła głowę.

- Ponieważ są złe?

Starzec westchnął.

- Dziecko, na to nie znajdziesz u mnie odpowiedzi. Ja tylko zbieram historie. Znam tak wiele opowieści, ile jest gwiazd na niebie, ale wciąż nie rozumiem, co jest dobre, a co złe. Nie jestem mnichem.

- Matka mówi, że jesteś czarodziejem! - rzuciła mu w twarz, bo ogarnęła ją wściekłość i nie chciała dłużej słuchać jego łagodnego głosu. - Że za twoje występki wypędzono cię z miasta na pustkowie, a Wszechmogący odebrał ci magię i skazał cię na wieczną tułaczkę po krańcach świata. Dlatego nie starzejesz się jak inni, nie tknie cię nagła choroba ani sztorm na morzu, ani inne nieszczęście. Ale w twoim cieniu podążają demony. I nawet potwory wyczuwają ich oddech. - Zamilkła, bo przestraszyły ją własne słowa i łatwość, z jaką wypłynęły z pamięci, choć słyszała je tylko raz, pewnej zimowej nocy, kiedy matka wróciła z długich modłów w kościele, a ojciec spał twardo, zmożony niemieszonym winem.

Bajarz nie skarcił jej jednak. Siedział w milczeniu, z głową zwieszoną na piersi. A kiedy przemówił, nie wyczuła gniewu.

- Opowiem ci historię - powiedział - o tym, skąd się wzięły dafnisy.

Właściwie wołałaby, żeby ją uderzył. Przynajmniej miałaby pewność, że usłyszał jej słowa, że miały dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

- Nie chcę... - zaprotestowała.

- Wysłuchaj mnie, dziecko - przerwał. - Może wtedy zrozumiesz. Dawno, dawno temu w odległym mieście żył mag, który nade wszystko kochał kwiaty. Jego wieża z daleka przypominała ukwiecony powietrzny ogród, a ludzie ściągali z najodleglejszych stron, aby popatrzeć na niezwykle rośliny, które hodował. Pod wieżą płynął strumień, a z mostu nad nim zwieszały się

wielkie krzaki pąkli. O zmierzchu muszle otwierały się, ukazując gapiom nóżki dzikich gęsi, które dojrzewały w pąklach niczym w jajach, a kiedy osiągnęły dojrzałość, z chlupotem spadały do wody i odpływały, gęgając donośnie. Nad brzegiem rosnęło też bursztynowe drzewo. Zapach żywicy zwabiał ryby aż z głębin oceanu: ocierały się z lubością o pień i wypluwały ogromne bryły ambry, która po wyschnięciu pachniała jak najkosztowniejsze piżmo.

Wiatr rzucił mu prosto w twarz kłęb duszącego dymu z ogniska, w którym dogorywały wyrwane dafnisy. Sanchy wydało się, że bladoniebieskie oczy starca zaszkliły się od łez.

- W warzywniku kwitło cudowne ziele moly, którego dotyk chronił przed mocą demonów. W ogrodzie posadzono drzewa, których liście były uczynione z czystego złota i na widok przechodnia szumiały najdziwniejsze melodie, a także motylowe krzewy - na ich gałęziach nieustannie unosiły się barwne chmury owadów, i drzewo trucizn, które kwitło tylko raz w roku, ale woń jego kwiatów zabijała każdego, kto wciągnął ją w nozdrza. Były kwiaty odzywające się ludzkim głosem, takie, których płatki mieniały się wszystkimi kolorami tęczy, i takie, których zapach oszałamiał jak wino. Cudowności, zebrane we wszystkich ogrodach świata, a także wiele roślin, których nie widziano nigdzie indziej, ponieważ mag stworzył je niepojętą sztuką, wplótł najdelikatniejsze z demonów pomiędzy zielone pędy i liście, aby odtąd radowały ludzkie oczy swoim widokiem. Na całej ziemi nie było cudowniejszego miejsca...

Dziewczynka mimowolnie skinęła głową, pochłonięta magicznym rytmem opowieści.

- Ze wszystkich stron Półwyspu przybywali do wieży posłowie, bo każdy z władców pragnął, aby mag stworzył dla niego roślinę, niepowtarzalną i jedyną w swoim rodzaju. Czarodziej chętnie spełniał te prośby, rozumiejąc, że jego sztuka zapewnia mu podziw i bezpieczeństwo, żadne, bowiem wojsko, żadne magiczne zawieruchy i nawałnice nie przekraczały granic jego ogrodu. Był szczęśliwy. Całymi dniami nie wychodził z pracowni. Mieszał gleby, kruszył wapień, dodawał glinę i próchnicę, aby ziemia była tłusta i urodzajna. Szczepił drzewka, przycinał pędy, kształtował korony drzew. A nocami zwabiał do swej wieży demony, chwycił je i pętał zaklęciami, a potem ostrożnie łączył z materią. Zmieniał je, formował w nasiona lub kwiaty i, zaklęte w obce kształty, z dumą zamykał w szklanych butlach albo zwyczajnie sadił w ogrodzie. Aż pewnego dnia...

Z drugiej strony pagórka rozległy się niewyraźne nawoływania. Sancha drgnęła, gdy rozpoznała głos ojca, ale nie, nie wykrzykiwał jej imienia. Podniesionym głosem rozprawiał o czymś z sąsiadami.

- Aż pewnego dnia - powtórzył bazarz - pilna wiadomość wywabiła go z pracowni, gdzie trudził się właśnie zamówieniem od pana najbliższej twierdzy. Obiecał stworzyć dla niego roślinę piękną i niebezpieczną jak żadna inna, która w potrzebie będzie walczyć niczym żołnierz i zabijać nieprzyjaciół. Powinna mieć chwytne pędy, aby opleść i unieruchomić wrogów, jad, co wypali im oczy i poparzy skórę, a na koniec - purpurowe kwiaty, by ich widok oczarował i zwiódł nawet tych, którzy spodziewają się podstępu. Dzieło sztuki i śmiertelna pułapka zarazem.

- Pokręcił głową. - Wyzwanie godne prawdziwego mistrza.

Ostatnie dafnisy, sycząc, dopalały się w ognisku.

- Pochłonięty myślami nad doborem składników i sposobem najskuteczniejszego wykorzystania demona w roślinie mag wyszedł, zapomniawszy zamknąć za sobą drzwi. Zagadka zaprzętała go tak dalece, że nie spostrzegł swojej córki, która bawiła się lalkami, ukryta w okiennej wnęce. Zazwyczaj nie zwracał większej uwagi na milczące, płowowłose dziecko. Wystarczyło mu, że mała nie buszuje w ogrodzie i trzyma się z daleka od pracowni. Tym razem jednak zostawił otwarte drzwi. Dziecko ześlizgnęło się z marmurowej ławeczki i popchnęło je lekko.

Wiatr coraz mocniej rozmiatał popioły. Szare płatki, wciąż w kształcie liści, unosiły się nad płomieniami.

- Wielu zastanawia się, jak wygląda człowiek pochłaniany przez demona. Czy krzyczy, miota się, jest rozrywany na strzępy? Czy płonie jak pochodnia, czy raczej gaśnie łagodnie i bez dźwięku? Czy duch otacza go jak powietrzny wir i popycha w taniec, z którego nie ma powrotu, czy może człowiek ogarnia swoją śmierć ramionami i przyciąga do piersi? Prawda jest taka, że nie ma jednej odpowiedzi. Za każdym razem jest inaczej. Dlatego mag nigdy nie dowiedział się, jak wyglądała śmierć jego córki. Odszedł zbyt daleko, by usłyszeć zarówno szelest liści, jak i przedśmiertny krzyk. Powrócił wiele godzin później. Rozpierała go niecierpliwość. Księżyc stał już wysoko na niebie, a na ścianach komnaty żarzył się seledynowy mech, lecz w jego świetle czarodziej nie dostrzegł nic nadzwyczajnego. Dopiero, kiedy podszedł do stołu, gdzie zwykł tworzyć nowe nasiona i sadzonki, ogarnął go niepokój. Poczul zapach krwi. Mdlącą, metaliczną woń, której nie sposób pomylić z czymkolwiek innym. Ale pośrodku stołu, w wielkiej donicy z wypalanej gliny, kwitł purpurowy kwiat, piękny i niepodobny do żadnego innego, otoczony długimi, chwytymi wiciami, które falowały i wodziły za każdym ruchem maga niczym żywe stworzenie.

Dziewczynka rozprostowała palce. Pokrwawiona szmatka, którą przewięzała rany, zaczynała już sztywnieć.

- Mag nie był głupcem i zrozumiał od razu, czym był ów nieuchwytny składnik, którego potrzebował, aby roślina stała się tym, co zamierzył. Patrzył na nią z zachwytem, niepomny na los zbłąkanego sługi lub jednego z wielu ogrodników, którzy zwykli podlewać i nawozić jego twory. Przepełniała go radość i duma, nawet wówczas, gdy chwytna wić wślizgnęła mu się w rękaw niczym małe ciekawskie zwierzątko i przyczepiła się parzydełkami do skóry. Odmotał ją delikatnie - była jeszcze bardzo młoda i zbyt słaba, by umieć się obronić - wdział rękawice z grubej skóry i zniósł roślinę na dół, gdzie wszyscy mogli ją podziwiać. Jednak zamiast wysłaników księcia spotkał w ogrodzie własną żonę, która na próżno wykrzykiwała pomiędzy drzewami imię ich córki. Dafne.

Sancha skuliła się, choć przeczuwała już wcześniej kres tej opowieści. Ale w żaden sposób nie umiała dostrzec cienia nieznajomej dziewczynki w purpurowych kwiatach dafnisów. Nie potrafiła się nawet nad nią litować. Kraina czarodziejów była zbyt daleko -a może istniała jedynie w baśniach wędrownego starca.

- Kiedy roślina usłyszała swoje imię, wygięła się w rękach ojca i wydała dźwięk. Wrzask był odrażający i zarazem pełen rozpacz. Wtedy mag w pełni pojął, co się wydarzyło. Długo trwało, zanim zdołał napoić małżonkę odurzającym wywarem i sam zapadł w płytki, pełen żalu i goryczy sen. Nie mieli więcej dzieci, bo krew czarodziejów nie pleni się łatwo, zawsze gotowa rozsadzić naczynie, w którym ją zamknięto. Dlatego żona maga opuściła cicho nocą komnatę i ruszyła przez pustą wieżę do pracowni, by wśród czerwonych liści dafnisa odszukać zagubioną córkę. Nie zdołała jednak odnaleźć nic, prócz potwora. Nic więcej nie pozostało już do odnalezienia. A dafnis był młody i łapczywy, spragniony pożywienia. Dokładnie taki, jakim go uczyniono. Kobieta podeszła bliżej, pochyliła się nad nim, a purpurowe wici oplótły jej szyję i zacisnęły się mocno. Kiedy rankiem mag zawędrował do pracowni, nie pozostało po niej ani śladu. Dafnis pochłonął wszystko - krew, mięso, skórę, kości - i przetworzył w kiście szkarłatnych kwiatów.

Skinęła głowę. Tę część rozumiała bardzo dobrze. Widziała kiedyś owcę, która, uciekając przed psami, zapędziła się nieopatrznie w kępę potworów.

- W tamtych czasach niewielu mogło równać się z potęgą maga, był przy tym człowiekiem wyniosłym i nie wybaczał łatwo zniewag. Wiedział, że nikt nie ośmielił się wypominać

mu śmierci żony i dziecka. Ostatecznie stworzył cud, jakiego nigdy wcześniej nie oglądano na Półwyspie, żyjącą roślinę-bestię, a obie, matka i córka, należały do niego, podobnie jak drzewa w ogrodzie i kwiaty wiszących ogrodów wokół wieży. Ale mag był też człowiekiem dumnym i naprawdę kochał swoją żonę. Tego samego dnia, o brzasku, podłożył ogień pod wieżę i wyrzekł się wszelkiej magii. Ostatecznie i nieodwołalnie. Ponieważ jednak nie ufał sobie wystarczająco, uwalniał kolejno demony, spętane w cudach jego ogrodu, a na koniec rzucił ostatnie zaklęcie, które wymazało z jego umysłu całą przeklętą wiedzę czarodziejów. Do ostatniego źdźbła, do najdrobniejszej kruszyny. Potem ruszył przed siebie, na oślep, byle dalej. Nie spostrzegł osłoniętych błoną nasion dafnisa, które uniosły się znad pogorzelska. Oto cała historia. Zamilkł, wyczerpany. Ognisko również ledwie się tliło.

- Czy naprawdę tak było?

- Skąd mam wiedzieć? - zachnął się bajarz. - Pamiętaj, ja tylko snuję historie.

- Ale gdybyś chciał - nalegała - gdybyś bardzo pragnął, mógłbyś mi powiedzieć, jak naprawdę było?

Starzec nastroszył brwi.

- Kiedy wiele lat temu po raz pierwszy zawitałem do waszej osady, wieśniacy zaprowadzili mnie prosto do ojca Barnaba. Zapytał mnie wtedy, czym się trudnię. Opowiadam historie, odparłem. Nic więcej? - spytał mnich. Nic więcej, odrzekłem. Niech, więc tak będzie, powiedział. Świat jest pełen złamanych obietnic, dziecko. Lecz spośród wszystkich innych tę chciałbym zachować nienaruszoną. Jestem jak pusty dzban. Przemierzam świat, niosąc w sobie cudze opowieści. Nic więcej. Już nie.

* * *

Uroczystość rozpoczęła się po zmierzchu. Na placu rozwieszono lampiony z wydrążonych tykw i błon nasiennych dafnisów. Nocna bryza kołysała nimi delikatnie i szkarłatne błyski pełgały po twarzach świętych, których posągi zdobyły portyk przybytku. Ojciec Barnabo, jak przyobiegał, nakazał wytoczyć z loszku beczułkę wina i zarznąć wieprzka, a zasobniejsi wieśniacy dorzucili kilka kozłat. Stary Alessandro przygrywał na dudach. Bekliwy dźwięk niósł się daleko po zatoce, wieszcząc zwycięstwo nad potworami, a dziewczęta i chłopcy tańczyli pospołu

wokół wielkiego ogniska, co nie zdarzało się często w osadzie. Tym razem mnich widać postanowił przymknąć oko na bezwstyd młodych. Siedział na pustej beczce, popijał niemieszane wino i uśmiechał się łaskawie.

Kiedy nie było już więcej powodów, aby zwłóczyć w winnicy, Sancha - choć z oporem - pozwoliła się bazarzowi zaprowadzić do ognia. Matka wybiegła im na spotkanie, a jej krok, zwykle nierówny, stał się dziwnie płynny i rozkołysany. Wypity trunek odjął jej z tuzin lat: twarz wygładziła się, na policzki wyszły ceglaste rumieńce, oczy nabrały połysku, a spod czarnej chustki wysmyknęło się kilka kosmyków ciemnych włosów.

- Moja córeczka! - Matka przyklęła i mocno objęła Sanchę ramionami. - Moja mała dziewczynka. Mamy coś dla ciebie, maleńka. Niezwykłe, cudowne remedium, po którym staniesz się jak inne kobiety. Przejrzysz na oczy, zaczniesz krwawić, a potem urodzisz wielu silnych synów - mówiła z coraz większym przejęciem.

Sancha na darmo próbowała zrozumieć jej słowa.

- Później. Jeszcze przed świtem. Ale teraz baw się z innymi. - Matka pogłaskała policzek Sanchy. - Baw się. - Popchnęła ją lekko w stronę ognia.

Sancha posłusznie podreptała naprzód i zaraz wpadła na grupę tańczących. Czyjeś ręce pochwyliły ją mocno i pociągnęły do kręgu. Potem ktoś przystawił jej bukłak do ust i przechylił mocno, aż wino pociekło jej po brodzie szeroką strugą. Dudy beczały donośnie. Skwierczał świniak, obracany nad mniejszym ogniskiem. Ciemne sylwetki wirowały wokół ognia, a iskry unosiły się wysoko po czarnym, jesiennym niebie. Tylko dym, ciemny i tłusty, przypominał o woni palonych dafnisów i dziewczynce, która niegdyś zagubiła się w potworze.

Na szczęście wino było słodkie i mocne, niemieszane. Uderzało prosto do głowy.

Zdołała jakoś wywinąć się i cofnąć w bok, w cień. Z ulgą przysiadła na chłodnej trawie. Tuż obok niej przemknęła jakaś para: dziewczyna miała rozpuszczone warkocze i chichotała, tuląc się do boku chłopca, a on obejmował ją ciasno wpół. Znikli szybko w zaroślach.

Zewsząd dobiegały ją głosy, wyostrzone i donośnie od nadmiaru trunku. Rozpoznawała tylko jednego z chłopców, który zeszłej nocy wypłynął na morze, by ścigać syreny. Siedział na stopniach do świątyni, głośno rozprawiając, jak to pośrodku odmętu zdołali odnaleźć syrenę i pochwylić ją w sieci. Słuchano go chętnie, dzień w wiosce minął, bowiem spokojnie i strach przed uwięzionym monstrum osłabł nieco. Nawet starcy, którzy rankiem przestrzegali przed zemstą potworów, teraz wstydliwie wymykali się do przystani, by popatrzeć na syrenę. Młodszy

szli zupełnie otwarcie, przepijając do siebie z dzbanów i bukłaków. Napitku nie brakowało: beczka wina z piwniczki ojca Barnaba najwyraźniej uległa cudownemu rozmnożeniu.

Wreszcie stary Alessandro ze znużeniem odłożył dudy i opadł na zydel. Tańce wygasły powoli. Młodzi rozchodzili się, przysiadali z wolna na trawie na skraju placu.

- Opowieść! - zawołał ktoś znienacka.

- Opowieść! - podchwycili inni. - Gdzie jest bazarz? Przeprowadzić bazarza!

Sancha drgnęła gwałtownie, usiłując wypatrzeć gdzieś jego wysoką sylwetkę. Nie dostrzegła go zrazu, lecz krzyki stawały się coraz bardziej natarczywe.

- Dobrze - dobiegł ją głęboki głos starca.

Wtedy go zobaczyła po drugiej stronie płomieni: nie więcej niż ciemny zarys postaci, dziwnie samotnej wśród tłumu rozradowanych wieśniaków. Uniósł dłoń, czekając, aż wszyscy się uciszą.

- Dam wam opowieść - podjął w zupełnej ciszy. - Opowieść godną uświęcić wasz dzisiejszy triumf.

Sanchy wydało się, że poprzez ogień spogląda prosto ku niej.

- Dawno, dawno temu był sobie pałac na wysokiej górze nad brzegiem cieśniny, która była błękitna jak niebo i sięgała samego dna świata. W pałacu mieszkała żona potężnego księcia. Jej pan nieustannie wojował z sąsiadami, często była, więc samotna. W pogodne noce kładła się na szczycie wieży i długo patrzyła w niebo, choć mądrzy ludzie przestrzegali ją, że ten, kto zbyt wysoko podnosi wzrok, rychło ściągnie na siebie nieszczęście. Ona jednak nie wierzyła, aż wreszcie w ciemności i pustce przybliżył się ku niej demon i posiadał ją, przybrawszy postać łabędzia.

Dziewczynka sapnęła ze zgrozą na wzmiankę o przeklętym ptaku. Jak wszyscy, znała dobrze legendę o Cigno Nero dal Valle delle Fiamme, która napadła świętego Nina wraz z wielką armią demonów i walczyła z nim na moście, zwanym Pilastru del Cielo.

- Pani zachowała napaść w sekrecie. Jej małżonek powrócił niebawem i nie dowiedział się o niczym. Wkrótce uczynił ją brzemienną. Ale kiedy zległa w stosownym czasie, zamiast dziecka urodziła wielkie łabędzie jajo.

Pomiędzy wieśniakami przeszedł szmer. Oglądali wiele nowo narodzonych potworów.

- Książę wpadł we wściekłość. Przebił mieczem niewierną małżonkę, potem zaś rozplątał jajo. Ale zatrzymał się, kiedy ze środka wśród błon i wód płodowych wypłynęły ludzkie dzieci.

Dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Czworaczki. - Przerwał i wychylił kubek wina dla zwilżenia gardła.

- Wezwano czarnoksiężnika, aby rozsądził, kto jest ich ojcem, zły duch czy ksiączę. Jednak dzieci były podobne do siebie jak dwie krople wody, na żadnym też nie znalazł znamienia demona. Wyczuł mimo to, że coś jest nie tak, choć nie umiał powiedzieć, co by to miało być. Postanowiono, więc pozostawić je przy życiu, a w kilka miesięcy później, kiedy kolor ich oczu ustalił się i nabrał intensywności, okazało się, że dwoje z nich ma źrenice błękitne jak morze, dwoje zaś czarne jak niebo pomiędzy gwiazdami. Znow sprowadzono czarnoksiężnika, który rozstrzygnął, że w żyłach dwojga płynęła odziedziczona po ojcu magia, pozostała zaś dwójka została naznaczona przez przekłętą demona. Jako że był człowiekiem roztropnym, poradził księciu, aby co prędzej zabić pomiot demona, nim ściągnie jeszcze większe nieszczęście.

Wieśniacy pokiwali głowami w uznaniu dla mądrości jego słów. Od lat doświadczali podstępności potworów i wiedzieli, jak należy z nim postępować.

- Ksiączę jednak przywiązał się niezmiernie do dzieci i nie dał wiary ostrzeżeniom. Mijały lata. Malcy rośli szczęśliwie, bacznie obserwowani przez księcia i domowników, lecz mag pozostał nieufny i z każdym rokiem jego zatroskanie się pogłębiało. Inni widać wyczuli jego niepokój, ale nic nie mogli uczynić, nie zdradził, bowiem nikomu, które z dzieci pochodziły od demona, a oprócz koloru oczu niczym nie różniły się między sobą. Aż pewnego dnia, kiedy ksiączę jak zwykle udzielał posłuchania ze szczytu wysokich schodów, nieoczekiwanie zachwiał się i na oczach zdumionych dworzan spadł z tysiąca marmurowych stopni, skręciwszy sobie kark. Pomimo całej potęgi i wszelkich bogactw, które zdołał zgromadzić, żadna magia nie mogła już przywrócić go do życia.

- Tak zwykle bywa - wtrącił stary Alessandro i jego pokryte bielmem oczy błysnęły w ciemnej twarzy. - Śmierć dla wszystkich równie okrutna, dzieci i starców, ksiąząt i nędzarzy.

- Ci, którzy stali najbliżej, zaklinali się jednak, że ksiączę spadł za przyczyną jednego z chłopców, tego o czarnych oczach, i rychło w całym zamku obwołano go synem demona, choć on sam głosił się prawym dziedzicem ojca i spadkobiercą jego praw. Na poddanych padł wielki strach. Najodważniejsi z nich, a może najbardziej przerażeni, zakradli się w nocy do komnat ksiązęcych dzieci, aby pochwycić pomiot demona w sieć i ukamienować je na dziedzińcu za ojcobójstwo. Ale znaleźli jedynie niebieskookiego chłopca i jego siostrę, której tęczówki również były pełne magii. Ich siostra i brat zdołali zbiec - jak potem mówiono, za przyczyną

ojca-demonia, który przestrzegł ich przed napaścią. Wymknęli się z pałacu, ukradli rybacką łódź i głuchą nocą spuścili ją na wzburzony odmęt cieśniny.

- Utonęli? - zapytał z nadzieją któryś z młodszych chłopców, wyraźnie oczekując, że wnet sprawiedliwości stanie się zadość.

Jednak nie była to noc moralnej nauki. Nie w opowieści bazarza.

- Ocaleli. - Starzec potrząsnął głową. - Zbudowali sobie dom po drugiej stronie cieśniny, na bliźniaczej białej skale, a z czasem wyrosło wokół niego wielkie, ludne miasto. Jednak nikt z jego mieszkańców nie przeprawiał się na drugi brzeg, do pałacu i otaczających go posiadłości, gdzie wciąż uważano ich za potomków demonia-łabędzia. Potem nastał czas wojen. Oba miasta zmarniały i powoli popadły w ruinę. A cieśnina pomiędzy nimi rosła coraz bardziej, aż wreszcie stała się głęboka jak niebo...

Dobra chwila minęła, nim wieśniacy pojęli, że opowieść dobiegła końca. Długo nikt nie ważył się odezwać. Tylko morze biło o brzeg i chrząszcze grały głośno w koleczastych zaroślach.

- To już wszystko? - wyrwało się wreszcie jakieś dziecko.

Bazarz skinął głową. Sancha miała wrażenie, że ponad dogasającym ogniskiem wciąż patrzy prosto na nią.

- Ale o czym była ta opowieść? - nalegało dziecko.

- Właśnie - przyłączył się inny, starszy głos. - O czym ona właściwie była?

Starzec jednak milczał uparcie, wpatrując się w mrok nad resztkami płomieni. Jego słuchacze wierzili się i popatrywali na siebie z coraz większym zakłopotaniem. Innej zgoła opowieści oczekiwali w dniu równie świetnego zwycięstwa nad syrenami.

- Bazarzu! - Carisio szarpnął starego za ramię. - Ocknijcie się, bazarzu!

Starzec wzdrygnął się, jak wyrwany z głębokiego snu, ale tylko wymamrotał coś pod nosem, podniósł się i powoli ruszył ku przystani. Nikt go nie zatrzymywał, choć zdumienie wieśniaków pogłębiało się z każdą chwilą.

- Głupiście! - huknął zniecierpliwiony ojciec Barnabo. - Jest morał w opowieści, ale go widzieć nie chcecie. Mówi on, żebyście lękali się lubieżności kobiet, które, niby owa księżna, dla zaspokojenia swej chuci nie wahają pokładać się z obmierzłymi demonami. A także, że trzeba się strzec potworów i trzebić je, póki są młode i słabe, bo potem rozrosną się i namnożą, jako tamtych dwoje dzieci, których potomstwo zapełniło ludne miasto.

Jednak mieszkańcy wioski nie wydawali się należycie zbudowani nabożnym wyjaśnieniem mnicha. Markotnie rozchodzili się po placu ku stołom zastawionym chlebem, ostrym serem, cebulą i figami, kosztowali potrawy z młodego koźlęcia, uduszonego w mleku matki. Wreszcie ktoś trącił starego Alessandra w ramię i dudy rozbeczały się na nowo.

Sancha podniosła się także. Wino uleciało jej już z głowy i chciała się niepostrzeżenie wymknąć z zabawy, ukryć w komórcie i płakać do rana. Jednak matka była czujna, jak zwykle.

-Jeszcze nie czas do domu - napomniała, acz bez zwykłej złości. - Ojciec nasz świątobliwy chce z tobą mówić. Ale wcześniej napij się wina. - Wcisnęła jej w dłoń pełen kubek. - I masz być rozradowana przed jego obliczem. To dzień wielkiego święta. Zwłaszcza dla ciebie.

Nie rozumiejąc zupełnie, co oznaczają te słowa, Sancha posłusznie wychyliła napitek i pozwoliła się zaprowadzić do ojca Barnaby. Z matką nie należało się sprzeczać, szczególnie teraz, gdy rozpierało ją dziwne podniecenie. Dreptała rażno, nucąc coś pod nosem. Sancha nie umiała sobie przypomnieć, kiedy widziała ją w podobnym nastroju.

- A więc jesteś. - Mnich popatrzył na nią bystro. Jego ciemne oczy, zapadnięte głęboko w czaszkę, połyskiwały jak u drapieżnego ptaka. - Twoja matka jest zacną, nabożną niewiastą. Uprosiła, abym modlił się za ciebie dzisiaj i błagał Pana, on, bowiem jeden ma zdolność uzdrowienia wszelkich chorób, iżby wejrzał na ciebie łaskawie w dniu, kiedy doświadczyliśmy już tak wielu cudów.

Dziewczynka słuchała go w oszołomieniu, gdyż nie należała do ulubienic wioskowego mnicha i z rzadka mówił z nią równie łaskawie. Ojciec Barnabo tymczasem sięgnął za pazuchę i dobył drewniane puzderko.

- I zesłał mi Pan odpowiedź - oznajmił z dumą, zdejmując wieczko. - Oto jest remedium niezawodne, które cię ocali i rozproszy ciemność.

Ręce matki zacisnęły się na jej ramionach jak kleszcze.

- Krew przekłętego argusa, zmieszana ze świętymi olejami, aby przywrócić ci wzrok - dokończył mnich i wyciągnął ku niej palec pokryty czerwoną mazią.

Odruchowo przymknęła oczy. Poczowała na powiekach chłodny dotyk, a w nozdrzach osobliwą metaliczną woń - i dopiero wtedy zrozumiała.

- Nie! - wykrzyknęła, z całej siły odpychając od siebie mnicha.

Zdołała tylko zobaczyć, jak ojciec Barnabo zachwiał się na becze. Zamachał rozpaczliwie rękami, bezwłose, żylaste łydki błysnęły w mroku, gdy fiknął w tył. Matka zawyła z przes-

trachu. Sancha wyszarpnęła się i runęła przed siebie na oślep, wrzeszcząc, kopiąc i grzmocąc pięściami tych, którzy usiłowali ją zatrzymać. Wpadła pomiędzy resztki ogniska, potknęła się na nadpalonej głowni i przewróciła w żar. Wtedy ją pochwycili.

- Ciii! - Chłodna, starcza dłoń zakryła jej usta, tłumiąc krzyk.

Zadygotała z zimna i trwogi. Zmacała w ciemności krawędź marmurowego blatu, na którym leżała, próbowała się podnieść. Bajarz ją podtrzymał delikatnie.

- Gdzie...? - zapytała cicho.

- Zamknęli cię w świątyni - wyjaśnił schrypłym szeptem. - Rzucaliś się, gryzłaś i wyłaś jak zwierzę. Potem mnich odprawiał nad tobą jakieś egzorcyzmy, ale przestał po tym, jak kopnęłaś go w przyrodzenie. Powiedział, że opętał cię demon i z dawna już podejrzewał, że tak będzie, skoro nieustannie prowadziłaś się z przeklętym argusem. I że jego krew pobudziła cię do szału.

Sancha gwałtownie zamrugowała, by strząsnąć łzy. Powieki wciąż miała ściągnięte i obce od skrzepłego oleju.

- Nie mogę tu zostać - odezwała się nagle.

Jej głos zabrzmiał głucho w pustej nawie świątyni. Bajarz milczał.

- Zadręczą mnie. Matka, ojciec Barnabo i reszta. Nie wybaczą mi Bianca.

Coś zaszurało na belkach u powały. Mysz, szczur albo inne drobne zwierzątko.

- Musisz mi pomóc uciec.

Starzec poruszył się nieznacznie. Zaszleścił płaszcz.

- Jak wiele z tego rozumiesz, dziecko? - odezwał się po długiej chwili.

- Wiem, że złapią mnie i przyprowadzą z powrotem. Jeśli mi nie pomożesz.

Wyczuła, że znów poruszył się w ciemności.

- Przy bramie stoją wartownicy, Carisio i inni. Mnich przykazał, aby nikomu nie pozwolili odejść. Mówił, że jeśli ktoś teraz spróbuje uciec, będzie to na pewno powiernik złego ducha i przyjaciel potworów.

- Ciebie jednak wypuszczą. Nie jesteś stąd.

Westchnął ciężko.

- Nie przeniosę cię na plecach ani nie ukryję w jukach. Choćbym chciał.

- Ale nie chcesz.

Oskarżenie zawisło między nimi w powietrzu jak dym znad ogniska. Znow zapiekło ją w oczach.

- Nie chcę - przyznał wreszcie starzec. - Obiecałem mnichowi...

- Są rzeczy ważniejsze od twoich obietnic! - podniosła głos. - Ja jestem ważniejsza. Bianco był ważniejszy. Lecz pozwoliliśmy, żeby go zabili. Prawda jest taka, że to nasza wina. Twoja też!

- Prawda... - Młasnął i głośno przełknął ślinę. - Prawda jest nieogarniona jak niebo i głęboka jak morze, dziecko. Można się w niej zanurzyć, wciągnąć ją w płuca jak powietrze i nigdy nie wypłynąć na powierzchnię, nie zaczerpnąć nowego oddechu. Najokrutniejszą z opowieści nie należy szafować bez powodu, bo jeśli zbliżysz się do niej zanadto, pali jak ogień i pozostawia ślady.

- Opowiedz mi, więc.

- Nie, dziecko. Każda z moich historii była specjalnie dla ciebie. Musisz je tylko zrozumieć.

- Nie potrafię.

- Ojciec Barnabo dobrze was wyszkolił - rzekł powoli. - Po zarazie, kiedy na Półwyspie ich wykleto, szarzy mnisi rozeszli się po wyspach jak robactwo. Tutaj nikt ich nie ścigał. Tutaj mogli żyć spokojnie i nieść swoją nienawiść z wyspy na wyspę. Czy zastanawiałaś się, co było tu wcześniej? Zanim przybyli?

Bez słowa potrząsnęła głową.

- Pustkowie. Jednak przez dziesiątki lat i wieki magowie tworzyli nowe monstra, aż wreszcie Arcipelago wezbrał purpurową pianą. Wyspy stały się ziemią potworów.

- I naszą.

Ze świstem wciągnął powietrze. Aż się przestraszyła, że wieśniacy poturbowali i jego.

- Bajarzu? - Lekko dotknęła jego ramienia.

Wzdrygnął się i odsunął jej rękę.

- Kiedy nadeszli szarzy mnisi, wszystkie wyspy i błękitne morze pomiędzy nimi należały do potworów. Potworów o rozmaitych kształtach i najdziwniejszych formach. A niektóre z nich, z powierzchowności bardziej ludzkie od innych, a także najrozumniejsze, wychynęły ze swych kryjówek i osad, aby powitać obcych, i chętnie słuchały ich słów...

- Nie! - Zatkęła palcami uszy. - Przestań! Przestań natychmiast!

Jednak oczywiście było już za późno.

- Zastanawiałaś się czasami - głos bazarza dobiegł ją z ciemności, miękki i giętki jak żmija - dlaczego wciąż rodzą się wśród was argusi i gegeneesi? Dlaczego z każdym pokoleniem w wiosce przybywa ślepców, jednorękich i kalek?

Rozpłakała się.

- Demon nie spaja się łatwo z żywym ciałem - ciągnął nieubłagane starzec - i niechętnie trwa w ludzkiej formie. Nawet, jeśli minie wiele pokoleń, jego natura pozostaje dzika, nieokiełznana, gotowa wypaczyć się w obce kształty. Coraz częściej, więc trzeba polować na argusów ze wzgórz i coraz więcej dzieci trzeba topić w błękitnych wodach zatoki, aby podtrzymać złudzenie. Aby uporządkować świat, oddzielić wodę od nieba. Aby ocaleć.

Przypomniała sobie, że już raz wypowiedział te słowa, lecz wówczas nie pojęła ich prawdziwego znaczenia.

- A ty? - zapytała. Gardło miała ściśnięte od płaczu. - Czy zechcesz mnie ocalić?

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Ponieważ, czymkolwiek jestem, jestem prawdziwa.

* * *

Ostrożnie przemknęła się przez plac, pomiędzy resztkami ogniska, poprzewracanymi stołami i pustymi beczkami.

- Przez bramę nie zdołam cię wyprowadzić - rzekł bazarz. - Musisz popłynąć przez zatokę. Będę czekał na prawym brzegu, przed skałą skylli. Nie bierz łódki, łatwiej będzie cię dostrzec. I nie zwlekaj. Musisz zdążyć przed świtem.

Nie była dobrą pływaczką. Bianco, który całe dni spędzał w przystani, usiłował nauczyć ją nurkować, ale niebieski przestwór zatoki przerażał ją. Bała się zanurzyć, aby pod powierzchnią wody nie pomylić kierunków i nie płynąć coraz głębiej, aż na samo dno morza. Nigdy też nie śmiała zapuścić się na środek zatoki, skąd nie zdoła dostrzec brzegu. Pośrodku zatoki stawała się jeszcze bardziej ślepa niż zwykle. Wszystkie kierunki były takie same i niebo zlewało się z wodą. Nawet, kiedy miała przy sobie Bianca, szybko wpadała w panikę, zaczynała na oślep młócić rękoma, a fala zalewała jej oczy i wypełniała nozdrza. Dlatego nie wierzyła, że zdoła

dopłynąć w miejsce wyznaczone przez bazarza. Ponieważ jednak nie pozostało nic innego, zamierzała spróbować.

Na szczęście wieśniacy spali, znużeni świętowaniem, więc nikt jej nie zatrzymał. Kiedy skradała się obok szopki, w której uwięziono syrenę, posłyszała słaby, niemal niedosłyszalny dźwięk. Kwilenie albo chlupot - nie umiała rozstrzygnąć. Zawahała się. Potem zaś, doskonale rozumiejąc, że nie powinna tego robić, odemknęła skobel.

Przy drzwiach zawieszono oliwny kaganek, widać w obawie, że mrok wzmocni magiczne moce potwora, więc Sancha mogła się dobrze przyjrzeć zdobyczy. Syrena leżała w wielkiej balii, do połowy wypełnionej wodą. Ręce miała skrępowane w nadgarstkach, wykręcone za głowę i solidną, konopną liną przywiązane do haków w ścianie. Nie walczyła już, wyprężone ciało spoczywało nieruchomo na wodzie. Na dźwięk kroków Sanchy nie uniosła nawet głowy. Oddychała tylko ciężko spoza zasłony poszarpanych, skołtunionych włosów. W usta wepchnięto jej zwitek szmat, aby śpiewem nie przywołała huraganu ani nie sprowadziła na wioskę morskich monstrów.

Sancha nie była jednak pewna, czy syrena zdołałaby w ogóle wydać głos. Srebrzystozłota łuska jej ogona poszarzała i wyblakła, skórę pokrywały krwawe wybroczyny, ślady razów i rany po haczykach. Ogon drgał spazmatycznie, a woda w balii była różowa od posoki. Kiedy dziewczynka podeszła całkiem blisko, zobaczyła, że bladoszara skóra na brzuchu potwora porusza się i faluje nieustannie.

Odskoczyła, przestraszona, że na jej oczach syrena przemieni się w inne monstrum i zerwie więzy. Ale kiedy tamta wygięła się w łuk i wydała kolejne, bolesne stęknienie, dziewczynka zrozumiała, co się dzieje. Całkiem niedawno słyszała te same dźwięki w chacie Niny.

Syrena rodziła.

Zafascynowana, Sancha przyglądała się, jak ciałem monstrum targają kolejne skurcze. Krew rozchodziła się w wodzie ciemnymi kłębami, ogon z pluskiem uderzał o powierzchnię. Wreszcie przykucnięta obok balii dziewczynka zobaczyła główkę dziecka. Syrena odrzuciła głowę do tyłu. Twarz miała czerwoną z wysiłku, w oczach - błaganie tak intensywne, że Sancha aż się cofnęła. Małe syreny wyślizgnęło się do wody, wciąż połączone z matką czerwoną nicią pępowiny. Było brzydkie, umazane śluzem i krwią. Zamachało ogonem, rozpaczliwie usiłując wydobyć się na powierzchnię i zaczerpnąć oddechu. Sancha z wahaniem podtrzymała jego główkę. Zakwiliło słabo, zupełnie jak ludzki noworodek. Głowa syreny opadła na bok, pod

wodę, i znieruchomiła. Długie włosy rozsypały się na powierzchni. Nie żyła. Dziecko płakało coraz głośniej.

- Cicho. - Niezdarnie zaczęła je kołysać.

Nie miała nic, aby przeciąć pępowinę, więc przegryza ją, a potem, jak we śnie, przeszła przez próg. Nie trudziła się zamykaniem skobla. Tak czy inaczej, syrena zdołała wymknąć się z uwięzi. Wyszła na pustą plażę. Morze ciepłą falą omyło jej stopy. Dziecko syreny oddychało spokojnie w jej ramionach. Nie wiedziała, co dalej uczynić. Czy może wystarczy, że położy noworodka na powierzchni, a woda uniesie go dalej, do swoich? Czy też powinna znaleźć sposób, aby przywołać syreny i oddać im dziecko? Czy może ukryć gdzieś na brzegu, aby potwory odnalazły je o poranku? Na niebie słabo połyskiwały gwiazdy. Stała z dzieckiem w ramionach, czekając na przyływ.